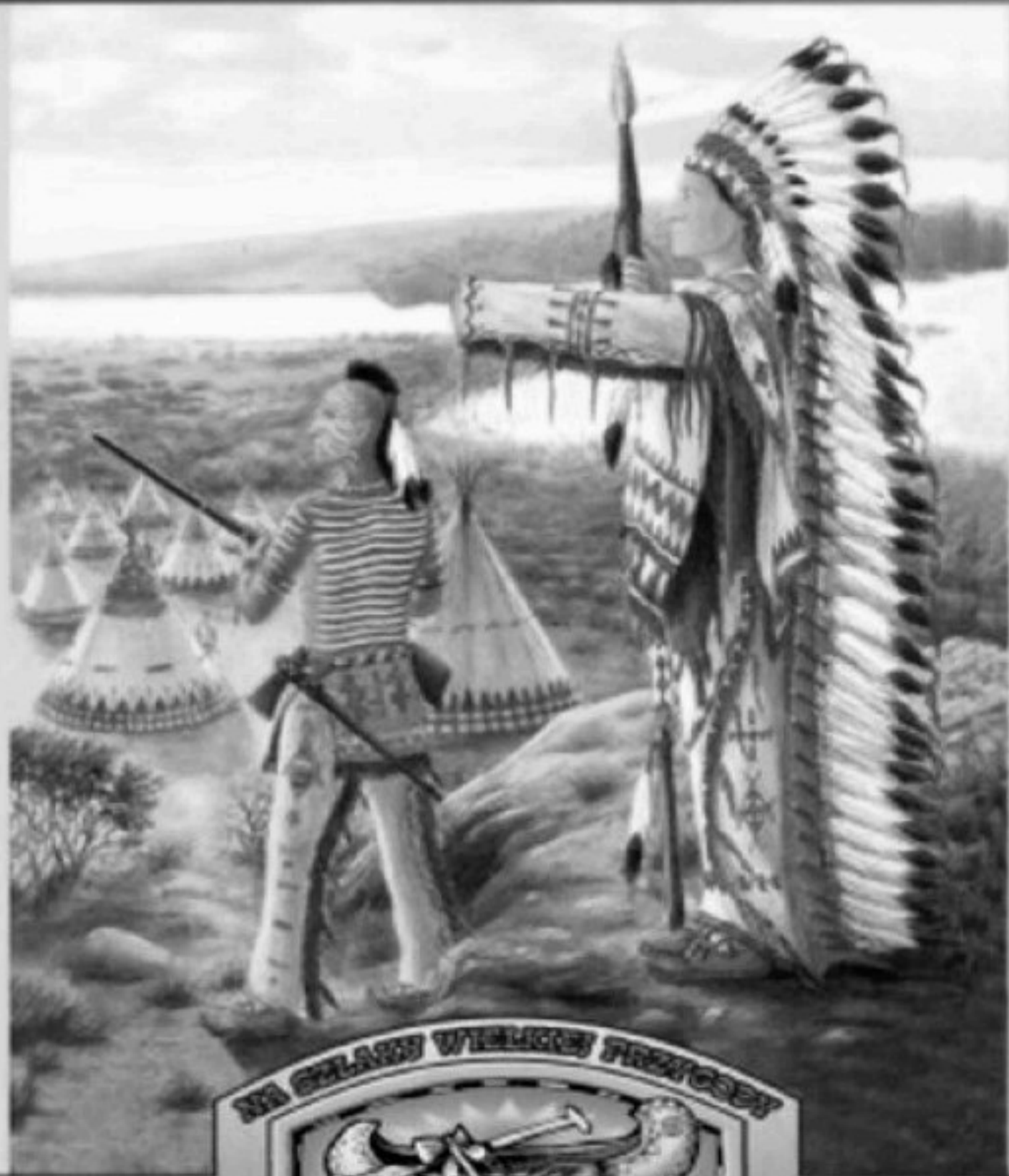


JAMES FENIMORE COOPER  
OSTATNI MOHIKANIN



WYDAWNICTWO ZIELONA SOWA



**Cooper**

**Sokole Oko #2 Ostatni**

**Mohikanin**

iskry

**Pięcioksiąg przygód Sokolego Oka:**

**Pogromca Zwierząt Ostatni Mohikanin Tropiciel Śladów Pionierowie Preria**

**^^ James Fenimore Cooper**

**14 Przełożył Tadeusz Evert**

**Warszawa 1988**

iskry

**Tytuł oryginału**

**The Last of the Mohicans**

**Wiersze przełożył Włodzimierz Lewik**

**Opracowanie graficzne Janusz Wysocki**

**Redaktor**

**Małgorzata Żbikowska**

**Redaktor techniczny Anna Kwaśniewska**

**Korektor Agata Bołdok**

II

**MIŃSKA 1JIBUtrj^KKA "I8ŁliiltI4 w 2abrtn \*T\.**

**•ćN- "4AS. IV c.**

ISBN 83-207-1083-9

For the Polish edition copyright (c) by Państwowe Wydawnictwo "Iskry", Warszawa 1988

Państwowe Wydawnictwo "Iskry", Warszawa 1988 r.

Wydanie X (V skrócone). Nakład 99 700+300 egz.

Ark. wyd. 15,5. Ark. druk. 18,5.

Papier offset, kl. III, 70 g, 61 cm (rola).

Rzeszowskie Zakłady Graficzne.

Rzeszów, ul. Marchlewskiego 19.

Zam. nr 6667/87. W-5-19.

Niech cię nie zraża kolor mojej skóry, Ciemnej odziewy palącego słońca.

Szekspir Kupiec wenecki

## OD AUTORA

Czytelnik, który weźmie do\* ręki tę książkę, by szukać w niej barwnego opisu fantastycznych wydarzeń, odłoży ją rozczarowany. Jest ona bowiem tylko tym, co 'zapowiada karta tytułowa: opowieścią. Często jednak mówi się w niej o rzeczach na ogół mało znanych, zwłaszcza kobietom – czytelniczkom o bujniejszej wyobraźni od mężczyzn. Może się zdarzyć, że panie zechcą czytać tę książkę, błędnie biorąc ją za romans. Autor musi więc, zresztą we własnym interesie, wytłumaczyć pewne historyczne niejasności. Gorzkie doświadczenie skłania go do tego obowiązku. Nieraz bowiem przekonał się, że wystarczy oddać dzieło pod bezwzględny sąd ogółu, a wszyscy i każdy z osobna, nawet najwięksi ignoranci, w jakiś intuicyjny najwidoczniej sposób, widzą więcej od samego autora. Trudno jednak zaprzeczyć, że żadnemu twórcy nie wyjdzie na dobre, gdy czytelnik (lub widz) swobodnie puści wodze swej fantazji. Dlatego należy starannie wyjaśnić wszystko, co można. To sprawi tylko przyjemność tym czytelnikom, którzy wolą się cieszyć z książek, a nie z ich zakupu. Po tym wstępnym wyjaśnieniu, czemu na samym progu swego dzieła musiał powiedzieć tyle niezrozumiałych słów, autor przystępuje do rzeczy. Nie powie, bo i nie trzeba mówić, nic, o czym nie wiedziałby ktoś jako tako obeznany z przeszłością Indian.

**Największą trudnością dla tego, kto chce poznać historię Indian, jest zamieszanie w nazwach. Jeśli się jednak pamięta, że Holendrzy, Anglicy i Francuzi jako kolonizatorzy Ameryki Północnej walnie przyczynili się do tego zamieszania, że sami Indianie nie tylko**

**mówią różnymi językami, lecz używają różnych dialektów, które chętnie wzbogacają na swój sposób – można żałować, że takie trudności powstały, lecz nie trzeba się im dziwić. Jeśli więc książka ta nie jest wolna od innych wad, to jej niejasności należy położyć na karb przytoczonych przez nas faktów.**

**Europejczycy stwierdzili, że olbrzymie przestrzenie między Penobscot a Potomakiem, Atlantykiem a Missisipi\* należały do plemion wywodzących się z tego samego pnia. Te rozległe granice mogły tu i ówdzie rozszerzyć się lub skurczyć pod naciskiem sąsiednich plemion. W ogólnym jednak zarysie Atlantyk i wspomniane rzeki wyznaczały obszar zamieszkały przez naród powszechnie zwany Wapanachkami. On jednak wolał nazywać się Lenni Lena-pami, co oznacza "naród czystej krwi". Autor nie czuje się na siłach, by wyliczyć wszystkie wspólnoty, plemiona i szczepy tego narodu. Każde plemię miało swą nazwę, wodzów, tereny łowieckie i często odrębny dialekt. Jak feudalne księstwa w Starym Świecie plemiona walczyły ze sobą i korzystały z szeroko pojętej niezależności. Lecz mimo wszystko przyznawały się do wspólnego pochodzenia, mówiły podobnym językiem, miały takie same zwyczaje, wiernie przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jedna gałąź tego liczego narodu osiadła nad piękną rzeką znaną pod nazwą Lena-pewihittuck i tu, za ogólną zgodą, powstał "Długi Dom" albo "Ognisko Wielkiej Rady".**

**Krajem, na który składała się południowo-zachodnia część dzisiejszej Nowej Anglii, połącz stanu New York na wschód od Hudsonu\* i szmat ziemi nieco dalej na południe, władało możne plemię zwane Mahicanni albo po prostu – Mohikanie. Anglicy przekręcili tę nazwę na Mohegan.**

**Plemię Mohikanów, które też dzieliło się na szczepy, uważało się za starsze od sąsiadów – posiadaczy "Długiego Domu". Choć ta pretensja była sporna, chętnie przyznawano im tytuł "najstarszego syna praojców". Mohikanie byli pierwszym plemieniem wyzutyim przez białych z ojczystej ziemi. Ich resztki wegetują jeszcze rozsiane wśród innych plemion i nic już im nie pozostało z dawnej potęgi i wielkości prócz smętnych wspomnień.**

**Plemię, które strzegło świętego obrębu "Długiego Domu", przez**

**Penobscot, Potomak, Missisipi – rzeki Ameryki Północnej. Hudson – rzeka w stanie New York.**

**wiele lat nosiło zaszczytną nazwę Lenapów. Ale gdy Anglicy zmienili nazwę rzeki na Delawar, nazwa ta stopniowo przeszła i na plemię. Jednakże Indianie między, sobą**

wyczuwają subtelny różnicę tych nazw. Te nieuchwytnie dla białych odcienie, których pełno w języku Indian, nadają mu niezwykłego wyrazu, a często patosu i oratorskiej swady.

Na północ od Lenapów, na wiele setek mil wzdłuż ich granicy, żył inny naród, który pochodził z tego samego pnia, mówił tym samym językiem i podobnie się dzielił. Sąsiedzi zwali go Mengwe. Ten północny dziki naród był jednak słabszy i nie tak zwarty jak Lenapowie; chcąc więc dorównać swym potężnym sąsiadom, pięć najbardziej wojowniczych i najliczniejszych plemion, zamieszkujących w pobliżu domu narad swych wrogów, zawarło sojusz obronny. Była to więc najstarsza Republika Związkowa, o jakiej wspomina historia Ameryki Północnej. Plemiona te nazywały się: Mohawk, Oneida, Seneka, Kajuga i Onondaga. Później na pełnych prawach przyjęto do tego związku koczownicze, pokrewne plemię, które odeszło "bliżej ku słońcu". To plemię (Tuskarora) tak powiększyło związek, że Anglicy zmienili pierwotną nazwę "Związek Pięciu Narodów" na "Związek Sześciu Narodów". W toku opowieści czytelnik przekona się, że określenie "naród" czasem stosuje się do plemienia, czasem do narodu w najszerszym pojęciu tego słowa. Indianie sąsiadujący z plemieniem Mengwów nazywali je Makaami, a nieraz obelżywie – Mingami. Francuzi przewali je Irokezami, przekręciwszy zapewni jedną z indiańskich nazw.

Znana jest niewątpliwie prawdziwa i niesławna historia, jak Holendrom z jednej strony, a Mengwom z drugiej udało się skłonić Lenapów do odłożenia broni i powierzenia obrony swych granic sąsiadom. Po tym czynie Indianie w swym obrazowym języku przewali Lenapów "babami". Od tego czasu zaczyna się upadek największego i najbardziej cywilizowanego plemienia Indian, mieszkającego w granicach dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Rabowane przez białych, mordowane i prześladowane przez dzikich, jakiś czas trwało jeszcze przy ognisku narad, by wreszcie rozpaść się na małe grupki i szukać schronienia w głuchych puszczech Zachodu. Sława tego plemienia, jak płomień gasnącej lampy, rozbłysła najjaśniej u jego schyłku.

można

Jest

powiedzieć o tym interesującym naro

nie szczerdzi! czasu i sil

°narodu \*stara się p

zczeroś

wra^yn, SwLmm w podeszły\*

y książkę, by po-

Międliwy oTcwieŁ ta zgorszy \*awa.eror,

mO8ą z pozy

się czym innYm-

e r John Gottlieb Ernest (1743-1823) H e c k w e 1 d Deiwarach i Mohikanach.  
Napisał kilka PraC

\_ misjonarz. Długo mieszka! wśród Indian.



# R O Z D Z I A | Ł

## PIERWSZY

**Uszy i serce gotowe na wszystko: Najgorsza strata doczesna, więc mów, Czylim utracił królestwo?**

**.;A Szekspir**

**1 rudy i niebezpieczeństwa pochodzą przez puszcze – z którymi wojska obu stron musiały się uporać, zanim nareszcie stanęły naprzeciw siebie – stanowiły szczególną cechę wojen toczonych w koloniach północnoamerykańskich. Rozległe i niemal nieprzebyte lasy dzieliły posiadłości wrogich sobie prowincji Francji i Anglii. Mężny kolonista i najemny żołnierz europejski walczący u jego boku tracili nieraz całe miesiące na pokonywanie bystrego nurtu rzeki i dzikich przesmyków górskich, zanim mogli okazać swe męstwo na polu bitwy. Jednakże to współzawodnictwo w cierpliwości i ofiarności z wytrawnymi, wojownikami indiańskimi nauczyło ich przewyżczać wszelkie przeszkody. Wydawało się nawet, że z czasem nie będzie tak mrocznego leśnego zakątka czy utajonego zacisza, które by nie zaznało najazdu ludzi, gotowych poświęcić życie dla zaspokojenia chęci zemsty lub dla dogodzenia bezdusznej i samowolnej polityce monarchów dalekiej Europy.**

**W szerokim pasie granicznym dzielącym skłócone prowincje chyba żaden okrąg nie był wówczas widownią bardziej jaskrawych okrucieństw i zacieklej szych walk niż okolice leżące między źródłami Hudsonu i pobliskimi jeziorami.**

**Teren tak tu sprzyjał ruchom wojsk, że tej dogodności ofiarowanej przez samą przyrodę walczący nie mogli lekceważyć. Wydłużona powierzchnia jeziora Champlain\*, sięgającego od granic**

**Champlain lądowa = 1609 m.**

**–jezioro pomiędzy Stanem New York i Yermont. Ma 125 mil długości. Mila**

**Kanady w głąb sąsiedniego stanu New York, tworzyła naturalny szlak poprzez połowę tej przestrzeni, którą Francuzi musieli przebyć, by uderzyć na nieprzyjaciela. Jezioro to w pobliżu swego południowego krańca pobiera wody z innego jeziora, o toni tak przejrzystej, że jezuici-misjonarze wybrali je do obrządku symbolicznego obmywania przy sakramencie chrztu, co zjednało mu nazwę Du Saint Sacrement\*. Anglicy, pod tym względem mniej gorliwi, uznali, że dostatecznie zaszczycać przejrzyste wody jeziora nazywając je imieniem swego panującego króla, drugiego z dynastii hanowerskiej. W ten sposób oba narody połączyły swe wysiłki, by obrabować niecywilizowanych właścicieli tego lesistego kraju z ich naturalnego prawa nazywania jeziora pierwotnym mianem Horican\*.**

Otoczone górami wody Świętego Jeziora wijąc się obmywają niezliczone wysepki i ciągną się jeszcze ze trzy tuziny mil na południe. Dalszą drogę przegrodził im płaskowyż, wędrowiec musi więc przenieść czołno około dwunastu mil, by dostać się nad brzeg Hudsonu, skąd – mimo zwykłych przeszkód w postaci progów lub "wybojów", jak się to wówczas nazywało w miejscowym narzeczu – rzeka jest już żeglowna aż do ujścia.

Łatwo pojąć, że Francuzi, których niezmordowana przedsiębiorczość i śmiałe plany atakowania wroga przywiodły nawet w odległe i niedostępne góry Alleghany, ze swą przysłowiową bystrością umysłu musieli ocenić naturalne dogodności opisanego przez nas terenu, sprzyjającego działaniom wojennym. Toteż stał się on krwawą areną wielu bitew, jakie stoczono o władanie koloniami. W różnych miejscach panujących nad dogodnymi przejściami wznoszono forty, które zdobywano i oddawano, równano z ziemią i odbudowywano, zależnie od zmiennych kolei wojny. Spokojni osadnicy uchodzili wówczas z tych niebezpiecznych szlaków i chronili się w dawniej założonych siedzibach, a armie liczniejsze od tych, które w ich ojczystych krajach często decydowały o losach tronów, zagłębiały się w puszczach.

Du Saint Sacrement (franc.) – (jezioro) Przenajświętszego Sakramentu.

Każde indiańskie plemię mówiło własnym językiem bądź narzeczem, toteż tej samej miejscowości nadawano różne nazwy, które zazwyczaj określały jakąś jej właściwość. Tak na przykład nazwa tego pięknego jeziora w języku plemienia mieszkającego nad jego brzegami znaczy dosłownie: ogon jeziora. Jezioro Jerzego, jak zwykło się o nim mówić i jak teraz oficjalnie się nazywa, tworzy – gdy spojrzeć na mapę – coś w rodzaju ogona jeziora Champlain. Stąd jego nazwa (przyp. autora).

Na tej arenie krwawych zapasów, w trzecim roku ostatniej wojny między Anglią i Francją o władanie krajem, którego żadnemu z tych państw nie było sędzone utrzymać, zaszły wypadki opisane w naszej powieści.

/ Nieudolność dowódców wojsk zamorskich i zgubny brak energii sfer rządzących Anglią osłabiły jej dumną, dominującą pozycję w świecie. Słudzy tego państwa, którzy przestali budzić strach w jego wrogach, niebawem stracili zaufanie do samych siebie. Koloniści zaś, choć nie byli winni słabości Wielkiej Brytanii, stali się naturalnymi ofiarami tego bolesnego poniżenia.

Właśnie niedawno widzieli, jak wyborowa armia kraju, który czcili niby matkę i ślepo uważali za niezwyciężony, prowadzona przez wodza wybranego dla swych wyjątkowych zdolności militarnych spośród wielu wytrawnych i doświadczonych wojskowych, została sromotnie pobita przez garstkę Francuzów i Indian. Od zupełnej zagłady ocalała ją tylko zimna krew i przytomność umysłu pewnego młodzieńca z Wirginii, którego sława dojrzewała z biegiem lat i dzięki jego cnotom rozszerzyła się aż po najodleglejsze zakątki chrześcijańskiego świata\*.

Po owym niespodziewanym nieszczęściu rozległa granica leżała otworem i zanim nadeszły dalsze, rzeczywiste klęski, poprzedziły je fantastyczne pogłoski o tysiącu urojonych niebezpieczeństwach. Przerażonym kolonistom wydawało się, że każdemu gwałtownemu podmuchowi wiatru z bezkresnych lasów na Zachodzie towarzyszą przenikliwe wrzaski Indian. Bezlitosny charakter tego nieubłaganego wroga białych osadników znacznie powiększał naturalne okropności wojny. W pamięci kolonistów żyły jeszcze niedawne liczne rzezie.

W całym kraju chciwie słuchano wstrząsających opowieści o okropnych nocnych morderstwach, w których dzicy odgrywali główną i najbardziej barbarzyńską rolę. Kiedy łatwowierni podróżnicy z przejęciem opowiadali o najeżonych niebezpieczeństwa-

Był to Jerzy Waszyngton. Po daremnym ostrzeżeniu generała przybyłego z Europy o niebezpieczeństwie, na jakie bezmyślnie naraża armię angielską, Waszyngton dzięki swym śmiałym decyzjom i odwadze uratował jej resztki. Sławie, jaką zdobył w owej bitwie, zawdzięczał, że potem powierzono mu dowództwo nad armią amerykańską. Warto zauważyć, że gdy cała Ameryka rozbrzmiewała dobrze zasłużoną sławą Waszyngtona, w Europie żadne sprawozdanie z bitwy nie wymienia jego nazwiska (przynajmniej autorowi nie udało się znaleźć takiej wzmianki). Tak w owym systemie rządów ojczyzna wyrzekała się nawet najbardziej zasłużonej sławy swych synów (przyp. autora).

mi gąszczach leśnych, ludziom lękliwym krew zastygała w żyłach, a matki spoglądały z obawą na dzieci, spokojnie śpiące w bezpiecznym ukryciu największych miast. Słowem, strach wyolbrzymiający niebezpieczeństwo brał górę nad głosem rozsądku.

Gdy więc do fortu leżącego na południowym krańcu płasko-wzgórza, które rozciąga się między rzeką Hudson a jeziorami, dotarła wiadomość, że do jeziora Champlain zbliża się generał Montcalm\* na czele armii tak licznej jak "liście na drzewach", załoga fortu przyjęła tę wieść nie z dumną radością, jaką winien odczuwać żołnierz w obliczu wroga, lecz tchórzliwie i niechętnie. W połowie lata, pod wieczór pewnego dnia, przybiegł z tą wiadomością goniec Indianin, przynosząc jednocześnie nagłą prośbę pułkownika Munro, komendanta jednego z fortów nad brzegami Świętego Jeziora, o szybkie nadesłanie mu znacznych posiłków. Jak już wspomnieliśmy, forty te dzieliła odległość około dwunastu mil. Początkowo łączyła je trudna do przebycia ścieżka, poszerzona później dla przejazdu wozów, tak że przestrzeń, którą syn puszcy przebył w dwie godziny, oddział wojskowy z całym taborem mógł łatwo przejść w lecie w ciągu jednego dnia. Wierni słudzy brytyjskiego tronu nazwali jeden z tych leśnych fortów William Henry, drugi zaś Edward, od imion ulubionych księżąt z panującego domu. Wspomniany już weteran, Szkot, komendant pierwszego z tych fortów, miał pod sobą pułk wojsk regularnych i garstkę miejscowych oddziałów składających się z kolonistów, co było stanowczo za mało, by stawić czoło wielkim siłom, które Montcalm wiódł ku szczytom usypanym z ziemi. W drugim forcie natomiast, na czele garnizonu liczącego ponad pięć tysięcy ludzi, stał generał Webb, dowodzący wojskami króla w północnych stanach. Gdyby generał połączył podlegające mu oddziały, mógłby niemal podwoić swe siły i przeciwstawić je śmiało Francuzowi. Jednakże przygnębieni niepowodzeniami dowódcy i ich żołnierze woleli czekać na groźnego przeciwnika za wałami fortów, zamiast powstrzymać pochód nieprzyjaciela zadając mu cios w czasie

marszu.

Gdy osłabło już pierwsze wrażenie wywołane wspomnianą wiadomością, po umocnionym obozie, który leżał wzdłuż brzegu

Ludwik de Montcalm (1712-1759) – generał francuski, który z powodzeniem walczył w owym czasie z Anglikami. Poległ w obronie miasta Ouebec.

Hudsonu i tworzył zewnętrzny pas obwarowań właściwego fortu, rozeszła się pogłoska, że półtoratysięczny oddział wyborowych żołnierzy ma o świcie wyruszyć do fortu William Henry, leżącego na północnym krańcu płaskowzgórza. Pogłoska wkrótce przerodziła się w pewność, gdyż z kwatery dowódcy wydano paru oddziałom rozkaz przygotowania się do szybkiego wymarszu. Teraz plany Webba były już jasne. Przez następną godzinę lub dwie w obozie panował rozgardiasz i wszędzie widziało się zatroskane twarze.

Wreszcie słońce w złocistej aureoli zaszło za odległe wzgórze na zachodzie, a w miarę jak zmrok osnuwał swym welonem samotne obozowisko, cichły odgłosy przygotowań do wymarszu. Niebawem zgasły ostatnie światła w drewnianych chatkach oficerów, drzewa rzuciły gęsty cień na wały i szumiącą rzekę i w całym obozie zapanowała cisza równie głęboka jak w rozległych, otaczających go lasach.

Ledwie na wschodzie na pogodnym, czystym niebie poczęły występować w brzasku wstającego dnia niewyraźne kształty paru najbliższych wysokich sosen, ciężki sen wojska – zgodnie z rozkazami wydanymi poprzedniego dnia – przerwał donośny warkot bębnow. W świeżym rannym powietrzu jego echo odezwało się w każdym zakątku lasów. W jednej chwili cały obóz zawrzało życiem.

Niebawem wyznaczony oddział był już gotów do wymarszu. Wyćwiczeni najemnicy króla z oddziałów regularnych stanęli z dumnymi minami na prawym skrzydle, a skromniejsi od nich koloniści, od dawna przywykli do uległości, zajęli pośledniejsze miejsca po lewej stronie. Pierwsi wyruszyli zwiadowcy. Silny konwój otoczył ciężkie wozy taborowe i zanim promienie słońca rozproszyły szare światło ranka, główne siły oddziału w zwartej kolumnie opuściły obóz. Tęgie miny maszerujących i ich bojowa postawa uspokoiły nieco obawy drzemiące w niejednym nowicjuszu, który jeszcze nie wahał prochu. Żołnierze odchodzącego oddziału zachowywali dumną postawę i przepisowy szyk dopóty, dopóki maszerowali przed podziwianymi ich towarzyszami. Wreszcie dźwięk piszczałek zaczął zamierać w oddali i puszcza wchłonęła tę żywą masę ludzi, powoli wkraczających w jej gęstwinę.

Przed największą i najwygodniejszą chatą, wokół której przechadzali się wartownicy strzegący angielskiego generała, wciąż

trwały przygotowania do odjazdu. Przywieziono tu z pół tuzina koni. Przynajmniej dwa z nich, jak można było wnosić z siodeł, przeznaczone były dla kobiet z wyższych sfer, których przedstawicielki rzadko widywało się w głębi puszczy. Pod siodeł trzeciego konia widać było ozdobny czaprak z inicjałami oficera sztabu, pozostałych zaś, okrytych prostymi derkami i objuczonych sakwami, najwidoczniej miała dosięść służba, gotowa już do odjazdu i czekająca na rozkazy państwa.

W należytej odległości od miejsca tego niezwykłego widowiska stało kilka grup gapiów. Jedni rozkoszowali się widokiem wojskowego rumaka pełnej krwi, inni ciekawie, z tępym, prostackim podziwem przyglądali się przygotowaniom do odjazdu. Był jednak między nimi człowiek, który swym zachowaniem i wyrazem twarzy różnił się od reszty gapiów, nie wyglądał bowiem ani na próżniaka, ani na nieuka.

Chociaż wcale nie ułomny, był nadzwyczaj niezgrabny. Ciało i kości miał takie jak każdy normalny człowiek, ale brak im było właściwych proporcji. Gdy stał, przewyższał otoczenie, gdy siedział – malał do normalnych rozmiarów. Ta sama dysproporcja członków cechowała całą jego postać. Głowę miał dużą, ramiona wąskie, ręce długie i obwisłe, a dłonie małe, prawie delikatne, nogi i biodra szczupłe, niemal wychudłe, ale za to niezwyklej długości. Kolana można by uważać za potwornie wielkie, gdyby nie jeszcze większy fundament, na którym tak nieumiejętnie wzniesiono ten wadliwy gmach, powstały z pomieszania stylów budowy ludzkiego ciała. Złe dobrany i bezsensowny strój jeszcze bardziej uwydatniał niezgrabność tego człowieka. Jasnobłękitny surdut z szerokimi, krótkimi połami i niskim, obszernym kołnierzem ukazywał długą, cienką szyję oraz znacznie dłuższe i cieńsze nogi, co ludziom złośliwym dawało powód do kąśliwych uwag krytycznych. Wąskie, opinające ciało spodnie z żółtego nankinu zaciśnięte były pod guzłami kolan białymi, dobrze wysłużonymi i brudnymi wstążkami, zawiązanymi na szerokie kokardy. Ciemne bawełniane pończochy oraz trzewiki, z których tylko jeden zdobiła posrebrzana ostroga, uzupełniały dolną część ubioru tego człowieka, który, czy to przez naiwność, czy też przez próżność, nawet najmniejszym szczegółem nie złagodził kanciastych linii swej postaci lecz raczej je podkreślił. Spod kłapy olbrzymiej kieszeni | przy-

brudzonego brokatowego surduta, suto ozdobionego wyblakłym srebrnym galonem, wystawał jakiś przedmiot, który w tak marsowym zestawieniu łącznie wzięłybyś za niebezpieczny i nieznany oręż. Wprawdzie ten niezwykły przedmiot był bardzo mały, budził jednak ciekawość tych żołnierzy w obozie, którzy przybyli z Europy, natomiast koloniści posługiwali się nim nie tylko bez obawy, ale i z największą wprawą. Całość stroju nieznajomego wieńczył ogromny miejski kapelusz, jakie od trzydziestu lat nosili pastory, dodając powagi dobrodusznej i nieco bezmyślnej twarzy, której właściciel widocznie potrzebował takiej pomocy, aby nadać sobie wygląd osoby piastującej wysoki i niezwykły urząd.

Ale gdy prości żołnierze z należytym szacunkiem trzymali się z dala kwatery Webba, opisany przez nas osobnik śmiało wkroczył w sam środek służby i bez żenady począł ganić lub chwalić konie, zależnie od tego, czy mu się podobały, czy też nie.

–To zwierzę, jak wnoszę, mój przyjacielu, nie jest tutejszego chowu i pochodzi z obcych krajów, a być może z owej małej wyspy za błękitną wodą – mówił głosem w tym samym stopniu budzącym uwagę łagodnym, miękkim brzmieniem, co jego postać niezwykłymi proporcjami członków. – Mogę mówić o tych rzeczach bez przechwałek, ponieważ byłem w obu portach: w tym, który leży przy ujściu Tamizy i nosi nazwę stolicy Starej Anglii, oraz w tym, co zowie się "Portem" z dodatkiem słowa "Nowy". Widziałem tam szniawy i brygantyny\*, które uzupełniały swe tabuny – podobnie jak Noe, gdy zbierał zwierzęta do arki – i udawały się na wyspę Jamajkę, aby kupczyć czworonożnymi zwierzętami, lecz nigdy przedtem nie widziałem stworzenia, które by tak bardzo usprawiedliwiało biblijny opis bojowego rumaka: "Kopie dół, a weseli się w mocy swej i bieży przeciwko zbrojnym. Śmieje się z postrachu, a ani się lęka, ani nazad ustępuje przed ostrzem miecza, choć za nim chrzęści sajdak i błyszczą oszczep i drzewce. Z grzotem i gniewem kopie ziemię, a nie stoi spokojnie na głos trąby. Między trąbami poryza\*, a z daleka czuje bitwę, krzyki książąt i wołanie". Wydaje się więc, że rasa izraelskiego konia dochowała się aż do naszych czasów, czyż nie tak, przyjacielu?

Szniawy i brygantyny Poryzać – rzeć.

–rodzaje statków żaglowych.

Nie otrzymawszy odpowiedzi na swą niezwykłą przemowę, człowiek śpiewnie mówiący językiem Pisma Świętego odwrócił się do milczącej postaci, do której kierował swe słowa, i gdy spojrzał na nią, odkrył nowy i jeszcze bardziej niezwykły przedmiot podziwu. Jego wzrok bowiem padł na nieruchomą, wyprostowaną postać Indianina, gońca, który poprzedniego wieczoru przybiegł do obozu z niepokojącymi wiadomościami. Mimo iż dziki rozkoszował się wypoczynkiem, z właściwą Indianom obojętnością i pogardą nie zwracając uwagi na ogólne podniecenie i obozową krzątaninę, przez jego spokój przeziarała ponura zaciekłość, zdolna przyciągnąć uwagę oczu bardziej doświadczonych od tych, które teraz baczenie i z nie ukrywanym zdziwieniem spoglądały na niego. Indianin był wprawdzie uzbrojony zarówno w tomahawk, jak i nóż swego plemienia, jednakowoż nie bardzo wyglądał na wojownika; Znać na nim było jakieś zaniedbanie, być może na skutek niedawnego wielkiego wysiłku, po którym nie zdążył jeszcze przyjść do siebie. Farby wojennego malowidła zamazały się na jego srogiej twarzy i nadały smagłym rysom wyraz bardziej dziki i odpychający, niż gdyby sztuka miała wyrazić to, co sprawił przypadek. Jedynie oko, błyszczące jak gwiazda wśród nisko nawisłych chmur, zachowało naturalną dzikość. Na krótką chwilę badawcze, chociaż ostrożne spójrzenie Indianina spotkało się ze zdziwionym wzrokiem nieznanego, potem zmieniło kierunek i częściowo z przebiegłości, a częściowo z pogardy znieruchomiło, jakby chciało przeniknąć horyzont.

Nie można przewidzieć, jaką nieoczekiwaną uwagę białego wywołałoby to krótkie i milczące zetknięcie się spojrzeń, gdyby jego nienasycona ciekawość nie zwróciła się w innym kierunku. Ogólne poruszenie wśród służby oraz delikatne kobiece głosy zapowiedziały zbliżanie się osób, na które czekano, by ruszyć w drogę. Prostoduszny wielbiciel bojowego rumaka natychmiast podszedł do niskiej, chuderławej kobyły z wyleniałym ogonem, która o parę kroków dalej skubała zwiędłą trawę obozowiska. Oparłszy się łokciem o derkę, która najwidoczniej pełniła rolę siodła, przyglądał się odjazdowi kawalkady, a tymczasem po drugiej stronie kobyły jej źrebię spokojnie spożywało pierwsze śniadanie.

Młody mężczyzna w mundurze oficera prowadził ku wierzchowcom dwie niewiasty, które, wnosząc ze stroju, starannie przygoto-



wały się do trudów podróży przez puszcze. Jedna z nich, z postaci młodsza, aczkolwiek obie były młode, przelotnie ukazała ciekawym spojrzeniom olśniewającą białosc cery, jasnozłote włosy i błękitne oczy, albowiem beztrzesko pozwoliła rannemu wietrzykowi odsunąć na bok zielony długi szal, zwisający z jej filcowego kapelusza. Różowy odblask, wciąż jeszcze widoczny na zachodzie nieba tuż nad wierzchołkami sosen, nie był ani jaśniejszy, ani delikatniejszy od rumieńców na jej policzkach, a wstający dzień nie był piękniejszy od radosnego uśmiechu, którym obdarzyła młodego mężczyznę, gdy dopomógł jej usadowić się w siodle. Druga niewiasta, którą młody oficer darzył nie mniejszą uwagą, ukrywała swą urodę przed spojrzeniami żołnierzy ze starannością zrozumiałą u osoby starszej od swej towarzyszki o cztery czy pięć lat. Jednakże można było zauważyć, że jej kształty, których wdzięku nie przysłonił podróżny strój, były pełniejsze i dojrzalsze, choć nie mniej piękne od kształtów jej towarzyszki.

Gdy obie kobiety dosiadły koni, ich towarzysz lekko wskoczył w siodło swego wierzchowca i cała trójka skłoniła się Webbowi, który, stojąc na progu swego domu, uprzejmie czekał na ich odjazd. Następnie odjeżdżający zawrócili i lekkim truchtem skierowali się na czele swego orszaku ku północnej bramie obozu. W czasie tej krótkiej drogi nikt nie odezwał się słówkiem, jedynie młodszej z niewiast wyrwał się krótki okrzyk, gdy goniec indiański niespodziewanie prześliznął się obok niej i stanął na czele kawalkady, właśnie wjeżdżającej na drogę wojskową. Na ten gwałtowny i niepokojący ruch Indianina druga z niewiast wprawdzie nie krzyknęła, ale tak ją to zaskoczyło, że pozwoliła rozchylić się fałdom swego szala, co zdradziło trudne do opisanego spojrzenie jej ciemnych oczu: wyrażały one na przemian litość, podziw i strach, w miarę jak biegly za zwinnymi ruchami dzikiego. Warkocze tej kobiety były lśniące i czarne jak pióra kruka. Jej cera wprawdzie nie była śniada, a jednak wydawało się, że lada chwila krew tryśnie z rumieńców na jej policzkach. W tej wyjątkowo pięknej twarzy o rysach niezwykle regularnych i szlachetnych nie było nic pospolitego ani rażącego. Uśmiechnęła się, jakby żałując swej chwilowej słabości, i ukazała rząd zębów, które mogłyby rywalizować z najpiękniejszą kością słoniową, a później, poprawiwszy szal, opuściła głowę i jechała w milczeniu, jak ktoś, kto myślami błądzi daleko.

## ROZDZIAŁ

## DRUGI

Sola, solą, ho ho, solą!

Szekspir

Cudy jedna z miłych istot – tak pobieżnie opisanych naszym czytelnikom – zatopiona była w myślach, druga, ta, która przed chwilą krzyknęła, szybko ochłonęła z wrażenia i śmiejąc się z własnych obaw, zapytała jadącego obok niej młodzieńca:

–Czy tego rodzaju upiory często spotyka się w puszczy, Heywardzie? A może to widowisko było przygotowane dla nas? Jeśli tak, wdzięczność nakazuje nam zamknąć usta, jeśli zaś jest to postać często spotykana w puszczy, zarówno Kora, jak i ja musimy sięgnąć po zapas wrodzonej odwagi, którą się tak szcycimy, zanim spotkamy się z groźnym Montcalmem.

–Ten Indianin jest gońcem wojskowym i zgodnie ze zwyczajami swego ludu może uchodzić za bohatera – odparł oficer. – Sam zgłosił gotowość przeprowadzenia nas do jeziora małą znaną ścieżką, niewątpliwie szybciej i o wiele przyjemniej, niż gdybyśmy postępowali za wlokącą się kolumną.

–On mi się nie podoba – odrzekła młoda kobieta wzdrygając się nie tyle z udanego, co prawdziwego strachu. – Oczywiście zna go pan, Duncanie, inaczej nie powierzyłbyś mu tak łatwo pieczy nad swą osobą.

–Proszę raczej powiedzieć, Alicjo, że nie powierzyłbym mu pieczy nad panią. Oczywiście, znam go, bo w przeciwnym wypadku nie ufałbym mu, przynajmniej w tej chwili. Mówią o nim, że pochodzi z Kanady, lecz mimo to służył naszym przyjacielom, Mohawkom, którzy, jak pani wie, są jednym z sześciu sprzymie-

rzonych narodów\*. Jak słyszałem, sprowadził go do nas jakiś dziwny przypadek, w który był zamieszany pani ojciec i w którym bardzo ostro postąpiono z tym Indianinem, jednakże te historyjki uleciały mi z pamięci; dość, że dziś jest naszym przyjacielem.

–Jeżeli był wrogiem mojego ojca, jeszcze mniej mi się podoba! – zawołała dziewczyna, tym razem naprawdę zaniepokojona. – Majorze Heyward, czy nie zechciałby pan przemówić do niego, bym usłyszała jego głos? Może się to wydaje

głupie, (ile nieraz mówiłam panu, że poznaję charakter ludzi po ich głosie.

–Daremny trud: prawdopodobnie odpowie jakimś krótkim okrzykiem. Bo choć może i zrozumie pytanie, uda, jak większość I ego rodaków, że nie zna angielskiego. Zwłaszcza teraz nie zniży się do mówienia po angielsku, kiedy uważa, iż wojna wymaga od niego wykazania największej dumy. Ale przystanął, pewnie jesteśmy blisko ukrytej ścieżki, którą mamy jechać.

Domysł majora Heywarda był słuszny. Gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie stał Indianin i wskazywał na gąszcz leśny obrzeżający drogę wojskową, dostrzegli wąską i ledwie widoczną ścieżynkę, z trudem mogącą pomieścić jedną osobę.

–A więc to jest nasza droga – półgłosem powiedział młody mężczyzna. – Proszę nie okazać najmniejszej nieufności, bo może pani wywołać niebezpieczeństwo, którego się pani obawia.

–Co o tym myślisz, Koro? – niezdecydowanie zapytała piękna kobieta. – Gdybyśmy jechały razem z wojskiem, towarzystwo to mogłoby nas znużyć, ale chyba czułybyśmy się bezpieczniej.

–Zbyt mało zna pani zwyczaje dzikich ludzi, Alicjo, i dlatego me zdajesz sobie sprawy, gdzie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo – rzekł Heyward. – Jeżeli nieprzyjaciel wszedł na wyżynę,

Przez długi czas plemiona indiańskie zamieszkujące północno-zachodnią część kolonii New York związane były sojuszem, początkowo znanym pod nazwą "Związku Pięciu Narodów". 1'óźniej do tego związku przyjęto jeszcze jedno plemię i wówczas nazwę zmieniono na „Związek Sześciu Narodów”. Początkowo związek ten tworzyły plemiona Mohawków, Oneidów, Seneków, Kdjugów i Onondagów. Szóstym członkiem związku było plemię Tuskarorów. Resztki tycn wszystkich plemion żyją jeszcze dziś (autor pisał to w roku 1825 – przyp. tłumacza) na terenie od-iliinym im do użytku przez Stany Zjednoczone, jednakże z każdym dniem jest ich coraz mniej: i/.ęściowo wymierają, częściowo przenoszą się w inne okolice, bliższe ich obyczajom. Niebawem w rejonach, od wieków zamieszkałych przez te plemiona, nie pozostanie z nich nic prócz nazw. W stanie New York są okręgi noszące imiona wszystkich tych plemion z wyjątkiem Mohawków i Tuskarorów. Druga pod względem wielkości rzeka tego stanu nazywa się Mohawk (przyp..uitora).

co moim zdaniem nie jest możliwe, albowiem nasi zwiadowcy już tam dotarli, z pewnością zjawi się tam, gdzie będzie mógł okrążyć kolumnę, w której znajdzie najwięcej skalpów. Droga, którą posuwa się oddział, jest znana, natomiast nikt nie wie, że jedziemy tędy – ścieżką, którą wybraliśmy zaledwie godzinę temu.

–Czyż mamy nie wierzyć człowiekowi tylko dlatego, że jego zwyczaje różnią się od naszych lub że ma ciemną skórę? – chłodnym tonem zapytała Kora.

Alicja już się nie wahała i mocno zaciąwszy swego narragansetta\* pierwsza odchyliła na bok cienkie gałązki krzaków i ruszyła za Indianinem mroczną i krętą ścieżyną. Młody mężczyzna z nie ukrywanym zachwytem spojrzał na Korę i począł troskliwie torować jej drogę, pozwalając jej pięknej, choć na pewno nie piękniejszej towarzysze jechać samej przed nimi. Służba, widocznie pouczona wcześniej, zamiast przedzierać się przez gęstwinę, pojechała dalej drogą obraną przez wojsko. Była to ostrożność – jak stwierdził Heyward – podjęta za radą doświadczonego przewodnika. Chodziło o to, by nie pozostawić po sobie zbyt dużo śladów, na wypadek gdyby kanadyjscy Indianie wysforowali się tak daleko przed Francuzów. Uciążliwa droga, którą teraz jechali, dość długo nie pozwalała na prowadzenie rozmów, ale później jeźdźcy wynurzyli się z szerokiego pasa krzewów zarastających skraje gościńca i wjechali pod wysokie, lecz mroczne sklepienie lasu. Tu ich ruchy były już mniej skrępowane, toteż gdy przewodnik ujrzał, że kobiety mogą swobodnie kierować końmi, ruszył naprzód krokiem pośrednim między klusem a stępem, z szybkością, która utrzymywała pewnie stąpające i niezwykle wierzchowce obu niewiast w tempie szybkiego, lecz nie męczącego truchtu. Młody mężczyzna zwrócił się właśnie ku czarnookiej Korze chcąc nawiązać rozmowę, gdy za nimi rozległ się stukot podków o korzenie krętej dróżki i skłonił

Narragansett – w stanie Rhode Island (USA) jest zatoka Narragansett. Bierze ona nazwę od potężnego plemienia Indian, które ongiś zamieszkiwało nad jej brzegami. Przypadek czy też niewytłumaczony kaprys przyrody w świecie zwierząt sprawił, iż wyhodowano tam rasę koni niegdyś znaną w Ameryce pod nazwą narragansett. Były to małe koniki, przeważnie gniadej maści, wyróżniały się zaś chodem, który polegał na tym, iż stawały dwie prawe lub dwie lewe nogi jednocześnie (inochód). Konie tej rasy były i są bardzo poszukiwane jako wierzchowce dla ich wytrwałości i lekkiego chodu, a ponieważ były bardzo pewne w nogach, chętnie dosiadały ich kobiety, gdy musiały podróżować po usianym korzeniami i wyboistym terenie „Nowego kraju” (przyp. autora).

go do wstrzymania konia. W tej samej chwili obie kobiety również ściągnęły cugle i cała kawalkada przystanęła, by dowiedzieć się, kto ich goni.

W parę chwil potem ujrzeli żrebaka mknącego niby łania między strzelistymi pniami sosen, a za nim ukazał się człowiek opisany w poprzednim rozdziale, jadący z taką szybkością, do jakiej mógł zmusić swą szkapę bez obawy, że wpadnie z nią w jawny konflikt. Aż dotąd jego osoba uszła uwagi podróżnych. Jeśli udawało mu się ściągnąć na siebie przelotne spojrzenie, gdy stojąc ukazywał całą wspaniałość swego wzrostu, jego wdzięki jako jeźdźca budziły jeszcze większe zainteresowanie. Mimo że bezustannie bódł piętą uzbrojoną w ostrogę bok kobyły, nie mógł z niej wydobyć nic ponad kanterburski galop, wykonywany tylko tylnymi nogami, w który wpadały czasami na krótko również i przednie kończyny, aczkolwiek – ogólnie biorąc – poprzestawały one na trzęsącym klusie. Ta szybka zmiana kroku mamiła wzrok, a to złudzenie jakby potęgowało siły zwierzęcia.

Ruchy jeźdźca i jego gorliwość były tak samo godne podziwu, jak gorliwość i ruchy konia. Przy każdej nowej ewolucji wierzchowca jeździec prostował swą wysoką postać w strzemionach i nienaturalnie wydłużając nogi, to gwałtownie rósł, to znów malał w oczach tak, że nie można było wyrobić sobie sądu o jego prawdziwym wzroście.

Na widok nieznanego zmarszczki, które sfałdowały piękne, otwarte i męskie czoło Heywarda, zaczęły się wygładzać, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Alicja wcale nie usiłowała ukryć rozbawienia i nawet ciemne, zadumane oczy Kory zabłysły wesołością, którą tłumiała tylko dla zachowania pozorów.

–Czy pan kogoś szuka? – zapytał Heyward, kiedy jeździec zbliżył się i wstrzymał konia. – Nie jest pan chyba zwiastunem złej nowiny?

–Oczywiście – krótko odparł obcy, wachlując się w dusznym leśnym powietrzu trójgraniastym filcowym kapeluszem i nie kwapiąc się wyjaśnić, na które z pytań odpowiada. Gdy jednak ochłodził już twarz i odsapnął, dodał: – Słyszałem, że państwo udają się do fortu William Henry. Ja też tam jadę, sądziłem przeto, że podróż w dobranym towarzystwie będzie odpowiadała obu stronom.

–Przyznaje pan sobie przywilej decydującego głosu – odparł Heyward. – Nas jest troje, a pan zasięgnął tylko własnej opinii.

–Oczywiście. Przede wszystkim trzeba wyrobić sobie własne zdanie. Gdy się już powzięło decyzję – a tam, gdzie w grę wchodzi kobiety, nie bywa to łatwe – należy ją wykonać. Tak się też stało i oto jestem.

–Jeżeli pan zmierza w kierunku jeziora, zmylił pan drogę – wyniośle odparł Heyward.  
– Droga, która tam wiedzie, została co najmniej pół mili za nami.

–Oczywiście – odrzekł obcy bynajmniej nie zrażony tym zimnym przyjęciem. – Spędziłem cały tydzień w forcie Edwarda i musiałbym być niemy, żeby się nie wypytać o drogę. Gdybym zaś był niemy, oznaczałoby to, rzecz jasna, koniec mego powołania. Ludzie mego zawodu nie powinni wchodzić w zbyt poufale stosunki z tymi, których mają nauczać, dlatego nie udałem się za armią. Poza tym uważam, że dżentelmen pańskiego pokroju może znać sztukę podróżowania. Oto dlaczego postanowiłem przyłączyć się do państwa.

–Nadzwyczaj arbitralne, jeżeli nie pochopne postanowienie – zawołał Heyward nie wiedząc, czy dać upust rosnącemu oburzeniu, czy też roześmiać się w twarz intruzowi. – Ale pan coś powiedział

0 zawodzie i nauczaniu: czy przydzielono pana do wojsk prowincjonalnych jako nauczyciela szlachetnej wiedzy ataku i obrony?

Nieznajomy przez chwilę ze zdumieniem przyglądał się pytająco; czemu. Nagle przybrał wyraz uroczystej pokory i ostatni ślad<sup>1</sup> zadowolenia z samego siebie zniknął z jego oblicza, gdy odpowiedział:

–Atak, mam nadzieję, nie nastąpił tu z żadnej strony, a o obronie nie myślę, albowiem z łaski Boga nie popełniłem żadnego ciężkiego grzechu od chwili, gdy ostatni raz błagałem Go o przebaczenie. Nauczanie zaś pozostawiam tym, których powołano

1 wyznaczono do tak świątobliwej służby. Nie mogę się pochwalić innymi talentami, ale znam nieco chwalebny sztukę błagania i dziękczynienia, którą uprawiam śpiewając psalmy.

–Ten człowiek jest najwidoczniej uczniem Apollina – zawołała rozbawiona Alicja. – Biorę go pod moją opiekę. Proszę się rozchmurzyć, Heywardzie, i przez litość dla

**moich stęsknionych uszu pozwól mu podróżować- w naszym gronie. Poza tym –  
dodała**

szybko półgłosem, rzuciwszy spojrzenie na Korę podążającą daleko przed nimi za milczącym i ponurym przewodnikiem – może być nam przyjacielem, który w razie potrzeby powiększy nasze siły.

–Czy sądzisz, Alicjo, że poprowadziłbym kochane osoby tą utajoną dróżką, gdybym myślał, że możemy potrzebować pomocy?

–Nie, nie. Wcale tak nie myślę, ale ten dziwak mnie bawi. Jeżeli istotnie "dusza jego rozbrzmiewa muzyką", nie bądźmy niegrzeczni, nie odrzucajmy jego towarzystwa.

Przekonywającym ruchem pejcza wskazała na ścieżkę. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, którą młody człowiek usiłował przedłużyć i nie ruszał się z miejsca. W końcu jednak uległ swej uroczej towarzyszce, wbił ostrogi w boki konia i w paru skokach znów znalazł się przy Korze.

–Cieszę się z naszego spotkania, mój przyjacielu – powiedziała Alicja i ruchem ręki zaprosiła nieznanego, by jechał za nią, a jednocześnie skłoniła swego narragansetta do dalszej drogi. – Moi krewni zawsze twierdzili, zresztą może stronniczo, że mam pewien talent do śpiewania duetów. Możemy więc ożywić naszą podróż oddając się pańskiemu ulubionemu zajęciu.

–Śpiewanie psalmów, zwłaszcza w stosowną porę, pokrzepia zarówno duszę, jak ciało – odparł nauczyciel śpiewu, bez namysłu przystając na zaproszenie dziewczyny, by jechał za nią – i nic też tak nie uspokaja umysłu jak kojąca harmonia tonów. Jednakże dla doskonałości melodii potrzeba czterech głosów. Pani posiada chyba silny i dźwięczny sopran. Ja, dzięki łasce niebios, mogę swym pełnym tenorem sięgnąć najwyższych nut, brak nam jednak altu i basu. Ow oficer królewski, który nie chciał przyjąć mnie do towarzystwa, mógłby śpiewać basem, jeśli ze zwykłej rozmowy można wnioskować o jego głosie.

–Niech pan nie sądzi zbyt pochopnie – śmiejąc się odparła dziewczyna – major Heyward przybiera czasem głębokie tony, ale normalny jego głos zbliża się raczej do lirycznego tenoru niż do basu, który pan słyszał.

–Czy major ma dużą praktykę w śpiewaniu psalmów? – zapytał naiwny towarzysz dziewczyny.

Alicja poczuła, że ogarnia ją wesołość, ale stłumiła śmiech i odpowiedziała:



–Obawiam się, że woli świeckie piosenki. Życie żołnierskie nie sprzyja poważniejszym upodobaniom.

–Bóg dał człowiekowi głos, jak i inne talenty po to, by ich używał, lecz nie nadużywał. Nikt nie może powiedzieć, abym zaniedbał dane mi talenty; choć od młodości poświęciłem się muzyce jak król Dawid, dziękuję Bogu, że świecka pieśń nigdy nie skalala mych warg.

–A zatem ograniczył pan swoją sztukę do pieśni kościelnych?

–Oczywiście. A że psalmy Dawida przewyższają wszystkie inne dzieła ludzkiego geniuszu, to i słowa napisane do nich przez naszych duchownych, mędrców i uczonych przewyższają całą cczą poezję świecką.

W czasie tej pochwalnej przemowy nieznajomy wydobył z kieszeni książeczkę i włożywszy na nos okulary w stalowej oprawie otwarł ją z namaszczeniem, godnym jej pobożnego przeznaczenia. Następnie przyłożył do ust tajemniczy instrument i wydobył z niego wysoki, przenikliwy dźwięk, po czym o oktawę niżej zaśpiewał pełnym, rzewnym i melodyjnym głosem, lekceważąc sobie niezgodność rytmu pieśni z niezgrabnymi ruchami swej źle ujeżdżonej szkapy.

Oto jako rzecz dobra i jako wdzięczna,

gdy bracia zgodnie mieszkają.

Jest to jako olejek najwyborniejszy

wylany na głowę, ściekający na brodę Aronową,

ściekający aż i na podolek szat jego...

Ludzie jadący o parę kroków na przedzie musieli zwrócić uwagę na to nieoczekiwane zakłócenie ciszy i spokoju lasu. Indianin wymamrotał do Heywarda kilka słów w łamanej angielszczyźnie, a ten, zwróciwszy się z kolei do nieznajomego, przerwał mu i na jakiś czas powstrzymał jego muzyczne zapędy.

–Wprawdzie nie zagraża nam niebezpieczeństwo, jednakże zwykła ostrożność każe jechać przez puszcę jak najciszej. Wybacz mi pani, Alicjo, że będę musiał zepsuć pani zabawę prosząc tego dżentelmena, by odłożył śpiew na bardziej stosowną chwilę.

–Istotnie, zepsuje mi pan zabawę – z szelmowską miną odparła dziewczyna –

**albowiem nigdy jeszcze nie słyszałam śpiewu, w którym wykonanie tak by się kłóciło z tekstem. I właśnie**

**24**

**staralam się dociec przyczyny tej rozbieżności między dźwiękiem i sensem, gdy pan, Duncanie, swym basem przerwał mi nagle**

**urocze rozmyślenia.**

**–Nie wiem, co pani nazywa moim basem – rzekł Heyward dotknięty tą uwagą – ale wiem, że bezpieczeństwo pani i Kory jest mi droższe nawet od muzyki Haendla\*.**

**Zamilkł na chwilę i szybko odwrócił głowę ku gęstwinie leśnej, a później podejrzliwie spojrzął na przewodnika, z niezmaconą powagą kroczącego na przedzie. Major uśmiechnął się pogardliwie do samego siebie, myśląc, że mu się przywidziało i że wziął jakąś połyskującą leśną jagodę za błyszczące oko skradającego się Indianina. Jechał więc dalej i podjął rozmowę, którą przerwało mu przelotne podejrzenie.**

**Jednakże pomyłka jego polegała tylko na tym, że pod wpływem młodzieńczej dumy zaniedbał czujności. Kawalkada nie zdążyła daleko odjechać, gdy rozchyliły się gałęzie krzaków i twarz ludzka o tak okrutnym wyrazie, jaki tylko sztuka dzikich i niepohamowane namiętności mogły jej nadać, wyjrzała z gęstwiny i odprowadziła wzrokiem jeźdźców. Błysk triumfu przeleciał przez pokiytą ciemnymi farbami twarz Indianina, gdy ujrzał, dokąd zdążają jego przyszłe ofiary, które niczego nie podejrzewając jechały dalej.**

**Fryderyk Haendel (1685-1759) – słynny niemiecki kompozytor i muzyk. Długi czas mieszkał w Anglii.**

## ROZDZIAŁ

## TRZECI

Dziś pług zorał pola, które przedtem Ku brzegom rzeki falowały łanem, Melodia wody wypełniała szeptem Szumiące bory, puszcze nieprzejrzone; I strumyk pluskał, i strumień się pienił, I źródła były w cienistej zieleni. \*

Bryant

Jrozwołmy nic nie podejrzewającemu Heywardowi i jego ufnym towarzyszom dalej zagłębiać się w puszcę skrywającą tak zdradliwych mieszkańców i skorzystajmy z przywileju autora, by przenieść scenę naszego opowiadania o parę mil na zachód od miejsca, gdzie po raz ostatni widzieliśmy naszych podróżnych.

Tego samego dnia dwóch mężczyzn zatrzymało się nad brzegami wąskiej i rwącej rzeki, nie dalej niż o jeden dzień drogi od obozu Webba. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy na kogoś lub na coś czekają. Przestronny strop lasu ciągnął się aż po brzeg rzeki i zwisając nad wodą, kładł głęboki cień na mroczny nurt. Promienie słońca nie paliły już tak mocno i nieznośny upał łagodniał, w miarę jak niosące ochłodę opary źródeł wstawały nad ich pokrytymi listowiem łóżyskami i orzeźwiały powietrze.

Czerwony kolor skóry i leśny ubiór jednego z tych ludzi zdradzały w nim Indianina, drugi zaś mimo prymitywnego i niemal indiańskiego stroju miał cerę jaśniejszą, choć spaloną słońcem i od dawna pociemniałą, jak przystało człowiekowi, który mógł się powołać na swe europejskie pochodzenie. Pierwszy z nich siedział na brzegu omszałej kłody, w postawie pozwalającej mu podkreślać powagę słów spokojnymi, lecz wymownymi gestami, do jakich uciekają się Indianie pochłonięci sporem. Jego ciało, prawie nagie, pokryte było przerażającym malowidłem – emblematem śmierci – wykonanym czarnymi i białymi farbami. Gładko wygoloną głowę, na której pozostał tylko dobrze znany czub wo-

jownika\*, zdobiło jedynie pojedyncze orle pióro, które przepinając włosy zwisało na lewe ramię. Za pasem miał tomahawk i angielskiego wyrobu nóż do zdzierania skalpów, a krótka wojskowa strzelba z gatunku tych, w jakie pol: i;, ka białych pozwala im uzbrajać swych dzikich sprzymierzeńców, beztriosko spoczywała\* w poprzek jego obnażonych i mocnych kolan. Szeroka pierś, muskularne ciało i powaga malujące! się na twarzy tego wojownika wskazywały, że doszedł on już do wieku dojrzałego, choć jeszcze żadne oznaki niedołęstwa nie zdawały się osłabiać jego żywotności. Biały, sądząc z kształtów nie zakrytych ubraniem, wyglądał na

kogoś, kto od najmłodszych lat poznał znoje i trudy życia. Był muskularny i raczej chudy, jednakże każdy nerw i mięsień jego ciała wydawał się mocny i zahartowany w niezliczonych trudach. Miał na sobie myśliwską koszulę\* koloru leśnej zieleni, obszytą splowiałą żółtą lamówką, a na głowie letnią czapkę z wyprawionych skór. I on miał nóż za pasem z muszelek, podobnym do tego, który zaciskał skąpy ubiór Indianina, ale nie miał tomahawka. Jaskrawe ozdoby, jak u Indian, upiększały jego mokasyny, a jedyną częścią dolnego ubrania, wyglądającą spod myśliwskiej koszuli, była para kamaszy\* ze skóry, sznurowanych po bokach i przewiązanych powyżej kolan, jelenimi ścięgna. Torba i róg z prochem uzupełniały jego osobliwy ekwipunek. Obok, oparty o bliskie drzewo, stał sztucer, wyjątkowo długa strzelba, taka, jaka – według naukowych poglądów białych, pod tym względem bardziej pomysłowych od Indian – uchodziła wówczas za najniebezpieczniejszą ze wszystkich broni palnych. Małe i bystre oczy myśliwego czy też zwiadowcy – nie wierny, kim był – nie znały spoczynku, gdy mówił, i błędziły na wszystkie strony, jakby poszukując zwierzyny lub oczekując nagłego pojawienia się przycza-

Północnoamerykańscy Indianie wy sku bywali sobie włosy, pozostawiając jedynie mały kosmyk na ciemieniu, by w razie doznania poiażki ułatwić nieprzyjacielowi zdjęcie skalpu. Skalp był jedynym dopuszczalnym trofeum. Dlatego zdobycie skalpu uważano za większe zwycięstwo niż śmierć wroga. Niektóre plemiona poczytywały sobie za zaszczyt skalpowanie poległych. Te zwyczaje prawie całkowicie zanikły wśród Indian stanów nadatlantyckich (przyp. autora).

Kosz ul a myśliwska jest luźną i malowniczą bluzą ozdobioną taśmami i frędzlami. Jest koloru ochronnego, który łudzaco przypomina barwę gąszczu leśnego. Wiele oddziałów amerykańskiej piechoty nosi podobne mundury. Koszula myśliwska bywa też biała (przyp. autora).

Kamasze – w tym wypadku wysokie cholewki bez przy szwy.

'27

jonego wroga. Mimo tych oznak zwykłej podejrzliwości w jego twarzy nie było nic chytrego, a w chwili, gdy zawieramy z nim znajomość, miała wyraz szczery i zacny.

– Tymczasem nawet wasze podania przemawiają na moją korzyść, Chingachgook – powiedział w języku znanym wszystkim Indianom, którzy dawniej zamieszkiwali ziemie leżące pomiędzy Hudsonem i Potomakiem. Wasi ojcowie przyszli z zachodu słońca, przeprawili się przez wielką rzekę\*, zwyciężyli ludzi mieszkających w tym kraju i objęli go w posiadanie. Moi zaś przodkowie przybyli od zorzy wczesnego ranka, poprzez słone jezioro, i dokonali swego dzieła idąc za przykładem waszych ojców. Niechaj Bóg rozsądzi to między nimi, a przyjaciele niech nie tracą słów na próżno!

–Moi ojcowie walczyli z czerwonoskórymi, którzy byli uzbrojeni tak. samo jak oni! – surowo odparł Indianin w tym samym języku. – Powiedz, Sokole Oko, czy nie ma żadnej różnicy między strzałą z kamiennym ostrzem, używaną przez wojownika, a ołowianą kulą, którą wy zabijacie?

–Indianin nie jest pozbawiony rozumu, mimo że natura dała mu czerwoną skórę – rzekł biały kiwając głową jak ktoś, kto lubi, gdy inni odwołują się do jego poczucia sprawiedliwości. Przez chwilę wydawało się, iż rozumiał, jak słabe są jego argumenty, ale skupiwszy się, znowu odparł na zarzuty przeciwnika najlepiej jak umiał. – Nie jestem uczony i wcale się z tym nie kryję, lecz sądzę z tego, co widziałem podczas łowów tych młodych frantów na jelenie lub ich polowań na wiewiórki, myślę, że strzelba w rękach ich dziadów była mniej niebezpieczna niż hikorowy\* łuk napięty z indiańską rozważą i krzemienny grot strzały wypuszczonej z celnością indiańskiego oka.

–Tę bajkę, Sokole Oko, opowiedzieli wam wasi ojcowie – odparł Indianin, obojętnie machnąwszy ręką. – Cóż mówią wasi starcy? Czy mówią młodym wojownikom, że blade twarze spotkały czerwonoskórych już pomalowanych na modłę wojenną i uzbrojonych w kamienne topory i drewniane łuki?

Wielka rzeka – Missisipi. Zwiadowca napomyka o legendzie szeroko rozpowszechnionej wśród plemion mieszkających w stanach nadatlantyckich. Legenda ta miałaby świadczyć o azjatyckim pochodzeniu tych plemion, jednakże mgła niepewności okrywa całą historię Indian (przyp. autora).

H i k o r a – rodzaj drzewa orzechowego rosnącego w Ameryce.

–Nie kieruję się przesądami ani też nie szcycę się swoimi naturalnymi przywilejami, choć najgorszy wróg, jakiego posiadam na ziemi, a. jest nim pewien Irokez\*, nie ośmieli się zaprzeczyć, że jestem czystej krwi białym – odparł myśliwy, z ukrytym zadowoleniem przyglądając się blademu kolorowi swej kościstej i muskularnej ręki. – Gotów jestem jednak przyznać, że mój naród używa czasem sposobów, których – jako człowiek uczciwy – nie pochwalam. Ale zawsze należy wysłuchać obu stron, pytam więc, Chingachgook, co wedle podań czerwonoskórych zaszło, gdy nasi ojcowie spotkali się po raz pierwszy?

Zapadła cisza. Indianin siedział w milczeniu, a po chwili, przejęty swą rolą, rozpoczął opowieść tonem uroczystym, który potwierdzał prawdziwość jego słów.

–Posłuchaj, Sokole Oko, a twoje ucho nie usłyszy najmniejszego kłamstwa. Oto co opowiedzieli moi ojcowie i co zrobili Mohikanie. – Zawahał się na mgnienie oka i rzuciwszy na swego towarzysza badawcze spojrzenie ciągnął dalej w sposób pośredni między pytaniem i twierdzeniem: – Czy rzeka płynąca u naszych stóp nie zdąży na południe, aż jej wody staną się słone, a nurt pobiegnie w górę?

**–Nie można zaprzeczyć, że wasze podania mówią prawdę w tych obu wypadkach – rzekł biały. – Byłem tam i widziałem to, aczkolwiek nigdy nie mogłem pojąć, czemu woda tak słodka w cieniu, staje się gorzkawa w słońcu.**

**–A nurt? – zapytał Indianin. – Ojcowie Chingachgooka nie kłamali.**

**–Nawet Pismo Święte nie głosi większej prawdy, a to jest przecież najprawdziwsza prawda na ziemi. Ten nurt idący w górę rzeki nazywa się przyplływem. Zjawisko to łatwo da się wytłumaczyć. Przez sześć godzin woda napływa i przez sześć godzin odpływa, a powód jest taki: kiedy woda w morzu sięga wyżej niż w rzece, wtedy wpływa ona do rzeki dopóty, dopóki nie sięgnie wyżej niż woda w morzu; wtedy znów wypływa.**

**Indianin, którego być może wcale nie zadowolili rozważania to-**

**I r o k e z i – grupa językowa Indian Ameryki Północnej zamieszkała w okolicach jezior Erie i Ontario. Grupa ta obejmowała sześć szczepów bardzo wojowniczych. Resztki Irokezów żyją do dziś w stanie New York i w Kanadzie.**

warzysza, miał zbyt dużo godności, by zdradzić niewiarę, słuchał więc jak człowiek, którego przekonano, i po chwili począł opowiadać dalej, równie uroczystym tonem.

–Przywędrowaliśmy z miejsca, gdzie słońce ukrywa się na noc, poprzez rozległe równiny, na których żyją bawoły. Szliśmy tak długo, aż dotarliśmy do wielkiej rzeki. Tam walczyliśmy z plemieniem Alligewi dopóty, dopóki ziemia nie zaczerwieniła się od ich krwi. Od brzegów wielkiej rzeki aż po brzegi słonego jeziora nie było nikogo, kto mógłby stawić nam czoło. Makaowie ciągnęli w oddali za nami. Powiedzieliśmy, że kraj musi należeć do nas od miejsca, gdzie woda w tej rzece nie płynie już w górę, aż do rzeki odległej o dwadzieścia wędrówek słońca w tym kierunku, gdzie panuje lato. Kraj, który zdobyliśmy jak wojownicy, dzierżyliśmy jak mężczyźni. Makaów przepędziliśmy w głąb puszczy do niedźwiedzi.

–Wszystko to już słyszałem i wierzę temu – odezwał się biały, gdy Indianin zamilkł. – Ale było to na długo przed przybyciem Anglików do tego kraju.

–Wówczas sosna stała tam, gdzie dziś rośnie kasztan. Pierwsze blade twarze, które zjawyły się wśród nas, nie mówiły po angielsku. Przybyły one w wielkiej łodzi, kiedy moi ojcowie i czterwono-skórzy żyjący obok nich zakopali tomahawk. Wtedy to, Sokole Oko – ciągnął dalej Indianin zdradzając głębokie podniecenie jedynie znizeniem głosu do niskich, gardłowych tonów, które

czyniły go melodyjnym...- wtedy to, Sokole Oko, tworzyliśmy jeden

naród i byliśmy bardzo szczęśliwi. Słone jezioro dawało nam swe ryby, las swoją zwierzynę, powietrze swe ptaki. Braliśmy sobie żony, które rodziły nam dzieci. Czciłiśmy Wielkiego Ducha, a Makaowie musieli trzymać się tak daleko od nas, by nawet nie słyszeć naszych triumfalnych pieśni!

–Czy wiesz coś o swym własnym rodzie z owych czasów? – zapytał biały. – Jak na Indianina jesteś niezwyklej prawości! Przypuszczam, że odziedzyczyłeś cechy swego rodu. Twoi ojcowie musieli być dzielnymi wojownikami i mądrymi ludźmi na radach zbierających się przy ognisku.

–Moje plemię jest praojcem narodów, a we mnie płynie czysta krew. Krew wodzów płynie w moich żyłach i na zawsze w nich pozostanie. Holendrzy wylądowali tu i dali memu narodowi

wodę ognistą. Ludzie pili ją, dopóki im się nie wydało, że niebo i ziemia spotkały się, i póki nie ogarnęła ich szaleńcza myśl, że odnaleźli Wielkiego Ducha. Wówczas naród mój musiał się rozstać ze swoim krajem. Krok za krokiem wróg odpychał nas od brzegów, aż wreszcie doszło do tego, że ja, wódz i głowa mego plemienia, widzę światło słoneczne tylko poprzez gałęzie drzew, i nigdy nie byłem na grobach mych ojców.

–Groby pobudzają nasz umysł do podniosłych myśli – odrzekł zwiadowca, do głębi wzruszony cichym cierpieniem swego towarzysza – i często pomagają człowiekowi w jego dobrych zamiarach, obawiam się jednak, że moje kości nie spoczną w grobie i że zbieleją w lasach albo rozciągną je wilki. Ale gdzież są ci z twego rodu, którzy tyle wiosen temu przybyli do swych krewnych w kraju Delawarów? – ^S-^"

–Gdzież są kwiaty tamtych wiosen! Opadły jeden po drugim, odeszli wszyscy z mego rodu, jeden po drugim, do krainy duchów. Teraz stoję na szczycie góry, ale muszę zejść w dolinę. A kiedy Unkas podąży w moje ślady, nie pozostanie nikt z rodu wodzów, albowiem mój syn jest ostatnim z Mohikanów.

–Unkas jest tu – rozległ się tuż przy nim głos o takim samym miękkim, gardłowym brzmieniu. – Kto mówi o Unkasie?

Biały szybko dobył noża ze skórzanej pochwy i bezwiednie sięgnął po sztucer. Indianin, choć głos ten usłyszał tak nagle, siedział spokojnie i nawet nie odwrócił głowy.

W chwilę potem młody wojownik bezszelestnie przesunął się między białym a Indianinem i siadł na brzegu. rwącej rzeki. Chingachgook nie okazał najmniejszego zdziwienia. Minęła długa chwila, a żadne pytanie ani żadna odpowiedź nie padła z ust Indian. Ojciec i syn widocznie czekali, aż będą mogli odezwać się bez obawy zdradzenia kobiecej ciekawości lub niecierpliwości dziecka. Biały widocznie przejął ich zwyczaj, gdyż odłożywszy sztucer milczał i czekał cierpliwie. Wreszcie Chingachgook wolno zwrócił spojrzenie na syna i zapytał:

–Czyżby Makaowie ośmielili się zostawić ślady swych mokasynów w tych lasach?

–Szedłem ich śladem – odparł młody Indianin – i wiem, że jest ich tylu, ile palców u obu rąk. Jak tchórze leżą teraz w ukryciu.

–Złodzieje, wyruszyli na poszukiwanie skalpów i łupu! – rzekł biały, którego za przykładem jego towarzyszy będziemy nazywać Sokolim Okiem. – Ten przedsiębiorczy Francuz, Montcalm, naśle szpiegów w sam środek naszego obozu i dowie się, jaką drogą poszliśmy.



**–Dość! – powstrzymał go stary Indianin rzuciwszy przelotne spojrzenie na zachodzące słońce. – Wypłoszymy ich z krzaków jak jelenie. Posilmy się teraz, Sokole Oko, jutro pokażemy Ma-kaom, że jesteśmy mężczyznami.**

**–Gotów jestem zrobić jedno i drugie, jednakże aby pobić Irokezów, trzeba najpierw odnaleźć ich kryjówki; ażeby zjeść,**

**'trzeba zdobyć zwierzynę. O wilku mowa, a wilk tuż. Widzę tam w krzakach u podnóża pagórka poruszającą się największą parę jelenich rogów, jakie w tym roku zdarzyło mi się widzieć!**

**Zmierzył ze sztucera i o mały włos nie dał dowodu zręczności, którą się tak szczycił, gdy stary wojownik podbił broń ręką mówiąc:**

**–Sokole Oko, czy chcesz walczyć z Makaami?**

**–Ci Indianie instynktem wyczuwają duszę puszczy! – rzekł myśliwy, opuszczając sztucer i odwracając się od zwierzyny z miną człowieka przekonanego o swej pomyłce. – Muszę pozostawić jelenia twej strzale, Unkasie, bo istotnie mogliśmy go zabić dla tych złodziei Irokezów.**

**Ledwie ojciec zdążył potwierdzić tę uwagę wymownym ruchem ręki, gdy Unkas padł na ziemię i ostrożnie począł czołgać się do zwierzęcia. Na parę jardów przed kryjówką jelenia bardzo starannie napiął łuk. Tymczasem rogi zwierzęcia poruszyły się niespokojnie, tak jakby zwęszyło ono wroga w powietrzu skażonym obcym zapachem. Ale w tej chwili rozległ się ostry brzęk cięciwy, biała smuga przeszyła krzaki i zraniony kozioł wynurzył się z ukrycia tuż u nóg swego zaczajonego wroga. Unikając rogów rozjuszonego zwierzęcia Unkas błyskawicznym ruchem przypadł do jego boku i nożem przebił mu gardło. Jeleń skoczył ku rzece i padł na brzegu barwiąc wodę własną krwią.**

**–Zrobiłeś to z iście indiańską zręcznością – rzekł myśliwy śmiejąc się z cicha, wielce zadowolony. – Było na co popatrzeć! Jednakże strzała to broń na krótką odległość i wymaga noża dla zakończenia dzieła.**

–Hugh! – krzyknął jego towarzysz odwracając się szybko jak pies, który zwietrzył zwierzynę.

–Na Boga, tam jest ich całe stado! – zawołał zwiadowca, a jego oczy zabłyśły zapalem rozmiłowanego w swym zawodzie myśliwego. – Jeśli się zbliżą na odległość strzału, powalę jednego, choćby nawet wszystkie Sześć Plemion czało się w pobliżu. Co tam słyszysz, Chingachgook? Bo dla moich uszu puszcza jest niema.

–Tam jest tylko jeden jelen, i to martwy – odparł Indianin i pochylił się tak nisko, że uchem niemal dotknął ziemi. – Słyszę odgłos kroków!

–Może to wilki zapędziły kozła w tę kryjówkę i teraz idą po jego tropie.

–Nie, to zbliżają się konie białych ludzi! – odparł Indianin prostując się z godnością i z niezmaconym spokojem siadając na kłodzie. – Sokole Oko, to są twoi bracia, powitaj ich.

–Zrobię to – rzekł myśliwy. – Jednakże ani nie widzę nikogo, ani nie słyszę odgłosów zbliżania się ludzi czy zwierząt. Ha! I do mnie doleciało coś jakby trzask suchej gałęzi, teraz słyszę, jak ruszają się krzaki. A oto nadjeżdżają biali we własnych osobach. Boże, strzeż ich przed Irokezami!

## ROZDZIAŁ

### CZWARTY

Ulż. sw<oi'>|>!>i>k<>, llK"/. i iii' wyjdiesz z lasu, Aż. mc; ni.– |K)iii"/.(/(, miklzc za zniewagę.

#### Sen nocy letniej

Zwiadowca nie zdążył jeszcze skończyć, gdy spoza ih/cw wynurzył się człowiek jadący ria czole Kr"by owSb, klóieł zbliżanie się usłyszał czujny Indianin. Udeptana s(lezynkrt, |>dn<i / . tych, jakie przeciera zwierzyna w czasie okresowych <l"j>ów, wtl.i sie w pobliżu, przecinając małą, wąską dolim; i wchodząc d<> "zt\*ki w tym miejscu, gdzie zatrzymał się zwiadu wen wrn/ zi" iiwynii czciwono-skórymi towarzyszami. Tą ścieżynk.i leciwi! Irro/, podió/.m, którzy stanowili tak niezwykle widok w ylt;hi \n ty. Wolno zbliżali się ku myśliwemu, który stał przed swymi zymlcn/.WK.mu i najwidoczniej gotów był powitać n.n|e/,dz<i| • It

–Kto jedzie? – zapytał, im <|>nłym i<Mn <"|>lt\*rniki<s/tucer na lewym przedramieniu i ktcni,|c wttknz ; y |"-il"-t- pi.iwej ręki na cynglu. Jednakże potrafił pi/y tym i <i>i mc

n.iwet pozoru pogróżki. – Kto tu zmieiz.i mli; <l/y <Ulki.vli"i/<;i,i i niebezpieczeństwa nieprzebytej puszczy?

–Chrześcijanie, stronnicy krolrt l prawa,uirl i.nk"y na czele. – Ludzie, którzy od wschodu "l"ih<.c lm mii oczną puszczą nic jeszcze nie jedli i s,| śini<rk'liik- i p<>di/,<(.

–A zatem zabłądziliście pizoiwal mu ; y.

–Tak jest. Niemowlę nie \<-A lnk #lnn" ikt"kk| Hi.unk i, jak my na łaskę przewodnika. <7\ nu\* wic |win k ilnl^k.' -.i.|d do fortu William Henry?

–Do licha! – zawołał /.wi.klow<" nir m"> pnw.ti/vmac głośnego śmiechu, ale natychmi.iM op"mi"}l"l > \*iiii.ł.m; już ciszej, bez obawy, że usłyszą m> </.n|q<y mą v"i wic ' zło-

vi(iku, William Henry! Jeżeli jesteście przyjaciółmi króla i macie oś wspólnego z armią, najlepiej zrobicie, gdy pojedziecie w dół /eki do fortu Edwarda i przedstawicie swą sprawę Webbowi, i, tory siedzi tam spokojnie zamiast przejść wąwozy i przepędzić uchwalego Francuza za Champlain, do jego legowiska.

Zanim obcy zdążył odpowiedzieć na tę niespodziewaną uwagę, nny jeździec gwałtownie rozsunał krzaki i wspiąwszy konia wy-koczył na ścieżkę przed swego towarzysza.

–Więc jak daleko jesteście od fortu Edwarda? – zapytał nowo przybyły. – Miejsce, którego radzi pan nam szukać, opuściliśmy dziś rano, a zdążamy w górę jeziora.

–A więc musieliście oślepnąć, skoro zmyliliście drogę, bo gościniec poprzez wyżynę wycięty jest na szerokość dobrych trzydziestu stóp i jak sobie wyobrażam, jest tak szeroki jak każda droga wiodąca do Londynu, a może nawet przed sam pałac króla.

\_\_ Nie dyskutujmy nad wyższością tej czy innej drogi – uśmiechając się odrzekł Heyward, albowiem był to on, jak czytelnik zapewne się domyślił. – Faktem jest, że uwierzyliśmy Indianinowi – przewodnikowi, iż prowadzi nas bliższą, choć nikłą ścieżką, i że zawiedliśmy się na nim. Krótko mówiąc, nie wiemy, gdzie jesteśmy.

\_\_ Indianin, który zabłądził w lesie |- rzekł zwiadowca, z powątpiewaniem kiwając głową. – Dziwne, że Indianin mógł zabłądzić między Horicanem a kolanem rzeki. Czy jest on Mo-hawkiem?

–Nie z urodzenia, adoptowali go jednak. Sądzę, że urodził się nieco dalej na północ. Jest jednym z tych, których nazywacie Huronami\*.

\_\_ Hugh! – wykrzyknęli dwaj towarzysze myśliwego, którzy

aż do tej chwili siedzieli nieruchomo, pozornie zupełnie obojętni na wszystko, co się działo. Teraz zerwali się na równe nogi żywo i z zaciekawieniem, które najwidoczniej tylko dzięki zaskoczeniu wzięło górę nad ich zwykłą powściągliwością.

–Huron – powtórzył dzielny zwiadowca i ponownie potrząsnął głową, tym razem z jawną nieufnością. – To złodziejskie plemię i mało mnie obchodzi, kto przygarnął waszego przewodnika.

H u r o n i – szczep spokrewniony z Irokezami, zamieszkujący brzegi jezior Ontario i Huron oraz Rzeki Św. Wawrzyńca. Walczyli z Delawarami, byli sojusznikami

**Francuzów.**

Z nich nigdy nic nie będzie prócz tchórzów i włóczęgów. Jeśli zaufaliście opiece jednego członka plemienia, to dziwię się tylko, że nie wpadliście na całą ich szajkę.

–Niebezpieczeństwo nie było wielkie, bo fort William Henry leży zaledwie o parę mil przed nami. Poza tym zapomina pan, że ten przewodnik jest teraz Mohawkiem i że służy w armii jako nasz przyjaciel.

–A ja panu mówię, że jeśli urodził się Mingiem\*, to i umrze Mingiem – odparł myśliwy pewnym siebie głosem. – Mohawk! Nie, jeśli chodzi o uczciwość, dajcie mi Delawara lub Mohikanina. I nie szukajcie wojowników gdzie indziej, tylko wśród Delawarów lub Mohikanów!

–Dość już o tym – rzekł niecierpliwie Heyward. – Nie chcę dowiadywać się niczego o charakterze człowieka, którego znam i o którym pan nic nie wie. Nie odpowiedział mi pan jeszcze na moje pytanie: jak daleko mamy do głównych sił stojących w forcie Edwarda?

–Sądzę, że to zależy od tego, kto jest waszym przewodnikiem. Wydaje się też, że od wschodu słońca do zachodu taki koń jak ten zdołał przebyć pokaźny szmat drogi.

–Zdaje mi się, przyjacielu, że przelewamy z pustego w próżne – rzekł Heyward opanowując odruch zniecierpliwienia i mówiąc bardziej uprzejmym tonem. – Jeżeli powie mi pan, jak daleko jest do fortu Edwarda, i zaprowadzi mnie tam, pański trud będzie nagrodzony.

–A gdy tak zrobię, skąd będę wiedział, że nie wskazałem drogi do naszego fortu wrogowi i szpiegowi Montcalma? Nie każdy, kto mówi po angielsku, jest uczciwym obywatelem angielskim.

–Jeżeli służy pan w wojsku, w którym, jak sądzę, jest pan zwiadowcą, to musiał pan słyszeć o sześćdziesiątym pułku królewskim.

–Sześćdziesiątym! Niewiele rzeczy mógłby mi pan powiedzieć o Amerykańskim Pułku Strzelców Królewskich, których bym nie widział, mimo że noszę myśliwski strój zamiast szkarłatnej kurtki.

–No dobrze. Wobec tego musi pan znać nazwisko majora tego pułku?

–Major pułku – przerwał myśliwy prostując się jak człowiek

M i n g o – pogardliwa nazwa nadawana Huronom przez ich wrogów.

**dumny z zaufania, którym go darzą. – Jeżeli w tym kraju jest ktoś, kto zna majora Effinghama, to człowiek ten stoi przed panem.**

**–Pułk ten ma wielu majorów; dżentelmen, którego nazwisko pan wymienił, jest najstarszy z nich, ale ja mówię o najmłodszym,**

**o tym, który dowodzi kompaniami należącymi do garnizonu fortu William Henry.**

**–Tak, tak, słyszałem, że pewien młody, bardzo bogaty dżentelmen z prowincji It  
żącej daleko na południe otrzymał tę nominację. Jest grubo "za młody jak na taką  
rangę. Jednakże słyszałem, że zna się na wojaczce i że jest dzielnym człowiekiem.**

**–Mniejsza o to, kim jest albo czy ma kwalifikacje odpowiadające jego stopniowi,  
dość że teraz mówi do pana i na pewno nie jest wrogiem, którego należałoby się  
obawiać.**

**Zaskoczony myśliwy uważnie spojrzął na Heywarda, a później, unosząc czapki,  
odpowiedział już nie tak poufałym tonem, ciągle jednak z nutką nieufności.**

**–Słyszałem, że jeden oddział opuścił obóz tego ranka i udał się nad brzeg jeziora.**

**–Słyszał pan prawdę, jednakże wolałem wybrać krótszą drogę ufając Indianinowi, o  
którym już wspominałem.**

**–A on zwiódł pana i uciekł?**

**–Ani jedno, ani drugie, jak sędzę. A na pewno nie to ostatnie, bo może go pan  
znaleźć na końcu naszej kawalkady.**

**–Chciałbym spojrzeć na tego człowieka: jeżeli jest prawdziwym Irokezem,  
rozpoznam go po łotrowskim spojrzeniu i po malowidle pokrywającym jego ciało –  
powiedział zwiadowca mijając Heywarda i wchodząc na ścieżkę tuż za kobyłą  
psalmisty, której żredek skorzystał z postoju, by zażądać od niej matczynej dani.  
Gdy zwiadowca rozsunał krzaki i zrobił jeszcze parę kroków, napotkał obie kobiety,  
które trapione złymi przecuciami z niepokojem czekały na wynik rozmowy. Za nimi,  
oparty o drzewo, stał przewodnik, który bez zmrużenia oka wytrzymał badawcze  
spojrzenie myśliwego, choć patrzył tak ponuro i dziko, że mógł swym wzrokiem  
wzbudzić przerażenie. Zwiadowca zadowolony z przeprowadzonego badania, wrócił  
do Heywarda.**

**–Mingo jest i pozostanie Mingiem, bo Bóg go takim stworzył,**

**ani ani Mohawkowie, ani żadne inne plemię nie zdoła go zmienić –**

powiedział siadając na dawnym miejscu. – Gdybyśmy byli sami i gdyby pan zostawił dziś w nocy to szlachetne zwierzę wilkom na pastwę, mógłbym przeprowadzić pana do fortu Edwarda w ciągu godziny, leży on bowiem co najwyżej o godzinę drogi stąd. Jednakże z paniami, które panu towarzyszą, to nie jest możliwe.

–Czemu to? Są wprawdzie zmęczone, jednakże mogą jeszcze przejechać parę mil.

–To jest po prostu niemożliwe – powtórzył zwiadowca. – Po zapadnięciu nocy nie przeszedłbym jednej mili przez puszcę z tym Indianinem, i to nawet za cenę najlepszej strzelby, jaka jest w tych koloniach. Lasy roją się od myszkujących Irokezów, a pański Mohawk-mieszaniec aż za dobrze wie, gdzie ich znaleźć, bym go sobie obrał za towarzysza.

–Tak pan sądzi? – zapytał Heyward pochylając się w siodle i zniżając głos niemal do szeptu: – Przyznaję, że i ja go podejrzewałem, aczkolwiek ze względu na moje towarzyski usiłowałem to ukryć. Toteż powodowany nieufnością nie jadę już za nim, lecz kazałem mu, jak pan widzi, iść z tyłu.

–Z pierwszego wejrzenia poznałem, że jest jednym z tych łajdaków – odparł zwiadowca i jakby instynktownie podniósł w górę lufę swego sztucera.

–Stać! – powstrzymał go Heyward. – Tak nie można, musimy obmyślić jakiś inny sposób. Choć istotnie mam poważne powody, by przypuszczać, że ten łotr mnie oszukał.

Myśliwy, który poniechał już zamiaru postrzelenia gońca, zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął ręką na swych czerwono-skórych towarzyszy. Gdy podeszli do niego, poczęli naradzać się we trójkę.

Mówili po cichu i z wielką powagą w narzeczu Delawarów, a z gestów myśliwego, który często wskazywał na wierzchołek młodego drzewa, wynikało, że określa on pozycję ich skrytego wroga. Czerwonoskórzy szybko zrozumieli, czego chce ich przyjaciel. Odłożywszy broń palną rozdzielili się, zeszli na bok i cicho zanurzyli się w gęstwinie leśnej.

–A teraz niech pan wróci – powiedział myśliwy, znów zwracając się do Heywarda – i zabawi rozmową tego wcielonego diabła. Nasi Mohikanie zdołają go pochwycić nie uszkadzając nawet malowidła na jego ciele.

6 – Nie – dumnie odparł Heyward. – Ja sam go złapię.



**: – Tss! Cóż pan zdoła konno przeciw Indianinowi stojącemu**

**w krzakach?**

**–Zsiądę z konia.**

**–Myśli pan, że gdy zobaczy, iż wyjął pan jedną nogę ze strzemienia, zaczeka, aż druga będzie wolna? Każdy, kto w puszczy ma do czynienia z Indianami, musi stosować ich sposoby, inaczej nic nie zdoła.**

**Heyward, aczkolwiek brzydził się rolą, którą miał odegrać, skłaniał się do ustępstw, bo z każdą minutą coraz wyraźniej widział, dokąd doprowadziła go bezgraniczna łatwowierność.**

**Słońce już zaszło i puszcza, nagle pozbawiona światła\*, szybko pograżyła się w mroku, który wyraźnie przypominał mu, że nadchodzi ulubiona przez dzikich godzina, kiedy zwykli dokonywać czynów barbarzyńskich i bezlitosnej zemsty lub atakować wrogów. Naglony obawami opuścił myśliwego, wspiął konia, a po chwili znów ściągnął cugle, gdyż znalazł się o parę jardów od miejsca, gdzie oparty o drzewo stał ponury goniec.**

**–Magua, chyba widzisz – powiedział usiłując przybrać naturalną i ufną minę – że noc zapada, a my jesteśmy równie daleko od fortu William Henry, jak o wschodzie słońca, gdy opuszczaliśmy obóz Webba. Zmyliłeś drogę, a i mnie nie powiodło się lepiej. Na szczęście spotkaliśmy myśliwego, który, jak słyszysz, rozmawia z psalmistą i który zna ścieżki zwierząt i dróżki leśne. Obiecuje zaprowadzić nas do miejsca, gdzie możemy bezpiecznie wypocząć przez noc.**

**Indianin wbił pałające ogniem oczy w Heywarda i zapytał swą łamaną angielszczyzną:**

**–Czy on jest sam?**

**–Tak, sam – z wahaniem odparł Heyward, dla którego kłamstwo było rzeczą zbyt jeszcze nową, by je uprawiać bez zakłopotania. – O! nie sam, z pewnością nie, Magua, bo wiesz przecież, że my jesteśmy z nim.**

**–W takim razie Le Renard Subtil\* odejdzie – odparł goniec,**

**Sceną tej opowieści jest kraj leżący pod 42° szerokości, gdzie zmrok nigdy nie trwa długo (przyp. autora).**

**te Renard Subtil (franc.) – Przebiegły Lis.**

spokojnie podnosząc sakwę leżącą u jego stóp – a blade twarze będą widziały koło siebie tylko ludzi ich koloru.

–Odejdzie? Kogo nazywasz Przebiegłym Lisem?

–Tak nazwali Maguę jego kanadyjscy ojcowie – odparł Indianin, najwidoczniej dumny z tego wyróżnienia. – Dla Przebiegłego Lisa, gdy Munro na niego czeka, noc nie różni się od dnia.

–A co powie Lis komendantowi fortu William Henry? Czy ośmieli się powiedzieć zapalczywemu Szkotowi, że pozostawił jego dzieci bez przewodnika, choć sam podjął się tej roli?

–Siwa Głowa ma donośny głos i długie ramię, ale w puszczy Lis go nie usłyszy ani nie poczuje jego ramienia.

–Lecz co powiedzą Mohawkowie? Chyba uszyją mu spódnicę i każą zostać wraz z kobietami w wigwamie, bo nikt mu już nie zaufa w męskich sprawach.

–Przebiegły Lis zna drogę do wielkich jezior i potrafi odnaleźć kości swych ojców – odparł niewzruszony Indianin.

–Dość, Magua! – rzekł Heyward. – Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi? Po co te gorzkie słowa między nami? Munro obiecał ci nagrodę za twoje usługi, a i ja dam ci podarunek, gdy je wyświadczysz. Pozwól więc wypocząć swym zmęczonym członkom, rozwiąż sakwę i posil się. Mamy tylko parę chwil wolnych, nie traćmy ich na zbędne swary, godne kobiet. Gdy panie się posilą, ruszymy dalej.

–Blade twarze są psami białych kobiet – mruknął Indianin w swym ojczystym języku. – Gdy kobiety chcą jeść, biali wojownicy odkładają na bok tomahawk, byle wygodnie ich lenistwu.

–Co mówi Lis?

–Przebiegły Lis mówi, że dobrze.

Indianin nie odrywał przenikliwego wzroku od szczerej twarzy Heywarda, ale spotkawszy jego spojrzenie, szybko odwrócił oczy, wygodnie usadowił się na ziemi, wydobył resztki posiłku i zanim zaczął jeść, rozejrzał się wkoło.

–Tak, to rozumiem – ciągnął Heyward – teraz Lis będzie miał siłę i ostrość wzroku,

by rano znaleźć ścieżkę. – Umilkł na chwilę, usłyszał bowiem w pobliskich krzakach jakby trzask suchej gałęzi i szelest liści. Natychmiast jednak opanował się i mówił dalej: – Musimy wyruszyć, zanim słońce się pokaże,

bo inaczej Montcalm może zastąpić nam drogę i odciąć nas od fortu.

Ręka Indianina wzniesiona do ust opadła wzdłuż boku i mimo że oczy nadal nieruchomo wpatrywały się w ziemię, odwrócił głowę. Nozdrza miał rozdęte, a uszy wydawały się bardziej nastawione niż zawsze, co nadawało mu wygląd rzeźby wyobrażającej

baczną uwagę.

Heyward, czujnym okiem obserwując jego ruchy, niedbale wyswobodził jedną nogę ze strzemienia i jednocześnie przysunął rękę ku niedźwiedziej skórze pokrywającej olstra\*.

Daremnie starał się zorientować, na co patrzy Indianin, bo choć jego rozbiegane oczy nawet na chwilę nie spoczęły na jednym miejscu, ruch ich był ledwie widoczny. Gdy więc major namyślał się, co począc, Przebiegły Lis ostrożnie i wolno wstał, przy czym ruch ten nie wywołał nawet najmniejszego szmeru. Teraz Heyward zrozumiał, że nadszedł czas działania. Ufny w swe siły, przełożył nogę przez siodło i zeskoczył z konia chcąc rzucić się naprzód i pochwycić zdrajcę. Ale by nie budzić przedwczesnego podejrzenia, ciągle jeszcze zachowywał przyjacielski i spokojny wyraz

twarzy.

–Przebiegły Lis nie je – powiedział używając nazwiska, które jak uważał, najbardziej schlebiało próżności Indianina. – Jego placek jest zbyt wypieczony i wygląda na suchy. Zobaczę, może znajdzie się coś smaczniejszego w moich zapasach.

Magua wyciągnął przed siebie sakwę podając ją majorowi. Pozwolił nawet na zetknięcie się rąk nie zdradzając przy tym najmniejszego niepokoju, ale i nie osłabiając czujności. Lecz gdy poczuł, że palce Heywarda lekko przesunęły się wzdłuż jego obnażonego ramienia, podbił rękę młodego człowieka i wydawszy przeszywający okrzyk, jak błyskawica przemknął pod nią, by jednym susem wpaść w gęstwinę. Niemal w tej samej chwili wyłonił się z krzaków Chingachgook, w swym malowidle podobny do upiora, i prześliznął się ścieżką w szybkiej pogoni za zbiegiem. Potem rozległ się donośny okrzyk Unkasa, a w chwilę później las zajaśniał nagłym błyskiem, któremu towarzyszył donośny huk wystrzału ze strzelby myśliwego.

**t r o – skórzany futerał na pistolety umocowany na przodzie siodła.**

## ROZDZIAŁ

A T Y

**••W taką noc****Lękliwa Tyzbe, stąpając po rosie,****Wprzód cień ujrzała lwa – a potem zwierzę.****Kupiec wenecki**

**Raptowna ucieczka przewodnika i dzikie okrzyki goniących go Indian na parę chwil przykuły do miejsca zaskoczonego tymi wypadkami Heywarda. Ale po chwili, zdając sobie sprawę że trzeba koniecznie ująć zbiega, gwałtownym ruchem rozsunał otaczające go krzaki i również rzucił się w pościg. Nie zdążył jednak przebiec stu jardów, gdy spotkał trzech mieszkańców puszczy, wracających z bezskutecznej pogoni.**

**–Czemuście już dali za wygraną?! – zawołał. – Nicpoń musiał się ukryć gdzieś za tymi drzewami i jeszcze można go pochwycić. Dopóki jest wolny, nie możemy być pewni życia!**

**–Czy wysłałby pan chmurę w pościg za wiatrem? – zapytał zawiedziony w nadziejach myśliwy. – Słyszałem, jak ten leśny diabeł prześliznął się po suchym listowiu niby czarny wąż do strzegłem go jeszcze raz na mgnienie oka za ową wysoką mdłą i strzeliłem, jak to się mówi, z przyrzutu, ale nic z tego! A prze cież gdyby kto inny pociągnął za cyngiel, to powiedziałbym że wzrok i cel ma szybki. Możecie mi wierzyć, że mam doświadczenie w podobnych sprawach i że znam się na tym. Spójrzcie na tamto sumakowe drzewo: liście są zaczerwienione, choć każdy wie że w lipcu sumak ma żółtą szatę.**

**–To krew Przebiegłego Lisa! Jest ranny i być może padł gdzieś w pobliżu!**

**–Nie, nie – odrzekł zwiadowca, wyraźnie nie zgadzając się z tym zdaniem. – Może zdarłem mu kawałek skóry, ale nicpoń będzie przez to tylko lepiej zmykał.**

**/ – Jest nas czterech zdrowych ludzi przeciwko jednemu rannemu!**

**–Czyżby życie było panu niemiłe? – przerwał zwiadowca. – Ten czerwonoskóry diabeł wciągnie pana pod tomahawki swych towarzyszy, zanim pan zdąży się obejrzeć. Jak na człowieka, który tyle razy sypiał w zgiełku okrzyków wojennych,**

**postąpiłem lekkomyślnie strzelając w pobliżu czających się Indian! Ale pokusa była wielka! Bardzo wielka! Chodźmy, przyjaciele, zwinąć nasz postój tak, by naprowadzić podstępnego Minga na fałszywy trop, inaczej bowiem jutro o rannej godzinie nasze skalpy będą się suszyły na wietrze na wprost namiotu Montcalma.**

**Te straszne słowa, które zwiadowca wypowiedział z zimną krwią człowieka w pełni rozumiejącego niebezpieczeństwo, aczkolwiek nie bojącego się spojrzeć mu w oczy, przypomniały Heywardowi**

**0 doniosłości ciążyących na nim obowiązków. Rozglądając się wkoło**

**1 daremnie usiłując przebić wzrokiem ciemności gęstniejące pod liściastym stropem lasu, myślał o tym, że jego bezbronni towarzysze, pozbawione jakiegokolwiek ludzkiej pomocy, niebawem będą zdane na łaskę i niełaskę barbarzyńskich wrogów.**

**W zwodniczym mroku podniecona wyobraźnia majora dostrzegała ludzkie kształty w każdym poruszającym się krzaku czy powalonym • pniu. Spojrzawszy w górę dostrzegł, że wełniste, różowe chmurki, które wieczór namalował na błękitnie nieba, poczęły już blednąć, a rzeka, płynąca głębokim korytem u jego stóp, znaczy się jedynie ciemną granicą zarośniętych drzewami brzegów.**

**–Cóż teraz począć? – zapytał zupełnie bezradny w tej ciężkiej sytuacji. – Na miłość boską, nie opuszczajcie mnie! Pozostańcie, by bronić kobiet, które eskortuję, i otwarcie powiedzcie, czego za to żądacie!**

**Jego przygodni towarzysze, którzy stojąc z boku rozmawiali w narzeczu indiańskim, nie zwrócili uwagi na to nagłe i rozpaczliwe wezwanie. Rozmawiali bardzo ostrożnie i cicho, niemal szeptem. Jednakże Heyward, gdy podszedł do nich, łatwo mógł odróżnić zapalczywy głos młodego wojownika od spokojniejszych głosów jego towarzyszy. Było jasne, że omawiali jakiś plan, który dotyczył losu podróżnych. Wiedziony ciekawością i zniecierpliwiony zwłoką, która mogła wywołać dalsze poważne niebezpieczeństwo, podszedł jeszcze bliżej do ciemnej grupki ludzi, by wyraźnie za-**

proponować im nagrodę pieniężną, gdy biały, machnąwszy ręką<sup>1</sup> na znak, że zgadza się z młodym Indianinem, odwrócił się i wygłosił po angielsku coś w rodzaju monologu:

–Unkas ma rację! Nie postąpilibyśmy po męsku pozostawiając te bezradne stworzenia ich losowi, nawet jeśli raz na zawsze miałyby to zdradzić naszą kryjówkę. Jeśli chce pan uratować te delikatne kwiatki przed żądlami najgorszych żmij, nie ma pan chwili do stracenia i musi pan działać stanowczo.

–Jakże można wątpić w moje chęci! Czyż już nie ofiarowałem...

–Niech pan ofiaruje swe modlitwy Temu, który może natchnąć nas mądrością i wskazać nam, jak zwieść diabłów, od których roi się w tych lasach – spokojnie przerwał mu zwiadowca. – Ale proszę nie obiecywać mi pieniędzy, bo może ani pan nie dożyje chwili, by je wypłacić, ani ja – by z nich skorzystać. Razem z tymi Mohikanami zrobię wszystko, co rozum ludzki może wymyślić, by te kwiatuszki, tak słodkie i bynajmniej nie stworzone do życia w puszczy, ustrzec od krzywdy, mając na myśli jedną tylko nagrodę, tę, którą Bóg wynagradza prawe postęпки. Przede wszystkim musi mi pan przyrzec dwie rzeczy, obie w imieniu własnym i pańskich przyjaciół, bo inaczej, nie przysłużywszy się wam, zaszkodzimy sobie!

–Co mam przyrzec?

–Po pierwsze, cokolwiek się zdarzy, zachowywać się tak cicho, jak ciche są te śpiące lasy, a następnie nie zdradzić przed nikim miejsca, do którego was zaprowadzimy.

–Zrobię, co mogę, by wypełnić oba te warunki.

–A więc proszę za mną, bo tracimy czas tak cenny, jak cenna jest krew dla zranionego jelenia.

W gęstniejącym mroku Heyward dostrzegł niecierpliwe gesty zwiadowcy i szybko ruszył za nim ku miejscu, gdzie pozostawił resztę swego towarzystwa. Gdy podeszli do czekających na niego i niespokojnych kobiet, w krótkich słowach powiedział im o warunkach postawionych przez nowego przewodnika oraz usilnie prosił, by stłumiły lęk i zdobyły się na jeszcze jeden natychmiastowy i poważny wysiłek. Obie kobiety wysłuchały tych niepokojących słów z niemalą dozą tajonego strachu. Jednakże poważny

**i stanowczy ton majora oraz świadomość grożącego im niebezpieczeństwa wzmocniły ich nerwy o tyle, że znalazły w sobie siłę do podjęcia nowej i niespodziewanej próby. Natychmiast w milczeniu, przy pomocy majora zsiadły z koni, po czym wszyscy szybko zeszli na brzeg rzeki, gdzie zwiadowca bez słowa, za pomocą wymownych gestów zgromadził pozostałych ludzi.**

**–Co zrobić z tymi niemymi stworzeniami? – mruknął myśliwy, najwidoczniej objąwszy dowództwo. – Poderżnąć im gardła i strącić do rzeki to strata czasu, zostawić je tutaj to wskazać Mingom, że właściciele koni są w pobliżu.**

**–Niech więc je pan puści wolno i niech pójdą w las – odważył się doradzić Heyward.**

**–Nie, lepiej zmylić leśnych diabłów. Niech myślą, że muszą dorównać w szybkości koniom, jeśli chcą dogonić zwierzynę.**

**–Tak, tak, sypniemy im piaskiem w oczy. Chingach... tss? Co się tam rusza w krzakach?**

**–Żrebię.**

**–Żrebię musi jednak zginąć – mruknął zwiadowca usiłując złapać za grzywę ruchliwe stworzenie, które jednak zręcznie umknęło mu spod ręki. – Unkas, strzałę!**

**–Stójcie! – na cały głos krzyknął właściciel skazanego na śmierć zwierzęcia, nie bacząc na to, że inni mówią szeptem. – Oszczędźcie żrebię Miriam! To uroczy potomek oddanej matki, który nie zrobi nikomu nic złego.**

**–Gdy ludzie walczą o życie dane im przez Boga – poważnie odparł zwiadowca – nawet ich własny bliźni jest dla nich tylko dzikim zwierzęciem z puszczy. Jeśli odezwie się pan jeszcze słowem, porzucę pana na łaskę Makaów. Sięgnij po strzałę, Unkasie, i pamiętaj, że nie mamy czasu, by powtórzyć cios.**

**Nie zdążył jeszcze przebrzmieć cichy, mrukliwy dźwięk tych groźnych słów, gdy ranione zwierzę stanęło dęba i padło na kolana. W tej chwili doskoczył do niego Chingachgook i błyskawicznym ciosem wbił mu nóż w gardło, po czym rzucił do wody swą ofiarę, miotającą się w śmiertelnych drgawkach. Nurt porwał ją, głośno i gorączkowo ostatkiem życia walczącą o oddech, i uniósł w dół rzeki. Ten czyn, pozornie bezlitosny, ale podyktowany koniecznością, przygnębił podróżnych. Widzieli w nim**



straszliwe przypomnienie śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakie groziło im samym, a bezlitosna stanowczość aktorów opisanej sceny pogłębiła jeszcze przykre wrażenie.

Indianie, nie zwlekając ani chwili, ujęli za cugle przestraszone i opierające się konie i sprowadzili je do rzeki.

Oddalili się nieco od brzegu, skręcili, ukryli się za jego występem i pod tą osłoną ruszyli w górę nurtu. Tymczasem zwiadowca wyciągnął z ukrycia pod niskimi krzakami, których gałęzie nurzały się w wirach wodnych, małe czółno z kory i bez słowa zaprosił gestem kobiety, by weszły do niego. Usłuchały bez wahania, tylko parokrotnie z lękiem obejrzały się na gęstniejącą ciemność, która teraz czarnym murem stanęła wzdłuż brzegu rzeki.

Gdy obie kobiety usadowiły się w czólnie, zwiadowca, lekceważąc sobie niebezpieczny żywioł, polecił Heywardowi podeprzeć jeden bok wątlej łódki, a sam stanął po jej drugiej stronie i obaj poczęli pchać łódkę pod prąd, a zgnębiony właściciel zabitego żrebaka szedł za nimi. W ten sposób przebyli kawał drogi pośród martwej ciszy, jeszcze bardziej podkreślonej odległym i głuchym, choć rosnącym łoskotem wodospadu.

W końcu dotarli do miejsca, w którym grupka jakichś czarnych przedmiotów, skupionych tam, gdzie wysoki brzeg rzucał jeszcze większy cień na ciemną wodę, przykuła błędzący wkoło wzrok Heywarda. Zawahał się i nie wiedząc, czy iść dalej, wskazał to miejsce swemu towarzyszowi.

–Tak – rzekł z niewzruszonym spokojem zwiadowca – Indianie ukryli zwierzęta z właściwym im rozsądkiem. Woda nie zostawia śladów, a w mroku tego wgłębienia nawet sowa byłaby ślepa.

Niebawem Indianie przyłączyli się do białych i znów zaczęli naradzać się ze zwiadowcą, a w tym czasie osoby, których los zawisł od sprytu i uczciwości tych nie znanych im mieszkańców puszczy, mogły dokładnie rozejrzeć się wokół siebie.

Rzeka płynęła tu między wysokimi i urwistymi skałami, z których jedna zwisała nad miejscem, gdzie zatrzymała się łódka. Wszystko poniżej fantastycznych kształtów skał i postrzępionych wierzchołków drzew, tu i tam niewyraźnie rysujących się na tle gwiazdzistego nieba, było pograżone w mroku. Tuż za łódką wzrok napotykał ciemny zarys biegnącego łukiem i zalesionego brzegu. Niedaleko przed nimi woda piętrzyła się wysoko i spadała

W dół do pieczar, z których dobiegał groźny huk przepelniający wieczorną ciszę. W tym zakątku siostry, podziwiając jego romantyczne, choć groźne piękno, poddały się kojącemu uczuciu spokoju.

Wkrótce jednak ogólne poruszenie wśród przewodników boleśnie przypomniało im o grożącym niebezpieczeństwie.

Konie, przywiązane do krzaków rzadko rosnących w szczelinach skał, miały spędzić noc stojąc w wodzie. Zwiadowca polecił Heywardowi i reszcie zaleknionych podróżnych usadowić się na przedzie czółna, sam zaś stanął na jego drugim końcu. Stał tam wyprostowany i tak spokojny, jakby miał żeglować o wiele mocniejszym stateczkiem. Indianie ostrożnie wrócili tam, skąd przyszli, a zwiadowca, wparłszy tykę w skałę, silnym pchnięciem skierował wątlą łódkę prosto w sam środek spienionego nurtu.

Przez długie minuty bańka mydlana, w której płynęli, toczyła ciężką walkę z bystrym prądem rzeki, a wynik tej walki był wątpliwy. Ale wytrzymały i jak się wydawało obu kobietom rozpaczliwy wysiłek zwyciężył w tej walce. Właśnie w chwili, kiedy śmiertelnie przerażona Alicja zamknęła oczy przypuszczając, że już ich porywa wir u podnóża wodospadu, łódka przybiła do płaskiej skały, ledwie wystającej z wody.

–Gdzie jesteśmy i co mamy teraz robić? – spytał Heyward widząc, że zwiadowca skończył już swą ciężką pracę.

–Jesteśmy u podnóża wodospadu Glenn\* – odparł myśliwy. W pobliżu huczących wód bez obawy mówił głośno. – A teraz trzeba ostrożnie wysiąść, by czółno się nie wywróciło i abyście znów nie odbyli tej samej uciążliwej drogi, tym razem w dół rzeki, i to znacznie szybciej. Trudno dać sobie radę z nurtem na tych kataraktach, zwłaszcza gdy rzeka nieco wezbrała. Pięć osób to też trochę za dużo, by nie zamokły jadąc czółnem skleconym byle jak, z odrobiny kory brzoźowej i żywicy. Wejdźcie więc na skałę, a ja udam się po Mohikanów i po ubitego jelenia. Lepiej

Wodospad Glenn znajduje się na rzece Hudson o jakieś czterdzieści-pięćdziesiąt mil od początku jej ujścia, czyli od miejsca, gdzie rzeka staje się żeglowna dla szalup. Zwiadowca dosyć wiernie opisał ten nieduży, ale malowniczy i wart obejrzenia wodospad. Z czasem jednak podporządkowanie wód potrzebom życia cywilizowanego dotkliwie go oszpeciło. Każdy odróżnik dobrze zna skalistą wysepkę i dwie pieczary, dzisiaj bowiem wspiera się na niej filar ostu przerzuconego przez rzekę -tuż nad wodospadem. Na usprawiedliwienie upodobań Sokolego ka należy przypomnieć, że ludzie zawsze najwyżej cenią to, co przynosi najmniej korzyści. Lasy i piękne okolice, które w starych krajach ochrania się nieraz nakładem wielkich kosztów, w Nowym Kraju wyniszczą się właśnie – jak to się mówi – w imię „cywilizacji” (przyp. autora).

**p m Ok**

**|ii\* imiwjr h"E**

**na fjąłwie niż umrzeć z głodu wśród obfi-**

**•". i,,t chętnie usłuchali zwiadowcy. Gdy ostatni**

**<l i i wysepki, łódka zawirowała i odbiła od skały.**

**wił\*)<|>"/. /c widać było wysoką sylwetkę zwiadowcy**

**.xl wihl.i..i/, wreszcie wchłonęła ją nieprzenikniona ciem-**

**wvrt|<|(,i i/rkę. Podróżni, opuszczeni przez swego prze-**

**pnr"; iiiinut stali bezradnie na miejscu, bojąc się ruszyć**

**.|i.;k/mych skał, bo fałszywy krok groził upadkiem w jedną**

**hl """;\*>okich i huczących po ich obu stronach rozpadlin,**

**kl.u,' kotłując się i pieniać spadała woda. Niebawem jednak ich**

**i.u'|M'wiość się skończyła; nim bowiem minął czas, według ich**

**przypuszczeń potrzebny zwiadowcy po to, by wrócić po swych**

**towarzyszy, łódka kierowana przez zręcznych Indian już zdążyła**

**wychynąć z wirów i znów przybić do niskiej skały.**

**A więc jesteśmy już umocnieni, mamy garnizon i prowiant – wośło zawołał Heyward – i "możemy śmiać się z Montcalma i jego sprzymierzeńców. Ale czy, mój czujny wartowniku, dostrzeże pan na tamtym brzegu jakiegoś Irokeza, jak pan ich nazywa?**

**–Nazywam ich Irokezami, ponieważ każdego Indianina mówiącego obcym językiem uważam za wroga, choćby nawet udawał, że służy królowi! Jeżeli Webb szuka Indian uczciwych i wiernych, niech weźmie plemiona Delawarów, a chciwych i kłamliwych Mohawków i Oneidów wraz z ich łotrowskimi Sześcioma Plemionami przepędzi tam, gdzie ich miejsce – do Francuzów!**

**–Wówczas, zamienilibyśmy wojowniczych przyjaciół na niedołęgów. Słyszałem bowiem, że Delawarzy odłożyli na bok swoje tomahawki i pozwalają się nazywać kobietami!**

**–Tak, niech ta hańba spadnie na Holendrów\* i Irokezów którzy swymi diabelskimi sztuczkami oszukali ich i nakłonili do podobnej umowy! Ale ja znam Delawarów od dwudziestu lat i nazwę kłamcą każdego, kto powie, że krew tchórzów płynie w ich żyłach. Odepchnęliście ich plemiona od morskiego wybrzeża i teraz słuchacie ich wrogów, by uśpić własne sumienie. Nie, nie, dla mnie każdy Indianin mówiący obcym językiem jest Irokezem!**

**obojętne, czy zamek\* jego plemienia jest w Kanadzie, czy w New Yorku.**

**Heyward spostrzegł, że zwiadowca jest zagorzałym przyjacielem Delawarów czy Mohikanów, (którzy byli tylko odgałęzieniem liczego plemienia delawarskiego) i gotów jest przeciągnąć ten jałowy spór, zmienił więc temat rozmowy.**

**–Mniejsza z tym, czy zawarli umowę, czy nie. Ja doskonale wiem, że pańscy dwaj przyjaciele są dzielnymi i wytrawnymi wojownikami! Czy dosłyszeli coś, a może dostrzegli naszych**

**wrogów?**

**–Indianin jest takim śmiertelnikiem, którego się wyczuje, zanim się go zobaczy – odrzekł zwiadowca wchodząc na skałę i niedbałym ruchem rzucając na nią ubitego jelenia. – Kiedy jestem na tropie Mingo, ufam znakom innym niż te, które widzę.**

**–Czy pański słuch mówi mu, że wpadli na nasz ślad?**

**–Przykro byłoby mi tak myśleć, nie zaprzeczę jednak, że konie niepokoiły się, gdym koło nich przepływał, tak jakby czuły wilka. A wilk jest zwierzęciem, które kręci się koło zasadzki Indian, czyhając na resztki ubitej przez nich zwierzyny.**

**–Zapomina pan o koźle leżącym u pańskich nóg.**

**–Może ma pan rację. I dlatego lepiej będzie wykrajać mięso, a szkielet spławić z prądem w dół rzeki, bo cała sfera gotowa nam tu wyć nad urwiskiem, oplakując każdy przełknięty przez nas kęsek. Poza tym, choć dla tych przeklętych Irokezów język Delawarów jest tym samym, co książka, są oni dość sprytni, by zrozumieć mowę wilków.**

**Mówiąc to zwiadowca zbierał niektóre potrzebne mu przedmioty, gdy zaś zakończył ostatnią uwagę, przeszedł w milczeniu obok grupki podróżnych, a Mohikanie, którzy widocznie błyskawicznie i instynktownie odgadywali jego myśli, poszli za nim. Po chwili wszyscy trzej kolejno ukryli się w czarnej, prostopadłej skale, wysokiej na kilka**

**jardów i leżącej o kilka stóp od skraju wody.**

**Biali z Nowego Jorku nazywają główne osiedla Indian zamkami.,, Zamek" Oneidów nie jest już niczym innym, jak szeroko rozrzuconą wsią, ale mimo to nazwa ta jest w powszechnym użyciu, (przyp. autora).**

**Czytelnik zapewne przypomina sobie, że New York początkowo był kolonią holenderską rzyp. autora).**

**(przyp**

**4 – Ostatni Mohikanin**

Z pieśni, które w Syjonie

brzmiały kiedyś słodko, Najtroskliwiej wersety wybierał jak kiście, A potem:  
"Chwalmy Boga"

wyrzekł uroczyście...

Oeyward i jego towarzyszki przyglądali się tym tajemniczym ruchom z ukrytym niepokojem. Choćbowiem zachowaniu się białego nie można było dotychczas nic zarzucić, to jednak jego prymitywny strój, nieokrzesa mowa i niepohamowana zaciekłość – łącznie z postaciami jego milczących sprzymierzeńców – przyczyniły się razem wzięte do wzbudzenia nieufności w umysłach wstrząśniętych niedawną zdradą Indianina. Tylko nieznamy nie zważał na to, co się koło niego dzieje. Siedział nieruchomo na występie skalnym, a o tym, że żyje, świadczyły tylko ciężkie i częste westchnienia, stanowiące echa wewnętrznej walki, jaką z sobą toczył.

Niebawem dały się słyszeć ściszone głosy, jakby jacyś ludzie nawoływali się we wnętrzu ziemi, i nagle promień światła przesunął się po podróżnych, ukazując im bezcenne tajemnice tego ustronia.

W głębi wąskiej i długiej pieczary siedział zwiadowca trzymając w ręku pęk płonącego jodłowego łuczywa. Jasny blask ognia, padając na śmiałą, ogorzałą twarz i myśliwski strój, nadawał wyraz romantycznej dzikości temu człowiekowi, który w biały dzień wyróżniałby się tylko niezwykłym ubiorem, iście żelazną budową ciała oraz szczególną mieszaniną bystrego, czujnego rozsądku i doskonałej prostoty.

Nieco przed nim, w pełnym świetle, stał Unkas. Podróżni ciekawie przyglądali się prostej, smukłej sylwetce młodego Mohikanina,

pełnego wdzięku i swobodnego w swej naturalnej pozie i ruchach. Wprawdzie wbrew zwyczajom Indian okrył swe ciało zieloną, ozdobioną frędzlami koszulą myśliwską, podobną do tej, jaką nosił jego biały towarzysz, jednakże jego oczy, czarne, błyszczące, nieustraszone i spokojne, choć groźne, oraz śmiałe, regularne i dumne rysy były wyraźnie widoczne. Wyraźnie też widać było nieco cofnięte czoło i doskonale proporcje szlachetnej głowy, wygolonej aż po czub na ciemieniu. Duncan i jego towarzysze po raz pierwszy mogli dobrze się przyjrzeć wymownemu obliczu jednego z ich indiańskich sprzymierzeńców.

**–Mogłabym spać spokojnie – szepnęła Alicja – pod ochroną tak nieuleknionego i szlachetnie wyglądającego młodziana. Jestem pewna, Duncanie, że tych okrutnych morderstw i mroźnych krew w żyłach tortur, o których tyle czytamy i słyszymy, nigdy nie popełniono w obecności takich ludzi, jak ten!**

**–Jest on istotnie rzadkim i wspaniałym przykładem tych naturalnych zalet, w które, jak mówią, to niezwykle plemię obfituje – odparł major. – Wierzmy więc, że ten Mohikanin nas nie zawiedzie, że jego czyny zgodne będą z jego wyglądem i że będzie dzielny i wiernym przyjacielem.**

**–Teraz major Heyward mówi tak, jak powinien mówić major Heyward – powiedziała Kora. – Któż z patrzących na ten twór natury myślałby o tym, że jego skóra ma odmienny kolor!**

**Po tej uwadze zapadła krótka i najwidoczniej niezręczna cisza. Przerwało ją głośnie wołanie zwiadowcy, który zapraszał podróżnych do środka pieczary.**

**–Ogień zaczyna płonąć zbyt jasno – powiedział, gdy go usłuchano – i może ściągnąć Mingów na naszą zgubę. Unkasie, opuść zasłonę i pokaż ją tym nicponiom od ciemnej strony. Kolacja nie jest taka, jakiej miałby prawo spodziewać się major Pułku Amerykańskich Strzelców Królewskich, ale widywałem już dzielne oddziały armii, które byłyby szczęśliwe, gdyby mogły jeść surowe mięso jelenia, i to nawet bez żadnej przyprawy. Jak widzicie, mamy tu pełno soli i możemy upiec pieczeń na poczekaniu. Oto świeże gałązki sassafras\*, na których mogą spocząć panie; być może, nie są tak wspaniałe jak ich skórzane fotele, ale pachną przyjemniej niż świńska skóra. Przyjacielu, nie smuć się z powodu żrebaka. Było**

**Sassafras – laur amerykański.**



to niewinne stworzenie, które nie zaznało jeszcze wielu trudów. Śmierć zaoszczędziła mu niejednego bólu krzyża i zmęczenia nóg.

Unkas zrobił, co mu kazał Sokole Oko, i kiedy ten umilkł, szum wodospadu rozbrzmiewał jak huk odległego grzmotu.

–Czy w tej pieczarze jesteśmy zupełnie bezpieczni? – zapytał Heyward. – Czy wróg nas tu nie zaskoczy? Jeden uzbrojony człowiek u wejścia mógłby trzymać nas w szachu.

Na te słowa postać podobna do widma wyłoniła się z ciemności za myśliwym i pochwycając płonące łuczywo oświetliła nim najdalszy kąt pieczary. Gdy ta przerażająca zjawa stanęła w świetle, Alicja krzyknęła stłumionym głosem i nawet Kora zerwała się z miejsca, ale Heyward jednym słowem uspokoił obie kobiety mówiąc im, że jest to ich współtowarzysz Chingachgook. Ten zaś odchylił inną zasłonę i ukazał drugie wejście do pieczary. Następnie, trzymając w rękach płonące łuczywo, przeszedł przez głęboką, wąską rozpadlinę skalną, biegnącą pod prostym kątem do pieczary, w której się znajdowali, ale w przeciwieństwie do niej rozwierającą się ku górze, i wszedł do innej pieczary, uderzając podobnej do pierwszej.

–Takich starych lisów jak my nieczęsto można przyłapać w norze o jednym wyjściu – powiedział śmiejąc się Sokole Oko. – Wodospad leżał kiedyś o kilka jardów poniżej nas, ale jego buntownicze wody znalazły sobie inną drogę. Po obu naszych stronach skała była bardziej miękka niż tutaj, wody opuściły więc środek koryta rzeki, wyłobiwszy przedtem te dwie małe pieczary na schronienie dla nas.

–A zatem jesteśmy na wyspie?

–Tak! Po obu stronach mamy wodospad, a rzekę poniżej i powyżej. Gdyby był teraz dzień, mógłby pan wejść na szczyt skały i zobaczyć, co ta woda wyprawia. Spada bez żadnego ładu i składu: czasem daje susa w górę, czasem na łeb, na szyję leci w dół, tam skacze, tu pędzi na złamanie karku, w jednym miejscu jest biała jak śnieg, w innym zielona jak trawa, w pobliżu nas gwałtownie spada w głębokie szczeliny, aż ziemia dudni i drży, a nieco dalej szemrze i śpiewa niby strumyczek, tworząc wiry i kipiele w starym kamieniu, jakby był miękki niczym wyrobiona glina.

Słuchacze Sokolego Oka, których ten niewyszukany opis wodo spadu Glenn miał natchnąć wiarą w bezpieczeństwo ich schronienia, skłonni byli wręcz odmiennie osądzić jego dzikie piękno. Jednakże położenie, w jakim się znajdowali, nie pozwalało im zastanawiać się nad urokami przyrody, gdy więc zwiadowca w czasie opowiadania przerywał gwałtownie jedynie po to, aby złamanym widelcem wskazać kierunek

**jakiegoś szczególnie groźnego fragmentu zbuntowanej rzeki, myśli ich biegły ku rzeczy bardziej prozaicznej, choć nie mniej ważnej – kolacji.**

**Kolacja, znacznie urozmaicona dodatkiem paru smakołyków, które Heyward przezornie zabrał ze sobą, gdy rozstawali się z końmi, niezwykle pokrzepiła zmęczonych podróżnych. Unkas usługiwał paniom świadcząc im różne drobne grzeczności z nieśmiałym wdziękiem pomieszanym z dumą. Bawiło to Heywarda, albowiem doskonale wiedział, że takie postępowanie rażąco odbiega od zwyczajów Indian, które zabraniają wojownikom zniżania się do jakichkolwiek prac domowych, a zwłaszcza usługiwania kobietom. Ponieważ jednak prawo gościnności było święte dla Indian, to małe odstępstwo od męskiej dumy nie wywołało żadnych głośnych komentarzy. Jednakże gdyby ktoś z obecnych miał czas na uważną obserwację, spostrzegłby, że młody wojownik nie okazuje równych względów obu siostram. Gdy podawał Alicji wydrażoną tykwę wypełnioną wodą oraz kawałek dziczyzny na talerzu zręcznie wyciętym z korzenia pieprzowego drzewa, czynił to z poprawną uprzejmością, natomiast gdy świadczył te same usługi Korze, jego czarne oczy zatrzymywały się na jej pięknych, wyrazistych rysach. Raz czy dwa musiał się odezwać, by na coś zwrócić uwagę osób, którym usługiwał. W tych wypadkach mówił po angielsku, wprawdzie językiem łamanym i nieprawidłowym, jednakże dostatecznie zrozumiałym, a jego gardłowy, głęboki głos\* nadawał słowom tak miękkie i muzykalne brzmienie, że obie siostry za każdym razem spoglądały na niego z podziwem i zdziwieniem. Tak więc w czasie tych uprzejmości obie strony zamieniły parę zdań i zadzierzgnęły jakby nić przyjaźni.**

**Chingachgook siedział z niewzruszoną powagą. Usadowił się bliżej ogniska, w kręgu światła, gdzie podróżni, rzucając częste i niespokojne spojrzenia na jego twarz, łatwiej mogli dostrzec**

**Słowom Indianina nadaje znaczenie przede wszystkim ton i akcent (przyp. autora).**

joj prawdziwy wyraz P°d przerażającym malowidłem wojennym. Zauważyli też duże podobieństwo między ojcem i synem, którego nie zatarły różnice wynikające z wieku i przebytych trudów.

Surowe rysy wodza złagodniały i na jego obliczu malowały się teraz obojętność i leniwy spokój, jak zwykle u indiańskiego wojownika, kiedy może rozluźnić swą uwagę i czujność. Jednakże z przelotnych błysków na jego śniadej twarzy łatwo było odgadnąć, że wystarczy tylko rozbudzić jego namiętności, by dał dowody, że nie próżno, dla zastraszenia wrogów, ozdobił ciało groźnym

emblematem.

W przeciwieństwie do spokoju Indianina szybkie, błyszczące oczy zwiadowcy rzadko kiedy spoczywały na jednym miejscu. Jadł i pił z apetytem, którego nie mogła zakłócić żadna obawa niebezpieczeństwa, ale czujność nie opuszczała go ani na chwilę. Wielekroć tykwa czy kawałek dziczyzny podnoszony do ust zawisały w powietrzu, a jego głowa zwracała się w bok, jakby przysłuchiwał się jakimś dalekim, podejrzliwym dźwiękom.

–No, przyjacielu – powiedział pod koniec posiłku wyciągając beczułkę spod przykrywających ją liści i zwracając się do nieznanego, który siedział przy nim i swym apetytem czynił zaszczyt jego kulinarnym zdolnościom. – Spróbuj tego balsamu jodłowego, doda ci życia i splucze wszystkie myśli o żrebacku. Piję za naszą przyjaźń i spodziewam się, że nie będziemy się gniewać o parę funtów końskiego mięsa. Jak pan się nazywa?

–Gamut, Dawid Gamut\* – odparł nauczyciel śpiewu przygotowując się do utopienia swych zmartwień w potężnym łyku wonnej, dobrze zaprawionej spirytusem mieszaniny sporządzonej przez myśliwego.

–Bardzo piękne nazwisko i pozwolę sobie zauważyć, najwidoczniej odziedziczone po uczciwych przodkach. Kocham się w dobrze dobranych imionach, ale muszę powiedzieć, że Indianie są uczciwsi pod tym względem; przeważnie są tacy, jakie mają przezwiska. Nie chcę przez to powiedzieć, że Chingachgook, co oznacza: Wielki Wąż, istotnie jest wężem, dużym czy małym. Po prostu umie zwijać się i skręcać, jest cichy i atakuje wrogów, kiedy się tego najmniej spodziewają. A jakie jest pańskie powołanie?

Gamut \_ po angielsku gama muzyczna, skala.

–Jestem niegodnym nauczycielem nabożnych pieśni.

**–Co takiego?**

**–Uczę śpiewu młodzieńców z oddziałów kolonialnych z Connecticut.**

**–Można by dać panu lepsze zajęcie. Te szczeniaki i tak łążą po lasach śpiewając bezustannie i śmiejąc się, gdy powinni oddychać nie głośniejsze niż lis w jamie. Czy umie pan obchodzić się ze strzelbą lub gwintowanym sztuczerem?**

**–Chwała Panu na wysokościach za to, że nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z narzędziami mordy!**

**–To może zna się pan na busoli i wykreśla na papierze rzeki i góry dzikiego kraju po to, by nasi potomkowie mogli odnaleźć różne miejsca wedle ich nazw?**

**–To nie jest moim zajęciem.**

**–Ma pan taką parę nóg, które znakomicie mogą skrócić drogę! Pewnie generał posyła pana czasem z wiadomościami?**

**–Nigdy. Idę tylko za swoim wysokim powołaniem, jakim jest nauczanie śpiewu religijnego.**

**–Dziwne powołanie! – mruknął Sokole Oko śmiejąc się cicho. – Spędzać życie jak sroka na przedrzeźnianiu różnych wysokich i niskich tonów, które mogą wyjść z gardła innych ludzi. Dobrze, przyjacielu, sądzę, że ma pan do tego zdolności, których nie należy lekceważyć. Posłuchajmy, co pan potrafi w swoim zawodzie. Będzie to zarazem przyjacielskie życzenie dobrej nocy, bo panie muszą nabrać sił do ciężkiego i długiego wysiłku, jaki podejmiemy o świcie, zanim Makaowie się rUszą.**

**–Zgadzam się z największą radością – odparł Dawid, po czym wsadził na nos okulary w drucianej oprawie, wyciągnął swą ukochaną małą książeczkę i podał ją Alicji. – Czyż może być coś właściwszego i bardziej podnoszącego na duchu od wieczornej modlitwy po dniu pełnym tak niezwykłych niebezpieczeństw?**

**Alicja uśmiechnęła się, ale spojrzawszy na Heywarda zarumieniła się i zawahała.**

**–Niechże sobie pani nie odmawia tej przyjemności – szepnął major – czyż nie należy się liczyć z tym, co w takiej chwili mówi imiennik króla Dawida?**

**Słowa majora ośmieliły Alicję. Uległa swemu zamiłowaniu do poważnej muzyki i od dawna odczuwanej chęci mówienia**

modlitwy. Otwarto więc książkę na hymnie odpowiednio dobranym do ich położenia, w którym poeta, pohamowawszy chęć prześcignięcia uduchowionego króla izraelskiego, ujawnił odrobinę prawdziwego i rzetelnego talentu. Kora wyraziła ochotę przyłączenia się do siostry. Gdy metodyczny Dawid dokonał już wstępnych manipulacji podawania tonu na drewnianej fujarce, rozbrzmiała nabożna pieśń.

Indianie wlepili wzrok w głązy i przysłuchiwali się śpiewowi z uwagą, od której – można by powiedzieć – postacie ich skamieniały.

Zwiadowca, który siedział oparłszy brodę na dłoni, zrazu słuchał psalmu obojętnie, ale później, w miarę jak przybywało strof pieśni, poczuł, że jego żelazna natura coraz bardziej mięknie, a wspomnienia unoszą go w okres dzieciństwa, kiedy to w osadzie kolonistów nieraz słyszał podobne nabożne pienia. Jego niestrudzone oczy myśliwego poczęły wilgotnieć i zanim śpiew zamilkł, palące łzy trysnęły ze źródeł pozornie dawno już wyschniętych i popłynęły po policzkach człowieka, którego częściej smagał okrutny los, niż nawiedzały tkliwe uczucia.

Śpiewający wytrzymywali jeden z tych niskich, zamierających akordów, którymi ucho rozkoszuje się z chciwym zachwytem, zanim go utraci, gdy przeraźliwy głos, nie mający w sobie nic ludzkiego ani nawet nic ziemskiego, przeszył powietrze i wdarł się nie tylko do najodleglejszych zakątków pieczary, lecz i w sam środek serc wszystkich obecnych. Po nim zapadła cisza tak głęboka, jakby wody stanęły w swym szalonym biegu, powstrzymane nagłym wtargnięciem przerażającego i niezwykłego głosu.

–Co to jest? – wyszeptała Alicja po dłuższej chwili straszliwej niepewności.

–Co to jest? – głucho powtórzył Heyward.

Ani Sokole Oko, ani Indianie nie odpowiedzieli. Z równie zdziwionymi minami nadsluchiwali, jakby spodziewając się, że dźwięk się powtórzy. Wreszcie poważnie naradzili się ze sobą w narzeczu Delawarów i Unkas ostrożnie wyszedł z pieczary przez wewnętrzny, najlepiej zamaskowany otwór. Po jego wyjściu Sokole Oko pierwszy się odezwał, tym razem po angielsku.

–Co to jest lub czym to nie jest, nikt tu nie może powiedzieć, mimo że dwóch z nas przebiega puszcę ponad trzydzieści

lat! Wierzyłem, że moje uszy słyszały już każdy krzyk Indianina czy ryk zwierzęcia, tymczasem ten głos dowiódł, że jestem tylko próżnym i zrozumiiałym śmiertelnikiem.

**–Czy nie był to okrzyk wojowników, którzy chcą przestraszyć was wrogów? – zapytała Kora. Stała obok i otulała się szaleni ze spokojem, którego mogłaby jej pozazdrościć przerażona Alicja.**

**–Nie, nie, to był ohydny i wstrząsający głos i miał w sobie coś nieludzkiego, kto zaś raz słyszał okrzyk wojenny, nigdy go już nie zapomni. No, Unkasie – zwrócił się w narzeczu Delawarów do młodego wodza, który właśnie powrócił – coś tam zobaczył? Czy zasłony nie przepuszczają światła?**

**Odpowiedź udzielona w tym samym języku była krótka i najwidoczniej stanowcza.**

**–Na zewnątrz nie można nic dostrzec – powiedział Sokole Oko potrząsając głową z niezadowolaniem – a nasza kryjówka tonie w ciemności. Przejdźcie do sąsiedniej pieczary i spróbujcie usnąć, bo potrzebujecie wypoczynku. Musimy być na nogach grubo przed wschodem słońca i dostać się do fortu Edwarda, gdy Mingo-wie będą jeszcze spali w najlepsze.**

**Kora usłuchała i swą uległością dała dobry przykład bojaźliwej Alicji. Zanim jednak opuściła pieczarę, zdążyła szeptem poprosić Duncana, by poszedł za nimi. Unkas uniósł zasłonę, by ich przepuścić, a gdy siostry odwróciły się dziękując mu za ten dowód troski, ujrzały zwiadowcę siedzącego przed dogasającym żarem ogniska. Twarz wsparł na dłoni i siedział w postawie wyraźnie wskazującej, że głęboko zatonął w rozmyśleniach nad tajemniczym wydarzeniem, które przerwało ich wieczorne modły. Heyward zabrał ze sobą palącą się wiązkę łuczywa, które mdłym blaskiem oświetlało wąską przestrzeń ich nowego mieszkania. Zatknąwszy łuczywo w najdogodniejszym miejscu, podszedł do kobiet, z którymi znów znalazł się sam na sam, po raz pierwszy od chwili opuszczenia bezpiecznych szańców fortu Edwarda.**

**–Duncanie, nie opuszczaj nas – prosiła Alicja – nie zaśniemy tu, póki ten okropny krzyk dźwięczy nam w uszach.**

**–Przede wszystkim zbadajmy, czy nasza forteca zapewnia nam bezpieczeństwo – odparł młody oficer – a potem pomówimy**

**o odpoczynku.**

**Poszedł w najodleglejszy kąt pieczary, gdzie było wyjście zasło-**

nięte, tak jak i inne, grubym kocem i odsunawszy go, odetchnął świeżym i rześkim powietrzem spod wodospadu. Jedna odnoga rzeki płynęła tuż pod jego stopami głębokim i wąskim jarem wyżłobionym przez prąd w miękkich skałach. Z tej strony woda zapewniała – jak sądził – skuteczną obronę przed każdym atakiem, ponieważ zaledwie o kilkanaście stóp powyżej połyskiwała, pieniała się, piętrzyła i rwała w dół kłębiąc się w szalonych wirach.

–Z tej strony natura stworzyła przeszkodę nie do przebycia – powiedział Heyward i zanim opuścił zasłonę, wskazał na ciemny nurt w dole prostopadłego urwiska – a ponieważ, jak wiecie, dobrzy i oddani ludzie strzegą dostępu od przodu, powinniście usłuchać rady naszego zacnego gospodarza. Jestem pewien, że Kora zgodzi się ze mną, iż sen jest dla was koniecznym wypoczynkiem.

–Kora może zgodzić się z tym zdaniem, aczkolwiek nie będzie mogła go usłuchać – odparła starsza siostra, która siedziała obok Alicji na posłaniu z gałązek sassafrasu. – Nawet gdyby nie wstrząs wywołany tajemniczym głosem, miałybyśmy dość zmartwień, które spędzają sen z powiek. Niech pan sam powie, Heywardzie, czy możemy zapomnieć o niepokoju, jaki musi przeżywać nasz ojciec, który nie wie, gdzie i jak jego córki spędzają noc w tej dzikiej puszczy i w tak okropnym niebezpieczeństwie!

–Jest przecież żołnierzem i wie, co może się przydarzyć w puszczy.

–Jest ojcem i nie zdoła przewyciężyć ojcowskich uczuć. Możliwe, że zbyt lekkomyślnie domagałam się jego zgody na nasz wyjazd w tak trudnych warunkach. Chciałam jednak mu dowieść, że gdy inni opuścili go w biedzie, jego dzieci pozostały mu wierne.

–Kiedy dowiedział się o przybyciu pań do fortu Edwarda – grzecznie wtrącił Heyward – obawa i miłość poczęły zaciekle walczyć w jego sercu. Jednakże miłość, wzmożona tak długą rozłąką, szybko zwyciężyła. "Kieruje nimi duch mej szlachetnej Kory, Duncanie" powiedział mi. "I nie będę się jej sprzeciwiał. Dałby Bóg, żebym dzierżąc w swych rękach honor naszego króla wykazał choć połowę jej hartu i odwagi!"

–A czy nie mówił o mnie, Heywardzie? – zapytała Alicja

z wyraźną zazdrością. – Na pewno nie zapomniał o swej małej

Ali!

–To byłoby niemożliwe – odparł młody człowiek. – Wymawiał pani imię z dodatkiem

**tysiąca najczulszych słów, których nie ośmieliłbym się powtórzyć, ale których słuszności gorąco przyświadczam. Pewnego razu powiedział...**

**Przerwał nagle, gdyż w chwili kiedy patrzył w oczy Alicji, która wiedzona miłością do ojca, żywo zwróciła się ku niemu, by nie opuścić ani jednego słowa, ten sam ostry, okropny krzyk przeszył powietrze i pozbawił go głosu.**

**Potem zapadła długa, głucha cisza, podczas której podróżni spoglądali na siebie i zdjęci trwogą czekali, aż znów usłyszą ten sam krzyk. Wreszcie zasłona odchyliła się wolno i w skalnym otworze stanął zwiadowca. Na jego twarzy malował się niepokój.**



# ROZDZIAŁ

## SIÓDMY

...I wcale nie śpią; Ta straszna zgraja na tych tam, ot, skałach – Widzę – usiadła...

Gray

Zlekceważylibyśmy zesłane nam ostrzeżenie siedząc nadał w ukryciu, kiedy podobne dźwięki rozlegają się w puszczy – powiedział Sokole Oko. – Panie mogą pozostać w pieczarze, natomiast Mohi-kanie i ja będziemy czatować na skale, gdzie, jak sądzę, major sześćdziesiątego pułku zechce dotrzymać nam towarzystwa.

–Czy grożące nam niebezpieczeństwo jest tak blisko? – zapytała Kora.

–Tylko ten, kto tworzy te dzikie dźwięki, i zsyła je dla ostrzeżenia ludzi, zna grożące nam niebezpieczeństwo. Byłbym grzesznikiem buntującym się przeciw Jego woli, gdybym zaszył się w tej pieczarze, kiedy takie ostrzeżenia dochodzą do naszych uszu!

–Jeżeli powodem do obaw są tylko zjawiska nadprzyrodzone, nie mamy się czego lękać, mój przyjacielu – spokojnie powiedziała Kora. – Czy nie przypuszcza pan, że nasi wrogowie wpadli na nowy i sprytny podstęp, by nas zastraszyć i ułatwić sobie zwycięstwo?

–Pani – uroczyście odrzekł zwiadowca – od trzydziestu lat przysłuchuję się głosom puszczy jak każdy, czyje życie zależy od sprawności jego słuchu. Nie zwiedzie mnie żadna płaczliwa skarga pantery, pogwizdywanie drozda czy jakieś wymysły diabelskich Mingów. Słyszałem już lasy jęczące jak człowiek rażony nieszczęściem. Często przysłuchiwałem się wiatrowi wygrywającemu melodie w splątanych gałęziach drzew. Słyszałem też pioruny trzaskające w powietrzu na podobieństwo gorejącego stosu, które

sypały wkoło iskrami i ogniem, ale zawsze myślałem, że słyszę głos Tego, kto igra tworem własnych rąk. Jednakże ani Mohika-nie, ani ja – człowiek biały, bez kropli obcej krwi w żyłach – nie możemy wyjaśnić pochodzenia głosu, który przed chwilą usłyszeliśmy.

–Bardzo dziwne – rzekł Heyward biorąc swe pistolety z miejsca, gdzie je położył, gdy wchodził do pieczary. – Obojętnie, czy jest to znak zapowiadający pokój, czy wojnę, musimy się z nimi liczyć. Przyjacielu, idź naprzód, pójdę za tobą.

Po wyjściu z kryjówki wszyscy natychmiast poczuli się rażniej. Po dusznej

atmosferze pieczary z ulgą odetchnęli chłodnym, orzeźwiającym powietrzem unoszącym się nad wodospadem. Księżyc już wszedł i jego światło błyszczało tu i tam na powierzchni wody, powyżej miejsca, w którym stali nasi bohaterowie, ale sam skalny cypel wciąż jeszcze tonął w mroku. Z wyjątkiem łoskotu spadającej wody i porywistych podmuchów wiatru nad ich głowami cały krajobraz tchnął takim spokojem, jaki roztacza noc w bezludnej okolicy.

–Nie można nic dostrzec prócz mroku i spokoju cudnej nocy – szepnął Duncan. – Koro, kiedy indziej zachwycalibyśmy się taką nocą i tą zapierającą oddech w piersi samotnością. Wyobraź sobie, pani, że jesteś bezpieczna, a wówczas to, co teraz zwiększa twój lęk, będzie źródłem radości...

–Posłuchaj – przerwała Alicja.

Ostrzeżenie nie było potrzebne. Ten sam głos rozległ się ponownie, jakby z koryta rzeki, i wyrwawszy się poza ciasne granice jaru rozbrzmiał po lesie dalekim, zamierającym echem.

–Czy ktoś z nas może określić, co to za krzyk? – zapytał Sokole Oko, gdy już ostatnie echo zamarło w puszczy. – Jeśli tak, niech powie, ale ja myślę, że ten głos nie ma w sobie nic ziemskiego.

–Jest tu ktoś, kto wyprowadzi pana z błędu – powiedział Duncan. – Znam ten krzyk doskonale, nieraz bowiem słyszałem go na polu bitwy i w sytuacjach często spotykanych w życiu żołnierskim. Jest to kwik konia w chwili śmiertelnego lęku, najczęściej wywołany bólem, choć czasem – niezwykłym przestrawieniem. Mego konia albo zaatakowały dzikie zwierzęta, albo przeczuwa niebezpieczeństwo, przed którym nie może się obronić.

Mogłem nie poznać tego głosu, gdy byłem w pieczarze, ale na otwartej przestrzeni zbyt dobrze go znam, by się mylić.

Zwiadowca i Indianie słuchali tego prostego wyjaśnienia z zainteresowaniem ludzi chłonących nowe poglądy, które uwalniają ich od starych, przykrych wierzeń. Dwaj Mohikanie, gdy tylko pojęli sens słów majora, wydali swój zwykły i pełen wyrazu okrzyk „hugh!”, zwiadowca zaś po paru minutach namysłu powiedział:

–Nie zaprzeczam pańskim słowom, ponieważ mało znam się na koniach, choć urodziłem się w kraju, w którym jest ich dużo. Wilki muszą krążyć po brzegu nad ich głowami i przerażone stworzenia wzywają pomocy człowieka najlepiej, jak umieją. Unkasie – powiedział w języku Delawarów – zjedź czółnem i ciśnij palącą się głównię w środek stada, bo strach gotów zdziałać to, co nie uda się wilkom, i rano pozostaniemy bez koni.

Młody Indianin zszedł już nad wodę, by wykonać rozkaz, gdy przeciągłe wycie odezwało się nad brzegiem rzeki i szybko oddaliło się w gąszcz puszczy, tak jakby dzikie zwierzęta przestraszyły się czegoś i uciekły porzucając swój łup.

Unkas, wiedziony instynktem, szybko powrócił na skałę i trzech mieszkańcy puszczy raz jeszcze naradzili się cicho i z powagą.

–Byliśmy jak myśliwi, którzy stracili z oczu gwiazdę przewodnią i dla których słońce zgasło na parę dni – odezwał się wreszcie Sokole Oko odwracając się od swych czerwonoskórych towarzyszy – ale teraz znów zaczynamy dostrzegać znaki na naszej drodze, a nasze ścieżki zostały oczyszczone z cierni. Siądźcie w cieniu, jaki w świetle księżyca rzuca ten buk – jest on gęstszy od cienia sosny – i zaczekamy na to, co Stwórca zechce nam niebawem zesłać.

Zwiadowca nadal zachowywał powagę, ale nie zdradzał najmniejszego lęku. Jego chwilowa niepewność najwyraźniej znikła, gdy pojął tajemnicę, której mimo swego doświadczenia nie mógł zgłębić. I chociaż jasno zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, gotów był mu stawić czoło z energią właściwą jego śmiałej naturze. To samo uczucie zdawali się podzielać obaj Mohikanie, którzy siedli teraz tak, by dobrze widzieć brzegi rzeki, a jednocześnie, by ich stamtąd nie dostrzeżono. W tych warunkach najzwyczajsza przezorność kazała Heywardowi i jego towarzyszom

pójść za przykładem tych doświadczonych ludzi. Młodzieniec przyniósł więc z pieczary naręcze gałązek sassafras, wyciął nimi głęboką rozpadlinę dzielącą obie

pieczary i umieścił w niej siostry. Skały osłaniały je teraz przed kulami, a zapewnienie Heywarda, iż żadne niebezpieczeństwo' nie zdoła ich zaskoczyć, dodało im odwagi. Major znalazł sobie miejsce tuż obok, tak że mógł z nimi rozmawiać bez niebezpiecznego podnoszenia głosu, Dawid zaś, naśladując mieszkańców puszczy, zdołał tak dobrze ukryć swą postać w rozpadlinach skalnych, że jego niezgrabne kończyny zupełnie nie raziły niczyich oczu.

Tak w ciszy mijała godzina za godziną. Księżyc wzniósł się do zenitu i łagodnym, prostopadłym światłem oświecał miły widok ' sióstr, beztrosko śpiących w swych objęciach. Duncan narzucił szeroki szal Kory na ten obraz, który podziwiał z taką rozkoszą, i złożył głowę na poduszce ze skały. Dawid wydawał już nosem tony, które, gdyby nie spał, raziłyby jego muzyczne ucho. Krótco mówiąc, znużeni podróżni zasnęli. Czuwał tylko Sokole Oko i obaj Mohikanie. Niemordowani opiekunowie ani na chwilę nie zmrużyli oka. Leżeli nieruchomi jak skała, jakby do niej przyrosli, i bez przerwy wodzili oczami wzdłuż ciemnej linii drzew porastających brzegi wąskiej rzeki.

Czuwali tak aż do chwili, kiedy księżyc zaszedł i blada smuga brzasku zapowiedziała nadejście dnia.

Wówczas Sokole Oko poruszył się po raz pierwszy: poczołgał się wzdłuż skały i szturchnięciem zbudził Duncana.

–Czas w drogę – szepnął. – Proszę obudzić panie i bądźcie gotowi wsiąść do czółna, gdy tylko przybije do brzegu.

Duncan otrząsnął się ze snu i nie zwlekając zdjął szal okrywający obie śpiące kobiety. Przy tym ruchu Kora uniosła rękę, jakby się broniła, Alicja zaś szepnęła swym słodkim głosem:

–Nie, nie, kochany ojczu, nie byliśmy same, Duncan był przy nas!

–Tak, święta niewinności – szepnął młody człowiek. – Duncan jest tu i pozostanie przy tobie, póki żyje i póki grozi ci niebezpieczeństwo. Koro! Alicjo! Zbudźcie się! Czas w drogę!

Na te słowa usłyszał niespodziewanie głośny krzyk młodszej z sióstr i ujrzał, że Kora stoi przed nim wyprostowana, skamieniała z przerażenia. Nie skończył bowiem mówić, kiedy zerwała się

burza wrzasków tak straszna, że poczuł, jak krew stygnie mu w żyłach, a serce bije gwałtownie.

Nie można było określić kierunku, z którego podniósł się wrzask wypełniający pobliskie lasy i – jak się zdawało przerażonym podróżnym – pieczary wyspy, skały, koryto rzeki i powietrze nad nimi. Dawid wyprostował się na całą wysokość swego ogromnego wzrostu i pośród tego potwornego wrzasku zawołał zatykając rękami uszy:

–Skąd te dysonanse? Czy piekło się rozwarło, że ludzie wydają podobne dźwięki?

Na to niebaczne wystawienie się na cel niefortunnego mistrza śpiewu odpowiedziały z przeciwległego brzegu rzeki jasne błyski i szybki trzask wystrzałów tuzina strzelb. W rezultacie tej strzelaniny Dawid padł nieprzytomny na skałę, na której spał tak długo. Mohikanie mężnym, bojowym okrzykiem odpowiedzieli na straszne wycie swych wrogów, triumfujących na widok upadku Gamuta. Zamigotały gęste błyski szybkich wystrzałów, ale obie walczące strony były zbyt zręczne, by dać się trafić. Duncan z męczącym niepokojem nadstawiał uszu starając się złowić plusk wiosła, sądził bowiem, że tylko ucieczka może ich uratować. Jednakże wody rzeki połyskiwały nie zmacone w swym wartkim biegu, a na ich ciemnej powierzchni nigdzie nie widać było czółna. Toteż zaczął przypuszczać, że zwiadowca bezlitośnie ich porzucił, gdy ze skały nieco poniżej niego wytrysnął długi błysk, a dziki krzyk, natychmiast zagłuszony jękiem konania, oznajmił, że kula wysłana z niezawodnej broni Sokolego Oka była śmiertelna. Nawet tak słaby opór skłonił Huronów do wycofania się i niebawem w puszczy znów zapanowała głucha cisza.

Duncan wykorzystał ten moment, by podskoczyć do Gamuta i przenieść go pod osłonę wąskiej rozpadliny chroniącej obie siostry. W następnej chwili wszyscy zebrali się w tym stosunkowo bezpiecznym miejscu.

–Biedak zdołał ocalić skalp – powiedział Sokole Oko, z niezmaconym spokojem przesuwając dłoń po głowie Dawida. – Jednakże dał nam dowód, że człowiek może się urodzić ze zbyt długim językiem! Na nie osłoniętej skale wystawić na widok rozwścieczonym dzikusom sześć stóp mięsa i kości to oczywiście wariactwo! Unkasie! Wnieś go do pieczary i ułóż na pośłaniu

z sassafrasu. Im dłużej trwa omdlenie, tym lepiej dla niego, wątpię bowiem, czy znajdzie na tych skałach lepsze ukrycie dla swych wielkich kształtów, a śpiewem przeciw Irokezom nic nie

zdziała.

–Sądzi pan zatem, że powtórzą atak? – zapytał Heyward.

–Stracili jednego człowieka, a zawsze gdy ponoszą stratę lub gdy nie uda im się zaskoczyć wroga, cofają się – taki już ich zwyczaj. Ale za chwilę znów się wezmą do dzieła, będą chcieli nas podejść i zdobyć nasze skalpy. Jedyna nadzieja w tym, by utrzymać skałę dopóty, dopóki Munro nie przyśle nam pomocy!

–Koro, słyszysz, czego się mamy spodziewać – powiedział Duncan – i wiesz, że doświadczenie i troskliwość pani ojca pozwala nam nie tracić nadziei. Proszę więc, wejdźcie z Alicją do pieczary. Tam będziecie przynajmniej bezpieczne przed morderczymi kulami wrogów, a nasz nieszczęsny towarzysz znajdzie się pod troskliwą opieką czułych kobiet.

Siostry poszły za nim do zewnętrznej pieczary, gdzie ciężkie westchnienia Dawida świadczyły, że powraca do przytomności. Heyward powierzył ранnego opiece sióstr i zabierał się do odejścia.

–Duncanie! – powstrzymała go drżącym głosem Kora, gdy już stał na progu pieczary. Młody człowiek obejrzał się i spojrzał na Korę, która śmiertelnie blada, z drżącymi wargami patrzyła na niego z wyrazem tak głębokiego uczucia, że natychmiast do niej powrócił. – Pamiętaj pan, Duncanie, że twoje życie wiąże się z naszym, że ojciec obdarzył cię największym zaufaniem i że wszystko zależy od twego rozsądku i ostrożności, słowem – dorzuciła, a krew zdradziecko zarumieniła jej policzki i skronie – że twoja osoba nie bez powodu droga jest każdemu z rodu Munro.

–Nic tak nie mogłoby wzmocnić mego egoistycznego przywiązania do życia, jak miłe słowa, które teraz usłyszałem – odparł Heyward, a jego oczy bezwiednie zwróciły się ku dziewczęcej postaci Alicji, stojącej w milczeniu. – Jako major sześćdziesiątego pułku muszę wziąć udział w walce. Jednakże nasze zadanie będzie łatwe: trzeba tylko przez parę godzin utrzymać w ryzach te

wściekłe psy.

Nie czekając na odpowiedź odszedł od sióstr i przyłączył się do zwiadowcy oraz jego towarzyszy, którzy wciąż jeszcze leżeli ukryci w małej rozpadlinie między dwiema pieczarami.

## 5 – Ostatni Mohikanin

–Powiadam ci, Unkasie – mówił Sokole Oko w chwili, kiedy Heyward przyłączył się do nich – że zbyt szafujesz prochem; strzelba odbija i nie możesz trafić w cel. Mało prochu, lekka kula i jak najdłużej wyciągnięte ramię prawie zawsze wyrwą śmiertelny jęk z gardła Minga! Chodźmy, przyjaciele! Zajmiemy stanowiska, nikt bowiem nie może przewidzieć, gdzie i kiedy Makaowie\* uderzą.

Czuwali długo i z niepokojem, ale nie zaszło nic, co by zapowiadało nowy atak. Duncan począł nawet przypuszczać, że ich ogień był bardziej skuteczny, niż myśleli, i że ostatecznie odparli nieprzyjaciela. Kiedy jednak odważył się podzielić tym przypuszczeniem ze swym towarzyszem, ten przyjął je zaprzeczającym ruchem głowy.

–Nie zna pan Makaów, jeśli pan sądzi, że tak łatwo się wycofają nie zdobywszy ani jednego skalpu! – odparł. – Gdybyż to tylko jeden z tych leśnych diabłów był tu tego ranka, ale ich było przynajmniej czterdziestu! Za dobrze też wiedzą, ilu nas jest i kim jesteśmy, by tak szybko zaniechać polowania. Ledwie Sokole Oko skończył mówić, sponad kilku pni, które woda zniosła i wyrzuciła na nagie skały, wynurzyły się cztery głowy. Za chwilę tuż nad zielonkawą krawędzią wody, nieco powyżej linii wyspy, ukazał się piąty Indianin. Rozpaczliwie walcząc z nurtem usiłował dotrzeć do bezpiecznego punktu i popchnięty przez prąd już wyciągnął rękę, by uchwycić dłoń towarzyszy, gdy nagle znów zapadł w wir wodny i zniknął w ziejącej czeluści. Jeden jedyny dziki i rozpaczliwy krzyk wytrysnął z głębi wodospadu, po czym zapanowała grobowa cisza.

Pod wpływem pierwszego szlachetnego impulsu Duncan chciał skoczyć na ratunek bezradnemu nieszczęśnikowi, ale przykuł go do miejsca żelazny uścisk niewzruszonego zwiadowcy.

–Czy chcesz pan ściągnąć na nas niechybną śmierć wskazując wrogom nasze ukrycie? – surowo zapytał Sokole Oko. – Oszczędziliśmy jeden ładunek prochu, który jest dla nas tak cenny, jak oddech dla ściganego jelenia. Podsyp pan lepiej prochu na panewkę swych pistoletów – mgła z wodospadów mogła zamoczyć siarkę – i przygotuj się do walki wręcz.

Delawarzy nadali członkom Pięciu Plemion nazwę Mingo. Holendrzy przezwali ich Makaami, Francuzi zaś od pierwszego spotkania z nimi ochrzcili ich mianem Irokezów (przyp. autora).

Ledwie skończył, ponowny wybuch okrzyków wstrząsnął puszcza i na ten sygnał czterech dzikich wybiegło spoza pni. Była to chwila tak denerwująca, że Heywarda porwała szalona chęć skoczenia im naprzeciw, jednakże powstrzymał go przykładowy spokój Sokolego Oka i Unkasa. Kiedy bowiem Indianie, krzycząc dziko i skacząc poprzez czarne głązy dzielące obie strony, podbiegli na odległość kilkunastu kroków, Sokole Oko wolno wysunął lufę sztucera zza krzaków i strzelił. Biegący na przedzie Indianin podskoczył niby raniony jeleni i jak długi runął w skalne rozpadliny.

–Teraz, Unkasie! – krzyknął zwiadowca wyciągając swój długi nóż, a jego bystre oczy rozgorzały zapalem. – Bierz ostatniego z tych wrzaskliwych łajdaków, my damy radę pozostałym!

Unkas usłuchał. Mieli już tylko dwóch przeciwników. Heyward podał jeden ze swych pistoletów Sokolemu Oku i obaj pobiegli na spotkanie wrogom. w dół niewielkiego spadku. Wystrzelili jednocześnie, ale chybili.

–Wiedziałem, że tak będzie – mruknął zwiadowca i z goryczą cisnął broń w wiry wodospadu. – Chodźcie tu, wściekłe psy piekielne! Zmierzcie się z czystej krwi białym!

Zaledwie rzucił to wyzwanie, zaatakował go atletycznej budowy Indianin o niezwykle okrutnej twarzy. W tej samej chwili Duncan zwarł się z drugim napastnikiem. Sokole Oko i jego przeciwnik zręcznie chwycili się za przeguby podniesionych rąk, uzbrojonych w błyszczące i niebezpieczne noże. Prawie minutę stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy i coraz bardziej napinając wszystkie mięśnie w tej walce na śmierć i życie. Wreszcie stalowe ścięgna białego wzięły górę nad słabszym ramieniem Indianina. Jego ręka zaczęła drętwieć pod wzrastającym naciskiem zwiadowcy, który nagle wyrwał uzbrojoną pięść z uścisku wroga i silnie pchnąwszy nożem w nagą pierś przebił mu serce. Tymczasem Heywardowi gorzej się wiodło w śmiertelnej walce. Lekka szpada złamała się przy pierwszym starciu. Teraz nie miał już żadnej broni, jego życie zależało wyłącznie od siły mięśni i zdecydowania. I choć nie zbywało mu ani na jednym, ani na drugim, znalazł w swym przeciwniku równego sobie. Na szczęście zdołał go rozbroić, przy czym nóż Indianina upadł na skałę u ich stóp. Teraz więc poczęli zaciekle walczyć nad brzegiem przepaści o to, któremu z nich uda się zepchnąć przeciwnika. Każdy udany chwyt przybliżał ich do skraju urwiska,



gdzie jak Duncan spostrzegł, należało zdobyć się na ostateczny i zwycięski wysiłek. Obaj włożyli weń całą energię i dreptali tuż nad brzegiem otchłani. Heyward czuł na swym gardle zaciśniętą dłoń przeciwnika i widział ponury uśmiech. Zrozumiał, że Indianin raduje się mściwą myślą, iż pociągnie go za sobą w przepaść, i czuł, jak poczyna ustępować silniejszemu przeciwnikowi. W tej okropnej chwili przeżył całą mękę konania. Ale w ostatnim momencie czyjaś ciemna ręka i połyskujący nóż zjawił się przed jego oczami; Indianin zwolnił uścisk, a z jego żył przeciętych wokół kiści trysnęła krew.

Duncan, odciągnięty w tył zbawczym ramieniem Unkasa, wpatrywał się jak urzeczony w wyrażającą zawód i wściekłość twarz swego wroga, który z ponurym i pełnym rozpacz grymasem staczał się w głąb przepaści.

–Do kryjówki! Do kryjówki! – wołał Sokole Oko, który właśnie wyprawił na tamten świat swego przeciwnika. – Do kryjówki, jeśli wam życie miłe! Dopiero jesteśmy w połowie dzieła!

Młody Mohikanin krzyknął triumfalnie i pociągając za sobą Duncana, zwinnie wbiegł na pochyłość, z której zeszedli dla stoczenia walki i na której natychmiast ukryli się wśród przyjaznych im skał i krzaków.

R O

|X

D

I A

Ó

M

...Jeszcze się wahają Mściciele rodzinnego kraju...

Gray

Zwiadowca nie bez powodu krzyknął ostrzegawczo. W czasie opisywanego przez nas śmiertelnego pojedynku żaden głos ludzki nie wdarł się w huk wodospadu. Wydawało się, że Indianie na tamtym brzegu rzeki z zapartym oddechem i z wielkim przejęciem obserwowali przebieg walki, a szybkie ruchy i błyskawiczna zmiana

pozycji walczących całkowicie uniemożliwiały im strzał, jednak niebezpieczny dla wroga, jak i dla swego.

Ale gdy tylko utarczka się skończyła, powietrzem targnął krzyk tak wściekły i dziki, jaki mógł się tylko zrodzić z zażartej nienawiści. Zaraz po nim zagrzechotały strzelby. Strzały poczęły padać salwami, a kule, ołowiane zwiastuny śmierci, jak grad posypały się na skalisty brzeg, jakby oblegający chcieli wyrzucić swą bezsilną złość na nieczulej widowni fatalnych dla nich zmagających.

Odpowiadały im dobrze wymierzone strzały Chingachgooka, który przez cały czas toczących się zapasów nieporuszenie trwał na swym stanowisku.

–Niech trwonią swój zapas prochu – z rozważą powiedział Sokole Oko, gdy kule jedna za drugą gwizdały nad miejscem, gdzie leżeli bezpiecznie ukryci. – Sądzę też, że tym leśnym diabłom / nudzi się to polowanie, zanim stare. głązy wokół nas poczną błagać o łaskę! Unkasie, mój chłopcze, marnotrawisz ziarnka prochu sypiąc go za dużo, a strzelba, która kopie, nigdy nie wypuści celnej kuli. Mówiłem ci, żebyś biorąc na muszkę podskakującego łajdaka mierzył poniżej białej krechy jego malowidła wojennego.

Gdyby tylko twoja kula odchyliła się o włos, ale ona poszła o dwa cale wyżej. W Mingu źródło życia leży nisko, a ludzkie uczucia nakazują nam szybko kończyć ze zmiłjami.

Spokojny uśmiech rozjaśnił dumne rysy młodego Mohikanina dowodząc, iż nie tylko rozumie po angielsku, lecz że pojął również, co zwiadowca miał na myśli. Jednakże nie bronił się ani nie odpowiedział.

Ostrożnie wznosił lufę swej strzelby ku niebu, wskazując przyjaciółom coś, co od razu wyjaśniło tajemnicę. Na prawym brzegu rzeki, niemal naprzeciwko obłożonych, rósł rozłożysty dąb. Drzewo, szukając sobie swobody otwartej przestrzeni, pochyliło się w przód, a jego konary zwisały nad odnogą rzeki. Na szczycie dębu, wśród liści skąpo przysłaniających sękate i karłowate konary, siedział Indianin.

–Ci szatani gotowi wdrapać się na niebo i swą chytryością doprowadzić nas do zguby – powiedział Sokole Oko. – Unkasie, przywołaj ojca. Będziemy potrzebowali całej naszej broni, aby zestrzelić tego chytrego łotra z jego grzędy.

Natychmiast zabrzmiał sygnał i zanim Sokole Oko ponownie nabił swą broń, Chingachgook dołączył się do nich. Gdy syn wskazał ojcu, gdzie siedział groźny wróg, z ust starego, doświadczonego wojownika padł zwykły okrzyk, „hugh!”, po czym żadnym słowem czy okrzykiem nie okazał niepokoju lub zdziwienia. Przez chwilę Sokole Oko poważnie rozmawiał po delawarsku z obu Mohikanami. Potem wszyscy spokojnie zajęli stanowiska, by wykonać powzięty plan. Od chwili, kiedy go

odkryto, Indianin siedzący na dębie strzelał szybko i nieustannie, lecz bez rezultatu. Wreszcie, ośmielony długim i cierpliwym milczeniem swych nieprzyjaciół, zaryzykował celniejszy i bardziej morderczy strzał. Bystre oczy Mohika-nów dostrzegły wówczas ciemną linię jego nóg, niebaczenie wysuniętych spoza skąpego listowia na konarze o parę cali od pnia. Oba strzały odezwały się jednocześnie i Indianin osiadł nagle na zranionej nodze, wystawiając na cel większą część tułowia. Szybki jak myśl Sokole Oko błyskawicznie wykorzystał okazję i wypalił z groźnego sztucera w koronę dębu. Liście poruszyły się gwałtownie. Niebezpieczna dla oblężonych strzelba spadła z dominującej nad nimi wysokości, a zaraz potem wychyliła się cała postać dzikiego, który po kilku daremnych wysiłkach, wciąż jeszcze

kurczowo trzymając się rękami chropowatej gałęzi, zawisł w powietrzu i zaczął kołysać się na wietrze.

Piorun nie byłby szybszy od kuli Sokolego Oka; nogi i ręce Hurona drgnęły i skurczyły się, głowa opadła na piersi i jego ciało jak ołowiana bryła runęło w spienione wody, które zamknęły S1C, na zawsze zacierając w swym nieustannym biegu wszelki ślad po nieszczęśniku.

–Była to reszta prochu z mojego rogu i ostatnia kula z mej torby! Postąpiłem jak młokos! – powiedział Sokole Oko. – Jakież to miało znaczenie, czy spadł na skały żywy czy umarły! Szybko straciłby przytomność! Unkasie, zejdź do czółna i przynieś duży róg. Jest tam cały nasz zapas prochu. Wkrótce będzie nam potrzebny do ostatniego ziarnka.

Młody Mohikanin usłuchał, a zwiadowca z mocno niezadowoloną miną zajął się daremnym trudem przewracania do góry dnem swojej torby i wytrząsania pustego rogu. Ale od tego bezcelowego zajęcia szybko oderwał go głośny i przeszywający krzyk Unkasa. Krzyk ten, nawet dla mało doświadczonego ucha Duncana, zabrzmiał iak zapowiedź nowego i niespodziewanego nieszczęścia. Nie zważając więc na ryzyko, zerwał się na równe nogi, do głębi serca przejęty troską o bezcenny skarb, ukryty w pieczarze. Jego towarzysze, jakby pod wpływem tego samego impulsu, zerwali się również i wszyscy pobiegli w dół ku bezpiecznej rozpadlinie tak szybko, że bezładny ogień Indian nie zrobił im żadnej krzywdy. Niespodziewany okrzyk wywołał również ze schronu ranionego Dawida wraz z obiema siostrami i teraz wszyscy od jednego spojrzenia zrozumieli, co za nieszczęście tak wstrząsnęło ich zawsze opanowanym młodym obrońcą. Niedaleko skały ujrzeli swą małą łódeczkę płynącą poprzez wiry w kierunku głównego, wartkiego nurtu rzeki, a z jej ruchów wynikało, że kieruje nią ktoś ukryty. Na ten widok, zwiastujący nowe nieszczęście, zwiadowca instynktownie podniósł sztucer do oka, jednakże jasna iskra spod skałki nie zapaliła prochu na panewce.

–Za późno, za późno! – zawołał i gorzko rozczarowany opuścił bezużyteczną

strzelbę. – Łajdak dotarł już do nurtu i nawet Rdybyśmy mieli proch, wątpię, czy kula pognałaby za nim tak szybko, jak on teraz płynie.

–Cóż teraz począć? – pytał Duncan, który pod wpływem

męskiej chęci czynu pierwszy ze wszystkich otrząsnął się z przygnębienia – co się z nami stanie?

Sokole Oko zamiast odpowiedzi przesunął palcem wokoło swego ciemienia w sposób tak wymowny, że nikt nie mógł wątpić, co to znaczy.

–Nie, nie, jeszcze nie jest tak źle! – zawołał młody człowiek. – Huroni jeszcze się tu nie przedostali, możemy się bronić w pieczarach, możemy przeszkodzić im w lądowaniu.

–Czym? – spokojnie zapytał zwiadowca. – Strzałami Unkasa czy też łzami kobiet?

–Nasza sytuacja na pewno nie jest taka beznadziejna! – upierał się Duncan. – Może właśnie w tej chwili pomoc jest blisko. Nie widzę wrogów! Zniechęcili się do walki, w której tak wiele ryzykują, a tak mało mogą zyskać.

–Może to trwać minutę, a może godzinę, zanim te podstępne żmije skrycie tu podpełzną – odparł Sokole Oko. – Ale przedostaną się tu na pewno, i to w taki sposób, że nie pozostanie nam już żadna nadzieja. – I zaczął po delawarsku: – Chingachgook, mój bracie, stoczyliśmy ostatnią walkę razem i Makaowie zabiwszy nas zatriumfują nad najmądrzejszym z Mohikanów i nad białym, którego oczy jednakowo widzą w dzień, jak w nocy oraz potrafią przeniknąć przez chmury równie łatwo jak przez wodną kurzawę nad źródłem.

–Kobietom Mingów pozostaw płacz po zabitych – odrzekł Indianin z charakterystyczną dumą i niewzruszonym męstwem. – Unkasie, najwyższa gałęzi szlachetnego drzewa, wezwij tych tchórzów, aby się pośpieszyli, gdyż ich serca gotowe zmięknąć.

–Wśród ryb szukają swoich zabitych – niskim, miękkim głosem odparł młody wódz. – Huroni płyną rzeką obok oślizłych węgorzy. Spadają z dębów jak dojrzałe owoce! A Delawarzy się śmieją!

–Tak, tak – mruknął zwiadowca, z wielką uwagą przysłuchujący się tym szczególnym przemowom Mohikanów. – Rozgrzali swoje indiańskie serca i niebawem sprowokują Makaów do tego, żeby szybko z nimi skończyli. Mnie zaś, czystej krwi białemu, wypada zginąć tak, jak przystoi mojej rasie: bez szyderstwa na ustach i bez goryczy w sercu.

–Po co ginąć! – odezwała się Kora wychodząc ze skalnej

kryjówki, gdzie dotychczas trzymało ją uczucie zrozumiałego strachu. – Macie jeszcze wolną drogę na oba brzegi: uciekijcie – więc w puszcę i błagajcie Boga o pomoc. Idźcie, dzielni ludzie! już i tak za wiele wam zawdzięczamy. Nie chcemy skazywać i was na nasz nieszczęsny los.

–Pani za mało zna przebiegłość Irokezów sądząc, że zostawili otwartą drogę do puszczy! – odrzekł Sokole Oko, jednakże zaraz dodał z całą swoją prostotą: – Dolny nurt rzeki na pewno mógłby nas szybko wynieść poza kule i głos.

–A więc spróbujcie ujść rzeką. Po co zwlekać? Czy po to, by powiększyć liczbę ofiar naszych bezlitosnych wrogów?

–Po co? – zapytał zwiadowca, rozglądając się dumnie. – Dlatego, że lepiej, gdy człowiek umrze w zgodzie z samym sobą, niż gdyby go trapiły wyrzuty sumienia! Jakąż odpowiedź moglibyśmy dać pułkownikowi<sup>1</sup> Munro, gdyby nas zapytał, gdzie i jak opuściliśmy jego dzieci? –<sup>1</sup>kggr

–Idźcie więc do niego<sup>1</sup> i powiedzcie, że opuściliście je po to, by go przywołać na pomoc – odrzekła Kora i w szlachetnym zapale jeszcze bliżej podeszła do zwiadowcy. – Powiedzcie, że Huroni uprowadzili nas w północne lasy i że można nas uratować działając szybko i ostrożnie.

Z surowej, zahartowanej w trudach twarzy zwiadowcy widać było, że intensywnie nad czymś rozmyśla. A gdy Kora skończyła, oparł brodę na dłoni jak człowiek głęboko zastanawiający się nad treścią tego, co usłyszał.

–Te słowa mają sens! – wyrwało się wreszcie z jego zaciśniętych, drżących ust. – Chingachgook! Unkas! Czy słyszeliście, co mówiła czarnooka kobieta?

Począł mówić w języku Delawarów do swych towarzyszy, a jego słowa, choć wypowiedane spokojnie i z namysłem, brzmiały bardzo stanowczo. Starszy z Mohikanów słuchał go z całą powagą i najwidoczniej zastanawiał się nad usłyszanymi słowami, tak jakby zdawał sobie sprawę z ich doniosłości. Po chwili wahania skinął ręką na znak zgody i ze szczególnym akcentem Indianina wypowiedział po angielsku „dobrze”. A następnie, zatknąwszy z powrotem swój nóż i tomahawk za pas, milcząco podszedł do tej krawędzi skały, która była najmniej widoczna z nieprzyjacielskiego brzegu. Tu zatrzymał się na chwilę, znacząco wskazał na część

puszczy leżącą w dole rzeki i powiedział kilka słów we własnym języku, jakby podawał drogę, którą zamierza pójść, zanurzył się w wodę i zniknął z oczu patrzących.

Sokole Oko zatrzymał się na chwilę, by powiedzieć parę słów szlachetnej dziewczynie, która widząc, że jej namowa odniosła skutek, odetchnęła z ulgą.

–Czasem młodzi są równie mądrzy jak starzy – rzekł. – To, co pani powiedziała, jest mądre – by nie szukać lepszego słowa. Jeśli uprowadzą was w puszcze – to jest tych, których na razie oszczędzą – łamcie po drodze gałązki krzewów i pozostawiajcie po sobie jak najwyraźniejsze ślady. Jeżeli tylko zdoła je dostrzec oko ludzkie, możecie być pewni, że macie przyjaciela, który nie opuści was i pójdzie za wami nawet na koniec świata.

To mówiąc uściśnął serdecznie dłoń Kory, podniósł sztucer, przyjrzał mu się z wyrazem głębokiej troski i odłożywszy go ostrożnie na bok, zszedł na brzeg, tam gdzie niedawno zniknął Chingachgook. Chwilę trzymał się skały i ostrożnie rozejrzawszy się wkoło, powiedział z goryczą:

–Gdyby tylko starczyło nam prochu, nigdy by nie doszło do takiej hańby!

Po czym zanurzył się, woda zamknęła się nad jego głową i zniknął z oczu patrzących.

Wszyscy spojrzeli teraz na Unkasa, który z niewzruszonym spokojem stał oparty o chropowatą skałę. Kora zaczęła chwilę, a potem wskazała w dół rzeki i powiedziała:

–Pańscy przyjaciele uszli niepostrzeżeni przez Mingów i teraz są już pewnie bezpieczni. Czy nie czas pójść za nimi?

–Unkas pozostanie – spokojnie odparł młody Mohikanin po angielsku.

–Aby powiększyć okropność pojmania nas przez Mingów i zmniejszyć widoki naszego ratunku? Idź, szlachetny młodzieńcze! – Opuściła wzrok pod płomiennym spojrzeniem Mohikanina i zdając sobie sprawę ze swej władzy nad nim, dodała: – Idź do mojego ojca, jak już powiedziałam, i bądź najbardziej zaufanym z mych posłów. Powiedz, by powierzył ci środki potrzebne do wykupienia córek z niewoli! Idź! Chcę tego i o to cię proszę.

Młody wódz przestał się wahać. Jego stanowcze i spokojne spojrzenie przybrało wyraz posępny. Cichym krokiem przemierzył





skąłę i zanurzył się w spienionej rzece. Ci, którzy pozostali na skale, bał się odetchnąć, dopóki nie ujrzeli, że daleko w dole rzeki wynurzył głowę, by zaczerpnąć powietrza. Potem znów zniknął i już go więcej nie zobaczyli.

Ucieczka trzech przyjaciół zajęła zaledwie parę tak teraz drogocennych minut. Kora, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Unkasa, odwróciła się do Heywarda i powiedziała drżącymi ustami:

–Podobno jesteś świetnym pływakiem, Duncanie. Idź więc za mądrym przykładem, który dali ci prości i oddani nam ludzie.

–Czy takiego dowodu oddania żąda od swego opiekuna Kora Munro? – odparł młody człowiek uśmiechając się smutnie i z goryczą.

–Nie czas teraz na czcze subtelności i błędne poglądy o obowiązkach mężczyzny – odpowiedziała Kora. – W takiej chwili wszyscy mają jednakowe obowiązki. Nam już się pan tu na nic nie przyda, a może pan uratować swe drogocenne życie dla bliższych

przyjaciół.

Duncan nic nie odpowiedział, tylko czule spojrzał na piękną Alicję, która z dziecięcą ufnością przytuliła się do jego ramienia.. – Zważ pan – powiedziała Kora po krótkiej przerwie, w czasie której starała się stłumić bolesne uczucie, silniejsze od strachu – że najgorsze, co może nas czekać, to śmierć: dań, którą wszyscy musimy spłacić z woli Boga.

–Są nieszczęścia gorsze od śmierci – ochrypłym głosem odparł Duncan, zniecierpliwiony naleganiami Kory – którym jednak może zapobiec człowiek gotów życie oddać w waszej obronie.

Kora zaniechała dalszych próśb. Zakryła twarz szalem i pociągnęła za sobą niemal omdlałą Alicję w najdalszy kąt pieczary.

## O Z D Z I A Ł D Z I E W I A ą T

Bądź mi wesoła i pełna ufności, I śmiechem, miła, rozpędź groźne chmury, co ci zawisły na przeczystym czole...

### Śmierć Agrypiny

.Nagle i niemal magiczne przejście od szarpiącej nerwy walki do zupełnej ciszy,

która teraz zapanowała wokół Heywarda, sprawiło, że wszystko wydało mu się gorączkowym snem. Wydarzenia i sceny, których był świadkiem, głęboko wryły mu się w pamięć, a jednak z trudem wierzył w ich prawdziwość. Ciągłe jeszcze niepewny losu tych, którzy zdali się na łaskę bystrego nurtu rzeki, usilnie nasłuchiwał, czy nie dobiegnie go jakiś sygnał lub dźwięk mówiący o wyniku tego ryzykownego przedsięwzięcia. Jednak na próżno wyteżał słuch. Wraz z Unkasem zaginął wszelki ślad po śmiałkach i major zupełnie nie wiedział, co się z nimi stało. W chwili bolesnego zwątpienia postanowił wyrzeć zza skały osłaniającej go przed kulami. Jednakże tak samo daremnie wypatrywał znaku zbliżania się nieprzyjaciół, jak na próżno przed chwilą nasłuchiwał głosu swych towarzyszy. Można by przysiąc, że w lesie na brzegach rzeki znów nie ma żywego ducha.

–Huronów ani śladu – powiedział zwracając się do Dawida, wciąż jeszcze na półprzytomnego po otrzymanym postrzale. – Ukryjmy się w pieczarze, a resztę pozostawmy Opatrzności.

–Przypominam sobie, że połączyłem mój głos z głosem dwóch urodziwych niewiast, by w pieśni wznieść modły i dziękczynienia – odparł wciąż jeszcze oszołomiony mistrz śpiewu – i w tej chwili spotkała mnie ciężka kara za grzechy. Zapadłem w stan podobny do snu, a uszy rozdzierały mi skłócone dźwięki, które jakby dowodziły szaleństwa naszych czasów i świadczyły, że natura zapomniała o swej harmonii.

–Biedaku! Prawdę mówiąc, twoje życie wisiało na włosku! Ale wstań i chodź ze mną. Zaprowadzę cię w takie miejsce, gdzie nie dotrą żadne głosy i gdzie będziesz słyszał tylko własne psalmy.

Dawid na wzmiankę o swym ukochanym powołaniu uśmiechnął się smutno, choć nie bez przelotnego błysku zadowolenia. Nie wahał się już dłużej i pozwolił się wprowadzić tam, gdzie jego znużone zmysły miały znaleźć niczym nie zmacony spokój. Oparłszy się na ramieniu towarzysza, wszedł do wąskiego wlotu pieczary. Duncan zebrał naręcz sassafrasu, przydźwigał do wejścia i starannie je zamaskował nie zostawiając najmniejszego śladu otworu. Za tą słabą barierą zawiesił koce pozostawione przez mieszkańców lasów. Zciemnił w ten sposób głąb pieczary, ale do jej zewnętrznego odcinka bez przeszkód wpadało światło z wąskiego wąwozu, którego dnem płynęła jedna z odnóg rzeki, o kilkanaście jardów dalej łącząca się z siostrzanym odgałęzieniem.

–Nie podoba mi się indiańska zasada poddawania się bez walki, gdy uważają, że sytuacja jest beznadziejna – powiedział zajęty pracą. – Nasza zasada: "póki życia – poty nadziei" dodaje ducha i lepiej odpowiada naturze żołnierza. Pani, Koro, nie będę mówił zbędnych słów pociechy. Hart ducha i trzeźwy umysł powiedzą ci, co przystoi kobiecie. Czy jednak nie moglibyśmy uspokoić tego łkającego w twoich ramionach dziecka?

**–Już jestem spokojniejsza, Duncanie – rzekła Alicja uwalniając się z objęć siostry i usiłując przez łzy nadać twarzy wyraz opanowania. – W tym ukryciu na pewno jesteśmy bezpieczni i nie spotka nas tu żadna krzywda. Możemy też całkowicie zaufać tym szlachetnym ludziom, którzy w naszej obronie narazili się już na tyle niebezpieczeństw.**

**–Teraz nasza miła Alicja mówi, jak przystało córce Munro! – rzekł Heyward zatrzymując się w przejściu, by uścisnąć rękę dziewczyny. – Mając przed sobą takie dwa przykłady odwagi, męczyzna musiałby się wstydzić, gdyby się nie zdobył na bohaterstwo.**

**Gdy przebrzmiał jego głos, zapadła długa, głęboka, niemal nie przerywana oddechem cisza. Świeże ranne powietrze napłynęło do pieczary i jego ożywcze działanie podniosło na duchu ludzi, którzy się tu schronili. W miarę jak minuty mijały i nic nie mąciło spokoju podróżnych, nadzieja poczęła napępniać ich serca.**

Nagle przeraźliwy krzyk na zewnątrz przeszył powietrze.

–Jesteśmy zgtibieni! – krzyknęła Alicja rzucając się Korze w ramiona.

–Jeszcze nie, jeszcze nie – odrzekł zaniepokojony, lecz nieustraszony Heyward. – Krzyk rozległ się na środku wyspy, co znaczy, że Indianie ujrzeli zabitych towarzyszy. Nas jak dotąd nie wykryli, możemy więc jeszcze mieć nadzieję.

Widoki ocalenia były nikłe, a sytuacja niemal rozpaczliwa, słowa Duncana nie poszły jednak na marne, dodały bowiem sił siostróm, które teraz czekały spokojnie, co będzie dalej. Wkrótce po pierwszym okrzyku rozległ się drugi, a w parę chwil później dał się słyszeć gwar głosów ludzkich posuwających się w dół wyspy, od jej górnego skraju do dolnego, aż wreszcie dotarł do nagiej skały nad pieczarami. Tu rozpętała się piekielna wrzawa, jaką mogą wzniecić tylko ludzie, i to ludzie w stanie zupełnego barbarzyństwa.

Nagle w tym zgiełku zerwał się ryk triumfu o parę kroków przed utajonym wejściem do pieczary. Heyward myśląc, że ich odkryto, stracił resztę nadziei. Ale obawa okazała się płonna, usłyszał bowiem, że głosy gromadzą się w pobliżu miejsca, gdzie zwiadowca tak niechętnie rozstał się ze swym sztucерem. W indiańskim żargonie pomieszanych dialektów bez trudu rozróżniał nie tylko oddzielne słowa, lecz i całe zdania wymawiane w kanadyjskiej gwarze. Kilka głosów krzyknęło jednocześnie: La Longue Carabine!\* a w puszczy, na przeciwległym brzegu, echo powtórzyło nazwisko, które – jak Heyward pamiętał – nadali słynnemu myśliwemu i jednocześnie zwiadowcy armii angielskiej jego wrogowie i które – jak się teraz po raz pierwszy dowiedział – nosił ich niedawny towarzysz niedoli.

–La Longue Carabine! La Longue Carabine! – podawano sobie z ust do ust, aż wreszcie wydawało się, że cała zgraja skupiła się wokół zdobyczy, która miała świadczyć o śmierci groźnego właściciela długiej strzelby. Po hałaśliwej naradzie, zagłuszanej od czasu do czasu wybuchami dzikiej radości, Indianie zabrali się do poszukiwania ciała swego wroga, które – jak Heyward mógł wywnioskować z ich rozmów – spodziewali się znaleźć w jakiejś rozpadlinie wyspy.

La Longue Carabine (franc.) – Długa Strzelba.

–Teraz – szepnął drżącym z przerażenia siostróm – teraz nadeszła krytyczna chwila! Jeśli nie dostrzegą naszej kryjówki, będziemy ocaleni! W każdym razie z tego, co mówili, wiem, że nasi przyjaciele uszli im i że za jakieś dwie godziny możemy spodziewać się pomocy od Webba.

**Na parę minut zapadła straszliwa cisza, podczas której – Heyward dobrze o tym wiedział – dzicy szukali dalej, z jeszcze większą pilnością i jeszcze dokładniej. Widocznie kręcili się koło wejścia, słyszał bowiem trzask łamanych gałązek i szelest zwiędłych liści sassafrasu pod ich stopami. Aż wreszcie stos gałązek nieco się osunął, róg zasłony opadł i słaby promyk światła zajrzał do wnętrza pieczary. Przerazona Kora mocno przycisnęła do siebie Alicję, a Duncan zerwał się na równe nogi. W tej chwili okrzyk z samego środka wysepki oznajmił, że dzicy dostali się w końcu do sąsiedniej pieczary.**

**Wewnętrzne przejścia łączące dwie pieczary były bardzo krótkie, toteż Duncan uznał, że nie da im się dłużej ukrywać. Stał więc przed Dawidem i siostrami, aby przyjąć na siebie furię pierwszego ataku. Było mu już wszystko jedno, przyciągnął więc bliżej wątłą zasłonę, która odgradzała go od znajdujących się zaledwie o parę kroków bezlitosnych prześladowców, i przyłożywszy twarz do szczeliny z rozpacziwą obojętnością patrzył, co robią dzicy.**

**Nie dalej niż na odległość ramienia zobaczył brązowe bary olbrzymiego Indianina, który basowym i pewnym siebie głosem kierował ruchami swych towarzyszy. Za nim dojrzał głębię drugiej pieczary wypełnioną dzikimi, szperającymi po kątach i plądrującymi ubogie mienie zwiadowcy. Krew z rany Dawida zabarwiła liście sassafras, które – jak dzicy o tym dokładnie wiedzieli – o tej porze roku jeszcze się nie czerwienią. Gdy ujrzeli ten dowód zwycięstwa, zawyli jak sfera psów, która odnalazła zgubiony ślad tropionej zwierzyny. Po tym okrzyku triumfu rozciągnęli wonne posłanie zwiadowcy i wywlekli gałęzie do rozpadliny dzielącej pieczary, gdzie rozrzucili je na wszystkie strony, jakby podejrzewali, że ukrywają człowieka, którego od dawna bali się i nienawidzili. Jeden dziko i okrutnie wyglądający wojownik podszedł do wodza z naręczem gałęzi, pokazał mu z triumfującą miną ciemnoczerwone plamy na liściach, po czym cisnął gałęzie na nie\* wielki stos ułożony przez Duncana przed wejściem do drugiej**

/1

pieczary i zasłonił mu widok, inni dzicy poszli za przykładem swego towarzysza i w miarę jak wyciągali gałęzie z pieczary, rzucali je na stos, nie wiedząc, że w ten sposób ukrywają tych, których szukali.

Widząc, jak zasłona ustępuje pod naporem z zewnątrz, a osiadające gałęzie wypełniają skalną rozpadlinę i tworzą gęstą przegrodę, Duncan po raz wtóry westchnął z ulgą. Tymczasem Indianie jak na komendę zmienili swój pierwotny zamiar. Zwartym tłumem wybiegli z pieczary i popędzili w górę wyspy, do miejsca skąd przyszli. Po chwili żalosne okrzyki oznajmiły, że znów zgromadzili się przy zwłokach swych towarzyszy.

Dopiero teraz Duncan odważył się spojrzeć na obie siostry i na Dawida. W najbardziej krytycznych chwilach, gdy niebezpieczeństwo było bliskie, obawiał się, że niepokój malujący się na jego twarzy mógłby powiększyć lęk obu kobiet, nieprzywykłych do tak straszliwych przeżyć.

–Odeszli, Koro! – szepnęła. – Alicjo, jesteśmy uratowani! Chwała niech będzie Panu, bo tylko On wybawił nas z rąk tak bezlitosnych wrogów!

–A więc dziękuję Bogu! – zawołała Alicja. Uwolniła się z objęć Kory i w przypiływie bezgranicznej wdzięczności uklękła na twardej skale. Pełne wyrazu oblicze mówiło, jak gorąco dusza dziewczyny pragnie zatopić się w dziękczynnej modlitwie.

Lecz gdy usta się poruszyły, jakby nagły podmuch chłodu zmroził słowa. Rumieniec ustąpił miejsca śmiertelnej bladości, słodkie i wilgotne oczy stężały i zwęziły się pod wpływem przerażenia, ręce złożone i wzniesione ku niebu, opadły wskazując kurczowym ruchem palców przed siebie. Heyward natychmiast spojrział w tym kierunku i zobaczył wyglądającą sponad skalnego występu, tworzącego wysoki próg otwartego wylotu pieczary, złą, okrutną i dziką twarz Przebiegłego Lisa.

Heyward nie stracił głowy. Z obojętnego wyrazu twarzy Indianina domyślił się, że jego oczy nawykłe do otwartej przestrzeni nie oswoiły się jeszcze z mrokiem panującym we wnętrzu pieczary. Pomyślał nawet, by się cofnąć za załom skalnej ściany, który mógłby ich ukryć, lecz z nagłego błysku na twarzy Indianina zrozumiał, że już jest za późno i że zostali wykryci.

Spojrzenie pełne radości i dzikiego triumfu, które oznajmiło mu

tę straszną prawdę, mogło każdego wyprowadzić z równowagi, nic więc dziwnego, że krewki młodzieniec zapomniał o wszystkim, zmierzył z pistoletu i strzelił.

**Odgłos wystrzału huknął w pieczarze jak wybuch wulkanu, a gdy prąd świeżego powietrza z wąwozu rozwiął dym spalonego prochu, miejsce, w którym przed chwilą ukazała się twarz zdradzieckiego przewodnika, było puste. Heyward doskoczył do wylotu pieczary i ujrzał smagłą postać Przebiegłego Lisa chyłkiem okrążającą niski i wąski występ skały, za którym niebawem całkowicie się skryła.**

**Na huk z głębi skały Indianie ucichli. Dopiero kiedy Przebiegły Lis donośnym i przeciągłym głosem zawołał do nich, z ust tych, którzy go usłyszeli, wyrwał się żywiółowy okrzyk odpowiedzi. Zgiełk jął znów szybko przesuwać się w dół wyspy i zanim Duncan zdołał przyjść do siebie, wzniesiona przez niego słaba bariera z gałęzi rozleciała się na wszystkie strony. Pieczara z dwóch stron jednocześnie zapełniła się Indianami; majora i jego towarzyszy wyciągnięto z ukrycia na światło dzienne, gdzie stali teraz otoczeni przez całą zgraję triumfujących Huronów.**

**ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

**Boję się, byśmy nie przespali ranka, Tak jak czuwaniem okpiiliśmy noc.**

**Sen nocy letniej**

**Wtedy osłabł wstrząs wywołany nagłą, nieszczęśliwą zmianą losu, Duncan począł obserwować wyraz twarzy i zachowanie się Indian. Wbrew zwyczajowi, upojeni radością zwycięstwa, oszczędzili nie tylko obie drżące ze strachu siostry, ale i jego.**

**Łakomymi oczami, z barbarzyńskim pożądaniem świecidełek patrzyli na bogate ozdoby jego munduru i dotykali ich ręką. Dopuściliby się – jak zwykle w podobnych wypadkach – aktu przemocy, lecz gdy podnieśli ręce, powstrzymał ich stanowczy rozkaz wysokiego wojownika, o którym już wspomnieliśmy. Hey-ward zrozumiał, że Indianie oszczędzą ich z jakichś szczególnych względów.**

**Ale te objawy słabości zdradzali tylko młodzi i lekkomyślni Indianie, natomiast doświadczeni wojownicy dalej pilnie przetrząsali obie pieczary, co wskazywało, że bynajmniej nie są zadowoleni ze zdobyczy, którą wyciągnęli na światło dzienne. Nie mogąc znaleźć żadnej nowej ofiary, mściwi Huroni podeszli do uwięzionych mężczyzn i poczęli powtarzać nazwisko La Longue Carabine z jawną pogroźką. Duncan udawał, że nie rozumie tych wielokrotnych i gwałtownych pytań, jego towarzyszowi zaś los oszczędził podobnego kłamstwa, bo nie znał francuskiego. Wreszcie zmęczony naleganiami Indian i bojąc się, że uporczywym milczeniem może ich rozdrażnić, Duncan poszukał oczami Maguy, który mógł przetłumaczyć jego odpowiedź.**

**Magua stał w pewnej odległości od jeńców, a jego spokojna, wyrażająca zupełne zadowolenie postawa wskazywała, że osiągnął najwyższy cel swej zdrady. Kiedy Heyward po raz pierwszy napotkał wzrok swego niedawnego przewodnika, odwrócił**



się co prędzej, przerażony złowrogim choć spokojnym spojrzeniem jego oczu. Przewyciężył jednak odrazę i nie patrząc na Maguę, odezwał się do niego:

–Przebiegły Lis jest prawdziwym wojownikiem – powiedział niechętnie – i dlatego powie bezbronnemu mężczyźnie, co mówią jego zwycięzcy.

–Biała twarz słyszy – odpowiedział Magua z niewzruszoną obojętnością. – Czerwonoskórzy Huroni domagają się życia Długiej Strzelby albo krwi tych, którzy go ukrywają!

–Długiej Strzelby nie ma, odszedł. Huroni już go nie osiągną.

Lis uśmiechnął się pogardliwie i odpowiedział:

–Kiedy biały człowiek umiera, myśli, że zyskuje spokój, ale czerwonoskórzy potrafią torturować nawet duchy swych wrogów. Gdzie jest jego ciało? Niech Huroni ujrzą jego skalp!

–Długa Strzelba nie umarł, uszedł. Magua z niedowierzaniem potrząsnął głową.

–Czyż jest ptakiem, by mógł rozwinąć skrzydła, albo może jest rybą i pływa bez powietrza? Biały wódz czyta swe księgi i myśli, że Huroni to głupcy!

–Długa Strzelba, choć nie jest rybą, umie pływać. Popłynął w dół rzeki, kiedy wyczerpał już cały zapas prochu i kiedy chmura przesłoniła oczy Huronów.

–A dlaczego biały wódz pozostał? – wciąż jeszcze nie wierząc zapytał Indianin. – Czy jest on kamieniem, który pójdzie na dno, albo może skalp pali mu głowę?

–Że nie jestem kamieniem, mógłby potwierdzić, gdyby jeszcze żył, towarzysz Przebiegłego Lisa, który spadł w odmęty – odparł rozgniewany młody człowiek posługując się w złości pyszałkowa-tym językiem, który mógł tylko wzbudzić podziw Indianina. – Biały człowiek uważa, że jedynie tchórze opuszczają swoje kobiety.

Magua zmełł w zębach kilka niedosłyszalnych słów i dopiero

potem odpowiedział głośno:

–Czy Delawarzy potrafią pływać równie dobrze, jak pełzać w krzakach? Gdzie jest Le Gros Serpent\*?

Duncan, który słysząc te kanadyjskie przezwiska zrozumiał, że wrogowie lepiej znają jego niedawnych towarzyszy niż on, odpowiedział niechętnie:

–Też popłynął w dół rzeki.

–A Cerf Agile także odszedł?

–Nie wiem, kogo nazywacie Rączym Jeleniem – odparł Duncan korzystając z pretekstu, by zyskać na czasie.

–Unkasa – odparł Magua wymawiając delawarskie imię z jeszcze większą trudnością niż angielskie słowa.

–Jeżeli myślisz o młodym Delawarze, to i on popłynął w dół rzeki.

Dla Indianina nie było nic nieprawdopodobnego w tego rodzaju ucieczce. Magua uwiśrzył więc w to, co usłyszał, z gotowością, która m'iała dowieść, że nisko ceni sobie tak mało ważnych jeńców. Jednakże jego towarzysze byli najwidoczniej innego zdania.

Czekali na wynik tej krótkiej rozmowy ze zwykłą im cierpliwością oraz w milczeniu, które stopniowo' ogarnęło całą zgraję. A kiedy Heyward skończył mówić, wszyscy jak jeden mąż zwrócili oczy na Maguę, wymownymi spojrzeniami domagając się wyjaśnień. Magua wskazał na rzekę i wytłumaczył im wszystko posługując się gestami, które poparł kilku krótkimi słowami. Dzicy, zrozumiałwszy, co się stało, podnieśli straszliwy wrzask, który świadczył, że doznali wielkiego zawodu. Duncan czuł, że serce w nim zamiera za każdym razem, gdy któryś z okrutnych Indian zbliżał się do bezbronnych siostr lub gdy przestawał wodzić posępnyimi oczami i wlepiął wzrok w wątle kobiety, zbyt słabe, by oprzeć się choćby najłżejszemu atakowi.

Ale te jego obawy znacznie zmalowały, kiedy zobaczył, że wódz Huronów zwołał wojowników na naradę. Z tego, że wszyscy, nieliczni zresztą mówcy często wskazywali w kierunku obozu Webba, wynikało wyraźnie, że obawiają się niebezpieczeństwa z tamtej strony. Ten wzgląd zapewne przyspieszył decyzję i skłonił ich do natychmiastowego ruszenia w drogę.

W czasie tej krótkiej narady Heyward, który znów nabrał nieco

Le Gros Serpent (franc.) – Wielki Wąż.

otuchy, miał dość czasu, by podziwiać ostrożność, z jaką Huroni, nawet po zakończonej walce, podpłynęli do wyspy.

Jak mówiliśmy, jej górną część stanowiła naga skała, bez żadnej osłony oprócz kilku tu i ówdzie leżących pni wyrzuconych przez wodę. Indianie wybrali właśnie to miejsce do lądowania i w tym celu przenieśli czółno przez las, obchodząc wodospad. Dwunastu wojowników uczepliło się boków małego stateczku, na którym umieścili broń. Dwaj najzręczniejsi z nich kierowali tym czółnem, stojąc w nim w ten sposób, że widzieli całą niebezpieczną przeprawę. Dzięki temu dzicy dotarli do szczytu wyspy w miejscu, w którym pierwsi ryzykanci ponieśli śmierć. Tym razem przeważali liczebnie nad przeciwnikiem i mieli z sobą broń palną. Duncan nie wątpił, że lądowanie tak się odbyło, ponieważ teraz Indianie przenieśli czółno ze szczytu wyspy i spuścili je na wodę obok wylotu zewnętrznej pieczary. Gdy to zrobili, wódz dał jeńcom znak, by zeszli i wsiedli do czółna.

Opór był niemożliwy, a jakikolwiek protest bezcelowy, Heyward więc dał przykład posłuszeństwa i pierwszy zszedł do czółna, a za nim wsiadły siostry i wciąż jeszcze osłupiały Dawid. Huroni oczywiście nie znali wąskich przesmyków między wirami i prądami rzeki, ale dzięki swemu doświadczeniu mogli przewyciężyć trudności przeprawy. Kiedy wojownik, który miał sterować czółnem, stanął na swym miejscu, pozostali weszli do wody i łódka pomknęła w dół rzeki. Po paru minutach jeńcy stanęli na południowym brzegu, prawie naprzeciw miejsca, do którego przybili poprzedniego wieczoru.

Tu odbyła się druga, krótka, lecz bardzo poważna narada. Tymczasem wyprowadzono z leśnej kryjówki konie, których panicznemu przestraszowi przypisywali ich właściciele najgorsze ze swych nieszczęść. Teraz oddział Huronów podzielił się na dwie grupy. Wysoki wódz, o którym już wspominaliśmy, dosiadł konia Heywarda i poprowadził większą część Indian na drugi brzeg rzeki. Niebawem grupa ta zniknęła w lesie. Jeńcy pozostali pod strażą sześciu dzikich, którym przewodził Przebiegły Lis.

Z niezwykle u Indian umiarkowania Duncan snuł nadzieję, że oszczędzają go jako jeńca, którego chcą wydać Montcalmowi. Umysł ludzki w nieszczęściu rzadko kiedy próżnuje, fantazja zaś nigdy nie jest tak czynna, jak w chwilach, gdy pobudza ją choćby

najsłabsza i najbardziej daleka nadzieja, dlatego Duncan wyobraził sobie, że wróg postara się wykorzystać ojcowskie uczucie pułkownika Munro, by namówić go do zdrady. Wprawdzie dowódca wojsk francuskich dzięki swej odwadze i przedsiębiorczości cieszył się jak najlepszą sławą, jednakże uważano go również za mistrza w tych politycznych posunięciach, które nie zawsze czynią zaość surowym nakazom moralności i które tak bardzo zniesławiały europejską politykę owych czasów.

Wszystkie te mozolne i przemyślnie rachuby obróciło wniwecz zachowanie się zwycięzców. Ta część zgrai, która poszła za olbrzymim wojownikiem, pomaszerowała ku krańcowi jeziora Horican, jeńcy musieli więc pogodzić się z tym, że pozostaną na łasce swych dzikich wrogów. Duncan, naglony chęcią dowiedzenia się czegoś, bodaj najgorszego, i gotów w razie konieczności odwołać się do potęgi złota, przewyciężył swój wstręt i zagadnął Maguę. Przemówił do swego niedawnego przewodnika, który przybrał teraz postawę dowódcy oddziału, tonem tak przyjaznym i ufnym, na jaki tylko mógł się zdobyć:

–Chciałbym pomówić z Maguą o tym, co może usłyszeć tylko tak wielki wódz jak on.

Indianin pogardliwie spojrział na młodego oficera i odpowiedział:

–Mów, drzewa nie mają uszu!

–Ale czerwonoskórzy Huroni nie są głusi, a narada, która jest dobra dla wodzów plemienia, może zawrócić w głowie młodemu wojownikom.

Dziki niedbałym tonem powiedział coś do swych towarzyszy, którzy właśnie po swoim i jak zwykle niezręcznie siodłali konie dla siostr, odszedł nieco na bok i nieznacznie skinął na Heywarda.

–Teraz mów – powiedział – jeżeli twoje słowa są warte, aby Magua je słyszał.

–Przebiegły Lis dowiódł, że godzien jest zaszczytnej miana, które nadali mu jego kanadyjscy ojcowie – zaczął Heyward. – Dowiódł, że jest nie tylko wielkim wodzem na radzie, ale umie też zwieść swoich wrogów!

–Cóż zrobił Przebiegły Lis? – chłodno zapytał Indianin.

–Jak to! Czyż nie widział, że lasy pełne są czyhających wrogów i że nawet wąż nie zdoła niepostrzeżenie prześliznąć się między



nimi? Czy wobec tego nie zmylił drogi, by mieć wzrok Huronów? Czy nie udał, że wraca do swego plemienia, które go skrzywdziło i odpędziło od swych wigwamów jak psa? A kiedy odgadliśmy jego zamiary, czy nie pomogliśmy mu udając jego wrogów po to, by Huroni myśleli, że biały człowiek uważa swego przyjaciela za zdrajcę? Czy to nieprawda? A kiedy Przebiegły Lis dzięki swej mądrości przymknął oczy swym braciom i zatkał im uszy, czy nie zapomnieli oni o krzywdzie, którą mu kiedyś wyrządzili, i o tym, że zmusili go, by uciekł do Mohawków? I czy nie zostawili go na południowym brzegu rzeki wraz z jeńcami i nie poszli jak głupcy na północ? Czy Magua nie zamierza zawrócić jak lis po swych śladach i odprowadzić córki bogatemu i siwemu Szkotowi? Tak, Magua, widzę to wszystko i już myślałem, jak wynagrodzić tak wielką mądrość i uczciwość. Po pierwsze, komendant fortu William Henry wynagrodzi taką usługę, jak wypada wielkiemu wodzowi. Co do mnie zaś, to nie wiem, jak przewyższyć wdzięczność Szkota, ale... tak... ja...

–Co da mi młody wódz, który przyszedł z kraju, gdzie wschodzi słońce? – zapytał Huron zauważywszy, że Heyward waha się wymienić rzecz, która stanowi szczyt marzeń Indianina.

–Sprawi on, że woda ognista z wysp na słonym jeziorze popłynie przed wigwamem Maguy szybciej niż wody huczącego Hudsonu, aż jego serce stanie się lżejsze od piór kolibra, a oddech słodszy niż zapach dzikiego wiciokrzewu.

Przebiegły Lis z powagą wysłuchał powolnie wygłaszanego, chytrego przemówienia Heywarda. Zastanawiał się chwilę, a następnie położywszy rękę na prymitywnym opatrunku z liści okrywającym zranione ramię, zapytał z naciskiem:

–Czy przyjaciele pozostawiają takie znaki?

–Czy La Longue Carabine zraniłby tak lekko nieprzyjaciela?

–Czy Delawarzy skradają się jak węże, by ukąsić tych, których lubią?

–Czy Wielki Wąż pozwoliłby się usłyszeć cudzym uszom, gdyby chciał, by pozostały głuche?

–A czy biały wódz pali proch wprost w twarze swych braci?

–A czy chybia on celu, kiedy poważnie myśli o zabijaniu? – odparł Duncan uśmiechając się z dobrze udaną szczerością.

Nowa, długa i pełna namysłu pauza zapanowała po tych treści-

wych pytaniach i błyskawicznych odpowiedziach. Duncan spostrzegł, że Indianin waha się. Chcąc więc przyspieszyć zwycięstwo zabierał się właśnie do ponownego wyliczenia nagród, gdy Magua machnął ręką i powiedział:

–Dość. Przebiegły Lis jest mądrym wodzem, a co zrobi, to się okaże. Odejdź i nie gadaj. Kiedy Magua przemówi, będziesz mógł odpowiedzieć.

Heyward zauważył, że jego rozmówca nie odrywa oczu od reszty Indian, odszedł więc, by go nie podejrzewano o znowę z wodzem. Magua zaś podszedł do koni i udał, że jest bardzo zadowolony z pomysłowości i staranności, z jaką je osiodłano. Następnie dał znak Heywardowi, by pomógł siostrąm dosiąść wierzchowców, rzadko bowiem raczył mówić po angielsku i tylko wtedy, gdy musiał.

Nie było już żadnego rozsądnego pretekstu do zwłoki, Duncan musiał więc, choć niechętnie, usłuchać rozkazu. Gdy pomagał dosiąść koni drżącym z przerażenia kobietom, szepnął im kilka słów o nowych widokach ratunku. Kobyłę Dawida zabrali Indianie z oddziału wysokiego wodza, dlatego też jej właściciel, tak jak i Duncan, musiał wędrować piechotą. Duncan jednak zbytnio tego nie żałował, ponieważ pozwalało mu to opóźnić marsz całego oddziału. Wciąż jeszcze zwracał tęskne spojrzenie w kierunku fortu Edwarda i – niestety daremnie – wytężał słuch w nadziei, że doleci go odgłos zbliżającej się pomocy.

Kiedy wszystko już było gotowe, Magua dał hasło do wymarszu i sam ruszył na czele oddziału. Za nim szedł Dawid, który, w miarę jak wracał do siebie, poczynął zdawać sobie sprawę ze swej przykrew sytuacji. Siostry jechały za nim, obok nich kroczył Heyward. Indianie zaś szli po bokach i zamykali pochód zachowując nieustrudzoną czujność.

W ten sposób posuwali się naprzód w niezmałconej ciszy, którą jedynie od czasu do czasu przerywały słowa pociechy rzucane przez Heywarda niewiastom lub też pobożne okrzyki Dawida.

Szli na południe, w kierunku przeciwnym do drogi wiodącej do fortu William Henry. Mimo że Magua najwidoczniej pozostał wierny zwycięskim Indianom, Heyward nie mógł uwierzyć, by łatwo zapomniał o podsuniętej mu kuszącej przynęcie. Zbyt dobrze jednak wiedział, że Indianie lubią kręte dróżki, nie wierzył więc,

by obrany przez nich kierunek prowadził prosto do celu, zwłaszcza teraz, kiedy musieli się uciec do podstępu.

Heyward pilnie obserwował bieg słońca, którego prostopadłe promienie przedzierały się już przez gałęzie drzew, i niecierpliwie czekał chwili, kiedy Magua przestanie

kluczyć i ruszy w kierunku bardziej odpowiadającym nadziejom jeńców. Chwilami zdawało mu się, że ostrożny Indianin nie wierzy, iż zdoła wymknąć się Montcalmowi, i zdąży do znanej pogranicznej osady, w której mieszka i ma wielkie dobra ziemskie pewien słynny oficer królewski, wielki przyjaciel Sześciu Narodów. Oczywiście byłoby znacznie lepiej, gdyby ich oddano w ręce sir Williama Johnsona, niż uprowadzono w puszcze Kanady. Jednakże aby dotrzeć do posiadłości sir Williama, musieliby przebyć lasami wiele uciążliwych mil, każdy zaś krok oddalał Duncana od terenu działań wojennych, a więc i od miejsca, do którego wzywał go nie tylko honor, lecz i obowiązek.

Ze wszystkich jeńców jedynie Kora pamiętała o poleceniu zwiadowcy, udzielonym im przy pożegnaniu, i przy każdej sposobności wyciągała rękę usiłując nadłamać gałąź. Ale Indianie byli tak czujni, że zadanie okazało się zarówno trudne, jak niebezpieczne. Często, napotykając ponure spojrzenia ich uważnych oczu, Kora rezygnowała ze swego zamiaru i musiała udawać, że pod wpływem przerażenia, którego zresztą nie czuła, odruchowo, po kobiecemu osłania się ręką. Jeden jedyny raz udało jej się złamać gałązkę rozrośniętego sumakowego drzewa i pod wpływem błyskawicznej myśli upuściła w pobliżu jedną ze swych rękawiczek. Ten znak, pozostawiony dla tych, którzy mogliby iść ich śladem, zauważył jeden z Indian. Podniósł rękawiczkę, oddał ją Korze i połamał pozostałe gałęzie tak, by wyglądało, że uczyniły to szamocące się zwierzęta, a potem położył rękę na tomahawku z tak wymownym spojrzeniem, że Kora musiała zaprzestać dalszych prób skrytego znaczenia drogi.

Nie można było też liczyć, że pomoc nadejdzie po śladach kopyt końskich, albowiem oba oddziały Indian miały konie.

Heyward zdobyłby się może na jakiś protest, gdyby nie odbierało mu nadziei ponure, pełne rezerwy zachowanie się Przebiegłego Lisa, który rzadko oglądał się na idących za nim i ani razu nie otworzył ust. Kierując się jedynie słońcem i znakami dostępnymi



tylko Indianom, szedł przez monotonną gęstwę sosen, przecinał czasem urodzajne doliny, przebywał potoki, strumyki i faliste wzgórza jak ptak, prosto i z instynktowną nieomylnością. Zmęczenie jakby się go nie imało. Za każdym razem, gdy wzrok znużonych jeńców odrywał się od butwiejących liści, po których szli, widzieli przed sobą ciemną postać Indianina sunącą między pniami drzew, z pochyloną do przodu nieruchomą głową, ozdobioną na ciemieniu wiotkim piórem, kołyszącym się przy każdym ruchu.

Jednocześnie zarówno ta pilność, jak i szybkość miały swój cel. Po przebyciu płytkiego jaru, którego dnem płynął kręty, bystry potok, Magua nagle począł się wspinać na wzgórze tak strome i trudne do przejścia, że obie siostry musiały zsiąść z koni, by móc iść za nim. Kiedy wszyscy dotarli do szczytu wzgórza, znaleźli się na płaszczyźnie z rzadka zarośniętej drzewami. Magua wygodnie wyciągnął się pod jednym z nich, jakby szukał tu odpoczynku, którego wszyscy tak bardzo pragnęli.

## ROZDZIAŁ

### JEDENASTY

S z a j 1 o k:

I niech przeklęte będzie moje plemię,

Gdybym mu miał przebaczyć...

Kupiec wenecki

Indianin wybrał na odpoczynek jeden z owych stromych i stożkowatych pagórków, które przypominają kopce wzniesione ręką ludzką, jakie często spotyka się w dolinach Ameryki. Pagórek był wysoki i spadzisty. Szczyt jak zwykle miał spłaszczony, ale jedno z jego zboczy było bardziej strome niż normalnie. Na miejsce wypoczynku nadawał się tylko dlatego, że był wysoki, a jego kształt ułatwiał obronę i prawie uniemożliwiał zaskoczenie. Hey-ward, który zwątpił już w nadejście pomocy po tak długim czasie i tak daleko od fortu Edwarda, przyglądał się okolicy bez najmniejszego zainteresowania i myślał tylko o tym, by pocieszyć swe towarzyszek i ulżyć ich doli. Puszczane luzem narragansetty skubały gałązki drzew i krzaków skąpo porastających szczyt wzgórza. Jeńcy rozłożyli resztki żywności w cieniu buku, którego konary tworzyły w górze rodzaj baldachimu.

Mimo że uciekali szybko, jednemu z Indian udało się ubić z łuku zabłąkanego jelonka, a potem wytrwale niósł na ramieniu najbardziej smakowite części mięsa swej zdobyczy aż do miejsca odpoczynku. Tu, nie uciekając się do pomocy sztuki

**kulinarnej, wraz z towarzyszami zabrał się natychmiast do pożerania tego łatwostrawnego pożywienia. Tylko Magua, samotnie siedząc na uboczu, pogrążony w myślach, nie uczestniczył w tym odrażającym**

**posiłku.**

**To umiarkowanie niezwykle u Indianina w chwili, kiedy mógł zaspokoić głód, zwróciło wreszcie uwagę Heywarda. Młody czło-**

wiek chętnie uwierzył, iż Huron rozmyśla, jak najlepiej oszukać czujność swych indiańskich sojuszników. Chcąc dopomóc mu jakimś własnym pomysłem i jeszcze bardziej podniecić pożądanie darów, wyszedł z cienia i – pozornie błakając się bez celu – podszedł do niego.

–Czy Magua dość długo patrzył słońcu w twarz i czy dzięki temu nie grozi nam już niebezpieczeństwo ze strony Kanadyjczyków? – zapytał, jakby nie wątpił, że się dogadali. – Czy komendant fortu William Henry nie będzie bardziej zadowolony, jeśli ujrzy swe córki, zanim zapadnie druga noc, podczas której jego serce może oswoić się ze stratą, co sprawi, że nagroda nie będzie już taka hojna?

–Czy blade twarze mniej kochają swe dzieci rano niż w nocy? – chłodno zapytał Indianin.

–Bynajmniej – odparł Heyward usiłując co prędzej naprawić błąd, jeżeli go popełnił.  
– Często zdarza się, że biały zapomina

o grobach swych ojców. Czasem zapomina o tych, których powinien i których obiecał kochać, ale miłość ojca do dziecka nigdy nie umiera.

–A czy serce siwowłosego wodza jest czułe i czy będzie on myślał o dzieciątkach, które dały mu jego żony? Jest nieubłagany dla swych wojowników, a oczy ma z kamienia!

–Jest on surowy dla leniwych i złych, ale dla trzeźwych

1 zasługujących na to jest wodzem sprawiedliwym i wyrozumiałym. Znałem wielu kochających i czułych ojców, ale nigdy nie spotkałem człowieka, który by bardziej kochał swe dzieci. Ty, Magua, widziałeś siwowłosego przed frontem wojowników, ale ja widziałem go, jak płakał, gdy mówił o swoich córkach, które masz teraz w rękę.

Umilkł na chwilę, bo nie wiedział, jak sobie wytłumaczyć dziwne zmiany na śniadej twarzy uważnie słuchającego Indianina. Zrazu mogło się zdawać, że gdy słuchał o gorącym przywiązaniu ojca do dzieci, które zapewniało mu obfity okup, odżyła w nim pokusa. Ale im dłużej Duncan mówił, tym bardziej wyraz zadowolenia na twarzy Maguy przechodził w zaciekły gniew, którego źródłem była najwidoczniej namiętność straszniejsza niż chciwość.

–Idź – powiedział Magua, szybko ukrywając gniew pod maską

śmiertelnego spokoju – idź do ciemnowłosej córki białego wodza i powiedz, że Magua chce z nią mówić. Ojciec dotrzyma obietnicy, którą da jego dziecko.

**Duncan myślał, że Magua chce uzyskać dodatkową gwarancję obiecanego okupu. Wolno i ociągając się poszedł ku miejscu, gdzie siostry odpoczywały po przebytych trudach, i powtórzył Korze**

**treść rozmowy.**

**–Pani wie, co dla Indianina jest najponętniejsze – zakończył prowadząc ją do Maguy. – Musi więc pani obiecać dużo prochu i kołder. Jednakże taki człowiek jak on najbardziej ceni alkohol. Dobrze też pani zrobi dodając od siebie jakiś dar, z tym wdziękiem, o który pani tak łatwo. Proszę pamiętać, że od pani przytomności umysłu i pomysłowości zależy, być może, Wasze życie.**

**Indianin wolno podniósł się i z minutę stał w milczeniu bez ruchu. Potem gestem rozkazał Heywardowi odejść i powiedział**

**zimno:**

**–Kiedy Huron rozmawia z kobietą, jego plemię zamyka uszy. A gdy Duncan zwlekał, jakby nie chciał usłuchać, Kora powiedziała ze spokojnym uśmiechem:**

**–Słyszysz pan, Heywardzie, przez samą delikatność powinien pan odejść. Niech pan pójdzie do Alicji i pocieszy ją nowymi nadziejami.**

**Poczekala, aż Heyward odszedł, po czym zwróciła się do Maguy z kobiecą godnością w ruchach i głosie: "**

**–Co Przebiegły Lis chce powiedzieć córce pułkownika Munro?**

**–Posłuchaj – odparł Indianin. – Magua urodził się jako wódz i wojownik wśród czerwonoskórych Huronów znad jeziora. Widział, jak słońce dwudziestu wiosen roztopiło śniegi dwudziestu zim, zanim po raz pierwszy ujrział bladą twarz... i Magua był szczęśliwy! Potem jego kanadyjscy ojcowie przyszli do puszczy i nauczyli go pić ognistą wodę, i wtedy stał się łotrem. Huroni odpędzili go od grobów jego ojców, jakby był tropionym bawołem. Uciekał więc brzegiem jezior i poszedł do rzeki, która z nich wypływała, aż pod "miasto armat". Tam polował i łowił ryby, dopóki ludzie znów nie wygnali go i nie popędzili przez lasy wprost w ręce wrogów! Wódz, urodzony Huron, został w końcu wojownikiem u Mohawków i walczył przeciw własnemu plemieniu. Blade twarze wypędziły czerwonoskórych z ich terenów łowieckich**

i teraz biały dowodził Indianami. Stary wódz nad Horicanem, pani ojciec, był naszym wielkim wodzem. Mówił Mohawkom: „Zróbcie to, zróbcie tamto”, i słuchali go. Ustanowił prawo, że jeżeli któryś z Indian łyknie ognistej wody i przyjdzie do płóciennych wigwamów jego wojowników, będzie ukarany. Magua jak głupiec nie usłuchał i palący płyn przywiódł go do chaty Munro. Cóż uczynił siwowłosy? Niech powie jego córka.

–Nie zapomniał swego słowa: wymierzył sprawiedliwość karząc winnego – śmiało odparła Kora.

–Sprawiedliwość! – powtórzył Indianin rzucając spod oka okrutne spojrzenie na nieulekłą dziewczynę. – Czy to nazywasz sprawiedliwością, gdy najprzód wyrządza się zło, a potem za to się karze? Magua stracił głowę: ognista woda mówiła i za niego działała! Ale Munro w to nie wierzył. Wódza Huronów przywiązano do pala i wobec wszystkich bladolicych wojowników zbito jak psa.

Kora milczała nie wiedząc, w jaki zrozumiały dla Indianina sposób uzasadnić tę nieroztropną surowość swego ojca.

–Patrz – ciągnął Magua i jednym szarpnięciem zdarł lekki perkal, który ledwie osłaniał pokrytą wojennym malowidłem pierś – oto blizny od noży i kul. Wojownik może się nimi szczycić przed swoim plemieniem, ale siwowłosy pozostawił znaki na plecach wodza Huronów, które ten musi ukrywać, jak baba, pod barwnym płótnem białych. Dusza Hurona nigdy nie jest pijana: nie daruje krzywdy i o niej pamięta!

–Więc co chcesz? – zapytała Kora po chwili przykrego milczenia, nabierając pewności, że łatwowierny i szlachetny Duncan dał się zwieść chytremu Indianinowi.

–Huron oddaje dobro za dobro, zło za zło!

–A więc Przebiegły Lis za krzywdę, jaką mu wyrządził pułkownik Munro, zemści się na jego bezbronnych córkach. Czy nie byłoby bardziej po męsku stanąć z nim do walki oko w oko?

–Broń bladych twarzy jest długa, a ich noże ostre – odrzekł dziki śmiejąc się złośliwie. – Czemu Przebiegły Lis miałyby iść pod muszkiety wojowników Munro, kiedy trzyma w swych dłoniach jego duszę?

–Powiedz, czego chcesz, Magua – rzekła Kora usiłując zachować spokój. – Czy chcesz uprowadzić nas w lasy, czy też

**rozmyślasz nad czymś gorszym? Czy nie ma żadnej nagrody, żadnego sposobu, by naprawić wyrządzoną ci krzywdę i zmiękczyć twe serce? Uwolnij przynajmniej moją słabą siostrę i zemścij się na mnie. Za jej wolność zdobędziesz bogactwo, a chęć zemsty zaspokoisz tylko jedną ofiarą.**

**–Posłuchaj – powtórzył Indianin. – Jasne Oczy będą mogły odejść do jeziora Horican i opowiedzieć staremu wodzowi o wszystkim tylko wtedy, gdy Czarnowłosa przysięgnie na Wielkiego Ducha jej ojców, że dotrzyma swego przyrzeczenia.**

**–Co miałabym przyrzec? – zapytała Kora wciąż jeszcze panując nad dzikim swą spokojną postawą, pełną kobiecej godności.**

**–Kiedy Magua opuścił swe plemię, jego kobietę oddano innemu wodzowi. Dziś Magua jest przyjacielem Huronów i chce wrócić do grobów swego plemienia nad brzegami wielkiego jeziora. Niech córka angielskiego wodza pójdzie za nim i na zawsze zamieszka w jego wigwamie.**

**Mimo oburzenia i głębokiego wstrętu, jaki wywołała ta propozycja, Kora zdołała zapanować nad sobą i odpowiedziała tym samym pewnym tonem:**

**–Jakiej przyjemności dozna Magua dzieląc swą chatę z kobietą, której nie kocha? Lepiej niech Magua weźmie złoto od pułkownika Munro i darami zjedna sobie serce hurońskiej dziewczyny.**

**Indianin milczał dość długo, ale nie odrywał dzikiego i pałającego wzroku od oblicza Kory. Dziewczyna wstydliwie spuściła oczy. Po raz pierwszy w życiu spotkała się ze spojrzeniem, jakiego nie mogłaby znieść żadna uczciwa kobieta. I gdy czekała bojąc się w duchu, że może usłyszeć jeszcze bardziej niecną propozycję, Magua odpowiedział z gwałtownym gniewem:**

**–Kiedy różgi paliły plecy Hurona, wiedział, gdzie znaleźć kobietę, która odczuje ten ból. Córka pułkownika Munro będzie nosiła mm wodę, kopała motyką jego ziemię i gotowała mu strawę. Ciało siwowłosego wodza będzie spać pod osłoną armat, ale jego serce znajdzie się pod nożem Przebiegłego Lisa.**

**–Potwór! Dobrze zasłużyłeś na twoje zdradzieckie nazwisko! – wykrzyknęła Kora, do głębi dotknięta w swej miłości do ojca. – Tylko szatan mógłby obmyślić taką zemstę! Ale przeceniasz swe siły! Przekonasz się, że chociaż masz w ręku serce Munro, drwi sobie ono z twych podłych planów!**

Indianin odpowiedział na to śmiało wyzwanie okrutnym uśmiechem, który potwierdził niezłomność jego postanowienia. Niemym gestem rozkazał Korze odejść, jakby uznał tę rozmowę za ostateczną. Kora, która już żałowała swego wybuchu, musiała usłuchać, Magua bowiem nagle odszedł do swych towarzyszy, którzy nasyceni po samo gardło swą odrażającą strawą leżeli wygodnie rozciągnięci, gnuśni jak trawiące zwierzęta. Stał przed nimi i począł mówić z powagą indiańskiego wodza. Mówił teraz o długiej i uciążliwej drodze, jaką przeszli wojownicy ich ojczystego plemienia porzuciwszy rozległe tereny łowieckie i miłe sercu osady, by walczyć z wrogami swych kanadyjskich ojców. Wymieniał imiona wojowników, mówił o ich licznych czynach wojennych i zasługach wobec plemienia, o ich ranach i ilości zdobytych skalpów.

Potem głos Maguy opadł, utracił swą dźwięczność i podniosła nutę triumfu. Opisywał teraz wodospad Glenn, niedostępne położenie skalnej wysepki, jej pieczary oraz niezliczone wiry i katarakty. Wymieniał okoliczności towarzyszące śmierci każdego z Indian, przy czym ani razu nie zapomniał napomknąć o odwadze zabitego i jego najbardziej znanych cnotach. Potem nagle przeraźliwym głosem zawołał:

–Czy Huroni są psami, żeby to znosić? Co powiemy starcom, gdy zapytają o skalpy, a my nie będziemy mogli pokazać nawet jednego włosa z głów białych twarzy?! Kobiety będą wytykać nas palcami! Plamę na imieniu Huronów trzeba zmyć krwią!

Straszny wybuch wściekłości zagłuszył słowa Maguy. Ze wzniesionymi tomahawkami i obnażonymi nożami Indianie rzucili się na jeńców.

Heyward skoczył pomiędzy siostry i najbliższego Indianina, z którym zwał się w rozpaczliwej walce, i na chwilę go powstrzymał. Ten niespodziewany opór pozwolił Przebiegłemu Lisowi wtrącić się i głośnym okrzykiem oraz żywą gestykulacją znów zwrócić na siebie uwagę Indian. Z wielką swadą starał się przekonać towarzyszy, by nie mordowali jeszcze jeńców, lecz by poddali ich torturom. Propozycję Maguy przyjęto hałaśliwymi okrzykami zgody i wprowadzono w czyn z błyskawiczną szybkością. Dwaj silni wojownicy rzucili się na Heywarda, a trzeci zajął się obezwładnieniem psalmisty, który nie był tak groźny jak jego

towarzysz. Jednak obaj biali nie poddali się bez rozpaczliwej, choć zupełnie bezcelowej walki. Nawet Dawid początkowo zdołał powalić na ziemię napastnika, Heywarda zaś udało się obezwładnić dopiero wówczas, gdy po zwycięstwie nad Dawidem wszyscy Indianie rzucili się na niego. Skrępowano go i przywiązano do pnia młodego drzewka. Kiedy zaś młody żołnierz odzyskał w pełni przytomność, jasno i z

**bólem ujrzał, że jednakowy los zgotowano wszystkim jeńcom.**

**Po swej prawej stronie miał Korę, skrępowaną tak jak on, bladą i przerażoną, ale spokojnie patrzącą na każdy ruch Indian. Po jego lewej ręce, przywiązana łykami do pnia sosny, bezsilnie zwisała Alicja, której drżące nogi całkowicie odmówiły posłuszeństwa.**

**Huroni obmyślili nową zemstę i zajęli się jej wykonaniem z okrutną umiejętnością, nabytą w ciągu wieków. Część zbierała gałęzie, aby wzniecić ognisko, jeden łupał sosnowy pień na szczapy, by wbijać w ciało jeńca płonące główne, inni zaś przygotowywali się do rozerwarvfa Heywarda między dwoma odprężającymi się drzewkami. Przyginali ich wierzchołki zamierzając przywiązać do nich ofiarę za ramiona. Magua, opanowany żądzą zemsty, wymyślił coś jeszcze gorszego i zapewniającego straszliwą uciechę.**

**Kiedy mniej od niego wyrefinowani Indianie na oczach ofiar przygotowywali narzędzia dobrze znanych i pospolitych tortur, podszedł do Kory i z szatańskim uśmiechem na twarzy wyjaśnił, jaka śmierć ją czeka.**

**–Ha! – dorzucił – co powie córka Munro? Czy nadal sądzi, że jej głowa jest za dobra, by spocząć na poduszce w wigwamie Przebiegłego Lisa? A może woli, by jej głowa stoczyła się z tego wzgórza i stała się zabawką wilków? Pierś córki białego wodza nie może karmić dzieci Hurona, a więc zobaczysz, jak ją oplują Indianie! Pamięć Indianina jest dłuższa od ramienia bladych twarzy, jego litość jest krótsza od ich sprawiedliwości! Powiedz, czy mam odesłać Jasnowłosą do jej ojca i czy pójdziesz za mną do wielkich jezior, by nosić mi wodę i gotować strawę?**

**Kora ruchem głowy kazała mu odejść, nie ukrywając swego wstrętu, ale nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na swą młodszą siostrę. W jej oczach dostrzegła błagalny błysk, który zdradził gorące pragnienie życia.**



## 7 – Ostatni Mohikanin

–Co on mówi, kochana Koro? – zapytała Alicja drżącym głosem. – Czy nie wspomniał o odesłaniu mnie do ojca?

Przez długą chwilę starsza siostra patrzyła na młodszą, a na jej twarzy widać było walkę dwóch potężnych uczuć. Wreszcie odezwała się i mimo że jej głos utracił swą dawną pełnię i niezachwiany spokój, brzmiała w nim niemal matczyzna czułość.

–Alicjo – powiedziała – Huron daruje życie nam obu... nie... nie tylko nam, obiecuje także zwrócić wolność naszemu drogiemu Duncanowi i oddać nas naszym przyjaciółom... naszemu nieszczęsnemu ojcu, jeśli ja wbrew mej upartej dumie zgodzę się...

Mówiła zdławionym głosem i złożonywszy dłonie patrzyła w górę, jakby w tej śmiertelnej udręce szukała pomocy w bezgranicznej mądrości Boga.

–Mów dalej – zawołała Alicja – na co masz się zgodzić, najdroższa Koro? Och, gdybym to ja była na twoim miejscu! Uratować ciebie, pocieszyć naszego starego ojca, uzyskać wolność dla Duncana... jakże łatwo byłoby mi umrzeć!

–Umrzeć! – powtórzyła Kora już spokojniej i pewniejszym głosem. – To nie byłoby trudne! Być może, nie czeka mnie nic gorszego. On chce – ciągnęła, a na wspomnienie hańbiącej propozycji Indianina głos jej ścichł – bym poszła za nim w puszcze do osady Huronów i bym tam została, krótko mówiąc, jako jego żona! Powiedz, Alicjo, najdroższa siostrzo, co mam zrobić? I ty, majorze, poradź mi. Czy można okupić życie taką ofiarą?

–Ja miałbym się zgodzić! – zawołał oburzony i zdumiony młodzieniec. – Koro, Koro, szydzisz z naszego nieszczęścia! Nie wspominaj już o tej strasznej propozycji, sama myśl o niej gorsza jest od śmierci.

–Wiedziałam, że tak powiesz! – zawołała Kora. Zarumieniła się, a jej oczy znów zapłonęły miłością. – A co powie moja Alicja? Usłucham jej bez słowa.

Oboje, Heyward i Kora, czekali na odpowiedź Alicji z bolesną niepewnością i najgłębszą uwagą.-Alicja milczała. Wydawało się, że po wysłuchaniu propozycji Maguy delikatna i wrażliwa dziewczyna zapadła w głąb własnej istoty. Ramiona jej obwisły, palce rąk poruszały się spazmatycznie, głowa opadła na piersi. Cała postać wisząca u pnia wyglądała jak symbol zranionych uczuć kobiecych. Życie z niej

uciekało, lecz zachowała przytomność

umysłu. Po chwili głowa Alicji poruszyła się wolno na znak stanowczej odmowy.

–Nie, nie, lepiej umrzemy razem, jak żyliśmy!

–A więc umrzyjcie! – krzyknął Magua spotkawszy się z tak niespodziewaną stanowczością u kogoś, kogo uważał za najsłabszego z jeńców. Zgrzytnął zębami z niepohamowanej wściekłości i z całej siły cisnął tomahawkiem w bezbronną dziewczynę. Toporek przeleciał tuż przed twarzą Heywarda i przeciąwszy kilka loków Alicji zadrgał, wbity głęboko w pień ponad jej głową. Na ten widok szalony gniew ogarnął Duncana. Jednym potężnym wysiłkiem zerwał krępujące go więzy i skoczył do drugiego Indianina, który głośno krzycząc i uważnie celując przygotowywał się do powtórzenia rzutu tomahawkiem. Obaj przeciwnicy zderzyli się, porwali za bary i padli na ziemię. Nagie ciało Indianina wyślizgiwało się Heywardowi z rąk. Wreszcie przeciwnik wymknął mu się z uścisku, klęknął kolaniem na jego piersi i przygniół do ziemi całym swym olbrzymim ciężarem. Duncan zobaczył nóż połyskujący w powietrzu. W tej samej chwili usłyszał nad głową gwizd kuli i niemal jednoczesny huk wystrzału. Poczuł, że ciężar przygniatający jego piersi zelżał, i ujrzał, że okrutna twarz Indianina przybrała nagle wyraz bezdusznej dzikości. Po chwili Huron padł martwy na zwiędłe liście.

# ROZDZIAŁ

## DWUNASTY

**Błazen:**

**Już mnie nie ma, sir, Ale zarusiczko, sir, znów będę z wami.**

**Wieczór Trzech Króli**

**Huroni skamienieli z przerażenia na widok śmierci, która tak nagle ich nawiedziła. Ale gdy zdali sobie sprawę z celności ryzykownego strzału, który nie drasnął przyjaciela, a powalił wroga, krzyknęli jednym głosem: La Longue Carabine! a potem zawyli dziko i żałośnie. Odpowiedział im głośny okrzyk z niewielkiego gąszczu, w którym niebacznie złożyli broń. Z zarośli wypadł Sokole Oko i olbrzymimi susami pobiegł w stronę Indian, wymachując nad głową, jak maczugą, odzyskanym sztuczerem, którego w bojowym ferworze nie nabił po pierwszym strzale.**

**Lecz choć biegł szybko i śmiało, wyprzedził go lekki i zwinny młodzieniec, który z niezwykłą odwagą wskoczył w sam środek Huronów. Osłonił sobą Korę wywijając groźnie tomahawkami i wymachując błyszczącym nożem. Zanim Huroni zdążyli zdać sobie sprawę z tych niespodziewanych i śmiałych ruchów, ujrzeli widmo w symbolicznym puklerzu wyobrażającym śmierć, które przemknęło im przed oczyma i zatrzymało się w groźnej postawie obok młodzieńca. W miarę błyskawicznego zjawiania się tych wojowniczych intruzów dzicy oprawcy cofali się wydając częste okrzyki zdziwienia, po których padały dobrze znane i budzące postrach nazwiska:**

**–Rączy Jeleń! Wielki Wąż!**

**Jednakże ostrożny i czujny Magua nie dał się tak łatwo zbić z tropu. Baczynym wzrokiem objął małą polankę i od jednego spojrzenia zrozumiał, że musi dojść do walki wręcz. Obnażył więc**

**długi, groźny nóż i dodając odwagi swym towarzyszom głosem i przykładem, z gromkim, przeciągłym okrzykiem rzucił się na czekającego nań Chingachgooka. To dało sygnał do ogólnej bitwy. Nikt nie miał broni palnej gotowej do strzału, o zwycięstwo musiano więc walczyć oko w oko, na białą broń.**

**Unkas okrzykiem odpowiedział na okrzyk i skoczywszy ku jednemu z wrogów, mocnym i celnym ciosem tomahawka rozplątał mu czaszkę na pół. Heyward wyszarpnął broń Maguy z pnia drzewa i z zapalem rzucił się w wir walki. Obie strony miały teraz po równej liczbie ludzi, każdy mógł więc wybrać sobie przeciwnika.**

**Sokole Oko doskoczył do drugiego z wrogów i potężnym uderzeniem obalił go na**

ziemię. Heyward zbyt był niecierpliwy, by czekać na walkę wręcz, cisnął więc we wroga tomahawkiem, który przed chwilą pochwycił. Trafił przeciwnika w czoło i na chwilę go unieruchomił. Ośmielony tą nieznaczną przewagą, gwałtownie ruszył naprzód i skoczył na wroga z gołymi rękami. Od razu przekonał się jednak, że postąpił lekkomyślnie, albowiem musiał użyć całej swej zwinności i odwagi, aby się ustrzec przed błyskawicznymi pchnięciami noża. Nie mogąc dłużej bronić się skutecznie przed atakami zwinnego i szybkiego wroga, oplótł go rękami i zdołał wreszcie tym żelaznym chwytem unieruchomić jego ramiona. Wysiłek ten był zbyt wyczerpujący, by mógł trwać długo. Ale w tym krytycznym momencie Heyward usłyszał tuż przy sobie donośny głos:

—Śmierć łajdakom! Nie ma litości dla przeklętych Mingów! W następnej chwili Sokole Oko kolbą swego sztucera ugodził w głowę Indianina walczącego z majorem. Pod tym ciosem mięśnie Hurona zmiękły, a jego ciało bezwładne i zwiotczałe osunęło się w ramionach Duncana.

Kiedy Unkas zmiądzzył głowę swemu pierwszemu przeciwnikowi, odwrócił się jak zgłodniały lew, poszukując nowej ofiary. Piąty i jedyny Huron, który nie wmieszał się do pierwszego starcia, czekał chwilę. Gdy zauważył, że wszyscy wkoło niego zmagają się w śmiertelnej walce, postanowił w swej piekielnej mściwości doprowadzić do końca udaremiony przed chwilą okrutny zamiar zemsty. Z okrzykiem triumfu doskoczył do bezbronnej Kory, ale przedtem z całej siły cisnął w nią tomahawkiem.

Toporek drasnął ramię dziewczyny, przeciął więzy, którymi była przywiązana do drzewa, przywrócił jej swobodę ruchów i pozwolił uciec. Umknęła więc Indianinowi i nie zważając na grożące jej niebezpieczeństwo przypadła do Alicji. Stanąwszy przy niej, niewprawnymi, drżącymi palcami usiłowała przecwać więzy, które ją krępowały.

Tylko potwór pozostałby obojętny na widok tego szlachetnego postępku, wypływającego z najpiękniejszego i najbardziej czystego uczucia. Ale serce Hurona nie znało litości. Pochwyił Korę za bujne sploty włosów, w nieładzie okrywające jej postać, oderwał ją od siostry i brutalnie rzucił ją na kolana. Potem okręcił sobie wokół dłoni garść loków, uniósł je w górę na wysokość wyciągniętego ramienia i – śmiejąc się z szyderczym triumfem – zatoczył nożem koło nad kształtną głową swej ofiary.

Ale właśnie w tej chwili Unkas zobaczył, co się dzieje, skoczył naprzód, lotem ptaka przeciął powietrze i całym ciężarem ciała uderzył napastnika w pierś, odrzucając go o kilkanaście jardów od miejsca, gdzie klęczała Kora. Indianin rozciągnął się jak długi, ale i Unkas pod wpływem gwałtownego zderzenia upadł obok niego. Obaj zerwali się jednocześnie, skoczyli do siebie i zaczęli walczyć krwawiąc pod zadawanymi sobie ciosami. Walka ta szybko się skończyła. Tomahawk Heywarda i sztucer Sokolego Oka opadły na skroń Hurona w tej chwili, kiedy nóż Unkasa przebił mu serce.

Teraz trwał już tylko przeciągający się pojedynek między Przebiegłym Lisem i Wielkim Wężem. Obaj dzicy wojownicy całkowicie dowiedli, że w pełni zasługują na nazwiska nadane im za czyny wojenne. W pierwszych chwilach walki umiejętnie uchylali się przed gwałtownymi i groźnymi ciosami tomahawka. Potem nagle skoczyli do siebie, zwarli się i padli na ziemię, szczepieni razem jak dwa bliźniacze węże splątane w jeden misterny kłęb.

Smagły Huron oraz podobny do samej śmierci Mohikanin przewijali się tak błyskawicznie i w tak nierównym tempie, że ani syn, ani przyjaciele Chingachgooka nie mogli przyjść mu z pomocą i zadać ciosu przeciwnikowi. Na sekundę i tylko w przelocie dostrzegli poprzez kurzawę płomienną, błyszczącą jak legendarne oczy bazyliuszka źrenice Przebiegłego Lisa. Rzucając szybkie i straszne spojrzenie widział, jak musi się skończyć walka, którą toczył

w obecności tylu nieprzyjaciół. Ale za każdym razem, nim r

wroga zdołała opaść na jego skazaną na śmierć głowi; w tym samym miejscu ukazywało się posępne oblicze

gooka. W ten sposób walka przesuwiała się ze środka polanki n.i 1 jej kraniec. Mohikanin znalazł wreszcie dogodny moment ciosu i pchnięcia nożem. Magua nagle rozluźnił chwyt i opadł na wznak – nieruchomy, jakby bez życia. Jego przeciwnik zerwał się z ziemi i wydał okrzyk triumfu, który wstrząsnął stropem puszczy. 5 – Górą Delawarzy! Mohikanin zwyciężył! – zawołał Sokole

Okno wznosząc kolbę swego długiego, śmiercionośnego sztucera. – t Ostatnie uderzenie zadane przez czystej krwi białego nie przy-: niesie hańby naszemu przyjacielowi ani nie pozbawi go prawa do

i skalpu!

Lecz właśnie kiedy groźna broń miała już opaść, podstępny Huron, zwinnie uniknąwszy ciosu, błyskawicznym ruchem przeturlał się przez skraj urwiska, spadł na równe nogi i dał susa w sam środek gęstych i niskich zarośli porastających zbocze.

Delawarzy, którzy sądzą, że ich wróg nie żyje, krzyknęli ze zdziwienia i rzucili się za biegiem z wrzawą, jak psy, które ujrzały przed sobą jelenia. Ale przenikliwy okrzyk zwiadowcy powstrzymał ich i sprowadził z powrotem na szczyt wzgórza.

–Cóż innego mógłby zrobić! – zawołał ten z krwi i kości mieszkaniec puszczy. Gdy chodziło o Mingów, jego przesady przytępiały wrodzony mu zmysł sprawiedliwości. – Kłamliwy i podstępny łajdak! Prawy Delawar zwyciężony w uczciwej walce leżałby spokojnie i czekał na śmiertelny cios w głowę. Ale te łotry Ma-kaowie czepiają się życia jak koty. Spójrz, Unkasie – dorzucił w narzeczu Delawarów – twój ojciec zdiera już skalpy. Warto by obejść pole walki i obejrzeć leżących łajdaków, bo jeszcze któryś gotów pognać przez puszcę, skrzecząc jak sroka trafiona w skrzydło.

Jednakże Unkas, wbrew swym zwyczajom i – można by rzec – wbrew dzikiej naturze; z właściwą mu delikatnością pospieszył za Heywardem na pomoc kobietom. Szybko uwolnił z więzów Alicję i zostawił ją w ramionach Kory.

Nie będziemy usiłovali opisać wdzięczności obu sióstr dla Wszechmocnego, który tak niespodziewanie zesłał im ratunek i znów je połączył. Modliły się szczerze i cicho. Ofiary ich szła-

chętnych dusz płonęły najczystszym i najjaśniejszym ogniem na tajemnym ołtarzu serc.

Gdy obie siostry i Heyward cieszyli się odzyskaną wolnością, czujny zwiadowca upewnił się, że Huroni naprawdę nie żyją i nic złego nie mogą już zrobić jego przyjaciołom. Tylko trupy Huronów szpeciły piękno opisanej przez nas wzruszającej sceny.

Sokole Oko podszedł teraz do Dawida i uwolnił go z więzów, które ten znosił z najbardziej przykładną cierpliwością.

–Oto – zawołał zwiadowca rzucając za siebie ostatni kawałek łyka – jesteś znów panem własnych kończyn!

–Przyjacielu – rzekł Dawid wyciągając szczupłą, delikatną rękę do Sokolego Oka, a w jego oczach ukazały się łzy. – Dziękuję ci za to, że włosy, które Bóg zasiał na mej głowie, ocalały. Może włosy innych ludzi piękniej błyszczą i ładniej się wiją, jednakże zawsze uważałem, że moje doskonale pasują do mózgu, który osłaniają. W tej walce swą odwagą i zręcznością dowiodłeś, że zasługujesz na pochwałę chrześcijanina.

–Nie ma o czym mówić. Podobnych scen ujrzyś wiele, jeżeli dłużej pozostaniesz z nami – odparł zwiadowca, znacznie lepiej usposobiony do mistrza śpiewu po tak szczerym podziękowaniu. – Odzyskałem mego starego przyjaciela, Postrach Zwierząt – dodał przesuając ręką po kolbie swego sztucera – a to samo przez się jest już zwycięstwem. Ci Irokezi są chytry, ale tym razem sami wystrychnęli się na dudków kładąc strzelby z dala od siebie i gdyby Unkas i jego ojciec okazali tyle cierpliwości, – ile jej zwykle mają Indianie, poczęstowalibyśmy tych łotrów trzema kulami. Wówczas skończylibyśmy również z tym skaczącym łajdakiem. Ale widocznie musiało się stać inaczej.

Zwiadowca odszedł, by zebrać broń zdobytą na Huronach i zbadać jej stan. Chingachgook dopomógł mu i znalazł wśród porzuconego oręża broń swoją i syna. Heyward i Dawid również uzbroili się w strzelby, a kul i prochu było pod dostatkiem.

Kiedy wybrano już i podzielono zdobycz, zwiadowca oznajmił, że czas w drogę. Przy pomocy Duncana i Unkasa siostry zeszły ze stromego wzgórza, na które tak niedawno wchodziły w zgoła innych warunkach, a którego szczyt omal nie stał się ich grobem. U stóp wzgórza natknęli się na narragansetty, spokojnie skubiące

liście krzaków. Dosiedli koni i ruszyli za przewodnikiem, kliny już tyle razy w

**śmiertelnym niebezpieczeństwie dał im dowody swej przyjaźni.**

**Ale podróż trwała krótko. Sokole Oko opuścił dróżkę, którą szli Huroni, ostro skręcił w prawo, zagłębił się w puszcę, przebrnął szemrzący strumień i zatrzymał się w wąskiej, zacisznej dolince, w cieniu paru wiązów. Podróżni oddalili się zaledwie o kilkaset stóp od fatalnego wzgórza, wierzchowce zaś przydały im się tylko na to, by panie -suchą nogą przebyły płytki strumień.**

**Zwiadowca i Indianie najwidoczniej dobrze znali ten zakątek. Oparli bowiem strzelby o pnie drzew i zaczęli odgarniać zwiędłe liście, odsłaniając wgłębienie w niebieskawej glinie, z którego pieniać się tryskało kryształowo czyste, skrzące się w słońcu źródółko. Zwiadowca rozejrzał się wkoło, jakby czegoś szukał i nie mógł znaleźć.**

**–Te niechlujne leśne karły, Mohawkowie, już tu byli i wraz ze swymi bratnimi plemionami, Tuskaronami i Onondagami, gasili pragnienie – mruknął. – Włóczykije, gdzieś zapodzieli tykwę. Oto skutki dobrodziejstw okazywanych tym niewdzięcznym psom! Tu, dla ich dobra, w samym środku nieprzebytej puszczy Bóg położył swą dłoń i kazał trysnąć źródłu takiej ożywczej wody, która' zawstydzi najwspanialsze driakwie najlepszej apteki w koloniach. Spójrzcie! Nicponie deptali po glinie i zbrudzili całe miejsce\* tak jakby byli bydłem, a nie ludźmi.**

**Unkas w milczeniu podał zwiadowcy tykwę, której ten w przystępie rozdrażnienia nie dostrzegł, a która wisiała na gałęzi wiązu. Wypełniwszy naczynie wodą Sokole Oko cofnął się nieco na miejsce twardsze i suchsze. Tu siadł spokojnie, pociągnął potężny, ożywczy łyk wody i zabrał się do drobiazgowego badania przewieszanej przez ramię sakwy z resztkami jedzenia pozostawionymi przez Huronów.**

**Heyward, który zobaczył, że ich przewodnicy z całą powagą zabrali się do przygotowania posiłku, dopomógł paniom zejść z koni, a potem usiadł obok sióstr, wcale rad z kilku chwil miłego odpoczynku po niedawnych krwawych przejściach.**

**W czasie gotowania jedzenia wiedziony ciekawością zapytał zwiadowcę, w jaki sposób zdołał wraz z towarzyszami tak niespodziewanie przybyć w ostatniej chwili na ratunek.**



–Jakim cudem, mój szlachetny przyjacielu, ujrzeliśmy was tak szybko? – zapytał. – I to bez żadnej pomocy garnizonu z fortu Edwarda.

–Gdybyśmy poszli do zakrętu rzeki, przyszlibyśmy na czas, by okryć liśćmi wasze ciała, ale za późno, by uratować wasze skalpy – obojętnym tonem odparł zwiadowca.  
– Nie, nie, zamiast tracić czas i siły na drogę do fortu zaczęliśmy się nad brzegiem w pobliżu Hudsonu i czekaliśmy, co zrobią Huroni.

–A zatem widzieliście wszystko, co zaszło?

–Nie wszystko. Indianie mają za dobry wzrok, by można było do nich blisko podejść, a w dodatku siedzieliśmy ukryci.

–Widzieliście, jak nas ujęto? – spytał Heyward.

–Słyszeliśmy – padła wymowna odpowiedź. – Ludzie, którzy spędzili życie w puszczy, dobrze rozumieją wrzask Indian. Lecz kiedy wysiedliście na brzeg, musieliśmy się czołgać pod liśćmi jak węże i wkrótce całkowicie straciliśmy was z oczu. Wreszcie znów ujrzeliśmy was, ale już spętanych i przywiązanych do drzew – czekających na śmierć.

–Nasze ocalenie było więc dziełem Opatrzności. Graniczy to z cudem, że nie zmyliliście śladu, bo Huroni rozdzielili się, a obie grupy miały konie.

–Tak, przez to właśnie zgubiliśmy ślad i nie odnaleźlibyśmy go na pewno, gdyby nie Unkas. Poszliśmy tropem wiodącym w głąb puszczy, bo słusznie sądziliśmy, że dzicy tam właśnie pójdą ze swymi jeńcami. Gdyśmy jednak przeszli śladem wiele mil i nie znaleźli najmniejszego znaku, najmniejszej złamanej gałązki – przecież doradzałem wam je łamać – nie wiedziałem, co myśleć, tym bardziej że wszystkie ślady pochodziły od mokasynów.

–Zwycięzcy byli dość przewidujący: kazali nam obuć się w ten sam sposób jak oni – powiedział Duncan i uniósł nogę pokazując skórzane mokasyny.

–Tak, to było rozsądne i do nich podobne. Ale jesteśmy zbyt doświadczeni, by tak zwykły podstęp zbił nas z tropu.

–Czemu więc zawdzięczamy ocalenie?

–Temu, do czego ja, czystej krwi biały, przyznaję się ze wstydem: przenikliwości

młodego Mohikanina w rzeczach, w których powinienem orientować się lepiej od niego i w które wciąż trudno mi uwierzyć, choć je widzę.

–Zadziwiające! Czy powie nam pan, o co chodzi?

–Unkas twierdził, że zwierzęta, na których jada panie – ciągnął zwiadowca spoglądając ciekawym okiem na klacze młodych kobiet – stawiają jednocześnie obie lewe lub prawe nogi, co jak wiemy, sprzeczne jest ze zwyczajami czworonogów z wyjątkiem niedźwiedzi. Ale oto mamy przed sobą konie, które zawsze chodzą w ten sposób, co widziałem na własne oczy i na co wskazuje ich ślad na przestrzeni z górą dwudziestu mil.

–To ich główna zaleta! Pochodzą z wybrzeża zatoki Narragansett w małej prowincji Providence i słyną ze swej wytrzymałości i miękkiego, płynnego chodu. Można też inne rasy koni tak wyćwiczyć.

Zwiadowca zamyślił się jak człowiek smakujący świeżo zdobytą wiedzę i raz jeszcze obrzucił konie ciekawym spojrzeniem.

–Pozwolę sobie zauważyć, że w ludzkich osadach można zobaczyć ciekawe rzeczy – powiedział wreszcie. – Człowiek, gdy opanuje przyrodę, okropnie ją gwałci. Ale czy chód był jednostronny, czy normalny, Unkas zauważył, jaki jest, i ślad koni doprowadził nas do połamanego krzaka. Zewnętrzna gałąź w pobliżu śladu końskiego kopyta była odgięta w górę, jak to zwykły czynić kobiety przy zrywaniu kwiatów, a pozostałe były poszarpane i połamane silną, męską ręką. Wywnioskowałem z tego, że przebiegły łotr ujrzał zagiętą gałązkę i połamał resztę, by naprowadzić nas na myśl, że to kozioł czochrął się rogami o sęczki.

–Pańska przenikliwość nie zawiodła, tak było istotnie!

–Bez trudu to zgadłem – dodał zwiadowca, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że dał dowód niezwyklej przenikliwości. – Było to też zjawisko całkiem inne od konia stąpającego jednostronnie. Następnie wpadłem na myśl, że Mingowie na pewno skierują się do tego źródła, bo łotry dobrze znają wartość jego wody. Pańskie najbardziej wystawne wino nie cieszą się większym wzięciem wśród białych niż ta woda u Indian, zwłaszcza gdy coś im dolega. Ale Unkas rozniecił już ogień i czas pomyśleć o posiłku, bo czeka nas jeszcze długa droga.

Po tej nagłej zmianie tematu zwiadowca przerwał rozmowę i z całą uwagą zajął się przyrządzaniem resztek mięsa, które ocalało przed żarłocznością Huronów. Jedzenie podano tak samo prosto, jak je upieczono. Sokole Oko i Mohikanie jedli w zupełnej ciszy

i skupieniu, jak ludzie, którzy chcą nabrać sił przed czekającymi ich trudami.

Kiedy ten konieczny, ale i przyjemny obowiązek dobiegł końca, każdy z mieszkańców puszczy przyklęknął i pociągnął na pożegnanie łyk z samotnego i cichego źródła\*, do którego – podobnie jak do jego siostrzanych źródeł – za pięćdziesiąt lat mieli tłumnie zjeżdżać w poszukiwaniu zdrowia i rozrywki bogacze, piękne kobiety i artyści z całej półkuli.

Potem Sokole Oko kazał ruszyć w drogę. Siostry dosiadły koni, Duncan i Dawid pochwycili strzelby i ruszyli za kobietami. Zwiadowca otwierał pochód, a Mohikanie szli w straży tylnej. Cały orszak posuwał się szybko wąską ścieżyną ku północy, pozostawiając za sobą źródelko, które beztrosko mieszało swe lecznicze wody z wodami przyległych strumieni, i nie pogrzebane ciała Huro-nóty, rozkładające się na pobliskim wzgórzu. Był to aż nazbyt częsty los wojowników puszczy, by mógł budzić współczucie czy komentarze.

## ROZDZIAŁ

### T R Z Y N A S T Y

Opisywane przez nas wypadki rozgrywają się w miejscu, gdzie dzisiaj leży miasteczko Ballston, jedna z głośnych miejscowości kuracyjnych Ameryki (przyp. autora).

Poszukam tedy dogodniejszej drogi.

Parnell

Droga obrana przez Sokole Oko przecinała tę samą piaszczystą równinę, urozmaiconą tu i tam jarami i wzgórzami, którą podróżni przebywali rankiem tego samego dnia, kiedy prowadził ich zawiedziony w swych planach Magua. Słońce zniżyło się znacznie ku odległym górcom, a że droga wiodła przeważnie przez puszcę, upał nie bardzo dawał się we znaki. Podróżni posuwali się więc rażno i na długo przed zapadnięciem zmroku przebyli większą część uciążliwej drogi.

Zwiadowca, podobnie jak dziki Huro, którego miejsce teraz zajął, kierował się swoistym instynktem i potrafił w tej dziewiczej puszczy, po sobie tylko wiadomych znakach, odnajdywać właściwą drogę. Rzadko zwalniał i nigdy nie przystawał, aby się namyślić. Szybki rzut oka na mech porastający drzewa, jedno zerknięcie na zachodzące słońce lub też przelotne, ale bystre spojrzenie na kierunek licznych

rzeczulek, które przebywał w bród, wystarczały mu do określenia drogi i omięcia największych przeszkód.

Tymczasem kolor puszczy począł się zmieniać: tracił żywy odcień zieleni, który upiększał łuki leśnego sklepienia, i przechodził w ciemniejsze tony, co zapowiadało nadejście nocy.

Gdy obie siostry przez gęste korony drzew patrzyły na złociste światło wieczornej zorzy, która tworzyła wokół słońca promienną aureolę, przetykaną tu i tam rubinową smugą, a pod skupiskiem chmur nawisłych nad górami na zachodzie przeciągnęła wąską, jasnożółtą wstęgą, Sokole Oko odwrócił się i wskazując na niebo tonące w jaskrawych blaskach powiedział:

–Oto znak dany ludziom, że już czas pomyśleć o posiłku i wytchnieniu zgodnie z prawami natury. Człowiek postąpiłby lepiej i rozumniej, gdyby pojął te znaki przyrody i naśladował ptaki na niebie i zwierzęta na ziemi. Nasza noc będzie krótka. Musimy wstać wraz z księżycem i ruszyć w drogę. Pamiętam, że tu biłem się z Makaami w pierwszej wojnie, w której przelałem ludzką krew. Tutaj właśnie zbudowaliśmy z bali coś w rodzaju warowni, by ochronić nasze skalpy przed drapieżnymi zbójami. Jeżeli nie mylą mnie znaki, znajdziemy to miejsce o kilkaset stóp dalej na lewo.

I nie czekając ani na zgodę, ani na odpowiedź, śmiały zwiadowca bez wahania ruszył w najgłębszą gęstwinę młodych kasztanów. Pewnymi ruchami rozsuwał na boki wybujałe gałęzie krzewów tworzących niemal zwartą ścianę, jak człowiek, który na każdym kroku widzi to, co zna od dawna.

Pamięć go nie zawiodła. Gdy przedostał się przez kasztany, splątane z krzakami cierni, i przeszedł jeszcze paręset stóp, znalazł się na otwartej polanie. Na jej środku wznosił się zielony pagórek, ukoronowany chylącą się ku upadkowi drewnianą warownią. Ten prymitywny i zaniedbany budynek był jedną z owych opuszczonych warowni, które wzniesiono z konieczności i' pozostawiono własnemu losowi, gdy minęło niebezpieczeństwo. Teraz te budynki spokojnie butwiały w leśnej głuszy, porzucone i niemal całkowicie zapomniane. Dach warowni pokryty korą dawno już się zawalił i rozsypał w proch, ale ściany z olbrzymich sosnowych bali, naprędce ułożonych jeden na drugim, wciąż jeszcze stały na miejscu, choć jeden z węglów osunął się pod olbrzymim ciężarem, co świadczyło, że dni całej tej prymitywnej budowli są już policzone. Heyward, Dawid i ich towarzyszki bali się zbliżyć do walącego się budynku, ale Sokole Oko i Indianie weszli do środka bez wahania i z widocznym zaciekawieniem.

Zwiadowca przyglądał się ruinom od wewnątrz i z zewnątrz z ciekawością człowieka, który co krok odnajduje dawne wspomnienia, Chingachgook zaś w języku Delawarów i z dumą zwycięzcy opowiedział synowi krótką historię potyczki, jaką w młodości stoczył w tym zakątku puszczy. Głos jego wyrażał jednak obok dumy również

uczucie smutku.

Tymczasem siostry z radością zsiadły z koni i przygotowywały

się do przyjemnego odpoczynku w wieczornym chłodzie, przekonane, że tylko leśny zwierz mógłby tutaj zagrozić ich bezpieczeństwu.

–Czy nie byłoby lepiej wybrać na nocleg miejsce jeszcze bardziej odludne, mój drogi przyjacielu? – zapytał przezornie Duncan, gdy zauważył, że zwiadowca zakończył już swe krótkie oględziny.

–Niewielu z tych, którzy wiedzieli o tej warowni, jeszcze żyje – spokojnie i wolno odpowiedział zwiadowca. – Rzadko pisuje się książki lub opowieści o potyczkach podobnych do tej, jaka się tu rozegrała w czasie wojny między Mohikanami i Mohawkami. Byłem wówczas młodziekiem, zupełny żółtodziób, nie obyty z widokiem krwi ludzkiej. Martwiłem się, że ciała istot podobnych do mnie poniewierają się na polu i że w końcu rozwloką je zwierzęta, a ich kości zbieleją na deszczu. Sam więc je pogrzebałem i usypałem ten kopczyk, na którym państwo siedzicie, a nie jest to chyba zła ławeczka, mimo że wzniesiona na trupach zwykłych śmiertelników.

Heyward i siostry zerwali się jak oparzeni z porośniętego trawą grobu poległych Mohawków. Zmrok, posępna mała polana, opasana murem krzewów, za którym w martwej ciszy wznosiły się aż pod chmury olbrzymie sosny, i grobowa cisza rozległej puszczy – pogłębiały uczucie strachu.

–Umarli nic nikomu nie zrobią – ciągnął Sokole Oko i ze smutnym uśmiechem machnął ręką na widok przerażonych kobiet. – Już nigdy nie wzniosą okrzyków wojennych ani nie zadadzą ciosu tomahawkiem! A z tych, którzy ich grzebali, żyje tylko Chingachgook i ja! Jego bracia i rodzina tworzyli nasz oddział wojenny, a teraz macie przed sobą to, co pozostało z jego rodu.

Słuchacze współczując Indianom, których spotkał los tak okrutny, mimo woli skierowali wzrok ku ich sylwetkom majaczącym w cieniu. Chingachgook coś opowiadał młodemu Mohikaninowi, który słuchał go z zapartym oddechem. Opowieść świadczyła bowiem

o bohaterstwie tych, których pamięć od dawna czcił za ich odwagę

o wielkie cnoty indiańskie.

–Sądziłem, że Delawarzy to naród potulny – powiedział Duncan – i że nigdy sami nie walczyli, a obronę swego kraju powierzyli tym właśnie Mohawkom, których wyście pobili!

no



–W tym jest trochę prawdy – odparł zwiadowca – a jednak u jej podstaw leży podłe kłamstwo. Wiele lat temu zawarli taką umowę z Mohawkami, ale stało się to na skutek szatańskiego podstępstwa Holendrów. Chcieli oni rozbroić Indian, prawych właścicieli kraju, w którym sami się osiedlili. Mohikanie są wprawdzie częścią tego samego narodu, ale mieli do czynienia z Anglikami

i nigdy nie wchodził w podobne idiotyczne targi. Liczyli na własne męstwo, a trzeba powiedzieć, że i Delawarzy, kiedy otworzyły im się oczy na popełnione szaleństwo, doszli do podobnych wniosków. Widzi pan przed sobą mohikańskiego wodza nad wodzami. Ongiś jego ród tropił jelenie na przestrzeniach większych od tych, jakie należą do Albany Patteroon\*, a przez cały czas łowów każdy potok czy wzgórze, które przekroczył, były jego własnością. Lecz cóż pozostało potomkowi Mohikanów? Kiedy Bóg go wezwie, znajdzie się dla niego sześć stóp ziemi. Może spocznie w spokoju, jeśli jakiś przyjaciel złoży jego kości tak głęboko, by ich nie wygrzebał lemiesz pługa.

–Dość – powiedział Heyward widząc, że ten temat może poróżnić go ze zwiadowcą i zaszkodzić sprawie ocalenia Alicji i Kory. – Mamy za sobą długą podróż, a niewielu spośród nas cieszy się taką wytrzymałością jak pan. Powiedziałbym, że pan nie zna zmęczenia.

:- Kości i mięśnie godne mężczyzny pozwalają mi znieść wszystkie trudy – odparł myśliwy przyglądając się swemu muskularnemu ciału z prostotą, która zdradzała, jak wielką przyjemność sprawił mu ten komplement.

Rozmowa urwała się, gdyż zwiadowca i jego towarzysze, troszcząc się o wygody i bezpieczeństwo osób podróżujących pod ich opieką, zabrali się do przygotowania noclegu. Unkas oczyścił ze zwiędłych liści źródło, które wiele lat temu było przyczyną, że Mohikanie tu właśnie wybudowali warownię, i niebawem kryształowo czysta woda spłynęła po zielonym wzgórzu. Następnie przykryto prowizorycznym dachem jeden z rogów budynku dla ochrony

Holandia w kolonii New York, zanim straciła ją na rzecz Anglii, wprowadziła system feudalny. Ziemię dzieliła między „patroons”. Ci „patroons”, właściciele wielkich majątków ziemskich, w wieku XVII i XVIII rządili na swych obszarach niczym udzielni książęta. Sokole Oko mówi tu o jednym takim „patronie”, generale Van Nempelen spod Albany, właścicielu wielkiego latyfundium.

przed rosą, obfitą w tym klimacie. Pod tą osłoną ułożono dla sióstr postanie z pachnących gałązek krzaków i suchych liści.

Gdy mieszkańcy puszczy pochłonięci byli tą pracą, Kora i Alicja zjadły coś niecoś,

raczej dla zasady niż z głodu. Potem udały się pod osłonę ścian, gdzie podziękowały Bogu za doznaną łaskę, poprosiły Go o dalsze błogosławieństwo i wygodnie wyciągnęły się na pachnącym łożu. Wkrótce, mimo przykrych wspomnień oraz niepokojących obaw o przyszłość, mocno zasnęły-

Duncan zaczął przygotowywać się do spędzenia nocy na czuwaniu w pobliżu nich, na zewnątrz ruin. Zwiadowca odgadł jego zamiar. Wskazał na Chingachgooka i spokojnie układając się na trawie powiedział:

–Oczy białego nie nadają się do takiego czuwania. Nie są dość bystre. Mohikanin będzie naszym wartownikiem, możemy więc spać spokojnie.

–Ubiegła noc dowiodła, że jestem śpiochem – powiedział Heyward. – Spałem i sen nie jest mi tak potrzebny jak wam. Wy zachowaliście się jak prawdziwi żołnierze. Spijcie więc wszyscy, a ja będę czuwał.

–Gdybyśmy spoczywali w białych namiotach sześćdziesiątego pułku i mieli do czynienia z Francuzami, nie pragnąłbym lepszego wartownika – odparł zwiadowca – ale w tych ciemnościach i wśród odgłosów puszczy będzie pan bezbronny jak nowo narodzone dziecko, a pańska czujność na nic się nie zda. Idź więc pan za przykładem moim i Unkasa – śpij spokojnie.

Nie chcąc przedłużać jałowego sporu Duncan udał, że się zgadza, oparł się plecami o ścianę warowni i na wpół usiadł, na wpół się położył. W głębi serca jednakże uroczyście przysiągł sobie nie zmrużyć oka, dopóki nie odda powierzonego mu bezcennego skarbu w ręce samego pułkownika Munro.

Przez dłuższy czas Duncan czuwał zupełnie przytomny i baczny na każdy szelest w puszczy. W miarę jak nocne cienie osiadały na polanie, coraz bardziej wyęźał wzrok. A gdy gwiazdy zamigotały nad jego głową, zdołał nawet dostrzec sylwetki swych towarzyszy wygodnie wyciągniętych na trawie oraz postać Chingachgooka, który siedział wyprostowany i nieruchomy, podobny do jednego z drzew, ciemną ścianą otaczających pagórek.



## 8 \_\_ Ostatni Mohikanin

Wreszcie usłyszał posępny głos kozodoja i pohukiwanie sowy. Odrętwiałymi oczami widział jeszcze jasne migotanie gwiazd, aż nagle wydało mu się, że patrzy na nie przez opuszczone powieki. W końcu bezwładnie osunął się na trawę i twardo usnął.

Duncan nigdy nie dowiedział się, jak długo marzył we śnie, ale od dawna spał twardo, gdy zbudziło go lekkie uderzenie w ramię. Otrzeźwiony tym, bardzo zresztą słabym znakiem, zerwał się na równe nogi, jak przez mgłę przypominając sobie, że miał czuwać przez całą noc.

–Kto idzie? – zapytał sięgając po szpadę u boku, w miejscu gdzie zwykle ją nosił. – Mów! Przyjaciel czy wróg?

–Przyjaciel – swym niskim głosem odparł Chingachgook i wskazując w górę na księżyc, który poprzez otwór w zwartej koronie drzew sączył swe łagodne światło wprost na biwak, dodał w swej nieskładnej angielszczyźnie: – Księżyc nadszedł, a fort białego człowieka daleko, daleko stąd. Czas w drogę, bo sen zamknął oczy Francuzów!

–Masz rację! Zbudź towarzyszy i osiodłajcie konie, a ja zbudzę panie.

–Już nie śpimy – odparł miękki, srebrzysty głos Alicji zza ściany budynku. – Wypoczęliśmy znakomicie i jesteśmy gotowe do szybkiej podróży. Ale pan nie wypoczął czuwając nad naszym snem po tylu trudach!

–Niech pani raczej powie, że powinienem był czuwać, ale sen mnie zmorzył. Już dwukrotnie dałem dowód, że zupełnie nie zasługuję na zaufanie, jakim mnie obdarzono.

–Nie, Duncanie... nie przecz – z uśmiechem przerwała Alicja wychodząc z cienia warowni na światło księżyca. Po nocnym wypoczynku wyglądała prześlicznie. – Wiem, że gdy chodzi o własną osobę, jest pan aż nadto lekkomyślny, ale w stosunku do innych odznaczasz się przesadną troskliwością. Czy nie moglibyśmy zostać tu trochę dłużej, by- pan się przespał? Powinien pan przecież wypocząć. Kora i ja chętnie, jak najchętniej, będziemy czuwać, gdy pan i ci dzielni ludzie będziecie spali.

–Gdyby wstyd mógł mnie odstraszyć od spania, nigdy więcej nie zamknąłbym oczu – odparł speszony młodzieniec, z niepokojem patrząc w szczere oblicze Alicji, ale dojrzał w nim prawdziwą troskę, bez cienia złości. – Niestety, nie da się zaprze-

**czyć, że przez swą lekkomyślność naraziłem panie na niebezpieczeństwo.**

**Nagły okrzyk Chingachgooka, po którym Unkas stanął w bacznej postawie, uwolnił majora od przykrej konieczności dalszych usprawiedliwień.**

**–Mohikanie usłyszeli wrogów! – szepnął Sokole Oko, który także już wstał i krzątał się po biwaku. – Czują niebezpieczeństwo!**

**–To chyba leśny zwierz krąży wokół nas i szuka pożywienia – szepnął Heyward, gdy dosłyszał cichy i najwidoczniej odległy szmer, który zaniepokoił Mohikanów.**

**–Tss! – syknął w odpowiedzi pilnie nasłuchujący zwiadowca. To człowiek. Nawet ja potrafię dosłyszeć jego kroki, choć mój słuch jest słabszy od słuchu Indian. Ten Huron, który uciekł jak zając, musiał natknąć się na jakiś przedni oddział Montcalma i razem wpadli na nasz ślad. Odprowadź konie do warowni, Unkasie, a wy, przyjaciele, idźcie za nim. Choć budynek jest stary i lichy, osłoni nas jednak, a kule to dla niego nie nowina.**

**Mohikanie usłuchali go natychmiast i wprowadzili konie w gła.b ruin. Tam też w największej ciszy schronili się nasi podróżni-**

**Teraz już wyraźnie było słyhać kroki i trudno się było łudzić: nadchodzili ludzie. Niebawem rozległy się też nawoływania Indian. Zwiadowca szeptem wyjaśnił Heywardowi, że Indianie mówią w języku hurońskim.**

**Kiedy prześladowcy dotarli do miejsca, gdzie konie weszły w gąszcz krzaków otaczających warownię, najwidoczniej stracili z oczu ślad, który ich prowadził. Sądząc po głosach, że dwudziestu ludzi zgromadziło się w tym miejscu i hałaśliwie rozmawiało ze sobą.**

**Potem z szelestu liści i trzasku gałęzi można się było domyślić że Indianie rozdzielili się szukając zagubionego śladu. Na szczęście dla tropionych światło księżyca, zalewające łagodnym blaskiem małą przestrzeń koło warowni, nie było dość silne, by przebić gruby strop puszczy, pod którym nic nie było widać. Poszukiwania zawiodły Huronów, zbiegowie bowiem tak gwałtownie skręcili w głąb puszczy z ledwie widocznej ścieżki, że nawet najmniejszy ślach ich przejścia zagubił się w mroku lasu.**

**Niebawem usłyszeli, jak niezmordowani Huroni przeszukują**

krzaki i stopniowo zbliżają się do wewnętrznego skraju pasa zarośli, które otaczały niewielką polanę.

–Nadchodzą – szepnął Heyward usiłując wepchnąć lufę strzelby w szczelinę między balami. – Strzelamy, jak tylko się ukażą!

–Nie dawaj pan znaku życia – odparł zwiadowca. – Szczęk broni, a nawet zapach ziarenka prochu na panewce od razu ściągnie na nas atak całej bandy tych wściekłych psów. Jeśli Bóg zechce, byśmy stoczyli bitwę o nasze skalpy, zaufaj pan doświadczeniu ludzi, którzy znają obyczaje dzikich i rzadko kiedy trzymali się z dala, gdy rozbrzmiewały okrzyki wojenne.

Duncaii opanował niecierpliwość i czekał w milczeniu. Nagle zarośla rozsunęły się i wysoki, uzbrojony Huron wyszedł na polanę. W blasku księżyca padającego na jego śniade oblicze, gdy patrzył na zatopioną w ciszy warownię, wyraźnie widać było malujące się na nim zdziwienie i ciekawość. Wreszcie wydał okrzyk, który u Indian zwykle towarzyszy wzruszeniu, i cichym głosem przywołał drugiego Hurona.

Synowie puszczy stali teraz razem i wskazując sobie rozpadający się budynek, mówili coś w niezrozumiałym języku swego plemienia. Potcinr co chwila przystając, podszli wolno i ostrożnie, by spojrzeć na warownię wzrokiem przestraszonego jelenia, w którym ciekawość zaciekle walczy z trwogą. Wtem jeden z nich natknął się na kopczyk i przystanął, by mu się przyjrzeć.

Indianie byli tak blisko, że najmniejszy ruch jednego z koni lub nawet głośniejszy oddech zbiegów zdradziłby ich obecność. Huroni jednak odkrywszy, czym naprawdę jest kopczyk, skupili na nim całą uwagę. Głosy ich – pod wpływem głębokiej czci i strachu – brzmiały cicho i uroczyście. Następnie poczęli się ostrożnie cofać nie odrywając wzroku od ruin, zupełnie jakby się spodziewali, że ujrzą zjawy zmarłych, wychodzące spoza milczących ścian. Wreszcie dotarli do granicy polany, weszli w zarośla i zniknęli.

Sokolą Oko oparł sztucer kolbą o ziemię, swobodnie odetchnął pełną piersią i powiedział szeptem:

–Tak, tym razem ich szacunek dla zmarłych uratował życie im i ludziom więcej od nich wartym.

przez chwilę patrzył na swego towarzysza, ale nic nie

odpowiedział i znów spojrział tam, gdzie zniknęli Huroni. Usłyszał, że wyszli z zarośli otaczających polanę i wkrótce mógł się domyślić, że pozostali Indianie zebrali się wokół nich i że bardzo uważnie słuchają, co ci dwaj mówią. Po kilku minutach • poważnej, uroczystej rozmowy, zupełnie niepodobnej do poprzedniej hałaśliwej narady, głosy Huronów poczęły cichnąć i oddalać się, aż wreszcie zamarły w głębi puszczy.

Sokole Oko czekał, dopóki pilnie nasłuchujący Chingachgook nie dał mu znaku, że nawet najśłabszy dźwięk po oddalających się Huronach zatonął w oddali. Wówczas skinął na Heywarda, by wyprowadził konie i pomógł siostrom ich dosiąść. Podróżni wydostali się przez rozwaloną bramę warowni i podążając w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybyli, opuścili polankę. Siostry, wyjeżdżając z łagodnego światła księżyca i zagłębiając się w mrocznej puszczy, oglądały się ukradkiem na cichy grób i walące się ruiny warowni.

!.)h

iii

Ji;

ii

;j ||i; 'M

!h

## ROZDZIAŁ

### CZTERNASTY

**Strażnik: Stój, kto idzie?**

**Dziewica:**

**My ze wsi, francuscy biedacy...**

**Henryk VI**

AWpośpiechu, w jakim opuszczali warownię, i w ogólnym podnieceniu podróżni nie zamienili słowa dopóty, dopóki nie weszli w gąszcz puszczy. Zwiadowca po dawnemu kroczył na przedzie, a gdy odeszli już dość daleko od swych prześladowców, zwolnił kroku. Szedł teraz ostrożniej i z większym namysłem niż dnia poprzedniego, bo nie

znał otaczającej go puszczy. Często przystawał i naradzał się z Mohikanami, przy czym wskazywał na księżyc lub uważnie badał korę drzew.

W czasie tych krótkich postojów Heyward i siostry wyostrzonym przez lęk słuchem usiłowali złowić jakiś dźwięk, który by powiedział im coś o wrogu. W tych chwilach wydawało im się, że olbrzymia puszcza przed nimi śpi wiecznym snem. Z jej głębi nie dochodziły najmniejsze odgłosy z wyjątkiem odległego i ledwie uchwytnego szmeru strumienia. Ptaki, zwierzęta i ludzie – jeżeli oczywiście w tej części dziewiczej puszczy byli jacyś ludzie – jakby spali pospołu. Ale szmer strumyka, mimo że słaby i niewyraźny rozwił wahania przewodników. Cicho i tym razem szybko ruszyli w tamtą stronę.

Po dojściu do brzegów potoku Sokole Oko przystanął jeszcze raz i zdjęwszy z nóg mokasyny polecił Heywardowi i Dawidowi zrobić to samo. Potem wszedł w wodę, a za nim weszli wszyscy i prawie godzinę szli korytem rzeczulki, nie zostawiając po sobie żadnych śladów.

Księżyc już się ukrył za wielkimi, czarnymi chmurami, groźnie zbierającymi się na wschodzie horyzontu, kiedy wyszli z krętego i płytkiego strumienia i znów wydostali się na dość jasną piaszczystą, lecz zalesioną równinę. Tu zwiadowca czuł się już jak w domu: szedł naprzód tak pewnie i szybko, jak człowiek, który dobrze wie, co robi.

Wkrótce ścieżka poczęła się wspinać i podróżni spostrzegli, że pasmo górskie po obu ich stronach zbliżyło się do nich i że lada chwila wejdą w wąwóz. Nagle Sokole Oko przystanął, zaczekał, aż jego towarzysze dołączą do niego, i powiedział głosem niższym do szeptu, który w ciszy i mroku tego miejsca dodawał jeszcze większej powagi jego słowom:

–Nietrudno znać przejście w puszczy i odnajdywać w niej lizawki oraz strumyki – mówił – ale któż na widok tego miejsca

1 odważyłby się twierdzić, że potężna armia śpi między tymi cichymi drzewami wśród nagich gór!

–A więc jesteśmy już niedaleko fortu William Henry? – zapytał Heyward zbliżając się do zwiadowcy.

–Musimy jeszcze przejść długą i uciążliwą ścieżkę, a największa trudność w tym, gdzie i kiedy na nią wejść. Patrz pan – ciągnął wskazując mały staw między drzewami, w którego cichej wodzie odbijały się gwiazdy – to jest "krwawy staw". Jestem na terenie, który nie tylko schodziłem wzdłuż i wszerz, ale na którym walczyłem z wrogiem przez cały dzień bez przerwy.

–Pod tym więc zwierciadłem ponurej i zamarłej wody kryje się grób męźnych ludzi, poległych w boju! Mówiono mi o tym stawie, ale nigdy tu nie byłem.

–Trzy bitwy w ciągu jednego dnia stoczyliśmy z tym francuskim Niemcem\* – ciągnął Sokole Oko, idąc raczej za własnymi myślami niż odpowiadając na uwagę Duncana. – W tym dniu setki Francuzów po raz ostatni oglądało słońce. Tss! Czy widzi pan? Jakby się coś przechadzało nad brzegiem stawu!

–Trudno uwierzyć, by w tych posępnych lasach znalazł się jeszcze ktoś równie bezdomny jak my.

–Ten ktoś mało dbałby o dom czy schronienie, a nocna rosa

Mowa o baronie Dieskau, Niemcu w służbie Francuzów. Na kilka lat przed czasem, w którym rozgrywają się opisane przez nas wydarzenia, sir William Johnson z Johnstown, w stanie New York, zwyciężył Dieskaua nad brzegami Jeziora Jerzego

(przy "P- autora).

nie zmoczy tego, kto całymi dniami leży w wodzie – odparł zwiadowca chwytając Heywarda za ramię. Major z siły tego uścisku od razu zrozumiał, że nieustraszony zwiadowca nie jest wolny od zabobonów.

–Na Boga! Przecież to człowiek idzie ku nam! Chwyćcie za broń, przyjaciele, bo nie wiadomo, kto to jest.

–Qui vive?\* – pytanie rzucone ostrym głosem zabrzmiało w tym bezludnym i ponurym miejscu jak wezwanie z tamtego świata.

–Co mówi? – szepnął zwiadowca. – Nie gada ani po indiań-sku, ani po angielsku!

–Qui vive? – powtórzył ten sam głos. Szczęknęła broń, a pytający przybrał groźną postawę.

–France!\* – krzyknął Heyward wychodząc z cienia drzew na brzeg stawu i stając o parę jardów od wartownika.

–Skąd przychodzicie i dokąd idziecie o tak wczesnej godzinie? – zapytał grenadier po francusku, wymawiając słowa jak rodowity Francuz.

–Wracam ze zwiadów i udaję się na spoczynek.

–Czy jest pan oficerem królewskim?

–Naturalnie, mój przyjacielu, czy bierzesz mnie za oficera wojsk kolonialnych? Jestem kapitanem strzelców (Heyward zorientował się po mundurze, że żołnierz jest z pułku piechoty liniowej). Prowadzę ze sobą córki komendanta fortu. Ach, pewnie słyszałeś już o nich! Wziąłem je do niewoli w pobliżu tamtego fortu i prowadzę do generała.

–Słowo daję, moje panie, ogromnie mi was żal – zawołał młody żołnierz, uprzejmie salutując. – Ale na wojnie jak na wojnie! Nasz generał na pewno się wam spodoba. Dzielny to człowiek i bardzo uprzejmy dla dam.

–Jak zwykle wojskowi – po francusku odparła Kora z zadziwiającą przytomnością umysłu. – Adieu, mój przyjacielu. Życzę ci przyjemniejszych obowiązków niż służba wartownicza.

Żołnierz ukłonem wojskowym podziękował jej za uprzejme słowa. Heyward dorzucił: "Dobranoc, przyjacielu", i wszyscy

Q u i v i v e? (franc.) – dosłownie "kto żyje", w znaczeniu -„kto idzie" France



bez pośpiechu ruszyli naprzód. Wartownik znów jął się przechadzać wzdłuż cichego stawu. Nawet na myśl mu nie przyszło, że zetknął się z niezwykle śmiałymi wrogami.

\_\_ Dobrze, że pan zrozumiał tego gałgana! – szepnął zwiadowca,

kiedy oddalili się już od Francuza. – Miał szczęście, że mówił z nami uprzejmie i przyjaźnie, bo łatwo by się znalazł na dnie stawu między swymi rodakami.

Przerwał mu przeciągły i ciężki jęk znad stawu, jakby duchy poległych naprawę błędziły koło swego wodnego grobowca.

\_\_ Nie był duchem – ciągnął zwiadowca – duch przecież nie

mógłby tak pewnie władać bronią!

\_\_ Duchem nie był, ale czy teraz nim nie jest, trudno powiedzieć – odparł Heyward oglądając się dokoła i widząc, że Chingacn" gook gdzieś zniknął.

Dał się słyszeć drugi jęk tym razem słabszy, i coś ciężkiego stoczyło się do wody, a potem znów zapadła głucha cisza. M<sup>o</sup>gł<sup>o</sup> się zdawać, że nic jej nie zakłóciło od początku świata. Podróżni wciąż jeszcze nie wiedzieli, co począć, gdy stary Indianin wynurzył się z nadbrzeżnych zarośli. Podszedł do nich i ujrzeni, że jedną ręką przytracza do pasa dymiący skalp nieszczęsnego młodego Francuza, a drugą wsuwa za pas nóż zboczony krwią. Po chwili Mohikanin stanął na swym miejscu z miną człowieka przekonanego, że dokonał czynu godnego pochwały.

Zwiadowca oparł kolbę sztucera o ziemię, położył ręce na lufie i zamyślił się głęboko. Po chwili potrząsnął głową ze smutkiem i mruknął:

\_\_ Jak na białego byłby to postępok okrutny i niehumaniczny, ale dla

Indianina jest to rzecz zwykła, i sądzę, że nikt mu tego nie weźmie za złe. Wolałbym jednak, aby jego ofiarą padł jakiś przeklęty Mingo, a nie ten wesóły chłopiec ze Starego Kraju.

–Cicho! – zawołał Heyward bojąc się, że siostry, które niczego nie podejrzewały, odgadną, co ich zatrzymało w drodze. – Złe się stało, ale nic już na to nie poradzimy. Jak pan widzi, jesteśmy na linii czat wroga. Jakiż kierunek radzi pan obrać?

–Tak – odparł Sokole Oko otrząsnąwszy się z rozmyślań-Francuzi nie na żarty

**otoczyli fort. Musimy zawrócić i po własnych śladach wydostać się za linię czat.  
Potem ostro skręcimy na zachód i wejdziemy w góry. Tam ukryję was tak, że żaden z  
przeklętych**

psów na żołdzie Montcalma przez całe miesiące nie wpadnie na wasz ślad.

–A więc w drogę!

Dalsze słowa były zbędne. Sokole Oko rzucił krótki rozkaz: "Za mną!" i ruszył z powrotem ścieżką, która przywiodła ich w to niebezpieczne miejsce. Posuwali się tak cicho, jak rozmawiali przed chwilą, bali się bowiem, że natkną się na jakiś patrol lub zaczajoną pikietę wroga. Gdy przechodzili nad brzegiem stawu, Heyward i zwiadowca znów ukradkiem spojrzeli na jego groźne i posępne wody. Daremnie wypatrywali sylwetki człowieka, który przed chwilą chodził po tym cichym brzegu. Słaby, miarowy plusk fal świadczący o tym, że woda jeszcze się nie uspokoiła, był strasznym dowodem krwawego dzieła, którego Chingachgook dokonał niemal na ich oczach. Na szczęście płytki staw i jego ponure brzegi szybko pograżyły się w mroku za nimi.

W miarę jak podróżni pięli się w górę, gęsty mrok ustępował przed rannym brzaskiem, a wszystkie przedmioty w dolinie nabierały wyraźnych, naturalnych kolorów. Kiedy wyszli ze skarłowa-ciałego lasu, czepiającego się korzeniami jałowego stoku, na płaski, pokryty mchem skalny szczyt góry, ujrzeli różowy świt, który wstawał nad zielonymi jodłami rosnącymi na górach po przeciwnej stronie doliny Horicanu.

Teraz zwiadowca polecił paniom zsiąść z koni, rozkielznał zmęczone zwierzęta, zdjął im siodła i puścił je wolno, by skubały krzaki i wątlą trawę wśród skał.

–Czy koni nie będziemy już potrzebowali? – zapytał Heyward.

–Spójrz pan i sam osądź – odrzekł zwiadowca stając na wschodnim cyplu skalistej góry i skinieniem ręki przywołując resztę podróżnych. – Gdyby można było tak zajrzeć w głąb ludzkich serc, jak widać z tego miejsca tajemnice obozu Montcalma, to na świecie mało byłoby obłudników.

Gdy podróżni podeszli do brzegu przepaści, od jednego rzutu oka zrozumieli, jak prawdziwe były słowa zwiadowcy i jak przezornie postąpił, że przywiódł ich tutaj.

Góra, na której stali, wznosiła się na jakieś tysiąc stóp nad ziemią i przypominała wysoki stożek wysunięty trochę naprzód przed łańcuch górski, który ciągnął się całymi milami wzdłuż zachodniego brzegu jeziora, aż do spotkania z siostrzanymi górami

za wodą, skąd łańcuch ten uchodził do Kanady w postaci splątanego i poszarpanego pasma skał, tu i tam nakrapia Sego skąpymi plamami zieleni.

U stóp podróżnych, szerokim półkolem od góry do góry, rozciągał się południowy brzeg jeziora Horican. Wybrzeże to przechodziło dalej w pofalowaną i nieco wzniesioną równinę. Ku północy ciągnęła się lustrzana i z tej zawrotnej wysokości wąska tafla Świętego Jeziora, poząbkowana niezliczonymi zatoczkami, upiększona cyplami fantastycznych kształtów i usiana wysepkami. O kilka mil dalej kontury jeziora ginęły wśród gór lub zacierały się w gęstej mgłę, która pod lekkimi podmuchami rannego wiatru wolno sunęła tuż nad wodą. Przez wąskie okienko między wierzchołkami gór widać było, jak jezioro uchodzi na północ, gdzie szeroko rozlewa swe kryształowe wody, zanim złączy się z odległym jeziorem Champlain. Na południe biegła poprzecinana wąwozami równina, o której już tyle razy wspominaliśmy. W tym samym kierunku, o kilkanaście mil dalej, góry jakby niechętnie rezygnowały z panowania nad okolicą, ale można było jeszcze dostrzec, jak się rozstępowały i malały, a w końcu zupełnie opadały i przechodziły w piaszczysty teren. Tędy towarzyszyliśmy naszym podróżnym w ich dwukrotnej wędrówce.

Wzdłuż obu łańcuchów górskich, obejmujących swymi ramionami przeciwległe brzegi jeziora i dolinę, wstawały nad lasami spiralne kłęby zwiewnej mgły. Wznosiła się ona jak dymy nad niewidocznymi chatami lub leniwie spływała w dół zboczy, łącząc się z oparami nizin. Samotna, biała jak śnieg chmurka wolno płynęła cichymi wodami Krwawego Stawu.

Tuż nad wodą, bliżej zachodniego krańca brzegu, widać było rozległe szańce i niskie budynki fortu William Henry. Przed linią umocnień, tu i tam podróżni widzieli znużonych żołnierzy, którzy stali na czatach wobec znacznie silniejszego wroga, a w obrębie wałów dostrzegli ludzi śpiących po całonocnym czuwaniu. Na południowy wschód, na skalnym wzniesieniu, w miejscu zresztą odpowiedniejszym pod budowę fortu, leżał umocniony obóz.

Od brzegów Horicanu do podnóża gór, na kilkuset jardowym skrawku ziemi, który ze szczytu góry wydawał się zbyt wąski, by pomieścić tak wielkie siły, widać było białe namioty i sprzęt

wojenny dziesięcioletniej armii wroga. Przez obozem ustawiono już baterie armat.

Kiedy podróżni doznając różnych uczuć patrzyli na ten widok u ich stóp niby na jakąś mapę, głuchy huk armat wstrząsnął doliną i grzmiącym echem przetoczył się wzdłuż wschodniego pasma gór.

–U nich już tam rozedniało – po chwili namysłu powiedział zwiadowca – i kanonierzy najwidoczniej głosem armat budzą śpiochów. Spóźniliśmy się o parę godzin. Montcalm obsadził już lasy swymi przeklętymi Irokezami.

–Fort istotnie jest już okrążony – odparł Duncan – lecz czy nie wymyślimy jakiegoś podstępu, by się tam przedostać? Lepiej poddać się z całym wojskiem niż znów wpaść w ręce Indian czyhających w lasach.

–Spójrzcie – zawołał zwiadowca, mimo woli zwracając uwagę Kory na kwaterę jej ojca – jak od tego wystrzału prysnęły kamienie ze ściany domu komendanta! Tak, Francuzi zamieniają go w kupę gruzów prędeż, niż go zbudowano, choć jest mocny i ma grube mury.

–Heywardzie, umieram na widok niebezpieczeństwa, którego nie mogę podzielić z ojcem – powiedziała nieustraszona, lecz zaniepokojona Kora. – Pójdźmy do Montcalma i poprośmy go, by nas przepuścił. Chyba nie odmówi prośbie dziecka, które tęskni do ojca.

–Wątpię, czy doniosłaby pani swe włosy do namiotu Francuza – bez ogródek odparł zwiadowca. – Gdybym miał choć jedno z tysiąca czółen, które puste stoją na tamtym brzegu, sprawa byłaby załatwiona. Ha! Strzelanina wkrótce ustanie, bo stamtąd nadciąga mgła i robi się ciemno jak w nocy. Wówczas indiańska strzała będzie niebezpieczniej sza od spizowej armaty. Jeżeli macie dość sił i chcecie pójść za mną, spróbujemy przemknąć się do fortu.

–Damy radę – odpowiedziała Kora stanowczo. – Dla takiego celu narazimy się na największe niebezpieczeństwo!

Zwiadowca ruchem ręki kazał wszystkim iść za sobą i rażno ruszył w dół stromego stoku, stąpając swobodnie, lecz ostrożnie. Heyward podtrzymywał siostry i w parę minut wszyscy zeszli z góry, na którą niedawno wspinali się z takim móżdżem.

Droga wybrana przez Sokole Oko wkrótce sprowadziła naszych

podróżnych na równinę niemal na wprost furtki w zachodniej kurtynie\* fortu. Tu, o jakieś pół mili od celu, zwiadowca przystanął i zaczekał na Duncana i jego towarzyszek. Szli z zapalem, a i teren sprzyjał szybkiemu schodzeniu, nic więc dziwnego, że wyprzedzili mgłę, leniwie przesuwając się nad jeziorem. Musieli poczekać, aż gęsty obłok okryje nieprzyjacielski obóz swym wełnistym płaszczem. Mohikanie skorzystali z tej zwłoki i wysliznęli się z lasu, by zbadać okolicę. Zwiadowca też ruszył naprzód i szedł o parę kroków za nimi. Po paru minutach powrócił jednak, czerwony z gniewu, i w kilku słowach wyładował swą złość:

–Tu, na naszej drodze, ten przeklęty Francuz umieścił pikietę z czerwonoskórych i białych, a w tej mgle możemy równie dobrze wejść na nią, jak ją ominąć.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy rozległ się huk. Kula armatnia uderzyła w gąszcz leśny, odbiła się od pnia jodły i upadła obok. Prawie jednocześnie z tym postąńcem śmierci, niby dwaj jego wierni słudzy, zjawili się Mohikanie. Unkas z największą powagą i żywo gestykułując powiedział coś w języku Delawarów.

–Może masz rację, mój chłopcze – mruknął zwiadowca, kiedy Unkas skończył. – Wysokiej gorączki nie leczy się tak, jak bólu zęba. Chodźmy więc, bo mgła gęstnieje.

–Czekaj! – krzyknął Heyward. – Najpierw powiedz pan, na co liczysz.

–Rzecz w tym, że nadzieja jest słaba, ale lepsze coś niż nic. Ta kula, którą pan widzi – powiedział zwiadowca kopiąc nieszkodliwe już żelastwo – przeorała ziemię lecąc z fortu i jeśli wszystko inne zawiedzie, będziemy się trzymali bruzdy po niej. Ale dość już słów, chodźcie za mną, bo mgła gotowa się rozwiać, gdy będziemy w połowie drogi.

Zboczyli trochę w lewo, zatoczyli półkole i po przebyciu, jak Heyward sądził, połowy drogi, znów skręcili w prawo, gdy z odległości co najwyżej dwudziestu stóp usłyszał groźny głos:

–Qui va la?\*

–Szybko naprzód – szepnął zwiadowca, znów zbaczając w lewo.

Kurtyna – część ściany twierdzy między dwoma bastionami. Q u i v a la (franc.) – kto idzie?

–Szybko naprzód! – powtórzył Heyward, a równocześnie ze wszystkich stron zabrzmiało groźne wezwanie francuskich wartowników.

–Cest moi!\* – krzyknął Duncan, już nie prowadząc, lecz ciągnąc obie siostry.

–Głupi! Kto ja? – zapytano po francusku.

–Przyjaciel Francji!

–Chyba nieprzyjaciel Francji! Stój! Albo, u licha, wyprawię cię do piekła! Nie? Ognia, przyjaciele!

Rozkaz wykonano natychmiast i wystrzały pięćdziesięciu muszkietów rozdarły mgłę. Na szczęście widoczność była zła i kule przeleciały bokiem, ale tak blisko podróżnych, że niedoświadczonemu Dawidowi i obu kobietom zdawało się, iż gwizdnęły im tuż przy skroni.

–Strzelajmy – zawołał zwiadowca. – Pomyślą, że to wycieczka z fortu, i uciekną albo zaczekają na posiłki.

Plan był mądry, ale zawiódł. Gdy tylko Francuzi usłyszeli strzały, równina jakby ożyła: od brzegów jeziora aż po najodleglejszy skraj puszczy zagrzmiały muszkiety.

–Ściągniemy na siebie całą ich armię i wywołamy generalną bitwę – powiedział Duncan. – Prowadź nas dalej, przyjacielu, jeśli ci miłe twoje życie i nasze.

Zwiadowca gotów był usłuchać, ale w ogólnym rozgardiaszu stracił orientację. Na próżno nadstawiał policzek: podmuchy wiatru z wszystkich stron wydawały się jednakowo chłodne. Ale Unkas dostrzegł bruzdę wyżłobioną przez kulę armatnią w miejscu, gdzie przebiła trzy przylegające do siebie mrowiska, i odnalazł drogę.

–Niech sam zobaczę – zawołał zwiadowca i pochylił się, aby zbadać kierunek bruzdy. Potem szybko ruszył naprzód.

Okrzyki, przekleństwa, nawoływania i grzechot muszkietów krzyżowały się nad uszami uciekających.

–Nie litować się nad łotrami! – zawołał któryś z gorliwych prześladowców. Najwidoczniej kierował on pogonią.

–Śmiało, zuchy z sześćdziesiątego! – rozległ się nagle jakiś głos tuż przed zbiegami.  
– Czekać, aż ujrzycie wroga, mierzyć nisko i omieść ogniem zbrocze wału.

–Ojcie, ojcie! – rozległ się z mgły przeszywający okrzyk. – To ja! Alicja! Twoja Ala! Oszczędź nas! Ratuj swe córki!

–Stać! – zabrzmiał głos komendanta. Drgała w nim nuta przejmującego bólu, a był tak donośny, że dotarł aż do skraju puszczy, gdzie powtórzyło go echo. – To ona! Bóg powrócił mi moje dzieci! Otwórzcie furtkę! Naprzód, sześćdziesiąty! Nie dotykać spustów, bo zabijecie moje drogie owieczki! Przepędźcie te francuskie psy białą bronią.

Duncan usłyszał zgrzyt zardzewiałych zawiasów i kierując się tym głosem skoczył ku furtce, obok której napotkał długą linię żołnierzy w ciemnoczerwonych mundurach, szybko zbiegających na równinę. Poznał swój własny batalion Królewskich Strzelców Amerykańskich i skoczył na jego czoło. Wkrótce udało mu się oczyścić przedpole fortu z Francuzów.

Alicja i Kora stały przez chwilę drżące i oszołomione tym nagłym zniknięciem Heywarda. Ale zanim zdążyły odezwać się czy bodaj zastanowić, oficer potężnej budowy, posiwiały weteran, którego surowy wygląd nieco złagodniał pod brzemieniem lat, wybiegł z gęstej mgły i przycisnął je do piersi. Wielkie, palące łzy spływały mu po bladych i pomarszczonych policzkach, gdy wołał z charakterystycznym szkockim akcentem:

–Dziękuję Ci, Panie! Teraz nawet największe niebezpieczeństwo sługa Twój powita z podniesionym czołem!

<|

y

v l-



# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Więc posłuchajmy, cóż to za pospólstwo,

Choć się założę, że odgadnę sprawę,

Nim jeszcze Francuz rzeknie o niej słowo.

Henryk V

Kilka najbliższych dni upłynęło w niedostatku, rozgwarze i niebezpieczeństwach towarzyszących oblężeniu. Francuzi przeważali liczebnie i walczyli mężnie, a Munro nie miał odpowiednich środków, by się przeciwstawić ich atakom. Webb wraz ze swoją armią, stojącą beczynnie nad brzegami Hudsonu, najwidoczniej nie chciał nic wiedzieć o opałach, w jakich znaleźli się jego rodacy. Montcalm szczelnie obsadził lasy wokół płaskowzgórza swymi dzikimi sojusznikami, a ich okrzyki i wycie donośnie rozbrzmiewały w brytyjskim obozie. Mroziły one krew w żyłach żołnierzy i tak już nadmiernie przejętych grożącym im niebezpieczeństwem.

Zupełnie inaczej było w oblężonym forcie. Żołnierz zachęcany słowami i zagrany przykładem oficerów miał dość męstwa, by z zapalem, który przynosił zaszczyt nieugiętemu dowódcy, podtrzymać swą sławę. Montcalm jakby poprzestał na tym, że z trudem przemaszerował przez puszcze i dotarł do fortu. Mimo że był dowódcą niewątpliwie zdolnym, nie obsadził przyległych gór. Stamtąd mógł przecież bezkarnie razić oblężonych nieprzyjaciół.

Ten stan rzeczy okazał się zgubny dla mężnego Szkota, który bronił fortu William Henry. Bo choć wróg nie doceniał wojskowego znaczenia wzgórz, jednakże bardzo umiejętnie ustawił armaty na równinie i z wielką energią i zręcznością posługiwał się ogniem. Oblężeni zaś ogniowi dział mogli przeciwstawić jedynie niedoskonałe i pospiesznie wzniesione umocnienia leśnego fortu.

128

Major Heyward pod wieczór piątego dnia oblężenia, a czwartego swej służby w forcie, skorzystał z tego, że werble obwieściły właśnie zaprzestanie ognia dla nawiązania pertraktacji, i wyszedł na wał jednego z bastionów nad wodą. Chciał odetchnąć rześkim, wilgotnym powietrzem i zobaczyć, jakie postępy poczynili oblegający.

Wydawało się, że przyroda też skorzystała z chwilowej ciszy i przybrała najśłodsza i najponętniejszą postać. Ostatnie blaski zachodzącego słońca oświecały krajobraz, już nikogo nie nużąc żarem upalnego lata. Góry, oblane łagodnym światłem, a tu i ówdzie przesłonięte cieniem rzucanym przez zwiewne obłoki, wyglądały pięknie w

szacie świeżej zieleni.

Duncan stał zamyślony, gdy nagle jego uwagę zwrócił odgłos kroków za wałami, na wprost furtki. Ruszył więc ku węgłowi bastionu i ujrzał zwiadowcę idącego pod strażą francuskiego oficera ku głównym umocnieniom fortu. Na twarzy Sokolego Oka malowało się przygnębienie i troska. Najwidoczniej czuł się niezmiernie upokorzony tym, że wpadł w ręce nieprzyjaciół. Był bez swej ukochanej broni, a ręce miał skrępowane za plecami rzemieniem z jeleniej skóry. Białą chorągiew powiewającą nad parlamentariuszami widywało się ostatnio tak często, że gdy Heyward spojrział na nadchodzącą grupę, spodziewał się, iż znów ujrzy jakiegoś wysłannika Francuzów. Ale gdy rozpoznał wysoką postać i męzną, choć przybitą twarz swego leśnego przyjaciela, drgnął ze zdziwienia i zawrócił, by zejść do wnętrza fortu.

Jednakże dźwięk innych głosów zwrócił jego uwagę i skłonił do poniechania pierwotnego zamiaru. W wewnętrznym rogu bastionu ujrzał Alicję i Korę, które spacerowały wzdłuż przed-piersia wału, by, tak jak i on, zaczerpnąć świeżego powietrza po wyjściu z czterech ścian fortu. Nie widzieli się od owej groźnej chwili, kiedy Heyward rozstał się z nimi, oczywiście tylko po to, by walczyć w ich obronie. Wówczas pozostawił siostry wyczerpane trudami; teraz zobaczył je wypoczęte i kwitnące, choć ciche i zalęknione. Nic więc dziwnego, że w tych okolicznościach na chwilę zapomniał o wszystkim i już chciał do nich przemówić, gdy uprzedził go dziewczęcy i żywy głosik Alicji.

–Ach! Zdrajca! Niewierny rycerz, który porzucił damy swego serca w nieszczęściu!  
– wołała. – Wiele dni, nie, całe wieki

9 – Ostatni Mohikanin

czekamy, ża padniesz do naszych stóp i będziesz błagał o łaskę i przebaczenie.

–Chyba pan wie, że Alicja jest panu wdzięczna i myśli tylko o tym, jak mamy panu podziękować – dodała znacznie poważniejsza i stateczniejsza od siostry Kora. – Istotnie, zastanawialiśmy się, czemu pan nas unika i nie pozwala, abyśmy wraz z ojcem podziękowały panu za opiekę nad nami.

–Ojciec pań może potwierdzić, że stale o paniach myślę, choć obowiązki trzymały mnie z daleka od was – odparł młody człowiek. – Zaciekle walczyliśmy o tę wioskę – wskazał na sąsiedni obóz warowny – bo ten, kto ją trzyma, ma w swych rękach cały fort i wszystko, co w nim się znajduje. Dlatego, od chwili gdyśmy się rozstali, spędziłem tam wszystkie dni i noce. Myślałem, że jest to moim obowiązkiem. Ale – dodał ze smutkiem, daremnie usiłując go ukryć – gdybym był wiedział, że postępek, który uważałem za żołnierski, może być wzięty za ucieczkę, wstyd by mi było pokazać się paniom.

–Heywardzie! Duncanie! – zawołała Alicja i pochyliła się, by w na pół odwróconej twarzy majora odczytać, co ten naprawdę myśli. Przy tym ruchu złocisty lok włosów opadł na zaróżowiony policzek i przesłonił łzę w jej oku. – Nie przypuszczałam, że zaboli pana moja paplanina. Kora może potwierdzić, jak bardzo cenimy pańskie usługi i jak głęboka, omal nie powiedziałam: jak gorąca jest nasza wdzięczność.

–Posłuchajmy, czy Kora potwierdzi pani słowa! – zawołał Duncan rozchmurzając twarz w radosnym i szczerym uśmiechu. – Co powie poważniejsza z siostr? Czy usprawiedliwi uchybienie rycerza, który musiał spełnić swój żołnierski obowiązek?

Kora zwlekała z odpowiedzią i wpatrywała się w wody jeziora. A kiedy znów spojrzała na Duncana, w oczach jej było tyle bólu, że pod wpływem współczucia zapomniał o wszystkim.

–Najdroższa miss Munro, czy pani coś dolega? – zawołał. – My żartowaliśmy, a pani cierpi!

–Głupstwo – odpowiedziała Kora i z kobiecą skromnością nie zgodziła się oprzeć na ofiarowanym jej ramieniu. – Nie umiem dostrzec słonecznej strony życia, jak ta szczerka i zapalona entuzjastka – dodała kładąc czule dłoń na ramieniu siostry. – Wynika to zapewne z mojego doświadczenia i, być może, jest moim

nieszczęściem. Niech pan spojrzy – ciągnęła, jakby postanowiła otrząsnąć się z chwilowej słabości – niech pan rozejrzy się wkoło, majorze Heyward, i niech pan powie, czego może spodziewać się córka żołnierza, dla której honor i sława ojca jest wszystkim.

– Ani jedno, ani drugie nie doznało uszczerbku. Wszystko sprawiły okoliczności od niego niezależne – z przejęciem odrzekł Duncan. – Ale pani słowa przypominają mi o moim obowiązku. Idę teraz do ojca pani dowiedzieć się, jakie decyzje powziął w sprawie obrony fortu. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, szlachetna Koro... – Do widzenia, Alicjo – uwielbienie w jego głosie ustąpiło czułości – do widzenia, Alicjo. Niebawem się spotkamy, wierzę: jako zwycięzcy.

Nie czekając na odpowiedź sióstr pobiegł w dół po zarośniętych trawą stokach bastionu i szybko przeciąwszy plac parad stanął przed obliczem ojca Alicji i Kory. Gdy Duncan wszedł, Munro wielkimi krokami, głęboko zatroskany, przechadzał się po swym wąskim pokoju.

– Odgadł pan moje życzenie, majorze Heyward – powiedział. – Właśnie zamierzałem posłać po pana,

– Z przykrością zobaczyłem, sir, że wysłannik, którego tak gorąco polecałem panu, powrócił pod strażą Francuza! Sądzę jednak, że nie ma powodów, aby wątpić w jego oddanie?

– Znam dobrze wierność Długiej Strzelby – odparł Munro – i nie budzi ona żadnych wątpliwości. Ale jego zwykłe szczęście tym razem mu nie dopisało. Montcalm przychwycił go i z przekłętą galanterią Francuzów odesłał mi, przy czym nie omieszkał złośliwie zauważyć, że wiedząc, jak bardzo cenię tego zucha, nie śmiał go zatrzymać.

– A generał Webb i jego odsiecz?

– Czy nie spojrział pan na południe, kiedy pan tu szedł, i czyś jej nie dojrzał? – odparł stary żołnierz śmiejąc się gorzko. – Spokojnie, spokojnie, młody człowieku, niecierpliwym z pana młodzik. Niech pan nie wymaga pośpiechu od powolnych dżentelmenów.

– A więc nadejdą? Zwiadowca przyniósł tę wiadomość?

– Kiedy i którędy? Ten gamoń zapomniał mi o tym powiedzieć. Był też jakiś list – zdaje się, jedyna przyjemna strona całej sprawy. Bo ten pański markiz Montcalm ze zwykłą sobie uprzej-



mością odesłałby nam list, gdyby były w nim jakieś złe wiadomości.

–Więc zatrzymał list, a zwolnił posłańca!

–Tak. Tak właśnie zrobił.

–Ale co mówił zwiadowca? Przecież ma oczy, uszy i język. Co raportuje ustnie?

–O, mój panie, nie brak mu żadnego z tych organów. Może zdać sprawę ze wszystkiego, co widział i słyszał. Ale całe sprawozdanie brzmi tak: jest sobie królewski fort nad brzegami Hudsonu, nazwany fortem Edwarda na cześć jego królewskiej wysokości księcia Yorku, jak pan wie, i ten fort jest pełen wojska, tak jak powinno być.

–Ale czy nie widział tam żadnych przygotowań do przyścia nam z pomocą?

–Co rano i co wieczora odbywały się tam parady, a kiedy któryś z tych nieokrzęsanych kolonistów podsypie trochę prochu do ognia przy warzeniu owsianki, ten ledwie się zapala. – I nagle zmieniając ironiczny i pełen goryczy ton na poważniejszy, dodał z namysłem: – A jednak w tym liście mogło i musiało być coś,

o czym dobrze byłoby wiedzieć.

–Musimy natychmiast coś przedsięwziąć – powiedział Duncan, szybko wykorzystując tę zmianę humoru i wysuwając na pierwszy plan rozmowy sprawę ważniejszą. – Muszę panu powiedzieć, sir, że obozu nie da się dłużej utrzymać. I przykro mi dodać, że w samym forcie sprawy nie stoją dobrze. Przeszło połowa armat popękała.

–Czy mogło być inaczej? Jedne wyłowiono z dna jeziora, drugie rdzewiały w puszczy od czasu odkrycia tego kraju, inne wreszcie nigdy nie były armatami, lecz zaledwie zabawkami w rękach korsarzy.

–Wały się kruszą, daje się odczuć brak żywności – ciągnął Heyward – a ludzie zdradzają już niezadowolenie i niepokój.

–Majorze Heyward – powiedział Munro zwracając się do swego młodego kolegi z godnością człowieka starszego wiekiem

1 stopniem. – Gdybym nie wiedział o tym wszystkim i gdybym nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, na próżno przez pół wieku służyłbym królowi i doczekał się siwych włosów. Ale winniśmy pamiętać o honorze armii królewskiej i naszym

własnym.

## I

Jeżeli więc mamy jakąś nadzieję na odsiecz, będę bronił tej twierdzy nawet kamykami pozbieranymi na brzegu jeziora. Musimy bodaj rzucić okiem na list i dowiedzieć się, co zamierza człowiek, którego earl Louden zostawił nam, jako swego zastępcę.

–Czy mogę się w tym na coś panu przydać?

–Tak, panie majorze. Markiz de Montcalm, świadcząc mi różne uprzejmości, zaproponował spotkanie w pół drogi między fortem i jego obozem w celu, jak mówi, podzielenia się ze mną paroma nowymi wiadomościami. Sądzę jednak, że postąpiłbym nierozsądnie, gdybym zbyt się spieszył do tego osobistego spotkania. Dlatego chcę wyznaczyć na mego zastępcę w tej rozmowie pana, jako oficera w stopniu majora. Przyniosłoby bowiem ujmę honorowi Szkocji, gdyby ludzie powiedzieli, że jakiś cudzoziemiec prześcignął szkockiego szlachcica w uprzejmości.

Nie wdając się w jałową dyskusję na temat, który z narodów jest grzeczniejszy, Duncan chętnie zgodził się zastąpić starego żołnierza w spotkaniu z Montcalmem.

Po długiej, poufnej rozmowie ze swym doświadczoneym i obdarzonym wrodzoną przenikliwością dowódcą, pod osłoną małej białej chorągwi, przy warkocie bębna, opuścił fort i wyszedł przez furtkę w wale. Na linii nieprzyjaciela powitał go oficer francuski z zachowaniem form uświęconych zwyczajem i natychmiast zaprowadził do odległego dużego namiotu sławnego żołnierza – dowódcy wojsk francuskich.

Generał przyjął młodego parlamentariusza w otoczeniu swych najstarszych rangą oficerów i grona czerwonoskórych – wodzów licznych plemion, którzy wyruszyli za nim w pole na czele zbrojnych oddziałów indiańskich. Heyward zmieszał się na mgnienie oka, kiedy zerknął na grupę czerwonoskórych i ujrzał złą, podstępą twarz Maguy. Wódz przyglądał mu się ze spokojną i posępną uwagą.

W okresie, który tu opisujemy, markiz de Montcalm był w rozkwicie swych lat i, trzeba dodać, u szczytu powodzenia. Lecz nawet teraz, kiedy można mu było pozazdrościć sławy, był uprzejmy i słynął zarówno z dworskich form, jak i z rycerskiej odwagi, którą zaledwie w dwa lata później przypłacił życiem na równinach Abrahama. Duncan oderwał wzrok od złej twarzy Maguy

i z przyjemnością patrzył na uśmiechnięte oblicze, wytworne rysy i wspaniałą, wojskową postać francuskiego generała.

–Monsieur – powiedział Montcalm – mam zaszczyt, ba!... gdzie się podział tłumacz?

–Sądzę, że nie będzie nam potrzebny – skromnie odparł po francusku Heyward. – Znam trochę francuski.

–Bardzo mnie to cieszy – rzekł Montcalm, poufałym ruchem ujmując Duncana pod ramię i prowadząc go w głąb namiotu, z dala od ludzkich uszu. – A więc, mój panie – mówił po francusku – choć czułbym się bardzo zaszczycony, gdybym mógł powitać pańskiego przełożonego, jestem szczęśliwy, że wysłał w swym zastępstwie oficera tak wybitnego i tak uprzejmego jak pan.

Duncan skłonił się nisko, a Montcalm po krótkiej pauzie, podczas której jakby zbierał myśli, mówił dalej:

–Pański przełożony to człowiek dzielny i niewątpliwie potrafi stawić mi czoło. Ale, mój panie, czy nie czas, abyśmy się więcej kierowali względami ludzkości, a mniej naszą odwagą? Jedno i drugie stanowi zaletę prawdziwego bohatera.

–My uważamy obie te zalety za nierozłączne – z uśmiechem odparł Duncan. – Jeżeli jednak pańska energia, ekscelencjo, pobudza w nas tylko męstwo i odwagę, to nic nas nie nagli do okazania miłości bliźniego.

Z kolei Montcalm skłonił się lekko. Uczynił to z miną człowieka doskonale znającego sztukę schlebiana. Zastanowił się chwilę i mówił dalej:

–Czyżby moja luneta mnie myliła i wasze wały lepiej zniosły ogień armat, niż mi się zdawało? Czy orientuje się pan, jakie mam siły?

–Posiadane przez nas informacje nie są zgodne – beztrósco odparł Duncan – jednakże oceniamy pańskie siły najwyżej na dwadzieścia tysięcy ludzi.

Francuz przygryzł wargę i badawczo patrzył w twarz Duncana, jakby chciał odczytać jego myśli. Potem z właściwą mu łatwością mówił dalej, pozornie zgadzając się z Duncanem, który wymienił liczbę dwa razy większą od prawdziwej.

–Słony to komplement dla naszej żołnierskiej czujności, że mimo największych wysiłków nie możemy ukryć liczby naszych



wojsk. Gdzież jeśli nie w puszczy można ukryć swe siły przed okiem nieprzyjaciela? Choć pan uważa, że jeszcze za wcześnie na humanitarne uczucia – dodał uśmiechając się chytrze – sądzę jednak, że czułe serce bije w człowieku tak młodym jak pan. Słyszałem, że córki pułkownika przedostały się do fortu już w czasie oblężenia.

–Tak jest, panie generale, ale ich obecność bynajmniej nie osłabia ducha obrońców fortu. Odwrotnie, dają nam przykład

| męstwa i nieugiętości charakteru.

–Wszystkie szlachetne cechy są dziedziczne – odrzekł Montcalm. Lecz jak już mówiłem, odwaga ma swoje granice i nie można zapominać o względach ludzkości. Sądzę, że jest pan upoważniony do pertraktacji o poddanie fortu?

–Czyżby uważał pan, ekscelencjo, naszą obronę za tak słabą, że nie mamy innego wyboru?

–Przykro by mi było, gdyby obrona się przeciągała, gdyż rozwścieczyłoby to moich czerwonoskórych sprzymierzeńców – odparł Montcalm wskazując oczami na grupę poważnie i z uwagą przysłuchujących się Indian i pomijając pytanie Heywarda. – Ci panowie są doprawdy straszni, gdy spotka ich zawód. A zatem mój panie, czy możemy omówić warunki kapitulacji?

–Obawiam się, ekscelencjo, że myli się pan w ocenie wytrzymałości wałów fortu William Henry i możliwości jego obrony.

–Przecież oblegam nie miasto Quebec, lecz fort o wałach usypanych z ziemi i bronionych co najwyżej przez dwa tysiące trzystu dzielnych ludzi – lakonicznie odpowiedział Montcalm.

–Nasze wały są z ziemi, to prawda. Lecz zaledwie o parę godzin marszu stąd stoi potężna armia, którą uważamy za część naszych sił.

–Raptem jakieś sześć do ośmiu tysięcy ludzi – odparł Montcalm z wyraźnym lekceważeniem. – A ich wódz myśli, że bezpieczniej jest siedzieć za wałami fortu niż wyjść w pole.

Teraz znów Heyward przygryzł wargę, z przykrością słysząc, jak Montcalm spokojnie i obojętnie mówi o armii, której liczebność najwyraźniej przecenił. Obaj namyślali się chwilę w milczeniu, aż wreszcie Montcalm podjął rozmowę i prowadził ją dalej tak, jakby wierzył święcie, że major przybył tylko po to, by uzgodnić warunki kapitulacji. Ze swej strony Heyward czynił najróżniejsze

próby wyciągnięcia od generała tajemnicy przejętego listu. Lecz żadnemu z nich nie udały się te wybiegi.

Po bezowocnej, choć długiej rozmowie Duncan pożegnał się pod silnym wrażeniem niezwyklej uprzejmości i wielkich talentów swego wroga, ale tak samo daleki od celu, jak na początku rozmowy. Montcalm odprowadził go aż do wejścia do namiotu i raz jeszcze zaproponował jak najszybsze spotkanie z komendantem fortu iia otwartym terenie, w pół drogi między wojskami.

## ROZDZIAŁ

### SZESNASTY

**E d g a r:**

Nim zaczniesz walkę, list zechciej otworzyć.

**Król Lear**

Po powrocie major Heyward zastał pułkownika Munro w towarzystwie córek. Alicja siedziała na kolanach ojca i delikatnymi paluszkami rozczesywała mu siwe włosy opadające na czoło. Ilekroć starzec, niby zły na tę pieśczołę, marszczył się, uspokajała udany gniew pocałunkiem w pomarszczone czoło. Kora z tkliwością przyglądała się ruchom swej rozkapryszonej młodszej siostry. W chwilowej ciszy i spokoju córki zapomniały o swych obawach, a ojciec o gnębiących go troskach.

Duncan, który chciał jak najprędzej zdać pułkownikowi sprawę ze swej rozmowy z Montcalmem i dlatego wszedł nie meldowany, przystanął na progu zachwycony tą sceną. W pierwszej chwili nikt go nie zauważył. Ale bystre i rozbiegane oczy Alicji wkrótce dostrzegły jego odbicie w lustrze. Dziewczyna zarumieniła się, zeskokczyła z kolan ojca i zawołała:

–Major Heyward!

–Co? – zapytał ojciec. – Posłałem go, żeby trochę pogadał z tym Francuzem. Ha, sir, jest pan młody i jak widzę, szybki! Wynoście się, zbytnice! Stary żołnierz dość ma trosk nawet bez takich gadatliwych srok w obozie.

•Alicja śmiejąc się poszła za Korą, która natychmiast wyszła, aby nie przeszkadzać w rozmowie. Ale Munro wcale nie pytał młodego majora o wynik rozmowy z

Montcalmem. Parę chwil chodził po pokoju pochylony, z rękami założonymi w tył, i za-

137

topiony w myślach. Wreszcie uniósł wzrok przepojony głęboką miłością ojcowską i zawołał:

–Wspaniałe dziewczyny, Duncanie! Doprawdy, można być z nich dumnym.

–Zna pan już, pułkowniku, moje zdanie o pańskich córkach...

–Otóż to, mój chłopcze – przerwał mu niecierpliwy starzec. – W dniu pańskiego przybycia do fortu chciał pan nawet otworzyć przede mną swe serce. Uważałem wówczas, że nie godzi się starem żołnierzowi mówić o ojcowskim błogosławieństwie i ślubnych ceremoniach, kiedy wrogowie jego króla mogą jak nieproszeni goście przybyć na ucztę weselną! Ale myliłem się, Duncanie, i teraz jestem gotów cię wysłuchać.

–Mimo szczerej radości, jaką sprawia mi pańskie zapewnienie, sir, chciałbym powtórzyć zlecenie dane mi przez Montcalma...

–Niech diabli porwą Francuza wraz z jego hordami, mój panie! – zawołał zapalczywy Munro. – Jeszcze nie zdobył fortu i nigdy go nie zdobędzie, jeśli tylko Webb spełni swój obowiązek. Nie, mój panie! Dzięki Najwyższemu sprawy nie zaszły aż tak daleko. Nie można powiedzieć, że stary Munro jest tak przyciśnięty do muru, iż musi zapomnieć o sprawach rodzinnych. Pańska matka, Duncanie, była jedynym dzieckiem mego serdecznego przyjaciela. Wysłucham cię tedy, nawet gdyby wszyscy kawalerowie orderu świętego Ludwika z tym francuskim świętym na czele stali przed furtą do obozu i błagali mnie o parę słów rozmowy.

Heyward wyczuł, że Munro ze złośliwą satysfakcją lekceważy sobie to, co kazał mu powiedzieć francuski generał. Dlatego postanowił nie sprzeciwiać się, bo wiedział, że gniew pułkownika szybko przejdzie. Odparł więc z taką obojętnością, na jaką mógł się zdobyć:

–Moim gorącym pragnieniem, sir, jak pan wie, jest, bym mógł zostać pańskim zięciem!

–Tak, mój chłopcze, wyrażasz się dość jasno. Ale niech mi wolno będzie spytać, czy o swych uczuciach równie jasno powiedziałaś dziewczynie?

–Klnę się na honor, że nie! – gorąco wykrzyknął Duncan. – Postąpiłbym nieszlachetnie, gdybym skorzystał z przywileju, jaki dawała mi sytuacja.

–Postąpiłeś jak dżentelmen, majorze Heyward. Ale Kora Munro jest dziewczyną rozsądną i ma umysł zbyt wzniosły i doskonały, by potrzebowała opieki nawet ze strony ojca.

–Kora?

–Tak, Kora! Mówimy o pańskich staraniach o rękę miss Munro, nieprawda, mój panie?

–Ja... ja... chyba nie wymieniłem imienia – jąkał się Duncan.

–Majorze Heyward, o czyjąś rękę mnie prosisz? – •- zapytał stary żołnierz prostując się urażony w swej dumie.

–Ma pan jeszcze jedną i nie mniej uroczą córkę.

–Alicja! – zawołał ojciec tak samo zdziwiony jak Heyward przed chwilą.

–O niej właśnie myślałem, sir.

Młodzieniec czekał w milczeniu na wynik tych oświadczeń, które najwyraźniej zupełnie zaskoczyły i wstrząsnęły pułkownikiem Munro. Przez dłuższą chwilę starzec przemierzał pokój długimi i szybkimi krokami, a jego surowe rysy drgały konwulsyjnie. W końcu przystanął przed Heywardem i powiedział drżącymi

ustami:

–Duncanie Heyward, kochałem pana przez wzgląd na człowieka, którego krew płynie w pańskich żyłach; kochałem cię dla twych własnych zalet i wierzyłem, że dasz szczęście memu dziecku. Ale cała moja miłość zamieni się w zacieklą nienawiść, jeśli się przekonam, że to, czego się śmiertelnie lękam, jest prawdą.

–Niechże Bóg broni, aby jakiś mój postępek lub jakaś myśl doprowadziła do podobnej zmiany! – zawołał młodzieniec, a jego wzrok nawet nie drgnął pod badawczym spojrzeniem wpatrzonych weń oczu.

Munro zaś, najwidoczniej orientując się, że Duncan nie rozumie przyczyn jego wzburzenia, pod wpływem niezachwianej postawy młodzieńca opanował już gniew i znacznie łagodniejszym tonem ciągnął dalej:

–Chciałbyś być moim synem, Duncanie, a czy znasz historię człowieka, którego pragnąłbyś nazwać ojcem? Siadaj więc, a ja w paru słowach powiem ci, co mnie boli.

**Ród mój jest stary i szanowany – mówił – ale bynajmniej nie opływa w dostatki. Byłem w pańskim wieku, kiedy zakochałem się w Alicji Graham, jedynej córce naszego sąsiada, właściciela**

**139**

**obszernych włości. Ale ojciec Alicji sprzeciwił się naszemu małżeństwu. Wówczas postąpiłem tak, jak winien postąpić uczciwy człowiek: zwróciłem pannie słowo, zaciągnąłem się do wojska i wyjechałem. Widziałem wiele krajów i przelałem wiele krwi w różnych częściach świata, aż wreszcie wysłano mnie na wyspy zachodnioindyjskie. Los zrządził, że poznałem tam kobietę, która została moją żoną i matką Kory. Była ona córką pewnego dżentelmena z tych wysp. Jej matka na swe nieszczęście pochodziła z tej upośledzonej rasy, która jest podle skazana na niewolnictwo po to, by zaspokajać kaprysy bogaczy. Ha! Majorze Heyward, pan sam urodził się na Południu, gdzie te nieszczęsne istoty są uważane za rasę gorszą od pańskiej.**

**–Niestety, to szczerą prawdą, sir – odparł Duncan i tak się zmieszał, że aż spuścił oczy.**

**–I pan robi z tego zarzut mej córce! Z pogardą odrzuca pan myśl o związku z istotą podobnego pochodzenia, choć czarującą i obdarzoną licznymi cnotami? – gniewnie pytał starzec.**

**–Niechże mnie Bóg broni od niemądrych przesądów! – odparł Duncan. – Uroda, czar i urok pańskiej młodszej córki, panie pułkowniku, całkowicie mnie tłumaczą. Niech więc mi pan nie stawia podobnych zarzutów.**

**–Ma pan rację – odparł starzec już łagodniejszym tonem. – Dziewczyna jest żywym portretem matki, gdy ta była w jej wieku i nie zaznała jeszcze trosk. Po śmierci żony wróciłem do Szkocji. I czy pan uwierzy, Duncanie, Alicja, biedny anioł, nie wyszła za mąż i dwadzieścia lat czekała na człowieka, który przecież mógł być o niej zapomnieć! Ale zrobiła coś więcej, mój panie: wybaczyła mi moje wiarołomstwo, a ponieważ zniknęły wszystkie przeszkody, zgodziła się zostać moją żoną.**

**–I ona była matką Alicji?! – zawołał Duncan.**

**–Tak, istotnie – odparł pułkownik – i drogo zapłaciła za dane mi szczęście. Żyliśmy ze sobą tylko jeden rok.**

**Z cierpienia starego człowieka bił taki majestat, że Heyward nawet słowem nie odważył się wyrazić swego współczucia. Wreszcie Munro poruszył się, jakby nagle odzyskał przytomność, wstał i z wyniosłą miną dowódcy zapytał:**

**–Czy chce pan, majorze Heyward, przekazać mi jakąś wiadomość od markiza de**

**Montcalm?**

Duncan poderwał się i natychmiast rozpoczął z lekkim zakłopotaniem zdawać raport z rozmowy, o której już niemal zapomniał. Munro słuchał szczegółowej relacji Heywarda i stopniowo obowiązek dowódcy brał górę nad uczuciami ojcowskimi. A gdy Duncan skończył, miał przed sobą już tylko starego weterana, dotkniętego w swej żołnierskiej dumie.

–Majorze Heyward, dość już słyszałem! – zawołał rozgniewany starzec. – Markiz de Montcalm chce rozmawiać z Munro!

Na Boga, mam wielką ochotę spełnić jego prośbę, chociażby po to, by mógł się przekonać na własne oczy, że się go nie boimy mimo jego przewagi i gróźb. Spotkam się z Francuzem niezwłocznie, i to bez żadnych obaw. Niech pan idzie, majorze Heyward, i poleci, by Francuzów powitano biciem w bębny i dźwiękami trąb. Udamy się na spotkanie z niewielką asystą honorową, bo tak wypada człowiekowi, który reprezentuje osobę i majestat króla. Posłuchaj, Duncanie – dodał szeptem, mimo że byli sami – dobrze byłoby jednak mieć jakiś oddział pod ręką, na wypadek, gdyby za tym wszystkim kryła się zdrada.

Major wysłuchał rozkazu pułkownika Munro i wyszedł, a że dzień szybko chylił się ku końcowi, natychmiast wydał niezbędne polecenia. W parę minut sformował oddział i wysłał oficera z białą flagą, który miał zapowiedzieć nadejście komendanta fortu. Potem poprowadził mały oddział do furtki w wale, gdzie Munro już czekał. Zaraz po przyjęciu raportu stary wódz i jego młody kolega w towarzystwie eskorty opuścili fort.

Ledwie przebyli sto jardów, ujrzeli grupkę wojskowych – francuskiego generała i jego asystę, wychodzących z wąwozu, którym płynął strumień przedzielający wrogie obozy. Munro szedł na spotkanie z nieprzyjacielem dumnie wyprostowany, pewnym krokiem i z wyniosłą miną. Gdy zaś ujrzął biały pióropusz na kapeluszu Montcalma, oczy jego zapłonęły odwagą i jakby nagle od-młodniał.

–Rozkaż naszym zuchom, by nie spuszczaali wroga z oczu – półgłosem polecił Duncanowi. – Strzelby i szable niech mają w pogotowiu, bo słudze Ludwików nigdy nie można ufać.

Przerwało mu donośne bicie bębnow od strony nadchodzących Francuzów. Natychmiast odezwały się bębny Anglików, po czym każda ze stron wysłała naprzód oficera z białą chorągwią.

Zaraz po tych wstępnych powitaniach Montcalm w dworskim ukłonie zdjął kapelusz i niemal zamiatając ziemię śnieżnobiałym pióropuszem, szybkim i pełnym gracji krokiem ruszył na spotkanie pułkownika Munro. Z obu dowódców Munro miał w sobie więcej męstwa i powagi, natomiast brakowało mu niewymuszonej swobody i dworskiej ogłady Montcalma. Przez parę minut obaj wodzowie milczeli i przyglądali się sobie z żywym zaciekawieniem. Potem Montcalm, jak to wypadało z racji jego wyższej rangi i z charakteru spotkania, przerwał milczenie. Po uprzejmym przywitaniu się z pułkownikiem zwrócił się do Duncana i, nadal po francusku, ciągnął z uśmiechem jak do znajomego:

–Cieszę się bardzo, że pan zaszczyił nas swą obecnością przy tym spotkaniu. Obejdziemy się bez urzędowego tłumacza, bo jeśli pan zgodzi się tłumaczyć, będę się czuł tak, jakbym mówił waszym językiem, panowie.

Duncan ukłonem podziękował za komplement, a Montcalm mówił dalej:

–Prosiłem o to spotkanie z pańskim przełożonym, bo wierzę, że pozwoli sobie wytłumaczyć, iż zrobił wszystko co mógł dla uratowania honoru jego króla, i że nadeszła pora, by przemówiły względy ludzkości. Ja zawsze będę świadczył, że pułkownik Munro bronił się dzielnie i że walczył dopóty, dopóki pozostawał mu cień nadziei.

Kiedy Duncan przełożył ten wstęp, Munro odpowiedział z godnością i uprzejmie:

–Choć wielce sobie cenię podobną pochwałę z ust generała Montcalma, będę ją cenił jeszcze wyżej, gdy lepiej na nią zasłużę.

Francuz uśmiechnął się, gdy Duncan przełożył mu tę odpowiedź, i zauważył:

–Na to, na co w pełni zasługuje niewątpliwa odwaga, może nie zasłużyć bezcelowy upór. Może pułkownik Munro zechciałby zobaczyć mój obóz i na własne oczy przekonać się o moich siłach i o tym, jak beznadziejny jest dalszy opór.

–Wiem, że jego królewska mość król Francji dysponuje licznym wojskiem – odparł niewzruszony Szkot, gdy tylko Duncan zakończył tłumaczenie słów Montcalma. – Mój król ma jednak nie mniej liczne i równie wierne wojska.

–Jednakże nie tutaj, na nasze szczęście – bez wahania odparł



**Montcalm. – Los wojny jest zmienny i prawdziwie mężny człowiek umie mu się poddać tak samo odważnie, jak stawia czoło swym wrogom. Te góry pozwalają nam dokładnie widzieć wasze umocnienia, panowie, i dlatego, być może, orientuję się w ich złym stanie nie gorzej od was.**

**–Proszę zapytać francuskiego generała, czy jego luneta pozwala mu- dojrzeć Hudson – dumnie odparł Munro – czy wie, gdzie i kiedy spotka się z armią Webba.**

**–Pozwólmy więc zabrać głos samemu generałowi Webbowi – rzekł chytry Francuz i zanim skończył mówić, podał pułkownikowi otwarty list.**

**Stary żołnierz chwycił papier, nawet nie czekając, aż Duncan przełoży słowa Francuza. Gorączkowa niecierpliwość tego ruchu zdradziła, jak bardzo zależało mu na poznaniu treści listu. Ale gdy szybko przebiegł wzrokiem słowa tego pisma, zmienił się na twarzy. Rozpacz zajęła miejsce żołnierskiej dumy, a wargi poczęły mu drżeć. Upuścił list, głowę schylił na piersi jak człowiek, którego nadzieje rozwiały się od jednego uderzenia.**

**Duncan porwał list z ziemi i nawet nie przepaszając za samowolę, jednym rzutem oka odczytał straszną wiadomość. Webb wcale nie zachęcał ich do obrony, doradzał' szybką kapitulację, a jako powód podawał bez osłonek, że nie może przysłać ani jednego żołnierza.**

**–Nie ma mowy o fałszu! – zawołał Duncan, dokładnie badając list z obu stron. – To podpis Webba i bez wątpienia list został przejęty przez Francuzów.**

**–Ten człowiek mnie zdradził! – po chwili z goryczą wykrzyknął Munro. – Okrył hańbą żołnierza, który dotąd jej nie znał. Wstydem okrył moją siwą głowę.**

**–Niech pan tak nie mówi! – zawołał Duncan. – Jesteśmy jeszcze panami fortu i własnego honoru. Sprzedajmy więc nasze życie za cenę, której nieprzyjaciel nie chce zapłacić.**

**–Dziękuję ci, chłopcze – powiedział starzec odzyskując ducha. – Przypomniałeś pułkownikowi Munro o jego obowiązkach. Wracajmy i znajźmy sobie grób pod tymi wałami.**

**–Panowie – odezwał się Montcalm, pod wpływem odruchu wspaniałomyślności postępując krok ku Anglikom – zanim odejdziecie, wysłuchajcie moich warunków.**

–Co mówi ten Francuz? – surowym tonem zapytał stary żołnierz. – Czy poczytuje sobie za wielką zasługę, że ujął zwiadowcę z listem od naczelnego wodza?

Duncan wyjaśnił Szkotowi, co powiedział Montcalm.

–Monsieur de Montcalm, słuchamy pana – rzekł Munro, kiedy Duncan skończył.

–Fort musi być zburzony – powiedział wspaniałomyślnie przeciwnik. – Wymagają tego interesy mego króla. Ale panu i jego mężnym podkomendnym będą okazane wszystkie względy drogie sercu żołnierza.

–Nasze sztandary? – zapytał Heyward.

–Zabierzecie je do Anglii i pokażecie waszemu królowi.

–Broń?

–Zachowacie ją. Nikt nie potrafi użyć jej lepiej.

–Nasz wymarsz i poddanie fortu?

–Odbędzie się w sposób najbardziej dla was honorowy.

Duncan odwrócił się i powtórzył tę propozycję swemu przełożonemu, a ten wysłuchał jej zdziwiony i głęboko wzruszony tak niezwykłą i niespodziewaną szlachetnością wroga.

–Idź, Duncanie – powiedział – idź z tym markizem do jego namiotu i ustal warunki kapitulacji. W podeszłym wieku ujrzałem dwie rzeczy, których nigdy nie spodziewałem się ujrzeć. Anglika, który odmówił pomocy przyjacielowi, i Francuza tak prawego, że nie wykorzystał swej przewagi.

To mówiąc znów opuścił głowę i wolno odszedł do fortu.

Po tym niespodziewanym ciosie Munro nigdy już się nie podniósł. Od tej chwili datuje się też zwrot w jego niezłomnym charakterze, zwrot, który ^szybko doprowadził go do grobu.

Duncan pozostał, by ustalić warunki kapitulacji, a nieco później oficjalnie ogłoszono rozejm. Fort o świcie miał być oddany w ręce Francuzów. Garnizon zachowywał broń, sztandary, tabory, a więc zgodnie ze zwyczajami wojennymi – swój honor.

**Utkajmy wątek, już nitka się skraca. Płótno gotowe, ukończona praca.**

**Gray**

**Wrogie sobie armie rozlokowane w puszczy okalającej Horican spędziły noc 9 sierpnia 1757 roku tak, jakby ją spędziły na otwartych polach Europy. Zwycięzeni byli ponurzy, zgnębieni i cisi. Zwycięzcy triumfowali.**

**Ale i smutek, i wesołość mają swoje granice, na długo więc przed świtem cisza zapanowała w rozległych lasach i próżno szukałoby się najmniejszego znaku wskazującego, że dwie armie spokojnie śpią nad brzegami Świętego Jeziora.**

**Właśnie w czasie tej głębokiej ciszy uchyliła się zasłona u wejścia do obszernego namiotu w obozie Francuzów i jakiś człowiek wyszedł spod niej na świeże powietrze i skierował się ku wałom fortu William Henry. Za każdym razem, gdy napotykał liczne posterunki, odpowiadał na ich wołanie bez namysłu i najwidoczniej dobrze, skoro go przepuszczano bez dalszych pytań.**

**Z wyjątkiem tych częstych, lecz krótkich zatrzymań doszedł bez przeszkód aż do niskiego brzegu jeziora, niebezpiecznie blisko zachodniego bastionu fortu, stojącego tuż nad wodą.**

**Słaby blask księżycy zza chmur pozwalał dostrzec tylko zarysy przedmiotów. Nieznajomy przezornie oparł się o pień drzewa i stał tak długi czas, uważnie przyglądając się ciemnym i cichym wałom angielskiego fortu. Ogarnął je spojrzeniem zdradzającym znajomość sztuki wojennej i z lekka podejrzliwym. Wreszcie niecierpliwym okiem spojrzał ku szczytom gór na wschodzie, jakby czekał na nadejście świtu, i już się zabierał do powrotu, gdy lekki**

**10 – Ostatni Mohikanin**

szmer z narożnika bastionu zwrócił jego uwagę i zatrzymał na miejscu.

Właśnie w tej chwili jakiś człowiek zbliżył się do szczytu wału, przystanął i zaczął przyglądać się odległym namiotom francuskiego obozu. Po chwili odwrócił głowę ku wschodowi, jakby również obawiał się nadchodzącego ranka, a potem oparł się o nasyp i patrzył na szklistą taflę wody, która jak niebo połyskiwała odbiciem tysięcy migocących gwiazd. Wczesna godzina, smętny wygląd, krzepka budowa i wzrost tego człowieka, pogrążonego w zadumie, jasno powiedziały nieznanemu Francuzowi, kogo ujrzał. Delikatność, a również i przezorność skłoniły go teraz do odejścia, lecz inny dźwięk zwrócił jego uwagę i ponownie przykuł do miejsca.

Tym razem był to niemal nieuchwytny plusk wody, po którym nastąpił chrzęst żwiru. W chwilę potem jakaś ciemna postać wychynęła z jeziora i bezszelestnie przekradła się ku miejscu na brzegu, gdzie stał Francuz. A zaraz potem lufa strzelby uniosła się wolno i zatrzymała na poziomie jego oczu. Lecz zanim padł strzał, nieznanomy położył rękę na zamku strzelby.

–Hugh! – wykrzyknął Indianin zaskoczony i zdziwiony niezwykłym sposobem, w jaki przeszkodzono mu w niecnym zamiarze.

Francuz nie odpowiedział. Położył rękę na ramieniu Indianina i cicho odciągnął go trochę dalej od miejsca, skąd można ich było usłyszeć i gdzie jeden z nich szukał ofiary. Potem rozsunąłszy połę płaszcza, by odsłonić mundur i krzyż świętego Ludwika za-i wieszony na piersi, Montcalm dał się poznać i zapytał surowo:

–Co to ma znaczyć?! Czy mój syn nie wie, że Anglicy i jego! kanadyjscy ojcowie zakopali topór wojenny?

–Cóż mają robić Huroni? – odparł dziki również po francusku, choć łamanym językiem. – Żaden z nich jeszcze nie zdobył skalpu, a blade twarze już zawarły przyjaźń!

–Ha! Przebiegły Lisie! Wydaje mi się, że przyjaciel, który jeszcze tak niedawno był wrogiem, grzeszy nadmiarem gorliwości!: Ile słońc zaszło od czasu, kiedy Przebiegły Lis porzucił obóz; Anglików?

–Gdzie jest to słońce? – gniewnie zapytał dziki. – Za górami. Jest ciemne i zimne. Ale kiedy znów przyjdzie, będzie jasne

i gorące. Przebiegły Lis jest słońcem swego plemienia. Między nim a jego narodem było dużo chmur i wzgórz, ale teraz świeci ono jasno, a niebo jest czyste!

–Dobrze wiem, że Przebiegły Lis ma duży wpływ na swych braci – odrzekł Montcalm – bo jeszcze wczoraj polował na ich skalpy, a dziś słuchają go na radach przy ognisku.

–Magua jest wielkim wodzem.

–Niechże tego dowiedzie ucząc swój naród, jak ma się zachować wobec naszych nowych przyjaciół.

–Po co więc wódz Kanadyjczyków przywiódł swych młodych wojowników w puszcze i po co strzelał z armat do domu z ziemi? – zapytał przebiegły Indianin.

–Żeby go zdobyć. Ten kraj należy do mego pana. Twemu ojcu kazano wypędzić stąd angielskich przybłędów. Zgodzili się odejść i dlatego już ich nie nazywam wrogami.

–Dobrze. Magua chwycił za toporek, by zbroczyć go krwią. Teraz jest jeszcze czysty. Kiedy będzie splamiony, Magua go zakopie.

–Ale Magua przysiągł nie splamić francuskich lilii. Wrogowie wielkiego króla za słonym jeziorem są jego wrogami, a jego przyjaciele – przyjaciółmi Huronów.

–Przyjaciele! – powtórzył Indianin z pogardą. – Niech ojciec Maguy da mu rękę.

Montcalm czuł, że wpływ, jaki miał na wojownicze plemiona, uda mu się utrzymać raczej ustępstwem niż siłą, i dlatego, chociaż niechętnie, podał rękę Indianinowi. Dziki przytknął jego palec do głębokiej blizny na piersi i zapytał uroczystym tonem:

–Czy mój ojciec wie, co to jest?

–Jakież wojownik by tego nie wiedział! To blizna po ołowianej kuli.:

–A to? – ciągnął Indianin odwróciwszy się do Montcalma plecami, tym razem nie okrytymi kawałkiem perkalu.

–To!... Ciężko skrzywdzono mego syna. Kto to zrobił?

–Magua twardo sypiał w wigwamach Anglików. Te ślady pozostawiły mu ich kije – odrzekł dziki i roześmiał się głucho. Ale śmiech nie zdołał ukryć wrzącego w nim gniewu.

Zarzucił strzelbę na ramię i nie zniżając się do dalszej rozmowy w milczeniu poszedł przez obóz ku lasom, gdzie leżeli w zasadzce

146

147

jego wojownicy. Co kilka jardów obwoływały go placówki, lecz ponury wódz dumnie szedł naprzód, obojętny na te wezwania. Żołnierze nie strzelali do niego, bo po niezwyklej odwadze, wyglądzie i ruchach poznawali w nim Indianina.

Montcalm długo jeszcze stał na brzegu i melancholijnie rozmyślał nad zaciekłością swych niekarnych sprzymierzeńców. Już raz w podobnych okolicznościach zdarzył się ohydny wypadek, który rzucił cień na jego dobre imię. Jasno ujrzał teraz ogrom odpowiedzialności, jaką biorą na siebie ludzie, którzy dążą do celu nie przebierając w środkach, i zdał sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest rozpętać siły, których człowiek nie może zatrzymać. W końcu odpędził od siebie te myśli, bo uważał je za oznakę słabości niestosowną w chwili triumfu, i zawrócił ku swemu namiotowi. Po drodze kazał uderzyć w bębny i zbudzić armię.

Pierwszemu uderzeniu francuskich doboszów odpowiedziało bicie bębnow z głębi fortu. Po chwili cała dolina wypełniła się dźwiękami wojskowej muzyki, coraz głośniejszej i przenikliwszej, górującej swymi dziarskimi melodiami nad warkotliwym akompaniamentem bębnow. Trąby zwycięzców grzmiały wesołymi i radosnymi fanfarami, póki ostatni z obozowych ciurów nie stanął na swym miejscu. Natomiast przeraźliwy dźwięk brytyjskich piszczałek ścichł zaraz po podaniu sygnału.

Tymczasem ranek robił się coraz jaśniejszy i gdy francuska armia stanęła gotowa, by powitać swego wodza, zbrojne szeregi zaśniły w blaskach słońca. Potem wydano rozkazy zwykle towarzyszące przejściu twierdzy w inne ręce i wykonano je pod lufami armat fortu, o który tak niedawno jeszcze walczono.

Zupełnie inaczej rozpoczął się dzień w obozie angielsko-amerykańskim. Zaraz po pobudce zawrzało w nim od gorączkowych przygotowań do szybkiego opuszczenia fortu. Munro stanął przed swymi żołnierzami przybity, ale z kamiennym spokojem na twarzy. Widać było, że choć usiłował znieść nieszczęście z godnością mężczyzny, nieoczekiwany cios ugodził go w samo serce.

Duncana wzruszył ten widok niemego, lecz dotkliwego bólu. Spełnił już wszystkie swe obowiązki, pośpieszył więc do boku starca i zapytał, czy może mu w czym pomóc.

–Moje córki – rzekł krótko Munro.

\

–Na Boga! Czy jeszcze nie pomyślano o nich?

–Dziś jestem tylko żołnierzem, majorze – rzekł st. try wo-teran. – Wszyscy, których tu pan widzi, mają prawo n.i/.wać sił} moimi dziećmi.

Duncanowi to wystarczyło. Nie tracąc ani chwili cennego czasu pobiegł do kwatery Munro po siostry. Znalazł je na progu niskiego budynku gotowe do wyjścia. Otaczał je tłum lamentujących i płaczących kobiet, które zebrały się tu, przeczuwając instynktownie, że przy córkach pułkownika będzie im najbezpieczniej. Policzki Kory poblady, na jej twarzy malował się niepokój, lecz jak zawsze była spokojna i opanowana. Natomiast zaczerwienione oczy Alicji zdradzały, że długo i gorzko płakała. Obie powitały Hey-warda z nie ukrywaną radością, a Kora, wbrew swemu zwyczajowi, odezwała się pierwsza.

–Fort jest stracony – powiedziała ze smutnym uśmiechem – jednakże wierzę, iż nasz honor ocalał.

–Jaśniej większą chwałą niż kiedykolwiek. Ale, droga miss Munro, nadszedł czas, kiedy trzeba pomyśleć przede wszystkim

o sobie. Zwyczaże wojskowe... дума... ta дума, którą pani tak wysoko ceni, wymaga, abyśmy – to znaczy pani ojciec i ja – przynajmniej przez pewien czas szli z wojskiem. Gdzież więc znaleźć należyłą opiekę dla pań przed możliwymi w tym zamieszaniu wypadkami i przykrościami?

–Nie potrzebujemy żadnej opieki – odparła Kora. – Któż ośmieli się skrzywdzić córki takiego człowieka jak nasz ojciec,

1 to w podobnych warunkach?

–Jednakże nie zostawię pań samych – ciągnął Heyward, gorączkowo rozglądając się wkoło – nawet za cenę dowództwa nad najlepszym pułkiem jego królewskiej mości. Niech pani pamięta, że nasza Alicja nie ma twojego hartu ducha, a tylko Bóg wie, co za okropności ją czekają.

–Może to i racja – odparła Kora uśmiechając się jeszcze smutniej niż poprzednio. – Niech pan posłucha! Los raz jeszcze zesłał nam przyjaciela w chwili największej potrzeby.

Duncan od razu zrozumiał, o kim Kora myśli. W tej chwili doleciały go ciche i poważne dźwięki pobożnej pieśni, dobrze znanej we wschodnich prowincjach. Idąc za nimi, pobiegł do sąsiedniego budynku, opuszczonego już przez mieszkańców. Ujrzał

i t't

por Zol

gią

r

my

raz

ktć

od]

cel:

bes

trzej

za

sw

arr!

bi dźi

g°

niel

do

na i pisj

ari za:, rz ar

kaj



**W mi**

**Sp**

**Sti**

tam Dawida, zatopionego w śpiewie umiłowanych przez siebie psalmów. Zaczekał więc, aż ten przestał rytmicznie wymachiwać ręką, co wziął za koniec pieśni, i dotknął jego ramienia. Gdy w ten sposób ściągnął uwagę śpiewaka na siebie, w paru słowach wyłożył mu swą prośbę.

–Oczywiście – odparł naiwny naśladowca izraelskiego króla, gdy Duncan skończył.  
– Te panie mają wiele uroku i są muzykalne. Godzi się też, abyśmy, złączeni tyłoma niebezpieczeństwami, trzymali się razem w czasie pokoju.

Cały obóz już był w ruchu; chorzy i ranni szli i jechali jęcząc i cierpiąc, ich zdrowi towarzysze maszerowali w ponurym milczeniu, kobiety i dzieci szły wystraszone i pełne obaw o swój los.

Kiedy ten pomieszany i zalękniony tłum wyszedł na otwartą przestrzeń za opiekuńcze wały fortu, ujrzał jak na dłoni całą scenę kapitulacji. Niedaleko, po prawej stronie i nieco w tyle, stała pod bronią francuska armia. Tu Montcalm zebrał wszystkie swoje oddziały, gdy tylko jego gwardia zajęła fort. Francuzi w milczeniu przyglądali się wymarszowi pokonanych wrogów. Nie zapomnieli oddać im przyjętych honorów wojskowych. Dumni ze zwycięstwa, nie sztydziłi jednak z nieszczęścia przeciwników.

Ruchomy tłum Anglików, około trzech tysięcy ludzi, posuwał się powoli przez równinę ku jej środkowi. Obie strony zbliżały się do siebie, aż wreszcie zetknęły się u celu marszu, przy drodze wyrąbanej w wysokopiennym lesie, wiodącej ku Hudsonowi. Po jej bokach, na skraju puszczy, skupiły się ciemne chmury dzikich. Kręcąc się jak sępy wypatrujące łupu, przyglądali się swym wrogom, a od napaści na nich powstrzymywała ich tylko obawa przed regularnymi i dobrze uzbrojonymi oddziałami wojska. Kilku dzikich wcisnęło się w angielską kolumnę. Szli wraz z nią, nie ukrywając wrogości, chociaż jak dotąd, nie zrobili nikomu nic złego.

Po chwili tam, gdzie dopiero co kręciło się najwyżej tuzin Indian, jak spod ziemi wyrosła cała ich setka. Wówczas Kora ujrzała Maguę, który chyłkiem przebiegał od grupki do grupki Indian i umiejętnie ich podburzał. Nagle Magua przyłożył ręce do ust i krzyknął przenikliwie i złowrogo. Na ten dobrze im znany okrzyk Indianie rzucili się naprzód, a cała równina i strop lasu

rozbrzmiały wprost nieludzkim wrzaskiem. Tym, którzy go słyszeli, serce zamarło z przerażenia niemal tak wielkiego, jak to, które będzie towarzyszyć dźwiękowi trąb wzywających na Sąd Ostateczny.

Ponad dwa tysiące rozwścieczonych Indian wybiegło z puszczy i z dziką zaciekłością rzuciło się na Anglików. Nie będziemy opisywać odrażających i okrutnych scen, które potem nastąpiły. Śmierć zapanowała wszędzie w swej najohydniejszej i najokropniejszej postaci. Opór tylko podniecał morderców, którzy długo znęcali się nad zabitymi. Krew tryskała strumieniami jak woda z podziemnych źródeł, a dzikich na jej widok ogarniało coraz większe zapamiętanie i szaleństwo.

Regularne oddziały wojskowe szybko zwały szeregi, by zastraszyć napastników jednolitą linią frontu. Ta próba poskromienia dzikich niestety udała się tylko częściowo, a wielu żołnierzy postradało swe nie nabite muszkiety.

Minuty upływały błyskawicznie. Może minęło ich z dziesięć (wydawało się, że cały wiek), a siostry stały bez ruchu, skamieniałe, śmiertelnie przerażone i bezradne. Zewsząd dolatywały krzyki, pobożne wezwania, jęki i przekleństwa.

Właśnie w tej chwili Alicja dostrzegła olbrzymią postać ojca, który szybkimi krokami zmierzał przez równinę ku liniom francuskich wojsk. Nie zważając na niebezpieczeństwo Munro szedł do Montcalma, by zażądać przewidzianej warunkami kapitulacji eskorty, która jakoś nie nadchodziła. Pięćdziesiąt błyszczących tomahawków i zębatach dzid groziło jego życiu, ale zdawał się ich nie widzieć. Dzicy nawet w swym zaciętrzewieniu uszanowali wysoką rangę i zimną krew pułkownika, a on wciąż jeszcze silną ręką odgarniał na bok grożącą mu broń.

–Ojcie... ojcie... tu jesteśmy! – krzyknęła Alicja, gdy Munro przechodził koło nich tak, jakby ich wcale nie widział. – Ratuj, bo zginiemy!

Zawołała jeszcze parę razy tonem, który wzruszyłby nawet kamienne serce, ale Munro nie odpowiedział. Raz wprawdzie wydawało się, że starzec ją usłyszał, bo przystanął i nasłuchiwał. Lecz w tej samej chwili Alicja padła zemdlna, a Kora osunęła się obok niej i z matczyną czułością osłoniła ją własnym ciałem.

po że

ra kt" od ce be

tr1

sw ari

dź|

go nikdo na Pi

ar za rz ar!

ka

W nit

st<

Munro potrząsnął głową, jakby się wyzbywał jakiegoś złudzenia, i ruszył dalej, pochłonięty odpowiedzialnym obowiązkiem dowódcy.

–Pani – powiedział Gamut, który choć bezsilny i właściwie do niczego niezdatny, nawet nie pomyślał o opuszczeniu sióstr – nastalo święto szatana, a to miejsce nie jest odpowiednie dla chrześcijan. Uciekajmy.

–Uciekaj – odparła Kora nie odrywając oczu od zemdlonej siostry. – Ratuuj się! Mnie już nic nie pomożesz.

Dawid ze stanowczego ruchu ręki, jaki towarzyszył tym słowom, zrozumiał, że Kora nie zmieni swego postanowienia. Chwilę patrzył więc na ciemne postacie Huronów zajętych obok piekielnym dziełem, a potem wyprostował się dumnie i zaśpiewał tak głośno, by go słyszano nawet w strasznej wrzawie tej krwawej rzezi. Paru dzikich skoczyło ku nim, by obedrzeć bezbronne siostry i zdobyć ich skalpy, lecz na widok tej dziwnej postaci, twardo stojącej w miejscu, przystanęli i słuchali. Zdziwienie ich wkrótce przeszło w podziw. Otwarcie wyrazili zachwyt nad spokojem i uporem, z jakim biały wojownik śpiewał swą przedśmiertną pieśń, i rzucili się na inne, nie tak odważne ofiary. Dawid zaś, ośmielony i zwiedziony tym powodzeniem, śpiewał całą pierśią, by podnieść wrażenie pieśni, której przypisywał tak błogosławiony wpływ.

Niezwykłe dźwięki zwróciły uwagę jednego z czerwonoskórych. Był to Magua, który ujrzawszy swe dawne branki znów zdane na jego łaskę, krzyknął radośnie.

–Chodźcie – powiedział kładąc rękę splamioną krwią na sukni Kory. – Wigwam Hurona wciąż jest pusty. Czy nie jest lepszy od tego miejsca?

–Precz! – krzyknęła Kora i ręką zasłoniła oczy przed odrażającym widokiem Indianina.

Magua roześmiał się szyderczo i uniósłszy w górę dymiącą od krwi rękę odpowiedział:

–Jest czerwona, ale zaczerwieniła ją krew z żył białych!

–Potworze! Ta krew, całe jej morze, spada na twoją duszę. Ty jesteś sprawcą tej strasznej rzezi!

–Magua jest wielkim wodzem! – triumfująco odrzekł dziki. – Czy Czarnowłosa pójdzie do jego plemienia?

–Nigdy! Zabij, jeśli chcesz, i nasyć się zemstą.



Chytry Indianin zawahał się chwilę, a potem pochwycił w ramiona omdlałą Alicję i szybko pobiegł ku puszczy.

–Stój – krzyknęła Kora i nieprzytomna z przerażenia pobiegła za nim. – Oddaj mi to dziecko! Co czynisz, łotrze?!

Lecz Magua był głuchy na jej wołanie. Zdawał sobie sprawę ze swej przewagi i nie chciał jej stracić.

–Stój, pani, zatrzymaj się! – wołał Gamut za nieprzytomną Korą. – Urok świątobliwej pieśni zaczyna działać i niebawem zobaczysz, jak ta piekielna wrzawa ucichnie.

Ale gdy zauważył, że z kolei jego własne wołania pozostają bez echa, wiernie pospieszył za oszalałą Korą. Biegając śpiewał pełnym głosem i wymachiwał do taktu swą długą ręką.

Tak przecięli równinę, mijając rannych, uciekających i zabitych. Dziki Huron i niesiona przez niego branka byli zupełnie bezpieczni, natomiast Kora dawno już zginęłaby pod ciosami czerwonoskórych, gdyby nie ta dziwaczna biegnąca za nią postać, której, jak sądzili Indianie, strzegł duch szaleństwa.

Magua wbiegł do puszczy przez wąski jar i szybko dopadł czekających nań narragansettów, z którymi Alicja i Kora rozstały się tak niedawno. Przerzuciwszy Alicję przez grzbiet jednego z koni, ruchem ręki polecił Korze dosiąść drugiego, lecz Kora wyciągnęła ręce po siostrę z tak błagalnym i tkliwym spojrzeniem, że nawet Huron musiał jej ustąpić. Przeniósł Alicję na konia, na którym siedziała Kora, wziął uzdę w rękę i ruszył w głąb puszczy.

Dawid, gdy spostrzegł, że pozostawiono go samemu sobie, jakby nie warto było go zabić, przerzucił swą długą nogę przez siodło drugiego konia i pognął za uchodzącymi tak szybko, jak na to pozwalała trudna ścieżka.

Wkrótce poczęli piąć się w górę. Kora tak zajęta była Alicją, która pod wpływem ruchu poczęła przychodzić do siebie, i nasłuchiwaniami nie milknącej wrzawy dobiegającej z równiny, że nie zwracała uwagi, dokąd jadą. Gdy jednak dotarli nareszcie do płaskiego szczytu góry i zbliżyli się do przepaści po jej wschodniej stronie, poznała miejsce, w którym już raz była pod troskliwą opieką zwiadowcy. Magua kazał im zsiąść z konia. Siostry, choć znajdowały się w niewoli, nie mogły opanować ciekawości (tej nieodłącznej towarzyszki strachu) i spojrzały na przerażający widok u stóp góry.

**Krwawa rzeź trwała dalej. Wszędzie widziało się bezbronych ludzi uciekających przed swymi nielitościwymi prześladowcami. A tymczasem zbrojne oddziały chrześcijańskiego króla stały w miejscu z obojętnością, której nigdy nie wyjaśniono i która rzuciła niezatartą plamę na nieskazitelną dotąd sławę jej wodza. Śmierć zbierała swe żniwo dopóty, dopóki żądza łupu nie wzięła góry nad pragnieniem zemsty. Wreszcie jęki rannych i okrzyki morderców poczęły cichnąć, aż zamilkły zupełnie lub zatonęły w głośnym, przesywającym uszy triumfalnym wrzasku dzikich.**



# ROZDZIAŁ

## OSIEMNASTY-

...Co chcą – niechaj mówią: Szlachetny zbrodniarz – bowiem dla honoru, A nie od zemsty popełniłem zbrodnię.

Otello

Krwawe i nieludzkie wydarzenie, o którym tylko wspomnieliśmy w poprzednim rozdziale, rezygnując ze szczegółowego opisu, znane jest w historii wojen kolonialnych pod zasłużoną nazwą "rzezi pod fortem William Henry". Honor Montcalma już raz ucierpiał z powodu podobnego zdarzenia, toteż nawet przedwczesna śmierć słynnego francuskiego wodza nie zdołała zmasać tej nowej plamy. Teraz okrył ją cień czasu.

Nadchodził już trzeci wieczór od zajęcia fortu. Na równinie, która była widownią okrutnego gwałtu, panowała teraz cisza i śmierć. Splamieni krwią zwycięzcy już odeszli, a ich obóz, który tak niedawno rozbrzmiewał weselem i radością, leżał teraz cichy jak opuszczone miasto szałasów. Z fortu pozostały zgliszcza i ruiny: zwęglone stropy, rozsądzone armaty i gruzy murów leżące na szańcach z ziemi.

Niezwykłe też zmieniła się pogoda. Słońce, ukryte za nieprzeniknioną warstwą oparów, już nie grzało. Setki pokaleczonych zwłok, szerniających w sierpniowych upałach, zastygły w mroźnych podmuchach niemal listopadowego wiatru. Białe, kędzierzawe obłoki, które tak niedawno płynęły nad wzgórzami ku północy, powracały jako gęste, ciemne, nie kończące się chmury gnane wichurą. Tam gdzie niedawno na gładkiej powierzchni Horicanu roilo się od ludzi, teraz zielone i wzburzone fale biły o brzegi, jakby chciały wyrzucić wszystkie nieczystości na zbrukaną plażę.

Cała okolica, która w świetle słońca i w ciepłym powietrzu była taka miła, teraz wyglądała jak alegoryczny obraz życia, obraz, na którym wszystko przedstawione było w najbardziej surowych, choć prawdziwych barwach, bez stonowań i półcieni. Zdawało się, że nieubłagana śmierć jednym ciosem powaliła tych, którzy odważyli się wejść na tę równinę.

Ale teraz droga była wolna. Po raz pierwszy od czasu, gdy odeszli sprawcy strasznej zbrodni, którzy zbrukali to urocze miejsce, przyszli tu nowi ludzie.

Wieczorem, mniej więcej na godzinę przed zachodem słońca, pięciu ludzi wyszło z wąskiej przesieki wiodącej ku Hudsonowi i podeszło do ruin fortu. Szli wolno i ostrożnie, jakby z odrazą wstępowali w głąb okropnego pobojuwiska albo jakby się

**bali, że znów ujrzą straszne sceny rzezi.**

**Był to stary ojciec, który wyruszył na poszukiwanie swych córek, a towarzyszył mu Heyward, do głębi przejęty losem kobiet, i ci sami mieszkańcy puszczy, którzy już raz dowiedli swej zręczności i oddania.**

**Unkas, który szedł na przedzie, krzyknął przeraźliwie, gdy znalazł się na środku równiny. Na ten krzyk wszyscy zbiegli się do niego. Młody wojownik przystanął nad stosem splątanych kobiecych trupów. Mimo przerażającego widoku Munro i Heyward podbiegli do rozkładających się zwłok i poczęli grzebać w resztkach różnobarwnych sukien. Wiedzeni miłością, nie zważali na nieprzy-zwoitość tego czynu i szukali śladu drogich im istot. Ojciec i zakochany młodzieniec doznali chwilowej ulgi w tych poszukiwaniach, choć znów cierpieli mękę niepewności, równie straszną jak naj-okrutniejsza prawda.**

**Kiedy stali milczący i zamyśleni nad stosem ciał, podszedł do nich zwiadowca. Ten dzielny człowiek patrzył z oburzeniem na pomordowanych i po raz pierwszy od czasu, jak wszedł na równinę, odezwał się głośno:**

**–Widywałem już niejedno mrożące krew w żyłach pobojuwisko. Nieraz całymi milami szedłem krwawym tropem – mówił – lecz nigdy nie widziałem tak szatańskiego dzieła! Zemsta jest uczuciem Indianina, a każdy, kto mnie zna, wie, że jestem czystej krwi białym, lecz przysięgam – tu, w obliczu niebios – że jeśli ci Francuzi znów nawiną mi się na muszkę, moja strzelba nie**

umilknie, dopóki starczy mi kul i prochu! Tomahawk i nóż pozostawiam tym, którzy są do nich stworzeni. A ty co powiesz, Chingachgook?

Błysk szlachetnego gniewu przeleciał po śniadym obliczu wodza Mohikanów. Sięgnął po nóż, ale potem odwrócił się bez słowa, a jego twarz przybrała wyraz takiego spokoju, jakby jej nigdy nie wykrzywił skurcz namiętności.

–Montcalm! Montcalm! – ciągnął do głębi wzburzony zwiadowca, który nie umiał tak panować nad sobą jak Indianin. – Mówią, że przyjdzie dzień, kiedy wszystkie nasze ziemskie czyny ujrzemy oczami wolnymi od ludzkich słabości. Biada ci, przeklęty człowieku, coś się po to narodził, by z tym strasznym grzechem na duszy ujrzeć wówczas to pole! Ha, nie jestem chyba białym, jeżeli tu nie leżą zwłoki czerwonoskórego bez włosów na głowie, choć natura je tam umieściła. Delawarze, spójrz nań: może to jeden z waszych ludzi. Wypada go pogrzebać jak dzielnego wojownika. Widzę w twych oczach, sagamore\*, że jakiś Huron zapłaci za tę zbrodnię, zanim jesienne wiatry rozwieją zapach krwi!

Unkasie, mój chłopcze, chodź tu i pozwól krukowi nasycić się trupem Minga.

–Hugh! – wykrzyknął młody Mohikanin i wspiąwszy się na palce, uważnie patrzył przed siebie, a jego nagły ruch i okrzyk spędziły kruka z jednego żeru na drugi.

–Co tam widzisz, chłopcze? – szepnął zwiadowca przypadając do ziemi, jak pantera przed skokiem. – Wierzę, że Postrach Zwierząt jeszcze dziś znajdzie okazję do zemsty i

Unkas nic nie odpowiedział, tylko skoczył wprzód, a za chwilę zerwał z krzaka strzępek zielonego szala Kory i począł nim triumfalnie wymachiwać. Jego ruch, widok szala i nowy okrzyk, który wydał, w jednej chwili skupiły wszystkich wokół niego.

–Moje dziecko! – na pół przytomnie powiedział Munro. – Oddajcie mi moje dziecko!

–Unkas postara się – krótko, lecz wzruszająco odpowiedział młody Mohikanin.

Munro w swym bólu nie zwrócił uwagi na to proste, choć wymowne zapewnienie. Chwycił strzęp i kurczowo zacisnął go

Sagamore – w języku Indian Ameryki Północnej: wielki wódz albo wielki człowiek.

w ręce, a oczami pełnymi obawy badał krzaki, jakby się lękał i spodziewał zarazem, że zdradzą mu, co się w nich kryje.

–Tu nikt nie leży – rzekł Heyward. – Zdaje mi się, że krwawa zawierucha tędy nie przeszła.

–To jasne, jaśniejsze od nieba nad naszymi głowami – rzekł niewzruszony zwiadowca. – Jednakże albo ona sama, albo ci, co ją porwali, przeszli tędy. Pamiętam bowiem, że takim szalem osłaniała twarz. Masz rację, Unkasie: ciemnowłosa pani tu była. Uciekła do lasu jak przerażona sarna. Szukajmy więc śladów, jakie mogła zostawić. Czasem wierzę, że Indianin odnajdzie nawet ślad kolibra w powietrzu.

Przy tych słowach młody Mohikanin pobiegł naprzód i nim zwiadowca zdążył skończyć, znów krzyknął triumfalnie, tym razem ze skraju lasu. Kiedy wszyscy, bardzo podnieceni, podeszli do niego, ujrzeli drugi strzęp szala powiewającego nisko na gałęzi buku.

–Powoli, powoli – odezwał się zwiadowca, swym długim sztucerem zagrządzając drogę zapalczywemu Heywardowi. – Teraz już wiemy, jak sprawy stoją, ale nie niszczy piękna śladu. Jeden nieostrożny krok przysporzy nam wiele pracy i kłopotów. Już ich mamy, to nie ulega wątpliwości.

–Niech Bóg ci wynagrodzi, szlachetny człowieku! – zawołał Munro. – Dokąd uciekały moje dzieci i gdzie są teraz?

–Droga, którą poszły, zależała od wielu okoliczności. Jeżeli uciekały same, mogły krążyć wkoło albo pójść prosto przed siebie. W takim wypadku mogą być o jakiś tuzin mil od nas. Jeżeli zaś porwali je Huroni lub jacyś inni Indianie sprzymierzeni z Francuzami, to pewnie już są niedaleko Kanady. Ale cóż to znaczy? – zapytał zwiadowca zauważywszy niepokój i rozczarowanie na twarzach towarzyszy. – Na jednym końcu śladu stoją Mohikanie i ja i możecie mi wierzyć, że znajdziemy jego drugi koniec, chociażby dzieliły je setki mil! Ostrożnie, ostrożnie, Unkasie, jesteś tak niecierpliwy jak jakiś mieszczuch. Zapominasz, że lekka stopa zostawia lekki ślad!

–Hugh! – wykrzyknął Chingachgook, który przez ten czas uważnie badał świeżo przydeptane krzaki na skraju lasu. Stał wyprostowany i wskazywał ręką na ziemię takim ruchem i z taką miną, jakby dostrzegł wstrętą zmiję.

–Tu wyraźnie widać odcisk męskiej stopy! – zawołał Heyward pochylając się nad wskazanym miejscem. – Stąpił na brzeg kałuży. Nie ma wątpliwości. Są w niewoli.

–Lepsze to niż umrzeć z głodu w puszczy – odparł zwiadowca. – W dodatku łatwiej nam będzie znaleźć ślad. Stawiam pięćdziesiąt bobrowych skórek przeciw pięciu krzemieniom, że najdalej za miesiąc wraz z Mohikanami wejdę do wigwamu tych Indian! Schyl się, Unkasie, i starannie zbadaj ślad mokasyna, bo to był mokasyn, nie but!

Młody Mohikanin rozgarnął liście i przyglądał się odciskowi stopy z taką starannością, z jaką lichwiarz w owych czasach drożyzny pieniądza badał podejrzany weksel. Wreszcie wstał z klęczek zadowolony z wyniku badania.

–No więc, chłopcze? – zapytał zwiadowca, bacznie nań patrząc. – Co mówi ten ślad? Czy udało ci się coś z niego wyczytać?

–Przebiegły Lis!

–Ha! Znow ten skaczący szatan! Nie zaprzestanie swych figli, dopóki Postrach Zwierząt nie szepnie mu mądrego słówka. Poczekaj, Unkasie, niech sam spojrzę. – Zabrał się do badania śladu i zaraz dorzucił: – Masz rację, chłopcze. To ten sam ślad, który tak często widywaliśmy na starym tropie. Widzę, że ten człowiek chętnie zagląda do butelki. Pijący Indianin zawsze szerzej rozstawia nogi. Tak, ta sama długość i szerokość stopy! Spójrz, Chingachgook; parokrotnie mierzyłeś ten ślad, gdy goniliśmy za tymi nicponiami od wodospadu Glenn do życiodajnych źródeł.

Chingachgook usłuchał, a gdy po chwili skończył badanie, wstał i spokojnie powiedział jedno słowo:

–Magua!

–Tak, a więc to jest pewne: tędy przeszła Czarnowłosa i Magua.

–A Alicja? – zapytał Heyward.

–O niej nic jeszcze nie wiemy – odparł zwiadowca uważnie patrząc na ziemię i na rosnące w pobliżu drzewa i krzaki. – Ale co tam widzę? Unkasie, spójrz na ten krzak tarniny i podaj mi przedmiot, który na nim wisi.

Indianin podał mu żądany przedmiot, a zwiadowca uniósł go w górę i roześmiał się, jak zwykle cicho i serdecznie.

–To piskliwa broń śpiewaka. Teraz znajdziemy ślad, który by nawet księdza doprowadził do celu – powiedział. – Unkasie, poszukaj odcisku buta tak długiego, by mógł utrzymać sześć stóp i dwa cale rozklekotanego ludzkiego ciała. Chłop zaczyna rokować nadzieje, skoro porzucił swe trele dla lepszego zajęcia.

–Przynajmniej nie zawiódł zaufania – powiedział Heyward. – A Kora i Alicja mają przy sobie przyjaciela.

–Tak – odrzekł Sokole Oko. Opuścił swój sztucer, oparł się na nim i ciągnął dalej z jawną pogardą: – Będzie nadal wyśpiewywał. Czy potrafi ubić dla nich zwierzynę? Lub wędrować idąc za mchem na bukach? Albo poderznąć gardło Huronowi? Jeżeli nie, to pierwszy drozd, którego zobaczymy, będzie mądrzejszy od niego. No jak tam, chłopcze, żadnego śladu podobnej stopy?

–Tu widzę jakby odcisk stopy w bucie – powiedział Heyward, rad, że może przerwać te przykre oskarżenia rzucane pod adresem Dawida, dla którego jego sympatia bardzo teraz wzrosła. – Czy może to ślad naszego przyjaciela?

–Odsuń ostrożnie liście, by nie zatrzeć kształtu. To?! To wprawdzie jest ślad stopy, ale czarnowłosej dziewczyny. Ależ jest mały jak na osobę o takim wzroście i takiej postawie! Psalmista pokryłby go odciskiem swej pięty.

–Gdzie? Pozwólcie mi spojrzeć na ślad stopy mego dziecka – zawołał Munro rozsuwając krzaki i ze wzruszeniem pochylając się nad wpółzatartym śladem. Choć krok, po którym pozostał, był szybki i lekki, ślad widać było dość wyraźnie. Stary żołnierz przyglądał mu się przez łyzy. Heyward zauważył, że wyprostował się dopiero wówczas, gdy łyzy poczęły wielkimi, ciężkimi kroplami spadać na odcisk stopy Kory. By więc zająć czymś starego weterana, rozproszyć jego smutne myśli i nie pozwolić mu wpaść w przygnębienie, powiedział do zwiadowcy:

–Skoro mamy już pewność, ruszajmy w drogę. Dla Alicji i Kory każda minuta musi być wiekiem.

–Nie zawsze prosta droga jest najkrótsza – odrzekł Sokole Oko nie odrywając oczu od śladów. – Wiemy, że ten skaczący Huron, Czarnowłosa i psalmista przeszli tędy, ale gdzie jest Jasnowłosa o niebieskich oczach? Choć drobna i nie taka dzielna jak jej siostra, jest miła dla oka i ujmująca w rozmowie. Czyżby nie miała przyjaciela, który by się o nią zatroszczył?

–Niech Bóg broni, aby jej kiedy zabrakło opiekunów! Czy/ jej nie szukamy? Ja przynajmniej nie zaprzestane poszukiwań, dopóki jej nie znajdę.

–A więc pójdziemy inną drogą, bo ona tędy nie przeszła, choć ma stopę lekką i małą.

Heyward cofnął się, a cały jego zapał rozwiął się w jednej chwili. Zwiadowca, nie zważając na tę nagłą zmianę nastroju młodzieńca, po krótkim namyśle powiedział:

–W tej głuszy nie ma innych kobiet, a więc ślady mogła pozostawić tylko Czarnowłosa lub jej siostra. Pójdziemy dalej tym tropem, a jeśli nie znajdziemy nic nowego, wrócimy i poszukamy innego śladu. Unkasie, idź przodem i nie odrywaj oczu od zeschniętych liści. Ja będę badał krzaki, a twój ojciec niech węszy przy ziemi.

–Czy ja mógłbym się na coś przydać – zapytał zmartwiony Heyward.

–Pan? – powiedział zwiadowca, który ruszył już naprzód ze swymi indiańskimi przyjaciółmi w określonym przez niego porządku. – Tak, pan może iść z tyłu, ale ostrożnie, by nie zatrzeć jakiegoś śladu.

Po przejściu kilkunastu jardów Indianie przystanęli i z niezwykłą uwagą przyglądali się czemuś na ziemi. Mówili ze sobą głośno i szybko.

–Znaleźli Małą Stopę! – zawołał zwiadowca i ruszył naprzód, zapominając, że miał badać krzaki. – Cóż tu mamy? Miejsce zasadzki? Nie! Na najcelniejszą strzelbę na całym pograniczu! Tu stały te konie, które chodzą bokiem! Teraz znamy już tajemnicę i wszystko jest tak jasne jak Gwiazda Polarna o północy. Tak, tu dosiedli koni. Tam stały one przywiązane do drzewka i czekały, a tam znów widzę szeroki ślad biegnący na północ, prosto do Kanady.

–Ale wciąż nie mamy śladu Alicji, młodszej córki pułkownika Munro – wtrącił Duncan.

–Chyba że będzie nim ta błyskotka, którą Unkas właśnie podniósł z ziemi. Chłopcze, daj no ją tutaj.

Heyward od pierwszego spojrzenia poznał ulubiony klejnocik Alicji. Jak wszyscy zakochani, miał pamięć wyczuloną na każdy szczegół, od razu więc przypomniał sobie, że Alicja miała na szyi

ten klejnocik w dniu strasznej rzezi. Oznajmił więc nowinę, pochwycił drogi mu klejnot i tak szybko ukrył go na sercu, że nawet zwiadowca nic nie zauważył.

A niech cię!

powiedział z rozczarowaniem i przestał

grzebać kolbą w zwiędłych liściach. – Na starość człowiek niedowidzi. Taka lśniąca błyskotka, a nie mogę jej dostrzec! No trudno, a byłaby to piękna kłamra spinająca koniec i początek długiego śladu. Bo teraz dzieli już nas szerokość Rzeki Świętego Wawrzyńca albo i Wielkich Jezior.

–Tym bardziej nie ma co zwlekać – odrzekł Heyward. – Chodźmy.

–Ludzie mówią, że młoda krew i gorąca – to jedno. Nie wybieramy się jednak na wiewiórki ani po to, by zapędzić jelenia do Horicanu. Dnie i noce będziemy w drodze przez dziką puszczy, gdzie człowiek zagłada rzadko i gdzie na nic się zda cała książkowa wiedza. Indianin nigdy nie wyrusza na taką wyprawę, zanim nie wypali fajki na naradzie przy ognisku. I choć jestem białym, szanuję ich zwyczaje; zwłaszcza ten, bo wiem, że jest mądry i roztropny. Wrócimy więc i rozpalimy ogień w ruinach starego fortu. A na rano będziemy wypoczęci i zabierzemy się do dzieła jak prawdziwi mężczyźni, a nie jak gadatliwe baby czy lekkomyślni chłopcy.

Z zachowania zwiadowcy Heyward pojął, że nie ma się co upierać. Munro znów zapadł w apatię, która owładnęła nim od chwili ostatniego straszego nieszczęścia, jakie go spotkało. Młody człowiek, nadrabiający miną, ujął więc starca pod ramię i poszedł za Indianami i zwiadowcą, którzy zawrócili już ku równinie.



# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

**S a l a r i n o:**

**Cóż, jestem pewien, że jeśli nawet nie dotrzyma terminu, przecież mu mięsa nie wytniesz... Bo i po co?**

**S z a j 1 o k:**

**Chociażby rybom na przynętę! A jeśli niczego nie nasyci, nasyci moją zemstę.**

**Kupiec wenecki**

**Kiedy Sokole Oko wraz z towarzyszami wszedł w ruiny fortu, zapadł już gęsty mrok, jeszcze bardziej powiększając grozę tego miejsca. Zwiadowca i Indianie natychmiast zaczęli się przygotowywać do noclegu w ruinach. A skupienie i powaga, z jaką to robili, wyraźnie mówiły, że nawet oni, zahartowani we wszystkich okropnościach, byli wstrząśnięci tym, co ujrzeli. Z kilku belek stropowych opartych o wał, które Unkas nakrył cienką warstwą gałązek, powstał prymitywny szałas. Gdy młody Indianin skończył tę pracę, wskazał na zaimprovizowaną chatkę, a Heyward zrozumiał znaczenie tego niemego gestu i uprzejmie wprowadził pod dach pułkownika Munro. Sam nie został tam długo. Pozostawił osieroczonego ojca jego smutkowi i wyszedł. Był zbyt podniecony i czuł, że nie zaśnie, choć sam to gorąco doradzał swemu staremu przyjacielowi.**

**Tymczasem Sokole Oko i Indianie rozpalili ognisko i zabrali się do skąpego posiłku, który składał się z kawałków suszonego niedźwiedziego mięsa. Major udał się za kurtynę zrujnowanego fortu, która wychodziła na otwartą przestrzeń jeziora Horican. Wiatr ucichł, a fale miarowo biły w piaszczyste wybrzeże u stóp młodzieńca. Chmury rozstały się, jakby zmęczone swym szalonym biegiem.**

**Tu i tam migotliwe, czerwone światło gwiazd walczyło ze snującymi się oparami, a martwy ich blask oblewał niebo zwodniczą poświatą.**

**Duncan długo stał i z niepokojem patrzył w nieprzenikniony mrok, który jak przeraźliwa pustka rozciągał się nad miejscem, gdzie leżeli zabici. Wkrótce wydało mu się, że usłyszał dolatujące stamtąd tajemnicze odgłosy. Były jednak zbyt niewyraźne i słabe, by mógł je rozpoznać, przypuszczał więc, że się omylił. Zawstydzony, że dał się ponieść wyobraźni, odwrócił się w stronę jeziora i usiłował zapomnieć o tych tajemniczych odgłosach, przyglądając się migotaniu gwiazd w rozkołysanej wodzie. Jednakże podświadomie wciąż nadstawiał uszu, czujny na niebezpieczeństwo. Wreszcie wydało mu się, że słyszy czyjeś szybkie kroki w mroku. Teraz już nie mógł zapanować nad niepokojem, cicho zawołał na zwiadowcę i poprosił go, by wszedł do niego na wał. Sokole Oko wziął sztucer i podszedł do**

Heywarda, ale z jego spokojnej i niewzruszonej miny wyraźnie było widać, iż nie wierzy, by im coś groziło.

–Niech pan posłucha! – powiedział Duncan, kiedy zwiadowca stanął przy nim. – Słyszę z równiny jakieś stłumione odgłosy. Dobrze by było zgasić ognisko i czuwać. A może to tylko szeleszczą liście buka?

–Tak, tak. Kiedy braknie żeru lub kiedy jest go za dużo, wilki nabierają śmiałości – niewzruszonym głosem odrzekł zwiadowca. – Gdybyśmy mieli czas i było jasno, zdobylibyśmy parę skórek. Ale kto tam chodzi?

–Więc to nie wilki?

Sokole Oko powoli potrząsnął głową, skinął na Duncana i ukrył się w cieniu, jak nakazywała ostrożność. Potem z wielką uwagą jął nasłuchiwać, czy nie powtórzy się szmer, który go tak zadziwił. Ale daremnie wyteżał słuch. Po krótkim wyczekiwaniu szepnął więc Heywardowi: \

–Trzeba zawołać Unkasa. Chłopiec Wia zmysły Indianina i usłyszy to, czego my nie słyszymy. Trudno, jestem białym i nie będę się tego zapierał. i \

Młody Mohikanin cichym głosem rozmawiał ze swym ojcem, ale gdy usłyszał krzyk sowy, drgnął, zerwał się na nogi i spojrzał na ciemne wały szukając tam źródła głosu. Zwiadowca powtórzył wezwanie i w chwilę potem Duncan ujrzał, jak Unkas ostrożnie skrada się wzdłuż wału ku miejscu, w którym stali.

Sokole Oko w paru słowach, po delawarsku, wytłumaczył

Unkasowi, o co chodzi. Młody Indianin padł na darń pokrywającą ziemię i leżał nieruchomo. Heyward zdziwił się, że Mohikanin nic nie przedsięwziął, że leży jak zabity, i ciekaw, na co czeka, podszedł bliżej. Gdy się pochylił nad ciemnym kształtem, od którego ani na chwilę nie oderwał oczu, przekonał się, że Unkas zniknął, a to, na co bez przerwy patrzył, było tylko wybrzuszeniem terenu.

–Co się stało z Unkasem? – zapytał zwiadowcę cofając się w zdumieniu. – Widziałem, jak padł na ziemię, i gotów byłbym przysiąc, że wciąż tu leży.

–Tss! Niech pan mówi ciszej, bo nie wiadomo, czy nas ktoś nie słucha, a Mingo to sprytne plemię. Unkas jest już na równinie i Makaowie, jeśli tam są, będą z nim mieli ciężką przeprawę.

–Myśli pan, że Montcalm nie wycofał stąd wszystkich Indian? Zaalarmujmy naszych towarzyszy i chwycmy za broń. Jest nas pięciu, a walka to dla nas nie nowina.

–Ani pary z ust, jeśli panu życie miłe! Spójrz pan na Chin-gachgooka. Siedzi przy ognisku jak prawdziwy wielki wódz. Jego niewzruszony spokój zwiedzie każdego, jeśli naprawdę ktoś się czai w mroku.

–Ale mogą go dojrzeć i wtedy zginie. Dobrze go widać w świetle ogniska i łatwo ustrzelą go pierwszego.

–To prawda – odparł zwiadowca z niezwykłym jak na niego niepokojem – ale co na to poradzić? Wystarczy, abyśmy tylko raz spojrzeli podejrzliwie, a napadną nas, zanim będziemy gotowi. Chingachgook domyślił się po znaku, jaki dałem Unkasowi, że coś tu się święci. Ostrzegę go, że wpadliśmy na ślad Mingów, a jego indiańska natura powie mu, co robić.

. Przyłożył palce do ust i syknął, a Duncan instynktownie odskoczył, bo wydało mu się, że słyszy syczenie węża. Chingachgook siedział z głową wspartą na ręce i głęboko nad czymś rozmyślał. Na ostrzegawczy syk stworzenia, którego imię nosił, wyprostował się i swymi czarnymi oczami szybko, uważnie rozejrzał się wkoło. Lecz nic poza tym błyskawicznym i zapewne mimowolnym ruchem nie zdradziło jego niepokojem. Nawet nie dotknął strzelby, którą miał pod ręką, jakby o niej zapomniał. Tomahawk, dla wygody nieco wysunięty z pasa, wyśliznął się na ziemię, a stary Indianin zgarbił się, rozluźnił mięśnie, jakby w zupełnym wypoczynku.

Wracając do dawnej pozycji, chytrze zmienił tylko położenie rąk, jakby po to, by je wyciągnąć swobodniej, i czekał, co będzie dalej, spokojnie i odważnie jak prawdziwy indiański wojownik. Ale Heyward dostrzegł, że Chingachgook niby drzemiąc nozdrza ma rozdęte, głowę lekko przechyloną na bok, by lepiej słyszeć, a spojrzeniem bezustannie przeskakuje z przedmiotu na przedmiot.

–Niech pan spojrzysz na tego zadziwiającego człowieka! – szepnął Sokole Oko ściskając ramię Heywarda. – Wie, że najmniejszym ruchem czy nieostrożnym spojrzeniem pokrzyżuje nasze plany i zda nas na łaskę wrogów...

Przerwał mu błysk i huk wystrzału. Tam gdzie Heyward patrzył z podziwem, wirowały teraz iskry z rozbitego ogniska, a Chingachgook gdzieś zniknął niepostrzeżenie. Zwiadowca przyłożył sztucer do ramienia i niecierpliwie czekał na ukazanie się wroga. Lecz napad skończył się na tym j ednym nieudanym zamachu na Chingach-gooka. Raz czy dwa Heyward i zwiadowca słyszeli jeszcze odległy szelest rozsuwanych krzaków, jakby przedzierał się przez nie człowiek lub inne stworzenie. Sokole Oko wkrótce wskazał Heywardowi "sznurujące" wilki; najwidoczniej uciekały pospiesznie przed-jakimś intruzem, który]ę spłoszył. Po krótkiej i niespokojnej chwili oczekiwania usłyszeli wreszcie plusk wody, a zaraz po nim drugi strzał.

–To strzelił Unkaś! – zawołał zwiadowca. – Chłopiec ma dobrą broń. Znam<sup>^</sup>fej huk, jak ojciec zna szczebiot swego dziecka, bo używałem jej, zanim zdobyłem lepszą.

–Ale co to ma znaczyć? – zapytał Duncan. – Ktoś na nas czyha.

–Z rozbitego ogniska widzę, że ktoś miał złe zamiary, ale sądząc po Indianinie, wróg nie dopiął celu – odparł zwiadowca biorąc broń na ramię i idąc do Chingachgooka, który właśnie w tej chwili wynurzył się w kręgu światła w samym środku fortu. – No, jak tam, sagamore? Czy to naprawdę Mingowie depczą nam po piętach? A może to tylko jeden z tych gadów, "o wloką się za wojskiem, skalpują zwłoki, a później w domu przed babami chwalą się swym bohaterstwem?"

Chingachgook spokojnie siadł na dawnym miejscu i nie odezwał się słowem, dopóki nie zbadał główni trafionej kulą, która o mały

włos jego nie ugodziła. Dopiero potem podniósł palec w górę i rzekł tylko jedno słówko po angielsku:

–Jeden.

–Tak myślałem – siadając odparł Sokole Oko. – Łajdak dał nura w wodę, zanim Unkas go dopadł. Będzie teraz łągał, ile wlezie,

0 tym, jak siedział w zasadzce i czatował na dwóch Mohikanów

1 jednego białego myśliwego, bo w takiej potyczce obaj oficerowie niewiele więcej są warci od widzów. Kula tego łotra przeleciała ci tuż nad uchem, Wielki Wodzu.

Chingachgook spojrział obojętnie na głównię przebitą kulą i znów przybrał poprzednią postawę. Jego spokoju nie mogła zakłócić taka drobnostka. W tej chwili Unkas wśliznął się między nich i siadł przy ognisku, a jego mina była tak samo obojętna, jak wyraz twarzy ojca.

–Co się stało z naszym wrogiem, Unkasie? – zapytał Duncan. – Słyszeliśmy huk twojej strzelby i spodziewamy się, żeś nie strzelał daremnie.

Młody wódz odchylił fałdę swej myśliwskiej bluzy i z niewzruszonym spokojem pokazał kosmyk włosów – znak odniesionego zwycięstwa. Chingachgook wziął skalp w rękę i przez chwilę przyglądał mu się bardzo uważnie. Potem rzucił go z pogardliwym wyrazem twarzy.

–Oneida! – powiedział.

–Oneida! – powtórzył zwiadowca, który tak samo jak Indianie przestał się interesować całym zajściem i niemal dorównywał im obojętnością, ale teraz z poważną miną podszedł, by obejrzeć krwawy skalp. – Na Boga, jeżeli Oneidowie są na naszym tropie, to wkrótce otoczą nas ze wszystkich stron! Biali nie dojrzą różnicy między włosami z głowy tego czy innego Indianina. A jednak sagamore twierdzi, że to skóra z czaszki Minga. Co więcej, wymienia nawet plemię, do którego należał ten biedak. A co ty mówisz, chłopcze?

Unkas wznosił oczy, spojrział w twarz zwiadowcy i odpowiedział swym łagodnym głosem:

–Oneida.

–Orieida! I ty tak mówisz! Słowu Indianina na ogół możn.i wierzyć. Ale jeżeli poprze

go drugi, można przysięgać, że powiedzieli prawdę.

I

iskr

Ostatni Mc

Jatr \QS Penimore Cooper, t<sup>o</sup>n ^ stanie New Jersey, roz trzyc<sup>o</sup>^^estego roku życia. Pier" powjL\ć,,Szpieg" (1821). W pier-v\Zą książkę morską,,Pilotj',,f won\*^go korsarza", odnosząc kokt!| Z<sup>o</sup>^^nęCony powodzeniem Coopuj(tm), pow ^ści z życia Indian półnof m ^ Jako...Pięcioksiąg prz^j,^ rwałego dorobku literatuij jyy

czołowe miejsce w gro^j ^ się nań: "Pogromca Zwjw ^picieł Siadów",,,Pionieromj Ostatni Mohikanin" (1825)'-' ' zdobyła sobie r ysa ta to realistyczny i\*-Qtach' intensywnej kolonijmFi Ych, fascynujący wielką j, • -•" lelnika egzotyką puszczy

w

czT\elnika egzotyką pu w<sup>o</sup>^Moskórych i białych

Zł 420,-

–Wziął nas za Francuzów – powiedział Heyward – bo inaczej nie porwałby się na życie przyjaciela.

–Wziął Mohikanina w jego malowidło za Hurona! Równie dobrze mógłby pan wziąć białe mundury grenadierów Montcalma za purpurowe kurtki Królewskiej Piechoty Amerykańskiej – odparł zwiadowca. – Nie, ta żmija dobrze wiedziała, co robi. Zresztą nie pomylił się tak bardzo. Między Mingiem a Delawarem – obojętnie, po czyjej są stronie w wojnie białych – nie ma miłości. Dlatego bez namysłu wypaliłbym z Postrachu Zwierząt do tego hultaja, gdyby stanął na mej drodze, choć Oneidowie służą królowi, który jest także moim panem i władcą.

–Byłby to czynunek niegodny pana, a jednocześnie naruszenie

traktatu.

–Kiedy człowiek długo żyje z jakimś uczciwym narodem, a sam nie jest łotrem – ciągnął Sokole Oko – to w końcu się polubią. Prawda, że biali doprowadzili swą chytrą do takiego zamieszania między plemionami, iż nie wiadomo, kto się lubi,

a kto nienawidzi. W rezultacie Huroni i Oneidowie, którzy mówią tym samym językiem, a raczej prawie tym samym, polują na swe skalpy, a Delawarezy podzielili się na dwie partie. Jedna, mniejsza, trwa na brzegu swej rzeki przy wielkich ogniskach

**narad i walczy po tej samej stronie co Mingowie. Druga, większa, z wrodzonej nienawiści do nich siedzi w Kanadzie. Stąd ogólne zamieszanie i niedorzeczności w wojnie. Ale charakter Indian nie zmieni się na żądanie polityków i dlatego na miłość Mohikanów do Mingów trzeba patrzeć tak, jak na przyjaźń między człowiekiem i wężem.**

**–Przykro mi to słyszeć. Sądziłem bowiem, że ci Indianie, którzy mieszkają w naszym kraju, tak dobrze poznali naszą sprawiedliwość i wyrozumiałość, iż uważają nasze sprawy za własne.**

**–Myślę, że człowieka zawsze więcej obchodzą jego własne sprawy niż cudze. Ja ponad wszystko stawiam sprawiedliwość i dlatego nie powiem, abym nienawidził Mingów. Nie zgadzałyby się to ani z kolorem mej skóry, ani z moją wiarą. Ale powtarzam, że gdyby nie noc, Postrach Zwierząt nie darowałby życia temu**

**czającemu się Oneidzie.**

**Szlachetny i nieugięty zwiadowca, przekonany o sile swych argumentów, nawet nie czekał na odpowiedź Heywarda, lecz odwrócił się od ogniska uważając rozmowę za skończoną. Heyward**

zaś, któremu obca była wojna w puszczy, kiedy w każdej chwili groziło zaskoczenie, poczuł się nieswojo i schronił się na wał. Zwiadowca i Mohikanie natomiast zachowali się inaczej. Ich wyćwiczone i wyostizone długą praktyką zmysły, wprost nie do wiary czujne, nie tylko uprzedzały ich o każdym niebezpieczeństwie, ale i pozwalały właściwie je ocenić. Żaden z nich nie wątpił, że teraz nic im już nie grozi, spokojnie więc przygotowali się do narady, na której mieli powziąć decyzję na najbliższą przyszłość. Zamieszanie wśród plemion, a nawet szczepów, o którym wspomniał Sokole Oko, w owym czasie doszło do szczytu. Potężna spójnia, oparta na wspólnym języku i pochodzeniu w wielu wypadkach została zerwana. Jedną z konsekwencji tego było, że naturalni wrogowie – Delawarzy i Mingowie, jak nazywano plemiona należące do Związku Sześciu Narodów – walczyli w tych samych szeregach. A znów Mingowie polowali na skalpy Huronów, choć pochodzili z tego samego pnia. Nawet Delawarzy byli podzieleni. Umiłowanie ziemi, która kiedyś należała do ich przodków, trzymało wodza Mohikanów i niewielką grupę jego zwolenników (wchodzili oni w skład załogi fortu Edwarda) pod sztandarami króla Anglii. Lecz większość tego plemienia była w obozie Montcalma. Dobrze będzie, gdy wytłumaczymy czytelnikowi, bo może nie dość jasno wynikało to z naszego opowiadania, że Delawarzy, czyli Lenapowie, uważali swoje plemię za praprzodka tego liczego ludu, który ongiś władał większością wschodnich i północnych stanów Ameryki. Mohikanie zaś byli jego najstarszą i najbardziej szanowaną gałęzią.

Oczywiście zwiadowca i jego czerwonoskórzy towarzysze doskonale orientowali się w zawiłym splocie interesów, które sprawiły, że przyjaciele walczyli przeciw sobie, a naturalni wrogowie – obok siebie, w tych samych szeregach. Z tą znajomością rzeczy zabierali się teraz do narady, co dalej począc wśród tych zwaśnionych, dzikich plemion. Duncan dość dobrze znał zwyczaje Indian, by zrozumieć, dlaczego podsycano ogień i czemu wojownicy wraz z Sokolim Okiem zasiedli przy nim z uroczystą powagą. Stanął więc za rogiem jednego z szańców, skąd mógł obserwować scenę przy ognisku, i baczny na każde niebezpieczeństwo z zewnątrz, czekał na wynik narady z takim spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć.



Po krótkiej, a jednak nad wyraz wymownej pauzie Chingachgook napełnił i zapalił fajkę o drewnianym cybuszku i główce misternie wyrzeźbionej z miejscowego miękkiego kamienia. Kilka razy zaciągnął się aromatycznym dymem i oddał fajkę zwiadowcy. Tak w ciszy i w najgłębszym milczeniu fajka trzy razy obeszyła koło. Potem sagamore, jako najstarszy wiekiem i godnością, w paru spokojnych słowach oznajmił temat rozważań. Odpowiedział mu zwiadowca, potem znów Chingachgook zbijał jego wywody. Młody Unkas siedział w milczeniu i słuchał z szacunkiem debaty starszych, dopóki Sokole Oko przez grzeczność nie zapytał go o zdanie. Z zachowania mówców Heyward wywnioskował, że ojciec i syn są tego samego zdania, a Sokole Oko nie zgadza się z nimi. Spór powoli rozgorzał i wreszcie stało się jasne, że przeciwnicy kierują się już tylko własną ambicją.

Słowom Mohikanów towarzyszyły gesty tak wymowne i naturalne, że Heyward bez trudu śledził bieg ich myśli. Nie rozumiał natomiast, o co chodzi zwiadowcy, bo ten, powodowany dumą białego, mówił chłodno i zachowywał się nienaturalnie, jak każdy Anglik czy Amerykanin, dopóki się nie podnieci. Z tego, że Indianie często ruchami rąk przedstawiali wędrówkę przez las, wynikało, że nalegają na pościg lądem. Zwiadowca zaś parokrotnie wskazał na Horican, co dowodziło, że był za drogą wodną.

Już wydawało się, że traci grunt pod nogami i że go przekonają, gdy nagle zapalił się, skoczył na równe nogi i nie tylko przybrał postawę i gesty Indianina, ale i zaczął mówić z indiańską swadą. Uniósł jedno ramię w górę i opisał nim półkole – bieg słońca po niebie – i powtórzył ten ruch tyle razy, ile dni trzeba będzie, by dojść do celu. Potem zobrazował ciężką i długą drogę przez skały i potoki. Ruchami aż nadto zrozumiałymi przedstawił wiek i słabość pułkownika Munro, który w tej chwili spał twardo. Potem odmalował lekkie, płynne ruchy czołna, rażąco kontrastujące z ciężkim krokiem zmęczonego i osłabionego człowieka. Na zakończenie wskazał na skalp Indianina z plemienia Oneida i widocznie nalegał, by zaraz ruszać w drogę.

Mohikanie słuchali zwiadowcy z najgłębszą uwagą, a wyraz ich twarzy świadczył, że dobrze go rozumieją. Powoli przekonujące argumenty Sokolego Oka poczęły działać i przy końcu mowy Mohikanie przyjmowali jego słowa zwykłymi pochwalnymi

okrzykami. Krótko mówiąc, gdy Unkas i jego ojciec przekonali się, że zwiadowca ma rację, chętnie i otwarcie zrezygnowali ze swego zdania i nie upierali się więcej, co, gdyby obaj byli członkami jakiegoś wielkiego i cywilizowanego narodu, na zawsze pogrzebałoby ich opinię dobrych polityków.

Kiedy już powzięli decyzję, zapomnieli o samej dyskusji i sporze. Sokole Oko nawet się nie rozejrzył, by wyczytać w oczach słuchaczy pochwałę swego zwycięstwa. Spokojnie wyciągnął się przy dogasającym ognisku i usnął.

Mohikanie wykorzystali sposobność, by nareszcie przestać myśleć o innych i zająć się sobą. Chingachgook zapomniał o poważnym i surowym tonie, o godności wodza i łagodnym, wesołym głosem począł coś czule mówić do syna. Unkasowi sprawiło to wielką radość i zanim zwiadowca zaczął chrapać przez sen, zachowanie Indian zupełnie się zmieniło.

Po godzinie czulej rozmowy Chingachgook owinał głowę w koc, wyciągnął się na gołej ziemi i w ten sposób oznajmił, że chce spać. Unkas natychmiast spoważniał. Starannie nagarnął głównie ogniska bliżej nóg ojca i sam ułożył się do snu.

Heyward, patrząc na ten spokój doświadczonych mieszkańców puszczy, nabrał pewności, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, i poszedł za ich przykładem. Na długo przed północą ludzie w środku zburzonych umocnień spali równie głębokim snem, jak polegli. na równinie, których kości poczynały już bieleć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Albanio, niech na ciebie spojrzą moje

oczy,

O ty, dzika piastunko równie dzikich

ludzi, Childe Harold

Na niebie jeszcze pełno było gwiazd, gdy Sokole Oko przyszedł zbudzić śpiących. Munro i Heyward już odrzucili płaszcze i wstali, a zwiadowca wciąż jeszcze półgłosem wołał na nich z progu prymitywnego schronu, w którym spędzili noc. Kiedy wyszli, ujrzeli zwiadowcę czekającego na nich przy wejściu. Pozdrowił ich wymownym ruchem ręki nakazującym ciszę i na tym poprzestał.

–Chodźcie – szepnął zwracając się ku kurtynie fortu – zejdziemy do rowu tą stroną. Starajcie się stąpać po kamieniach lub szczątkach drzewa.

**Obaj biali usłuchali, chociaż nie rozumieli tej ostrożności. Kiedy zeszli na dno głębokiego rowu otaczającego szaniec z trzech stron, natknęli się na rumowisko, które zagrodziło im drogę. Idąc ostrożnie i cierpliwie za zwiadowcą, udało im się pokonać tę przeszkodę i dotrzeć do piaszczystego brzegu Horicanu.**

**–Ten ślad można wykryć tylko węchem – z zadowoleniem stwierdził zwiadowca oglądając się na trudną drogę, którą mieli już za sobą. – Trawa to zdradliwy dywan dla uciekających, ale na drzewie i na kamieniu nie znać śladu mokasynów. Unkasie, przyciągnij czołno do brzegu. Na tym piasku widać ślady jak na holenderskim maśle. Ostrożnie, przyjacielu, ostrożnie, nie powinno dotknąć brzegu, bo ci nicponie od razu dowiedzą się, którądy odeszliśmy.**

**Unkas usłuchał; zwiadowca ostrożnie oparł koniec deski zabranej z ruin o burtę łódki i ruchem ręki kazał oficerom wejść. Gdy już**

byli w czólnie, zatarł ostatnie ślady. Potem przedostał się do brzożowego czółenka tak, że nie pozostawił najmniejszego znaku po sobie, Heyward siedział w milczeniu, dopóki nie odpłynęli dość daleko. Gdy długi i gęsty cień gór na wschodzie, padający na szklistą wodę, okrył łódkę, zapytał:

–Czemu uciekaliśmy tak nagle i tak ostrożnie?

–Gdyby krew Oneidy mogła splamić tę czystą wodę, wyczytałby pan w niej odpowiedź – odparł zwiadowca. – Czy pan już zapomniał o tej czającej się gadzinie, którą zabił Unkas?

–Ależ nie. Mówiliśmy tylko, że był sam, a umarłych nie trzeba się lękać.

–Tak, był sam, gdy na nas nikczemnie napadł! Ale Indianin z plemienia liczącego aż tylu wojowników może być pewien, że za jego śmierć wróg zapłaci jękiem konania.

–No tak, ale nasza obecność... autorytet pułkownika Munro... mógłby ustrzec nas wszystkich przed zemstą sprzymierzonych z nami Indian. Zwłaszcza że ten gałgan zasłużył na swój los. Na Boga, dla tak błałego powodu nie zboczył pan chyba ani o włos z naszej drogi?

–Czy sądzi pan, że kula ze strzelby łotra zboczyłaby, gdyby sam król stanął mu przed lufą? – odrzekł uparty zwiadowca. – Jeżeli jedno słowo białego ma taki wpływ na Indian, to czemu ten sławny Francuz, główny wódz Kanadyjczyków, nie powstrzymał Huronów od morderstwa? Niech teraz te łajdaki szukają śladu na wodzie. Jeżeli im ryby nie powiedzą, kto wiosłował tego pięknego ranka po jeziorze, przepłyniemy Horican, nim się domyśla, którędy uciekliśmy.

O świcie wplynęli w cieśninę jeziora\* i szybko, ostrożnie, przemykali się między niezliczonymi wysepkami. Tędy cofał się Mont-calm ze swą armią, wiedzieli więc, że musiał zostawić Indian

Każdy amerykański turysta zna piękne Jezioro Jerzego. Wprawdzie jeziora włoskie c/y szwajcarskie otoczone są wyższymi górami, a ludzie przyozdobili ich brzegi, lecz kształt i woda Jeziora Jerzego są równie piękne. Ilością zaś i malowniczością wysepek Jezioro Jerzego przewyższa tamte. Podobno na przestrzeni co najwyżej trzydziestu mil ma ich kilkaset. Cieśnina, która łączy dwa jeziora, jest nimi tak gęsto usiana, że dzielą je tylko przejścia szerokie na p<nt; stóp. Szerokość zaś samego jeziora waha się od jednej do trzech mil.

Stan Nowy Jork znany jest ze swych licznych i pięknych jezior. Jedna z jego granic bicornir skrajem rozległej tafli jeziora Ontario, gdy nad drugą – bez mała na

przestrzeni stu mil jezioro Champlain. Oneida, Cayuga, Canandaigua, Seneca i Jezioro Jerzego mają po tydzień mil długości, a mniejszych jest bez liku. Nad większością tych jezior wznoszą się teraz osiedla, a po wielu kursują statki (przyp. autora).

It"/y

w zasadzce, by osłaniali jego tyły i łapali maruderów. Dlatego też Mohikanie płynęli ze zwykłą im ostrożnością i cicho.

.Chingachgook odłożył wiosło. Unkas i zwiadowca wiosłowali dalej, a lekkie czółno przemykało się przez kręte i zawile kanały, gdzie wróg lada chwila mógł im przeciąć drogę. Gdy płynęli, Wielki Wódz bacznie przebiegał wzrokiem od wysepki do wysepki, od gaju do gaju, a kiedy pozwalała na to otwarta przestrzeń wody, bystrym spojrzeniem ogarniał nagie skały i groźnie pochylone nad jeziorem lasy, rosnące na brzegach wąskiej cieśniny.

Heyward rozglądał się ciekawie z dwóch powodów: po pierwsze dla piękna krajobrazu, a po drugie, by w porę dostrzec niebezpieczeństwo. Lecz już zaczął o nim wątpić, gdy nagle na znak Chingach-gooka Unkas i Sokole Oko przestali wiosłować.

–Hugh! – krzyknął Unkas prawie w tej samej chwili, kiedy jego ojciec lekkim stuknięciem w burtę czółna uprzedził wiosłujących o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

–O co chodzi? – zapytał zwiadowca. – Jezioro jest tak gładkie, jakby wiatr nigdy tu nie wiał. Widzę na odległość kilku mil: tych czystych wód nic nie plami, nawet czarna główka nurka.

Indianin poważnie uniósł wiosło i wskazał na coś, od czego nie odrywał oczu. Duncan spojrział w tym samym kierunku. O kilkanaście jardów przed nimi leżała jedna z małych, zalesionych wysepek, tak cicha, samotna i spokojna, jakby stopa ludzka nigdy tam nie powstała.

–Nic nie widzę – powiedział – tylko wodę i wyspę. Naprawdę cudny widok!

–Tss! – przerwał mu zwiadowca. – Tak, Wielki Wodzu, zawsze masz rację. To jest tylko cień, ale nienaturalny. Czy widzi pan, majorze, opary wznoszące się nad wysepką? Nie można nazwać ich mgłą, bo przypominają smugi lekkich obłoków....

–Opary wody.

–Nawet dziecko by to zgadło. Ale czymże jest ta ciemniejsza smuga na dole, tuż nad leszczyną? Moim zdaniem to dym dogasającego ogniska.

**–Przybijmy więc do brzegu i zobaczmy – odrzekł szybki w decyzji Duncan. – Na takim skrawku ziemi nie może być dużo ludzi.**

**–Jeżeli wie pan o chytrości Indian tylko to, co wyczytał pan**

w książkach albo co mówi mądrość białych, to gotów się pan oszukać albo i zginąć – odparł Sokole Oko przyglądając się okolicy ze zwykłą mu uwagą. – Jeżeli wolno mi wyrazić swoje zdanie, to powiem, że mamy dwa wyjścia: albo wrócić i porzucić myśl ścigania Huronów...

–Nigdy! – zawołał Heyward zbyt głośno jak na ich obecne położenie.

–Dobrze, dobrze – ciągnął Sokole Oko, gwałtownym ruchem hamując zapał Heywarda. – Osobiście myślę to samo, aczkolwiek uważam, że moje doświadczenie nakazywało mi powiedzieć prawdę. A zatem śmiało naprzód! A jeżeli w cieśninie są Francuzi lub Indianie, przebędziemy ten szpaler gór, jakbyśmy biegli pod kijami. Czy dobrze mówię, Wielki Wodzu?

Indianin zanurzył wiosło i pchnął czółno naprzód, a że kierował łódką, ruch ten wystarczył za odpowiedź. Teraz wszyscy żywo zabrali się do wiosel i w parę chwil dotarli do miejsca, skąd mogli zobaczyć cały, dotychczas niewidoczny, północny brzeg wyspy.

–Są tam, widać to wyraźnie! – szepnął zwiadowca. – Dwa czółna i dym. Mgła jeszcze nas zasłania przed oczami tych łotrów, inaczej usłyszelibyśmy już ich przekłętą okrzyk wojenny. Razem, przyjaciele! Oddalamy się od nich i kula już nas chyba nie dosięgnie.

Kula, która rykoszetując przeleciała po spokojnej powierzchni wody, dobrze znany huk wystrzału i przenikliwy krzyk z wyspy przerwał mu i oznajmił, że już ich dostrzeżono. W chwilę później kilkunastu Indian szybko wsiadło do czółen i pomknęło za nimi. Duncan zauważył, że zwiadowca i Mohikanie wcale się nie przejęli nadchodzącą walką. Jedynie dłużej i zgodniej pociągali wiosłami, a czółno leciało jak ptak.

–Nie daj im zbliżyć się do nas, sagamore – powiedział Sokole Oko, spokojnie oglądając się przez lewe ramię i bez przerwy wiosłując. – Uważaj, żeby odległość się nie zmniejszyła. Huroni nie mają strzelby, która by niosła tak daleko, a na Postrach Zwierząt można liczyć.

Po chwili zwiadowca przekonał się, że Mohikanie sami doskonale sobie radzą i nie pozwolą zbliżyć się Huronom. Nie śpiesząc się. odłożył więc wiosło, a wziął w ręce swój śmiercionośny sztucer.

Trzy razy mierzył i za każdym razem, gdy jego towarzysze już spodziewali się strzału, odkładał broń i żądał, by Mohikanie zwolnili bieg czółna. Wreszcie jego wybredne, celne oko najwidoczniej uznało strzał za pewny, bo podpierając wyprostowaną ręką lufę strzelby począł powoli ją unosić, gdy nagły okrzyk Unkasa, który siedział na przedzie czółna, raz jeszcze zmusił go do opuszczenia broni.

–Co tam, chłopcze? – zapytał. – Swoim okrzykiem uratowałeś życie Huronowi. Co cię do tego skłoniło?

Unkas wskazał na skalisty brzeg przed nimi, od którego odbiło inne czółno i szybko przecinało im drogę. Niebezpieczeństwo, w jakim się teraz znaleźli, było tak oczywiste, że nie wymagało żadnych wyjaśnień. Zwiadowca odłożył sztucer i znów wziął się do wiosła. Chingachgook zaś skierował łódkę w bok, ku zachodniemu brzegowi, by oddalić się od nowego nieprzyjaciela. Tymczasem ścigający ich dzikim okrzykiem triumfu przypomnieli, że są tuż za nimi. Teraz nawet Munro ocknął się z apatii.

–Przybijmy do skał – powiedział z miną wytrawnego żołnierza – i wydajmy bitwę dzikim. Niech Bóg broni, abym kiedykolwiek ja, moi krewni i bliscy mi ludzie zaufali słowu któregoś ze sług Ludwika.

–Kto chce wygrać z dzikimi – odparł zwiadowca – t.en musi wyzbyć się fałszywej ambicji i uczyć się od nich. Wielki Wodzu, kieruj czółno wzdłuż brzegu, mijamy tych łotrów, ale tam dalej zapewne spróbują przeciąć nam drogę. j

Sokole Oko miał słuszność. Huroni zauważyli, i że nie1 przetną drogi uciekającym i że mogą zostać w tyle. Dlatego zmienili kierunek i popłynęli na ukos, aż wreszcie oba czółna sunęły równolegle, w odległości jakichś dwustu jardów od siebie. Teraz zaczął się prawdziwy wyścig. Małe, zgrabne czółenka płynęły tak chyżo, że kołysały się z boku na bok, a woda przed nimi marszczyła się w drobne fale. Wyścig zmuszał wszystkich Huronów do wiosłowania, nie mogli więc zrobić użytku ze strzelb. Ale wysiłek ściganych był zbyt wielki, by mógł trwać długo. W dodatku ścigający mieli przewagę liczebną. Duncanowi zrobiło się nieswojo, gdy zauważył, że Sokole Oko niespokojnie się rozgląda, jakby szukał jakiegoś wyjścia z tej trudnej sytuacji.

–Wielki Wodzu, trzymaj się z dala od słońca – powiedział. –



Widzę, że jeden z tych hultajów przestał wiosłować i chwycił za strzelbę. Jeśli przetrzącą któregoś z nas, wszyscy stracimy skalpy. Wyjdźmy spod słońca. Odgradzimy się od nich tą wysepką.

Pomysł był szczęśliwy. Długa, niska wysepka leżała przed nimi, a kiedy zrównali się z nią i popłynęli wzdłuż brzegu, ścigający mieli opłynąć ją z drugiej strony. Zwiadowca i jego towarzysze natychmiast skorzystali z tego i gdy kręki zakryły ich przed Indianami, poczęli wiosłować dwa razy szybciej. Ten ich nadludzki wysiłek dał dobre rezultaty. Oba czoła wyłoniły się zza cypla wyspy jak dwa galopujące konie wyścigowe. Uciekający prowadzili w tym wyścigu, ale ścigający zbliżyli się do nich.

–Unkasie, dowiodłeś, że znasz się na brzoźowych łódkach wybierając tę spośród wszystkich łódek Huronów – powiedział zwiadowca i uśmiechnął się, najwidoczniej bardziej uradowany zwycięstwem w wyścigu niż świtającą nadzieją ucieczki. – Znowu wszyscy nicponie wiosłują, musimy więc walczyć o skalpy kawałkami spłaszczonego drzewa, a nie kulami i celnością oka. Długie i zgodne pociągnięcia, przyjaciele!

–Gotują się do strzału – powiedział Heyward – a że jesteśmy na jednej linii, kula powinna trafić.

–Połóż się pan na dnie łódki – odparł zwiadowca. – Pan i pułkownik. To znacznie mniejszy cel.

–Byłby to zły przykład dla żołnierzy, gdyby starsi stopniem chowali się przed nieprzyjacielem – z uśmiechem odpowiedział Heyward.

–Mój Boże, oto odwaga białych! – zawołał zwiadowca. – Męstwo białych, jak większość ich postępów, bynajmniej nie płynie z rozsądku. Czy myśli pan, że sagamore, Unkas, a nawet ja, czystej krwi białych, wahamy się skorzystać z osłony, kiedy nie trzeba nadstawiać głowy? Po co Francuzi wznosiliby swój Gmebec, gdyby musieli walczyć jedynie na otwartym polu?

–To wszystko prawda, mój przyjacielu – odparł Heyward – ale nasze zwyczaje nie pozwalają nam posłuchać twej rady.

Salwa z łódki Huronów przerwała tę rozmowę, a gdy kule gwizdnęły nad nimi, Duncan zauważył, że Unkas odwrócił głowę i spojrzał na niego i na pułkownika Munro. Musiał przyznać, że młody. Mohikanin, chociaż groziło im wielkie niebezpieczeństwo, bo wróg był tuż za nimi, zachował zimną krew. Na jego twarzy



malowało się tylko zdziwienie, że są ludzie, którzy bez potrzeby wystawiają się na cel. Chingachgook zapewne lepiej znał białych, bo nawet na chwilę nie oderwał się od kierowania łodzią. Nagle kula uderzyła w lekkie i gładkie wiosło, wytrąciła je z rąk wodza Mohikanów i wyrzuciła w powietrze, daleko przed czółno. Huroni krzyknęli radośnie i znów oddali salwę. Unkas pchnął silniej wiosłem, czółno zakreśliło łuk i Chingachgook w przelocie wyłowił swoje wiosło z wody. Uniósł je w górę i wywijając nim w powietrzu, wydał okrzyk wojenny Mohikanów. Potem znów z wielką energią i zręcznością zabrał się do wiosłowania.

Głośne okrzyki: "Wielki Wąż", "Długa Strzelba!" i "Rączy Jeleń!" rozbrzmiewały w czólnach za nimi i dodały zapалу ścigającym. Zwiadowca chwycił Postrach Zwierząt w lewą rękę i wzniosłszy go wysoko pogroził nim wrogom. Dzicy na to wyzwanie odpowiedzieli głośnym wyciem i nową salwą. Kule posypały się jak grad i wszystkie poszły w wodę, z wyjątkiem jednej, która przebiła korę czółna. W tej krytycznej chwili twarze Mohikanów pozostały niewzruszone, a ich surowe rysy nie wyrażały ani obawy, ani nadziei. Zwiadowca odwrócił głowę i śmiejąc się cicho, jak zwykle, powiedział do Heywarda:

–Hultaje lubią słyszeć huk swych strzelb, ale żaden z nich nie ma wyrobionego oka i nie potrafi z rozkołysanej łódki ocenić odległości. Widzi pan, ci głupcy oderwali od wiosła jednego człowieka do nabijania strzelb, a to,' najskromniej licząc, pozwoli nam robić trzy stopy na ich dwie.

Duncarl, kiedy Sokole Oko spokojnie oceniał odległość, wcale się nie czuł tak swobodnie jak jego towarzysze. Z przyjemnością więc zauważył, że dzięki zręczności zwiadowcy i Mohikanów oraz zamieszaniu wśród Indian ich czółno znacznie wysunęło się naprzód. Huroni znów zaczęli strzelać. Jedna kula uderzyła w pióro wiosła Sokolego Oka, lecz nikomu nie zrobiła nic złego.

–Wcale dobrze – powiedział zwiadowca, z zainteresowaniem oglądając wiosło draśnięte przez kulę. – Ta kula nie przecięłaby skóry dziecku, a coś dopiero dorosłym ludziom, tak jak my zahartowanym przez los. Teraz, majorze, niech pan spróbuje swych si\* przy tym kawałku spłaszczzonego drzewa. Oddaję głos Postrachowi Zwierząt.

Heyward chwycił za wiosło i zabrał się do pracy z zapalem,

którym nadrabiał brak wprawy, a Sokole Oko tymczasem sprawdzał ładunek swego sztucera. Potem szybko wycelował i strzelił, Inion na dziobie bliższego czółna właśnie wstał, by strzelić. Trafiony kulą Sokolego Oka upuścił strzelbę do wody i przewrócił się, – im wznak. Wprawdzie zaraz się zerwał, lecz widać było, że jest osłomiony. Jego towarzysze przestali wiosłować, dwa czółna Indian zetknęły się burtami i stanęły. Chingachgook i Unkas skorzystali z chwili przerwy, by odsapnąć, ale Duncan z zapalem wiosłował dalej.

–Tylko spokojnie, majorze – powiedział zwiadowca, który znów nabił swoją broń. – Jesteśmy już trochę za daleko, aby sztucer wykazał swe zalety. Jak pan widzi, te leśne diabły się naradzają. Podpuśćmy ich na odległość strzału i zaufajcie memu oku, a; pociągnę łotrów przez cały Horican i ręczę, że ich kule najwyżej nas drasną; gdy Postrach Zwierząt posieje śmierć – dwa trupy na trzy strzały.

«- Pamiętajmy o naszym głównym celu – odparł Duncan, pilnie Wiosłując. – Na Boga, korzystajmy z okazji i uciekajmy!:' – Szukajmy dzieci – ochryłym głosem rzekł Munro. – Nie igrajcie dłużej z mym bólem.

Długoletnie poszanowanie przełożonych wpoilo zwiadowcy cnotę posłuszeństwa. Rzucił więc ostatnie, tęskne spojrzenie na odległe czółna prześladowców i odłożył sztucer. Zluzował zmęczonego Duricana i zabrał się do wiosłowania z całą siłą swych niestrudzonych mięśni. Mohikanie sekundowali mu dzielnie, wystarczyło więc parę minut, by tak się oddalili od ścigających, że Heyward znów odetchnął z ulgą.

Teraz jezioro rozszerzało się, a droga uciekających biegła szerokim rozlewiskiem, wciąż jeszcze zamkniętym między wysokimi i poszarpanymi górami. Wysp było już mniej i łatwo je było omijać. Uderzenia wiosła stały się bardziej miarowe, a wiosłujący, którzy ledwie trochę wytchnęli po ciężkim wysiłku, pracowali teraz z takim spokojem, jakby chodziło o zwykłą gonitwę, a nie ucieczkę, ba! – wyścig ze śmiercią.

Ale zamiast trzymać się zachodniego brzegu, dokąd wiódł cel poszukiwań, przezorny Mohikanin zboczył nieco ku górom, za którymi, jak wiadano, Montcalm poprowadził swą armię do potężnej twierdzy Ticonderoga. Była to już przesadna ostrożność, bo

Huroni najwidoczniej zaniechali pogoni. Lecz mimo to stary Mohikanin przez kilka godzin trzymał się tego kierunku, dopóki nie zawinęli do zatoki w pobliżu północnego krańca jeziora. Tu wysiedli i wyciągnęli czółno na ląd. Zwiadowca i Heyward wdrapali się na wysoki, urwisty brzeg. Sokole Oko uważnie przyjrzał się jezioru szeroko rozlanemu u ich stóp i wskazał Heywardowi mały, czarny punkcik migocący na wodzie przy jakimś przylądku o kilka mil od nich. '

–Widzi pan? – zapytał. – Za co wziąłbyś pan tę plamkę, gdybyś wędrował przez puszcze, opierając się jedynie na wiedzy i doświadczeniu białego?

–Z tej odległości i sądząc z rozmiarów plamki wziąłbym ją za ptaka. Ale czy to może być coś żywego?

–Nie, to łódka z mocnej, brzoźowej kory. Pędzi naprzód pod uderzeniami wiosel chytrych i zażartych Mingów. Wprawdzie Bóg dał ludziom puszczy dobry wzrok, jakiego nie potrzebują mieszcuchy, bo mogą wzmocnić go szklami, ale żadne oczy nie dojrzą wszystkich grożących nam teraz niebezpieczeństw. Te łotry udają, że myślą tylko o wieczerzy, ale gdy się ściemni, pogonią za nami jak psy, które zwierzyły zwierzynę. Musimy się ich pozbyć, bo inaczej nic nie będzie z naszego pościgu za Maguą.

–Nie traćmy czasu na próżno!

–Nie podoba mi się ten dym, który wije się nad czółnem i pełźnie w górę skały – mówił dalej zatopiony w myślach zwiadowca. – Głowę daję, że nie tylko my go widzimy. A tamci dobrze wiedzą, co to znaczy. Tak, dość słów, trzeba się zabrać do dzieła.

Opuścił swój posterunek i głęboko nad czymś rozmyślając zszedł nad brzeg jeziora. O swym spostrzeżeniu powiedział po delawarsku Mohikanom i zaraz we trzech naradzili się krótko, lecz poważnie. Potem bez zwłoki zabrali się do czynu.

Wyciągnęli czółno z wody, wzięli je na ramiona i ruszyli z białymi w głąb lasu, pozostawiając za sobą jak najszerzy i najbardziej widoczny ślad. Wkrótce dotarli do strumienia, przeszli na drugą stronę i doszli do dużej, nagiej skały. Tu stopy ich według wszelkiego prawdopodobieństwa nie pozostawiały żadnego śladu, zawrócili więc do strumienia, ale tym razem już z największą ostrożnością. Jego korytem dotarli do jeziora i znów spuścili

czołno na wodę. Niski występ brzegu zasłaniał ich od strony cypla, a sam brzeg na dużej przestrzeni porośnięty był gęstymi, zwisającymi nad wodą krzakami. Pod tym naturalnym przykryciem mozolnie i cierpliwie płynęli dalej, aż wreszcie zwiadowca uznał, v.v mogą już powrócić na brzeg.

Zaczekali, dopóki mrok wieczorny nie okrył okolicy, i dopiero wtedy ruszyli w dalszą drogę. Korzystając z osłony ciemności, cicho, lecz rażno posuwali się ku zachodniemu brzegowi. Duncan nic nie widział w poszarpanej linii górzystego brzegu, do którego płynęli, ale stary Mohikanin wprowadził czołno do małej zatoczki z dokładnością i pewnością doświadczonego pilota.

Teraz znów wyciągnęli łódkę na brzeg, przenieśli ją do lasu i starannie ukryli pod stosem chrustu. Potem każdy wziął swą broń i sakwę, a Sokole Oko oznajmił pułkownikowi Munro i Heywardowi, że on i Mohikanin gotowi są do dalszego pościgu.

i i.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

f

Jeśli znajdziesz tutaj mężczyzny, niech zemrze pchlą śmiercią.

Wesołe kumoszki z Windsofu

Nasi przyjaciele wylądowali na skraju okolicy, którą do dziś mieszkańcy Stanów mniej znają niż arabskie pustynie lub mongolskie stepy. Bezpłodny i surowy ten kraj dzielił dopływy jeziora Champlain od dopływów Hudsonu, Mohawka i Świętego Wawrzyńca. Od czasu naszej opowieści przedsiębiorczy Amerykanie opasali go łańcuchem bogatych i kwitnących miast i osad, ale nawet dziś tylko myśliwy lub Indianin odważa się zapuścić w jego głąb.

Sokole Oko i Mohikanie nieraz przemierzali doliny i góry tego rozległego i dzikiego kraju. Bez wahania więc śmiało ruszyli w puszcze jak ludzie przywykli do trudów i niewygód. Wiele godzin szli uciążliwą drogą, orientując się\* według gwiazd lub biegu potoków. Wreszcie zwiadowca zarządził postój. Po krótkiej naradzie. z Indianami z ich pomocą rozpałił ogień i zabrał się do przygotowania noclegu. Munro i Duncan wzięli przykład ze swych doświadczonych sprzymierzeńców i tym razem spali spokojnie, choć niezbyt wygodnie. Rosa już wysychała, a słońce rozproszyło mgłę i rzucało jaskrawe światło na las, kiedy znów ruszyli w drogę.

Po kilku milach Sokole Oko, który szedł na przedzie, zwolnił kroku. Zachowywał się teraz ostrożniej i często się namyślał. Sam sobie nie wierzył i często z poważną miną radził się Chingach-gooka. Wreszcie odezwał się po angielsku i szczerze wyjaśnił, co sprawia, że ich położenie jest trudne.

–Kiedy odkryłem pierwsze ślady Huronów biegnące na północ – mówił – nie potrzebowalem się długo zastanawiać. Wia-

IIIMI, c/.

! ◊ W 11 ' k

I

domo było, że pójdą dolinami między Hudsonem i Iloricii znajdą się u źródeł kanadyjskich rzek, które dopływają do samego środka kraju Francuzów. Ale doszliśmy już w jeziora Scaroon i nie znaleźliśmy żadnego śladu. (?!<omylny i być może, poszliśmy fałszywą drogą.

–Niech nas Bóg broni przed taką pomyłką! – zawołał Dni can. – Przejdziemy jeszcze raz po własnych śladach i b. ic/ni' przyjrzymy się wszystkiemu. Czy Unkas nie może nam nic u ^ 11 ◊ w !

poradzić?

Młody Mohikanin spojrzął na ojca, ale milczał uparcie, zachowując swój zwykły spokój i opanowanie. Chingachgook dostrzegł to spojrzenie i skinieniem ręki pozwolił synowi przemówić. Na ten znak twarz Unkasa zupełnie się zmieniła. Zniknęły z niej skupienie i powaga, a wystąpiły spryt i radość. Zerwał się jak jelen, jednym skokiem znalazł się na wzgórzu o kilka jardów przed nimi i triumfalnie przystanął nad świeżą ziemią najwidoczniej wzruszoną kopytem jucznego zwierzęcia. Zwiadowca i towarzysze Unkasa, którzy śledzili te nieoczekiwane ruchy, wyczytali radosną wieść z jego rozpromienionej twarzy.

–Mamy ślad! – krzyknął zwiadowca biegnąc na wzgórek. – Ten chłopiec jest niezwykle spostrzegawczy i sprytny jak na swój

wiek.

–Zadziwiająco, że tak długo nie zdradził się z tym, co wie –

mruknął Duncan stojąc obok zwiadowcy.

–Byłoby jeszcze bardziej dziwne, gdyby się odezwał bez pozwolenia. Nie, nie. Biały młodzieniec, który całą wiedzę czerpie z ksiązek, a swą mądrość mierzy przeczytanymi stronicami, może sobie wyobrazić, że rozumem i sprawnością nóg przewyższa ojca. Ale tam, gdzie doświadczenie jest wszystkim, młodzik zna wagę przeżytych lat i ceni doświadczenie starszych.

–Patrzcie – powiedział Unkas, wskazując \biegnący z południa ku północy szeroki,



**wyraźny' ślad – Czarnooka odeszła ku mroźnej**

**zimie.**

**–Żaden pies jeszcze nie wpadł na piękniejszy trop – odpowiedział zwiadowca, szybko idąc za śladem. – Szczęście nam dopisało, i to bardzo. Możemy iść naprzód z zamkniętymi oczyma. Tak, widzę tu ślady obu kołyszących się zwierząt.**

**Dobry humor zwiadowcy i zadziwiające szczęście, dzięki któremu**

**lin**

**wpadli na ślad po przebyciu z górą czterdziestu mil okólną drogą, podniosły na duchu pozostałych członków wyprawy i tchnęły w nich nową nadzieję. Posuwali się teraz naprzód tak szybko i pewnie, jakby szli szerokim gościńcem. Gdy jakaś skała, rzeczulka czy twardszy grunt przerywały ślad, niezawodne oko zwiadowcy odnajdywało go nieco dalej, i to tak szybko, że prawie nie potrzebowali przystawać. Magua uciekał dolinami, co nie tylko ułatwiało ścigającym drogę, ale pozwalało im również utrzymać właściwy kierunek. Huron nie zaniedbał indiańskiego zwyczaju kluczenia w czasie ucieczki: fałszywy trop, nagłe zwroty trafiały się bardzo często i zawsze tam gdzie strumień lub teren na to pozwalał. Lecz ścigający rzadko kiedy dali się zmylić, a i wtedy szybko wykrywali pomyłkę, zanim oddalili się od śladu.:**

**W południe przebyli rzekę Scaroon i szli za słońcem na zachód. Po zejściu w głęboką dolinę, którą płynął wartki strumień, doszli do miejsca, gdzie Przebiegły Lis zatrzymał się dłużej. Nad strumieniem znaleźli wygasłe ognisko, porozrzucane kości i resztki jeleniego mięsa, a drzewa najwidoczniej ogryzione były przez konie. Heyward odnalazł nawet coś na kształt małego szalasu, któremu przyglądał się ze wzruszeniem, bo domyślił się, że tu wypoczywały Kora i Alicja. Lecz choć ziemia wkoło była zdeptana, a ślady kopyt i ludzkich stóp wyraźne, od tego miejsca trop nagle się urwał.**

**Ślad narragansettów znaleziono łatwo, ale wyglądało na to, że konie błądziły samopas, szukając paszy. Chingachgook i Unkas usiłowali odczytać ten trop i wreszcie Unkas natrafił na całkiem świeży ślad koni. Zanim ruszył tym śladem, powiedział o nim swym towarzyszom. Ci jeszcze się naradzali nad nowym odkryciem, gdy młody Mohikanin ukazał się prowadząc obie kobyłki z uszkodzonymi siodłami i zbrudzonymi czaprakami, jakby od kilkunastu dni wałęsały się po puszczy, zdane na własne siły. <**

**–Co to znaczy? – zapytał Duncan blednąc i rozglądając się wkoło, jakby się bał, że krzaki i liście ukrywają straszną tajemnicę.**

**–Tylko to, że jesteśmy niemal u celu i weszliśmy na terytorium nieprzyjaciela – odparł zwiadowca. – Pewnie dotarliśmy w pobliże obozu francuskich Indian, którzy,**

**jak slyszalem, przybyli tu, by polowac na losie. Czemu nie mieliby sobie na to pozwolic?**

Przecież w tych górach każdego ranka i wieczora słyhać armaty z Ty. Francuzi umacniają granicę między królewskimi prowincjami a Kanadą. Dość na tym, że konie są, a Huronów nie ma, poszukajmy więc drogi, którą odeszli.

Sokole Oko wraz z Mohikanami poważnie wzięli się do dzieła. Zakreślili koło o obwodzie kilkuset stóp i każdy z nich miał dokładnie zbadać jeden wycinek. Niestety, nie dało to żadnego wyniku. Wprawdzie znaleźli liczne odciski stóp, ale żaden z nich nie wyszedł poza obręb koła. Sokole Oko i Mohikanie, idąc gęsiego, wolno okrążyli miejsce postoju Huronów i znów zeszli się w środku, równie mądrzy, jak byli.

–W tym jest jakiś szatański podstęp! – zawołał Sokole Oko, gdy zauważył rozczarowane spojrzenia swych towarzyszy. – Wielki Wodzu, zejdźmy na brzeg strumienia i zbadajmy teren cał po calu. Za nic w świecie nie pozwolę, aby Huron przechwalał się przed swym plemieniem, że jego stopa nie pozostawia śladu.

W tych nowych poszukiwaniach zwiadowca świecił przykładem. Odwrócili każdy listek, poruszyli każdą suchą gałązkę i każdy kamyczek, bo jak wiadomo, chytry Indianie często cierpliwie i starannie przykrywają nimi ślady, lecz nie wykryli nic nowego. W końcu Unkas, który dzięki swej niezwykłej pilności pierwszy zakończył poszukiwania, nagarnął ziemi, zatamował bieg mętnego strumyka wypływającego z drugiego strumienia i odprowadził wodę na bok. Gdy koryto strumyka przeszło, pochylił się nad nim i zaczął je badać bystrym i ciekawym okiem. Po chwili wydał radosny okrzyk. Wszyscy zbiegli się do niego. Wskazał im odcisk mokasy na w stwardniałym mule.

–Chłopiec przyniesie zaszczyt swemu plemieniu – powiedział Sokole Oko, przyglądając się śladowi z takim samym zachwytem, z jakim przyrodnik patrzy na odnaleziony kieł mamuta lub żebro mastodonta. – Tak, i będzie zadrą w ciele Huronów. Ale to nie jest ślad Indianina. Ten człowiek stąpa na piętę, a palce ma kwadratowe. Wygląda mi na to, że jakiś francuski baletmistrz czarował tutaj ludzi swą sztuką. Unkasie, skocz prędko z powrotem i zmierz stopę psalmisty. Znajdziesz piękny ślad jego nogi na wprost tamtej skały, u podnóża góry.

Kiedy młody Mohikanin wykonał polecenie, zwiadowca i Chingachgook starannie zbadali ślad. Wymiary się zgadzały, zwiadowca

więc bez wahania orzekł, że był to ślad Dawida, który widocznie znów zmienił buty na mokasyny.

–Teraz widzę wszystko tak jasno, jakbym był przy tych chytrych sztukach Przebiegłego Lisa – dodał. – Psalmistę los obdarzył nie tylko niezwykłym gardłem, ale i niepospolitymi nogami, kazali mu więc iść pierwszemu, a inni szli po jego

**śladach.**

**–Ale – wykrzyknął Duncan – nie widzę śladów...**

**–Nadobnych pań – przerwał zwiadowca. – Łajdaki w jakiś sposób nieśli je, dopóki nie doszli do przekonania, że zatarli już po sobie najmniejszy znak. Głowę dają, że zanim ujdziemy kilkanaście jardów, zobaczymy odbicie ich ślicznych stopek.**

**Ruszyli teraz w dół strumyka, nie odrywając niespokojnych oczu od regularnych śladów stóp. Strumień niebawem wrócił do dawnego koryta. Zwiadowca i Indianie uważnie przyglądali się obu jego brzegom, pewni, że ślad leży pod wodą. Tak uszli ponad pół mili, aż do miejsca, gdzie strumień szemrząc opływał wielką, nagą skałę. Przystanęli, aby się przekonać, czy Huroni poszli dalej tą samą drogą.**

**Dobrze zrobili, bo wkrótce bystre oczy Unkasa dostrzegły ślad ' stopy na kępcie mchu, na którą nieopatrznie stąpnał któryś z Indian. Idąc za tym nowym, odkryciem, Unkas zagłębił się w pobliskiej gęstwinie i trafił na ślad tak wyraźny i świeży, jak ten, który doprowadził ich do strumienia. Wówczas młody wódz radosnym okrzykiem obwieścił swym towarzyszom o tym nowym sukcesie i przerwał ich poszukiwania.**

**–Tak, to było zrobione z istic indiańską chytryością – powiedział zwiadowca, kiedy wszyscy zebrali się przy nowych śladach – i białych zwiadłoby na pewno.**

**–Czy idziemy dalej? – zapytał Heyward.**

**–Spokojnie, spokojnie. Już wiemy, w jakim kierunku iść, ale nigdy nie zawadzi zastanowić się nad sednem sprawy. Taka jest moja zasada, majorze. Kto lekceważy sobie księgę natury, nigdy nie nauczy się czytać z tej otwartej ręki Boga. Wszystko jest jasne prócz jednego: jak temu łotrowi udało się przeprowadzić panie po ślepym śladzie. Nawet Huron jest za dumny, by im pozwolił zamoczyć delikatne nóżki.**

**–Ale czy to nie wyjaśni tajemnicy? – zapytał Heyward**

i wskazał poniewierające się na brzegu szczątki czegoś w rodzaju noszy skleconych z gałęzi i powiązanych łykiem.

–Tak, oczywiście! – zawołał uradowany Sokole Oko. – Przeszli tę drogę w ciągu minuty, ale stracili godziny na maskowanie tropu. Wiem, że nieraz cały dzień tracą na podobne głupstwa. Tu widzimy trzy pary mokasynów i dwie pary drobnych stopek. Aż dziw, że zwykle śmiertelniczki mogą chodzić na tak małych

stopach.

Zwiadowca rzucił okiem na zachodzące słońce i ruszył naprzód tak szybko, że Heyward i Munro, który dziarsko się trzymał, musieli dobrze natężyć siły, aby za nim nadążyć. Szli w dół znanego strumienia, a że Huroni nie zacierali już śladów, mogli iść zupełnie pewnie, nie zatrzymując się ani nie namyślając po drodze. Lecz po niecałej godzinie przyspieszonego marszu Sokole Oko znacznie zwolnił i zamiast patrzeć przed siebie, zaczął rozglądać się wkoło, jakby czuł jakieś niebezpieczeństwo. Po chwili przystanął i zaczekał na swych przyjaciół.

–Zwierzyłem Huronów – powiedział do Mohikanów. – Tam, przez korony drzew, widzę skrawek jasnego nieba. Za blisko podeszliśmy do ich obozu. Wielki Wodzu, idź prawą stroną, po górskim zboczu. Unkas skręci w lewo za biegiem strumienia, a ja pójdę śladem. Gdyby coś zaszło, zwołamy się trzykrotnym krakaniem wrony.

Mohikanie bez słowa ruszyli wyznaczonymi im drogami, a Sokole Oko i dwaj oficerowie ostrożnie szli dalej. Heyward przysunął się do boku zwiadowcy, pragnąc jak najprędzej zobaczyć wrogów, których ścigał z takim trudem i zapalem. Zwiadowca chciał jeszcze przyjrzeć się jakimś niepokojącym znakom w pobliżu i dlatego kazał mu prześliznąć się na skraj lasu, porośniętego jak zwykle gęstymi krzakami, i tam zaczekać. Duncan usłuchał i wkrótce stanął na miejscu, z którego ujrzał niezwykły widok.

Na przestrzeni wielu akrów leżały obalone drzewa. Światło łagodnego, letniego wieczora bez przeszkód padało na polanę, pięknie kontrastując z półmrokiem zielonego lasu. Niedaleko miejsca, gdzie stał Duncan, strumień rozlał się w małe jezioro, zatapiając większą część kotliny od góry do góry. Z jezioro woda spływała wodospadem tak regularnym i łagodnym, jakby go stworzyła ręka ludzka, a nie przyroda. Ze sto lepienek stało nml

brzegiem jeziora, a niektóre wyrastały wprost z wody, jakby zalane powodzią. Okrągłe ich dachy obmyślane były bardzo chytrze, by jak najlepiej chroniły przed niepogodą. Obozowisko było na pozór opuszczone, przynajmniej tak myślał Duncan przez parę długich minut. Ale w końcu wydało mu się, że widzi jakieś ludzkie postacie zbliżające się ku niemu na czworakach i ciągnące za sobą jakąś ciężką i potężną machinę. W tej chwili kilka ciemnych głów wyjrzało z lepiank i cały teren nagle zaroił się dziwnymi istotami, które biegały od kryjówki do kryjówki tak szybko, że nie można było odgadnąć ani co robią, ani do czego zmierzają. Zaniepokojony tymi podejrzeniami i niezrozumiałymi ruchami, Duncan już chciał krakaniem zaalarmować przyjaciół, kiedy szmer liści w pobliżu zwrócił jego uwagę w inną stronę.

Drgnął i instynktownie cofnął się o parę kroków, gdyż o sto jardów od siebie ujrzał jakiegoś Indianina. Zaraz jednak opanował się, poniechał zamiaru zaalarmowania towarzyszy, co mogłoby się fatalnie dla niego skończyć, zamarł w bezruchu i począł uważnie przyglądać się tajemniczej postaci.,

Po chwili spokojnej obserwacji przekonał się, że Indianin go nie zauważył. Tak jak i on przed chwilą, pochłonięty był przyglądaniem się niskim lepiankom i tajemniczym ruchom ich mieszkańców. Pod dziwacznym malowidłem trudno było dojrzeć prawdziwy wyraz jego twarzy, ale Duncan wyczuł, że jest on raczej smętny niż okrutny. Przyglądał mu się ciekawie, kiedy zwiadowca cicho i ostrożnie podpełzł do niego.

–Widzi pan, dotarliśmy do ich osady czy obozu – szepnął Duncan. – A tu jest jeden z dzikich we własnej osobie. Będzie nam bardzo przeszkadzał.

Sokole Oko drgnął, pochylił sztucer, oczami powiódł za palcem Duncana i dojrzał obcego.

–Ten diabeł nie jest Huronem – powiedział. – Nie należy też do żadnego z kanadyjskich plemion. A jednak widać z jego ubioru, że obrabował białego. Czy nie widzi pan, gdzie leży jego strzelba lub łuk?

–Chyba nie ma żadnej broni. Nie wygląda też groźnie. Jeśli nie zaalarmuje swych towarzyszy krzątających się nad wodą, nie ma się czego obawiać.

Zwiadowca odwrócił się od Heywarda i przez chwilę patrzył

Ola

ł.otr

na niego z nie ukrywanym zdziwieniem. A potem piiiiskn.il ler-decznym, niepohamowanym, lecz jak zwykle cichym '•imn ln<m, którego nauczył się w ciągłym obcowaniu z niebc/pni/'n i wcm, Po chwili powtórzył:

–Towarzyszy krzątających się nad wodą – i dod.il rezultat dzieciństwa spędzonego nad książką i w os<ul.n h ma długie nogi i może zwiać. Niech go pan trzyma mi <eh pod krzakami podkradnę się z tyłu i wezmę go żywień w żadnym wypadku niech pan nie strzela.

Zwiadowca już do połowy ciała zniknął pod krzakami, gdy l ley-ward nagle wyciągnął rękę i powstrzymał go jednym pytaniem:

–Jeżeli zobaczę, że coś panu grozi, czy mam strzelać? Sokole Oko patrzył na niego przez chwilę, jakby nie rozumiał

pytania, a potem kiwnął głową i odpowiedział, ciągle śmiejąc się

cicho:,

–Majorze, niech pan da ognia całym plutonem!

I błyskawicznie zniknął w gęstwinie liści. Duncan niecierpliwie czekał parę minut, zanim nareszcie znów go dojrzał.

Dostrzegł, jak doskonale zamaskowany swym strojem pełźnie i podkrada się do Indianina. Gdy był już o kilka kroków od niego, podniósł się cicho. W tej chwili coś parokrotnie klasnęło o wodę. Duncan ledwie zdążył odwrócić głowę, by dojrzeć ze sto niewyraźnych postaci równocześnie zanurzających się w rozkołysanym jeziorku. Zacisnął więc ręce na strzelbie i spojrzał na Indianina, ale ten najwidoczniej nic nie podejrzewał; jeszcze bardziej wyciągnął szyję i ciekawie gapił się na ciemny staw. Tymczasem Sokole Oko już chciał go chwycić, ale nie wiadomo czemu opuścił ręce. Stał za nim i śmiał się cicho w napadzie nowej niepohamowanej wesołości. A kiedy się uspokoił, nie chwycił wroga za gardło, lecz klepnął go w ramię i zawołał:

–Jak to, przyjacielu, czyżbyś chciał bobry uczyć śpiewu?

–Oczywiście – padła szybka odpowiedź. – Wydaje mi się, że Stwórca, który tak hojnie obdarzył je rozumem, dał im też i głos, by mogły chwalić Pana.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

**Spodek:**

**Jesteście wszyscy?**

**P i g w.a:›'.**

**Jak jeden mąż. A cóż za cudowne**

**miejsce na naszą próbę!**

**Sen nocy letniej**



Czytelnik lepiej wyobrazi sobie zdumienie Heywarda, niż my mogliśmy je opisać. Jego zaszczepieni Indianie nagle zamienili się w czworonogi, jezioro – w staw bobrów, wodospad – w groblę zbudowaną przez te inteligentne i pracowite zwierzątka, a domnie^ many wróg – w wypróbowanego przyjaciela, Dawida Gamuta, nauczyciela śpiewu kościelnego. Zwłaszcza zjawienie się Dawida obudziło w Heywardzie tyle nadziei szybkiego odnalezienia obu sióstr, że bez namysłu wybiegł z kryjówki i skoczył naprzód, by się przyłączyć do dwóch głównych aktorów tej sceny. s

. Niełatwo przyszło Sokolemu Oku pohamować atak wesołości. Bez ceremonii swą silną i szorstką ręką kręcił Dawidem jak bąkiem na jego własnej pięcie i raz po raz zapewniał, że jego strój przynosi zaszczyt Huronom. A potem życzył mu szczęścia w nauczaniu bobrów i tak mocno uściśnął rękę, że aż łzy napłynęły do oczu potulnemu Dawidowi.!

–Przecież właśnie otwierał pan usta i zabierał się do udzielania bobrom lekcji – mówił Sokole Oko. – Ale do śpiewu te zwierzątka nie mają talentu, są nieme i głuche. A co pan powie na taką piosenkę?

Dawid, usłyszawszy przeraźliwe krakanie tuż nad ich głowami, zatkał uszy, a Heyward, mimo że wiedział, co to znaczy, spojrzał w górę szukając ptaka.

–Patrzcie – wciąż śmiejąc się powiedział zwiadowca i wskazał na swych towarzyszy, którzy posłusznie biegli na wezwanie. –

1911

Oto muzyka, która jest coś warta. Ściągnęła do mnie dwu' celne strzelby, nie mówiąc o nożach i tomahawkach. Ale wul/uny, to jest pan zdrów i cały, proszę więc powiedzieć nam, co sii; d/loje

z paniami.

–Są w niewoli u pogan – odpowiedział Dawid – i> hoć

dusze ich cierpią, ciała mają się dobrze.

–Obie? – zapytał Heyward nie mogąc złapać tchu.

–Oczywiście. I mimo że nasza podróż obfitowała w niewygody, a pożywienie było skąpe, nie mamy na co się skarżyć z wyjątkiem tego, że nie liczone się z naszymi uczuciami, brutalnie wprowadza jn-nas do odległego kraju.

**–Niech Bóg ci nagrodzi te słowa! – wykrzyknął Munro drżąc ze wzruszenia. – A więc moje niewinne aniołki wrócą do mnie**

**nietknięte.**

**–Nie wierzę, aby łatwo było wydostać je z niewoli – z powątpiewaniem odparł Dawid.  
– Wódz tych dzikich to szatan wcielony. Poradzą mu tylko moce niebieskie, żadna inna siła. Próbowałem wpływać na niego we dnie i w nocy, ale żadna melodia, żadne słowa nie mają się tego syna piekieł.**

**–Gdzie jest ten łotr? – ostro przerwał mu zwiadowca.**

**–Razem z młodymi wojownikami swego plemienia poluje dziś na łosie, a jutro, jak słyszałem, udaje się w głąb puszczy, bliżej granicy kanadyjskiej. Starsza siostra przebywa w obozie sąsiedniego plemienia, za tą spiczastą skałą. Młodszą oddano pod opiekę hurońskim kobietom. Wieś Huronów leży o niecałe dwie mile stąd, na płaskowzgórzu, gdzie wypalono puszcę zamiast ją wyrąbać.**

**–Alicja, moja najśłodsza Alicja – szepnął Heyward. – Nie ma przy sobie nawet siostry, która by ją pocieszyła. A czemu pozwalają panu spacerować na wolności?**

**Dawid przybrał minę, która miała wyrazić najgłębszą pokorę, i dopiero potem odpowiedział potulnym głosem:**

**–Ze mnie tylko niegodny robak. Ale psalmy, które zawiodły na strasznym pobojuwisku, odzyskały później władzę nawet nad duszami pogan. Temu zawdzięczam zupełną swobodę ruchów.**

**Zwiadowca roześmiał się i znacząco stuknął się w czoło, co miało wyjaśnić przyczynę tego niezwykłego pobbłażania Indian.**

**–Indianie nigdy nie robią krzywdy wariatom. Lecz czemu,**

korzystając z wolności, nie wróciłeś pan po własnym tropie, by zaalarmować fort Edwarda.

Zwiadowca, sam będąc człowiekiem żelaznego charakteru, najwidoczniej domagał się od Dawida czynu, którego ten w żadnym wypadku nie mógłby dokonać. Dawid pokornie odpowiedział:

–Moja dusza radowałaby się z powrotu do świata chrześcijańskiego. Ale gdy słabe istoty powierzone mej opiece więdną w niewoli i smutku, moje nogi prędzej ruszyłyby za nimi do bałwochwalczych prowincji jezuickich, niż cofnęłyby się o krok.

Choć obrazowy sposób mówienia Dawida nie grzeszył jasnością, jego szczery i stanowczy wzrok oraz rumieniec na szlachetnym obliczu wyraźnie zdradzały, co myśli. Unkas podszedł i spojrzał nań przyjaźnie, a stary Mohikanin wyraził swe uznanie wymownym okrzykiem. Zwiadowca potrząsnął głową i powiedział:

–Masz, przyjacielu. Chciałem rozpalić ogień twoją fujarką, ale że tak o nią dbasz, weź ją i gwizdź sobie na zdrowie.

Gamut pochwycił fujarkę okazując przy tym tyle radości, na ile pozwalała mu powaga jego powołania. A gdy wypróbował fujarkę, dostroił do niej głos i upewnił się, że nic się jej nie stało, począł przygotowywać się do odśpiewania kilku strof najdłuższej pieśni ze znanego nam tomiku.

Duncan widząc, na co się zanosi, czym prędzej przerwał te nabożne przygotowania, wpytując Dawida o przeżycia sióstr i warunki, w jakich się teraz znajdują. Opowiadanie Dawida było proste i nie obfitowało w fakty:

Magua czekał w górach na odpowiedni moment do ucieczki, potem zszedł w dolinę i ruszył wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Horican w kierunku Kanady. Dobrze znał drogę i doskonale wiedział, że nie grozi mu szybka pogoń. Dlatego wiodł jeńców wolno, oszczędzając ich sił. Ze szczerego opowiadania Dawida wynikało, że Indianie znosili jego towarzystwo, choć wcale go nie pragnęli. Nawet Magua czuł dla niego szacunek, jakim Indianie darzą osoby nawiedzone przez Wielkiego Ducha. Po nocach Huroni troszczyli się o branki, osłaniali je przed wilgocią i chłodem, a jednocześnie pilnie ich strzegli. Po dojściu do strumienia puścili konie samopas – o czym Duncan i jego towarzysze już wiedzieli – i mimo że przebyli długą drogę, a od porwania kobiet upłynęło sporo czasu, starannie zamaskowali ślady. Gdy przybyli do wsi swego plemie-

i'

nia, Magua – jak nakazywał indiański obyczaj – rozłączył obie dziewczyny. Korę odesłał do plemienia, które chwilowo obozowało w sąsiedniej dolinie. Dawid jednak zbyt mało znał historię Indian i ich zwyczaje, aby mógł powiedzieć coś pewnego o nazwie lub charakterze tego plemienia.

Mohikanie i zwiadowca słuchali opowiadania z rosnącą ciekawością. Kiedy Dawid próbował opisać zajęcia i zwyczaje Indian, u których przebywała Kora, zwiadowca nagle mu przerwał:

–Czy widział pan, jakie mają noże? Angielskie czy francuskie?

–Nie zaprzątałem sobie głowy podobnymi marnościami. Poświęcałem swe myśli obu siostróm, którym niosłem pociechę.

–Może przyjsć chwila, kiedy noże Indian nie będą dla pana marnością niegodną uwagi – odparł zwiadowca, a jego wzrok wyrażał nie ukrywaną pogardę dla tępoty Dawida. – Czy obchodzili już święto zboża? A co pan może powiedzieć o totemach\*

tego plemienia?

–Wśród ich malowideł widziałem dziwne i fantastyczne postacie bóstw, które otaczają kultem religijnym. Zwłaszcza jedna jest wstrętna i odpychająca.

–Waż? – żywo zapytał zwiadowca.

–Prawie. Przypomina wstrętnego pełzającego żółwia.

–Hugh! – jednym głosem krzyknęli przysłuchujący się z mvgą

Mohikanie.

Zwiadowca pokiwał głową z miną człowieka, który dokonał ważnego, lecz przykrego odkrycia. Teraz odezwał się stary Mohikanin. Mówił po delawarsku, z godnością widoczną nawet dla tych, którzy nie rozumieli tego języka. Jego gesty były wymowne, chwilami zaś bardzo żywe. Raz uniósł rękę do góry, a gdy ją opuszczał, rozchylił fałdy lekkiego płaszcza i przyłożył palec do piersi, jakby podkreślał znaczenie swych słów. Duncan poszedł wzrokiem za tym ruchem i dostrzegł piękny, choć słabo widoczny i ysunek żółwia wymalowanego niebieską farbą na smagłej piersi wodza. Błyskawicznie przypomniał sobie wszystko, co kiedyś słyszał o nienaturalnym podziale wielkiego plemienia Delawarów, i niecierpliwie czekał, aż

**będzie mógł się wtrącić. Uprzedził go**

**T o t • m – podobizna zwierzęcia, rzadziej rośliny czy innego przedmiotu uw.i/.tim^d jn/"" plrrwotne ludy Australii, Ameryki i Afryki za ich przodka. Otaczano go głęboki) </!<w lluwtii" h"rb rodowy.**

**Ostatni Mohikanin**

**jednak zwiadowca, odwrócił się bowiem do swego czerwonoskorego przyjaciela i powiedział:**

**–A więc wpadliśmy na coś, co może wyjść na dobre albo na złe, zależnie od woli nieba. Sagamore jest nie tylko szlachetnej krwi Delawarem, lecz także wielkim wodzem Żółwi. Ze słów psalmisty wiemy, że między ludźmi, o których nam opowiadał, jest wielu członków tego rodu. A gdyby nasz przyjaciel nie robił z gardła trąby i tylko połowę swego oddechu zużył na wypytywanie, wiedzielibyśmy, ilu jest tam wojowników. W każdym razie wkroczyliśmy na niebezpieczną drogę, bo przyjaciel, który nim być przestał, jest nieraz groźniejszy od jawnego wroga.**

**–Nie rozumiem – powiedział Duncan.**

**–Długa to i przykra historia. Nie lubię o niej myśleć. Trzeba bowiem przyznać, że zawinili tu przede wszystkim biali. A skończyło się tak, że brat chwycił za tomahawk przeciw bratu. Odtąd Dela-warzy i Mingowie idą wspólną ścieżką.**

**–A więc przypuszcza pan, że Kora przebywa w wiosce odłamu tego plemienia?**

**Zwiadowca tylko kiwnął głową, jakby chciał uniknąć dalszej rozmowy na ten bolesny temat.**

**–Dobrze będzie – dodał na zakończenie – gdy psalmista powróci do Indian, jak zwykle. Niech dalej mieszka z nimi i zawiadomi panie, że jesteśmy w pobliżu. W razie potrzeby wezwiemy go umówionym znakiem. Przyjacielu, czy odróżnisz krakanie kruka od gwizdu kozodoja?**

**–To miła ptaszyna – odparł Dawid – pogwizduje słodko i melancholijnie. Ale takt jest za szybki i źle odmierzony.**

**–Mówi o ptaku nazywanym wish-ton-wish – rzekł zwiadowca. – Dobrze, skoro lubisz pan jego śpiew, będzie on naszym umówionym znakiem. Gdy usłyszysz trzykrotny gwizd tego ptaka, przyjdź w krzaki, skąd się odezwał...**

**–Czekaj! – przerwał Heyward. – Pójdę z nim.**

**–Pan! – zawołał zwiadowca. – Czy panu życie zbrzydło? Sokole Oko przyglądał się**

**młodemu człowiekowi w niemym**

**zdziwieniu. Ale Duncan, który z szacunku dla jego wierności i doświadczenia dotychczas służył go bez protestu, teraz przybrał ton zwierzchnika nie znoszącego sprzeciwu. Ruchem ręki nakazał mu, by zamilkł, i już łagodniej ciągnął dalej:**

**–Przecież potraficie przebrać człowieka. Umalujcie mnie, /róbcie ze mnie, co chcecie, no... wariata.**

**–Nie moja to rzecz zmieniać człowieka stworzonego wszechmocną ręką Boga i nie chcę o tym nic słyszeć – mruknął iieżd-dowolony zwiadowca.**

**–Niech pan posłucha – przerwał mu Duncan. – Wierny towarzysz naszych pań powiedział, że mamy przed sobą Indian z dwóch plemion, jeśli nie z dwóch narodów. W jednym, a pan przypuszcza, że to są Delawarzy, jest ta, którą pan nazywa „Czarnowłosa”. Natomiast druga, młodsza, jest u naszych zawziętych wrogów, Huronów. Mnie, jako młodemu żołnierzowi, wypada podjąć najtrudniejsze zadanie. Gdy więc będziecie pertraktowali z waszymi przyjaciółmi o wydanie wam starszej siostry, ja uwolnię młodszą lub zginę.**

**Oczy majora błyszcząły tak szczerym zapalem, a z jego postawy biła taka duma, że nie można mu się było sprzeciwiać. Sokole Oko dobrze znał chytrość Indian i widział niebezpieczeństwo tego pomysłu, ale nagle ożywił się i zamiast zwalczać plan Duncana, stał się jego zwolennikiem.**

**–Dobrze – powiedział uśmiechając się pogodnie. – Jelenia, który zbliża się do wody, trzeba podejść od przodu, a nie od tyłu. Chingachgook ma tyle farb, że niebawem zrobi z pana pierwszorzędnego wariata, zgodnie z pańskim życzeniem.**

**Duncan usłuchał, a Mohikanin, który nie przepuścił ani słowa z całej rozmowy, ochoczo zabrał się do dzieła. Z wielkim znanstwem subtelnej sztuki nakładania farb, uprawianej przez Indian, szybko i zręcznie pokrywał ciało Duncana fantastycznym malowidłem. Uwypuklał cienie, które Indianie poczytywali za symbole przyjaznego i pogodnego usposobienia, i starannie unikał takich linii, które można by uważać za ukrytą oznakę wrogości.**

**Krótko mówiąc, poświęcił żołnierski wygląd Duncana dla maski błazna. A że różni kuglarze nie byli obcy Indianom, Duncan w tym przebraniu i przy swej znajomości języka francuskiego mógł śmiało uchodzić za sztukmistrza z Ticonderogi, włóczącego się wśród zaprzyjaźnionych plemion.**

**Kiedy malowidło zyskało ogólną aprobatę, zwiadowca udzielił młodzieńcowi jeszcze paru przyjacielskich rad, uzgodnił sygnały i wyznaczył miejsce spotkania, jeśli szczęście dopisze obu stronom.**

Pułkownikowi Munro ciężko przyszło rozstać się z młodym przyjacielem, choć na rozłąkę przystał dość obojętnie. Niewątpliwie, gdyby nie był tak przybity nieszczęściem, jego szlachetna i wrażliwa natura żywiej zareagowałaby na to rozstanie. Zwiadowca odciągnął Heywarda na bok i powiedział mu, że chce zostawić starego żołnierza pod opieką Chingachgooka w jakiejś bezpiecznej kryjówce, a sam wraz z Unkasem będzie szukał Kory w plemienu, które uważali za Delawarów.

Duncan serdecznie uściśnął rękę szlachetnego i nieugiętego zwiadowcy i skinął na Dawida. Sokole Oko przez parę chwil z jawnym podziwem patrzył za szlachetnym i przedsiębiorczym młodzieńcem, a potem z powątpiewaniem pokiwał głową, odwrócił się i poprowadził swą drużynę w głąb lasu.

Droga, którą szli Duncan i Dawid, prowadziła przez polanę bobrów, nad brzegiem stawu. Dopiero gdy znalazł się sam na sam z towarzyszem, na którego trudno było liczyć w niebezpieczeństwie, Duncan zdał sobie sprawę z trudności swego zadania. Gasnące światło dzienne zaostrzało surowość dzikiego krajobrazu po obu stronach polany. Coś strasznego czaiło się w martwej ciszy małych bobrowych żeremi, wewnątrz – jak Duncan widział – tętniących życiem. Gdy przyglądał się tym zadziwiającym budowiom i widział niezwykłą ostrożność ich mądrych mieszkańców, zdał sobie sprawę, że zwierzęta w tych puszczech posiadają instynkt dorównujący ludzkiemu rozumowi. Z niepokojem myślał też o nierównej walce, w którą rzucił się tak pochopnie. Ale potem ujrzał oczyma duszy Alicję – jej rozpacz, niebezpieczeństwo, jakie jej groziło – i zapomniał o własnych niepokojach. Przynaglił Dawida i ruszył naprzód szybkim, lekkim krokiem młodego śmiałka.

Idąc brzegiem jeziora, zatoczyli półkole, odeszli od potoku i poczęli wchodzić na niewielkie wzniesienie. Po półgodzinnym marszu dotarli do skraju innej polany, również wyciętej przez bobry. Ale te rozumne zwierzęta porzuciły ją nie wiadomo dla czego i przeniosły się w inne, widocznie odpowiedniejsze miejsce. Zanim Duncan wyszedł z zakrytej ścieżki w lesie na otwartą polanę, zawahał się pod wpływem zrozumiałego niepokoju, jak waha się człowiek, nim zdobędzie się na nowy, ciężki wysiłek. Skorzystał z tego krótkiego przystanku, by rozejrzeć się w położeniu.

Po przeciwnej stronie polany, w pobliżu miejsca, gdzie potok

spadał przetaczając się nad skałami, ujrzał pięćdziesiąt do sześćdziesięciu chat oblepionych ziemią, a skleconych z bierwion i chrustu. Chaty stały bez ładu i składu, brzydkie i brudne. Pod tym względem tak bardzo ustępowały żeremiom bobrów, które Duncan niedawno widział, że był przygotowany na jakąś nową, równie zadziwiającą niespodziankę. Jego niepewność jeszcze wzrosła, kiedy w zwodniczym świetle wieczoru ujrzał dziwne widowisko: z wysokiej trawy przed chatami kolejno wychylało się i znów w niej nikło, jakby ryjąc w ziemi, ze dwadzieścia do trzydziestu tajemniczych postaci. Podobne były do upiorów, a nie do ludzi z krwi i kości. Jakieś wychudłe, nagie stworzenie, dziko machając rękami, pokazało się nagle i zaraz zapadło pod ziemię. Potem ten sam stwór ukazywał się to tu, to tam. Czasem na jego miejsce wyrastała inna, nie mniej zagadkowa zjawia. Dawid spostrzegł, że Duncan przystanął, spojrzał więc za jego wzrokiem i otrzeźwił go mówiąc:

–Dużo urodzajnej gleby leży tu odłogiem. I nie zgrzeszę samochwalstwem mówiąc, że w czasie mego krótkiego pobytu w tych pogańskich wsiach wiele nasion padło koło drogi.

–Te plemiona wolą żyć z łowów niż z pracy na roli – naiwnie odparł Duncan i dalej obserwował dziwne zjawisko.

–Śpiewanie pobożnych pieśni to nie praca, lecz radość dla ducha. Ale ci młodzi chłopcy źle używają darów nieba. Rzadko kiedy spotykałem młodzież w ich wieku skłoną do śpiewów kościelnych, a jednak... nikt chyba nie lekceważy sobie tego daru bardziej od tych smyków. Siedziałem tu trzy wieczory i trzy razy zbierałem chłopców do chóralnego śpiewu, a oni trzykrotnie odpowiedzieli mi wyciem i wrzaskiem, który zasmucił mnie do głębi.

–O kim pan mówi?

–O tych diablętach, które trwonią bezcenny czas na głupie

figle.

I szybko zatkał uszy przed wrzaskiem gromadki chłopców, który w tej chwili rozdarł ciszę lasu. Duncan uśmiechnął się kącikiem ust, jakby szydził z własnego zabobonnego lęku, i powiedział stanowczym tonem:

–Idziemy dalej.

Psalmista usłuchał i nie odejmując rąk od uszu ruszył za Dunca-nem ku chatom, które czasem nazywał „namiotami Filystynów”.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Lecz choć zwierz grubszy, co przebiega

knieje,

Ma u myśliwca różne przywileje, Który i sarnie da przestrzeń i porę, Zanim łuk napnie i wypuści sforę – To któż się troszczy, gdzie, jak albo

kiedy Lis grasujący napyta się biedy?

Dziewica Jeziora

Indiańskie obozowiska, w przeciwieństwie do wsi ludzi cywilizowanych, rzadko kiedy bywają. strzeżone przez uzbrojone warty. Indianie zawczasu wiedzą o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Świetnie czytają leśne znaki wyprzedzające wroga, a poza tym zawsze długa i uciążliwa ścieżka dzieli ich od nieprzyjaciół. Ale jeśli już wróg jakimś cudem zmyli czujność zwiadowców, niemal nigdy nie natrafi przed wsią na czaty, które podniosłyby alarm. Plemiona zaprzyjaźnione z Francuzami doskonale wiedziały o dotkliwej klęsce, jaka spotkała Anglików. Dlatego nie obawiały się napadu wrogich plemion – lenników korony brytyjskiej.

Tak więc bawiące się dzieci Huronów nic nie wiedziały o tym, że Duncan i Dawid nadchodzą, dopóki obaj biali nie znaleźli się wśród nich. Ale gdy ich ujrzały, krzyknęły wszystkie naraz ostrzegawczo i przeraźliwie i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęły im z oczu. W przedwieczornym zmierzchu nagie, miedzia-noczerwone ciała urwisów, spłaszczonych przy ziemi, doskonale harmonizowały z kolorem suchej trawy. W pierwszej chwili wydawało się, że naprawdę zapadli się pod ziemię. Kiedy jednak Duncan ochłonął ze zdziwienia i uważniej się rozejrzał, dostrzegł, że zewsząd patrzają nań ciemne, bystre, rozbiegane oczy.

Te baczone spojrzenia wcale nie dodały mu otuchy przed badaniem, jakie go czekało ze strony dorosłych członków plemienia. Przez chwilę myślał o odwrocie, ale było już za-późno. Nie wolno mu było okazać wahania. Krzyk dzieci wywabił z najbliższej chaty

około tuzina wojowników. Stanęli przed drzwiami zwciiil.i, ciciniwj gromadką i z ponurymi minami czekali na niespodziewanego

przybysza.

Dawid zdążył się już jako tako zżyć z obyczajami Indian. / mm.) człowieka, którego byle co nie zatrzyma, wszedł śmiało do chaty. Był to główny budynek wsi, sklecony z kory i gałęzi drzew. Tutaj odbywały się narady i zebrania plemienia podczas jego pobytu na granicy angielskich kolonii. Duncan z trudem zachował spokój, gdy w przejściu przyszło mu się otrzeć o skupionych na progu barczystych Indian. Wiedział jednak, że jego życie zależy od przytomności umysłu. Ślepo zaufał więc Dawidowi i szedł tuż za nim, zbierając siły do czekającej go przeprawy. Krew zastygła mu w żyłach, gdy stanął przed swymi dzikimi i nielitościwymi wrogami. Opanował się jednak tak dalece, że z niewzruszonym spokojem doszedł do środka chaty. Tu za przykładem flegmatycznego Dawida wyciągnął wiązkę wonnych gałązek spod stosu leżącego w kącie i usiadł na niej w milczeniu.

Tymczasem wojownicy, którzy stali na progu, po przejściu nieoczekiwanego gościa cofnęli się do chaty, otoczyli go i cierpliwie czekali, aż jego duma pozwoli mu mówić.

Wewnątrz chaty paliła się jasna pochodnia. Jej płomień kołysany lekkim przeciągiem, rzucał krwawe blaski z twarzy na twarz, z postaci na postać.

Duncan skorzystał z tego światła i chciał z min gospodarzy wyczytać, jak go przyjmą, lecz jego przenikliwość na nic się zdała wobec niezwyklej chytrości Huronów. Wodzowie siedzący przed nim nawet nań nie spojrzeli i patrzyli w ziemię z wyrazem twarzy, który równie dobrze mógł oznaczać szacunek, jak nieufność. Natomiast wojownicy stojący w cieniu zachowywali się swobodniej i Duncan wkrótce wyczuł ich badawcze, spod oka rzucane spojrzenia, cal po calu egzaminujące jego osobę i strój.

Wreszcie z ciemnego kąta – stał tam, by wszystko lepiej widzieć – wyszedł szpakowaty, ale muskularny wojownik w pełni męskich sił. Wystąpiwszy naprzód, przemówił w narzeczu Wyando-t.ów\* lub Huronów, którego Duncan nie rozumiał. Domyślił się jednak, że są to słowa powitalne i że nie wyrażają gniewu. Pozwo-

Wyandot – Huron.

lił więc dzikiemu skończyć, a potem potrząsnął głową i gestem wyjaśnił, że nie rozumiał.

–Czy nikt z mych braci nie mówi po francusku lub po angielsku? – zapytał po francusku, prześlizgując się wzrokiem po twarzach Indian i czekając na znak potwierdzenia.

Ale choć paru wojowników spojrzało na niego, jakby zrozumieli pytanie, nikt nic nie odpowiedział.

**i – Z przykrością pomyśle – ciągnął powoli i w najprostszych słowach (po francusku mówił doskonale) – że nikt z tego dzielnego narodu nie rozumie języka, którego używa Wielki Monarcha, gdy przemawia do swych dzieci. Bolałoby go serce, gdyby się dowiedział, iż jego czerwonoskórzy wojownicy tak mało go szanują.**

**Po tych słowach zapadła długa cisza. Czerwonoskórzy żadnym ruchem czy spojrzeniem nie zdradzali wrażenia, jakie na nich zrobiło to oświadczenie. Duncan, który wiedział, że jego gospodarze uważają milczenie za cnotę, chętnie z niego skorzystał, by zebrać myśli. Po chwili ten sam wojownik, który go powitał, odpowiedział mu oschle pytaniem w kanadyjskim narzeczu:**

**–Czy nasz Wielki Wódz mówiąc do swego narodu używa języka Huronów?**

**–Nie robi on różnicy między swymi dziećmi, czy skóra ich jest czerwona, czarna czy biała – wymijająco odparł Duncan. – Ale najbardziej lubi dzielnych Huronów.**

**–Jakże będzie mówił – pytał chytry wódz – gdy gońcy wyliczą mu skalpy, które pięć nocy temu okrywały głowy Jengizów\*?**

**–Byli jego wrogami – powiedział Duncan drgnąwszy mimo woli – i niewątpliwie powie: „To dobrze. Zuchy z tych moich Huronów!”**

**–Nasz kanadyjski ojciec myśli inaczej. Zamiast patrzeć przed siebie i nagrodzić Indian, ogląda się za siebie. Widzi martwych Anglików, a nie widzi Huronów. Cóż to znaczy?**

**–Taki wielki wódz jak on ma więcej myśli niż słów. Musi uważać, by żaden wróg nie szedł jego śladem.**

**–Czólno zabitego wojownika nie popłynie po Horicanie – posępnie odparł dziki. – Uszy naszego kanadyjskiego ojca otwarte są dla Delawarów, naszych wrogów, którzy wypełniają je kłamstwem.**

**J e n g i z – Anglik w języku Indian.**

–To nieprawda. Posłuchaj: kazał mi, bo znam się na chorobach, pójść do jego dzieci, czerwonoskórych Huronów, nad wielkie jeziora, i zapytać, czy któryś z nich nie jest chory.

Gdy Duncan wyjawiał swą przybraną rolę, znów zapadła cisza. Przebiegłe i bystre spojrzenia Indian, którzy wpatrywali się w niego, jakby chcieli przeniknąć prawdę, przyprawiły Duncana o drżenie. Ale na szczęście ten sam mówca rozwiął jego obawy.

–Czy mądrzy ludzie z Kanady malują swe ciała? – chłodno zapytał Huron. – Słyszeliśmy, jak się chwalili, że ich twarze są zawsze blade.

–Kiedy wódz Indian przychodzi do swych białych ojców – odparł Duncan z niezmaconym spokojem – zdejmuję ubiór ze skóry bawołu i wkłada koszulę, którą od nich dostał. Moi bracia pokryli mi skórę malowidłem, więc noszę je na sobie.

Cichym pomrukiem zadowolenia przyjęto te pochlebne dla plemienia słowa. Szpakowaty wódz gestem wyraził pochwałę, a większość jego towarzyszy poszła za jego przykładem: wyciągnęli ramiona i wydali krótki okrzyk uznania. Duncan odetchnął z ulgą, przypuszczając, że przebrnął już przez najgorsze, a że przygotował sobie prostą i zupełnie prawdopodobną opowiadkę na poparcie swych słów, nabrał nadziei, że wszystko dobrze pójdzie.

Po kilkuminutowej przerwie, jakby potrzebnej do namysłu, wstał inny wojownik i przybrał pozę mówcy. Już otwierał usta, i gdy jakieś głucho, lecz przerażające odgłosy nadleciały z puszczy, ci zawtórowało im ostre, przeraźliwe wycie. W tej samej chwili (czerwonoskórzy wojownicy jak jeden mąż wybiegli z chaty, a na zewnątrz rozległy się głośnie okrzyki. Były tak przenikliwe, że niemal zagłuszyły straszne wycie, wciąż jeszcze dobiegające z puszczy. Heyward nie mógł już dłużej panować nad sobą. Wyskoczył z chaty i znalazł się w samym środku bezładnego tłumu, złożonego ze wszystkich mieszkańców wsi. Byli to mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy, chorzy, ludzie w pełni sił i życia – wszyscy pospołu wybiegli z chat. Jedni coś krzyczeli, inni jak szaleni klaskali w ręce, a wszyscy wyrażali swą dziką radość z jakiegoś niezwyklego wydarzenia.

Niebo było jeszcze dość jasne, by poprzez szczeliny w koronach drzew oświetlić miejsca, gdzie kilka drózek z polany wchodziło w leśny gąszcz. Na jednej z nich, w takiej jasnej plamie, l)un<m

!'.di

ujrzał rząd wojowników wolno wychodzących z lasu i maszerujących do wsi. Indianin idący na przedzie niósł krótki kij, na którym, jak się potem okazało, wisiało

kilkanaście skalpów. Przerazające dźwięki, które wstrząsnęły Duncanem, były krzykami niewłaściwie nazywanymi przez białych "okrzykami śmierci". Każdy zwiastował plemieniu śmierć jednego wroga. Duncan znał na tyle zwyczaje Indian, by pojąć, co zaszło. Zrozumiał, że jego rozmowę z dzikimi przerwał nieoczekiwany powrót zwycięskich wojowników i uspokoił się zupełnie. Nawet winszował sobie szczęśliwego wydarzenia, które odwróci od niego uwagę Hu-ronów.

Cała wieś stała się widownią niesamowitego zgiełku i poruszenia. Wojownicy obnażyli noże i wymachując nimi, sformowali szpaler ciągnący się od świeżo przybyłych Indian aż do chat. Kobiety pochwyciły topory, maczugi – pierwszą lepszą broń, jaica im wpadła w rękę, i pobięły co sił, by wziąć udział w okrutnej zabawie. Nawet dzieci nie pozostały w tyle: chłopcy ledwie odrośli od ziemi wyrwali ojcom tomahawki zza pasów i wślizgiwali się w szeregi wojowników, zręcznie naśladowując dzikie obyczaje rodziców. Jakaś przezorna stara Indianka podpała parę stojących na polanie wielkich stosów chrustu, by oświetlić widowisko.

Polana tworzyła teraz niezwykły obraz, którego ramy stanowiły ciemne rzędy niebosiężnych sosen. Nowo przybyli wojownicy stanęli w głębi. Nieco przed nimi stało dwóch ludzi, najwidoczniej głównych aktorów przyszłego widowiska. Światło ognisk było za słabe, by wyraźnie oświetlić ich twarze, ale wystarczało, by dojrzeć, że zachowywali się zupełnie różnie. Jeden stał wyprostowany i pewny siebie, w bohaterskiej postawie czekając na to, co teraz nastąpi. Drugi zaś opuścił głowę, jakby go strach sparaliżował lub wstyd gnębił. Duncan w głębi swej szlachetnej duszy podziwiał pierwszego i współczuł mu, choć oczywiście nie mógł okazać swych uczuć. Uważnie przyglądał się każdemu ruchowi jeńca. Patrzył na jego wspaniałą i zgrabną sylwetkę i pocieszał się, że jeśli w ogóle człowiek o bohaterskim sercu może wytrzymać straszną próbę śmiertelnego biegu, którego miał być świadkiem, to ten Indianin przejdzie przez nią szczęśliwie. Nieznacznie przysunął się do ciemnego szeregu Huronów i aż wstrzymał oddech z ciekawości.

Właśnie w tej chwili padł okrzyk – sygnał do rozpoczęcia biegu i nieludzki wrzask, straszniejszy od poprzednich krzyków, łądarł ciszę. Zgnębiony jeniec nie ruszył się z miejsca, ale jego dzielny i młody towarzysz skoczył naprzód z chyżością i zwinnością jelenia. Zamiast jednak przebić się przez linię otaczających ich wrogów, zawiódł oczekiwania; wpadł między groźne szeregi 1 iuronów, lecz zaraz ostro skręcił i nim dosięgną! go choć jeden cios, przeskoczył ponad głowami dzieci i stanął po zewnętrznej, bezpiecznej stronie straszliwego szeregu Indian.

Przez sekundę wydawało się, że zdoła ująć w puszcę. Ale ci wojownicy, którzy go ujęli, zagrodzili mu drogę i zapędzili w sam środek bezlitosnych prześladowców. Zawrócił więc jak jelen na widok myśliwego i z szybkością strzały pognął poprzez wysoko strzelające języki ognia. Szczęśliwie przedarł się przez tłum i ukazał się po przeciwnej stronie polany. Ale i tu napotkał paru starszych, przebiegłych Huronów, którzy zawrócili go z drogi.

Raz jeszcze próbował przedostać się przez tłum, jakby szukał ratunku w jego szaleńczym zapamiętaniu. Nadeszła chwila, kiedy Duncan myślał, że młody i dzielny jeniec jednak zginie. Nie widział bowiem nic prócz kłębiącego się, ciemnego tłumy, nad którym wznosiły się ramiona uzbrojone w potężne maczugi i połyskiwały noże. Ale ciosy najwidoczniej padały w próżnię. Przenikliwe piski kobiet i zaciekle krzyki wojowników zwiększały groźbę tego obrazu. Raz po raz to tu, to tam, migła Duncanowi zgrabna postać jeńca w rozpaczliwym skoku. Ale zdawało mu się, że młody Indianin dobywa już ostatnich sił.

Nagle tłum odtoczył się w tył i przybliżył do miejsca, gdzie stał Duncan. Tyłne szeregi naparły na kobiety i dzieci stojące z przodu i obaliły je na ziemię. W zamieszaniu, jakie z tego wynikło, Duncan znów ujrzał nieznanego, który najwidoczniej czuł już, że ta ciężka próba przekracza ludzkie siły. Jeniec skorzystał z powstałej wyrwy, wyskoczył z tłumy wojowników i – jak Duncan sądził – zdobył się na rozpaczliwy wysiłek ucieczki do lasu. Umykając otarł się o Duncana, jakby wiedział, że z jego strony nic mu nie grozi. Tuż za nim, z ręką wzniesioną do ciosu, sadził wysoki, potężny Huron, który dotychczas oszczędzał sił. Duncan / .dążył podstawić mu nogę. Zaślepiiony Huron potknął się i runął kik długi o parę stóp za swą niedoszłą ofiarą. Jeniec błyskawicznie

wykorzystał tę chwilę. Zawrócił, jak meteor przemknął przed oczami Duncana i w chwili, gdy ten zbierał myśli i rozglądał się za nim, już stał spokojnie, oparty o mały, pomalowany jaskrawymi farbami słup przed wejściem do głównej chaty we wsi.

Duncan pomyślał, że swą pomocą jeńcowi naraził się Huronom, i co prędzej odszedł. Podążył za tłumem, który skupił się w pobliżu chaty, ponury i zły jak każdy tłum, pozbawiony widoku egzekucji. Duncan, wiedziony ciekawością, a może pod wpływem współczucia, podszedł do jeńca, który po wyczerpującym wysiłku stał oparty jedną ręką o zbawczy słup i ciężko dyszał. Dumny Indianin niczym jednak nie zdradził przeżytego wzruszenia. Teraz bronił go odwieczny i święty zwyczaj do czasu, aż rada plemienia zadecyduje

o jego losie. Jednak z wrogiej postawy tłumy na polanie łatwo było przewidzieć, co rada postanowi.

Nie było takich obelg w języku hurońskim, jakich kobiety nie rzucały w twarz jeńca, który szczęśliwie uniknął samosądu. Ale jeniec górował swym spokojem nad tymi szyderstwami. Głowę wciąż trzymał nieruchomo, jakby nikogo nie widział, i tylko czasem dumnym wzrokiem spoglądał na ciemne postacie wojowników, którzy przechadzali się w głębi polany i w milczeniu przyglądali się całej scenie.

Ta obojętność podnieciła widzów. Jakiś młodzik, który ledwie wyrósł z lat chłopięcych, zaczął grozić bezbronnemu jeńcowi tomahawkim i do szyderstw kobiet dołączył własne przechwałki. Wtedy ten odwrócił twarz do światła i zmierzył wyrostka pogardliwym spojrzeniem. Ale zaraz wrócił do dawnej spokojnej postawy

1 stał dalej oparty o słup. Lecz ta krótka zmiana pozycji pozwoliła Duncanowi pochwycić spojrzenie przenikliwych oczu Unkasa.

Wtedy osłupiał ze zdziwienia. Wstrząśnięty tragiczną sytuacją swego przyjaciela, spuścił oczy bojąc się, że ta wymiana spojrzeń między nimi może w jakiś sposób zaszkodzić Unkasowi. O sobie nie myślał. Ale jego obawa była płonna. Właśnie w tej chwili jakiś wojownik począł przedzierać się przez rozżarty tłum. Rozkazującym gestem rozsunał kobiety i dzieci, wziął Unkasa za rękę i poprowadził do chaty, w której odbywały się narady. Tam też udali się wszyscy wodzowie i najwybitniejsi wojownicy, a zaniepokojony Duncan wcisnął się za nimi. Na szczęście udało mu się to zrobić niepostrzeżenie.

Indianie przez kilka minut sadowili się według swej powagi i znaczenia. Zachowywali przy tym taki sam porządek, jaki panował podczas poprzedniej narady: starzy i wybitni wodzowie siedli prawie pośrodku obszernej izby, w jasnym świetle płonącej pochodni, a młodzi i mniej zasłużeni wojownicy stanęli w tyle, gdzie ich smagłe, wyraziste twarze ciemniały zwartym kręgiem. W samym środku chaty, akurat pod otworem, przez który widać było migotanie gwiazd, stał Unkas, milczący, wyprostowany i skupiony. Jego wyniosłe, dumne zachowanie zrobiło ogromne wrażenie na Huronach. Często spoglądali na niego wzrokiem nieubłaganym, a jednak pełnym podziwu.

Zupełnie inaczej zachowywał się człowiek, którego Duncan widział obok Unkasa tuż przed rozpaczliwym biegiem. Nie wziął on udziału w tym biegu i podczas straszego zamieszania, które mu towarzyszyło, stał skamieniały z przerażenia jak posąg nieszczęścia i hańby. Nikt nie wyciągnął do niego ręki na powitanie, nikt nie raczył śledzić jego ruchów, a jednak wszedł za innymi do chaty bierny wobec losu, jaki go czekał. Heyward, choć w głębi duszy bał się, że znów zobaczy znajome rysy, skorzystał z pierwszej okazji, by na niego spojrzeć. Ujrzał twarz zupełnie obcą, pokrytą malowidłem hurońskiego wojownika. Człowiek ten nie przyłączył się do swych towarzyszy i – samotny w całym tłumie – skuliwszy się, jakby chciał zająć jak najmniej miejsca, siadł wystraszony w kącie. Kiedy Huroni już siedli i zapanowała cisza, szpakowaty wódz, z którym czytelnik już się zapoznał, powiedział głośno w języku Lenapów:

–Delawarze, chociaż należysz do babskiego plemienia, dowiodłeś, że jesteś mężczyzną. Dałbym ci jeść, ale ten, kto je z Huronami, musi stać się ich przyjacielem. Pozostań więc w spokoju aż do wschodu słońca, kiedy ogłosimy nasz wyrok.

–Siedem nocy i tyleż letnich dni pościłem tropiąc Huronów – chłodno odparł Unkas.  
– Dzieci Lenapów potrafią iść drogą sprawiedliwości, nie przystając dla posiłku.

–Dwaj moi młodzi wojownicy ścigają teraz twego towarzysza – podjął Huron nie zważając na przechwałkę jeńca. – Kiedy powrócą, mądrzy ludzie naszego plemienia powiedzą: "życie" albo, "śmierć".



–Czyżby Huron nie miał uszu? – z pogardą zawołał Unkas. – Gdyście mnie ujęli, dwukrotnie słyszałem dobrze mi znany huk wystrzału. Twoi młodzi wojownicy już nigdy nie wrócą.

Krótką i ponurą cisza zapadła po tym śmiałym oświadczeniu. Duncan zrozumiał, że Mohikanin miał na myśli śmiercionośny sztucer zwiadowcy. Pochylił się więc naprzód, by lepiej ujrzeć wrażenie, jakie te słowa zrobiły na zwycięskich Huronach, ale ich wódz odpowiedział spokojnie i po prostu:

–Jeżeli Lenapowie są tak zręczni, to czemu jeden z ich najdzielniejszych wojowników dał się ująć?

–Bo szedł za tropem uciekającego tchórza i wpadł w pułapkę. Chytrego bobra też można złowić.

Przy tych słowach Unkas wskazał palcem na samotnego Hurona. Ograniczył się tylko do tego pogardliwego gestu i nie zaszczyił tej nędznej postaci żadną uwagą. Słowa Unkasa wywołały wielkie poruszenie wśród słuchaczy. Wszyscy ponuro patrzyli na Hurona, którego Unkas wskazał palcem, a po chwili rozległ się groźny szmer.

Starsi wiekiem wodzowie w środku koła zaczęli się naradzać w krótkich, urywanych zdaniach. Nie tracili słów. Myśli wyrażali zwięźle i po prostu, tak jak przychodziły im do głowy. I znów zapadła uroczysta i długa cisza. Wszyscy wiedzieli, że zaraz zapadnie ważna i doniosła decyzja. Huroni z tylnych szeregów wspięli się na palce, by lepiej widzieć, i nawet oskarżony wojownik był tak przejęty, że na chwilę zapomniał o palącym go wstydzie. Podniósł głowę i załęcznionym wzrokiem spojrzał na zgromadzenie wodzów.

Wreszcie wódz, tak często przez nas wspominany, przerwał ciszę. Wstał, minął nieruchomego Unkasa i w pełnej godności postawie stanął przed winnym.

–Giętka Trzcino – po nazwisku zwrócił się do winowajcy w jego rodzinnym języku. – Wielki Duch dał ci piękne ciało, ale lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś się wcale nie narodził. Twój głos, donośny w osadzie, milknie w bitwie. Ze wszystkich moich młodych wojowników ty najgłębiej wbijasz tomahawk w pal wojenny, ale najslabiej bijesz nim w Jengizów. Wróg zna kształt twoich pleców, ale nigdy nie widział koloru twoich oczu. Trzy

razy rzucił ci wyzwanie i trzy razy zapomniałeś mu odpowiedzieć. Twego nazwiska nikt już nie wymówi w naszym plemienu. Zostało zapomniane.

Winowajca z szacunkiem dla wieku i stanowiska mówcy uniósł głowę. Słuchał tych powolnych słów, które stary wódz wygłaszał z wymownymi przestankami, a na jego twarzy walczyły wstyd, strach i duma. Oczami zwięzonymi z bólu patrzył na ludzi, którzy jednym tchnieniem mogli zgasić jego sławę. Wreszcie duma zwyciężyła. Wstał odsłaniając pierś i śmiało spojrzął na błyszczący nóż, który wznosił nad nim nieubłagany sędzia. I nawet uśmiechał się, jakby się radował, że śmierć nie jest tak straszna, gdy nóż wolno zagłębiał się w jego serce. Potem padł na twarz u stóp nieporuszonego tym widowiskiem Unkasa.

Huroni, drżąc z podniecenia, ciżbą wybiegli z chaty podobni do tłumu niespokojnych widm, a Duncanowi wydało się, że wewnątrz pozostał tylko on i drgający trup – ofiara sądu Indian.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Tak rzekł mędrzec; króle nie

zwłócząc ni chwili

Żądaniu swego wodza zadość

uczynili. Iliada według P o p e ' a

Oeyward wkrótce przekonał się o swej pomyłce. Ktoś silnie uścisnął mu ramię i cicho – poznał głos Unkasa – szepnął do ucha:

–Huroni to psy. Prawdziwy wojownik nie zadrży na widok krwi tchórza. Biała Głowa i sagamore są bezpieczni, a strzelba Sokolego Oka nie śpi. Pamiętaj... Unkas i Szczodra Ręka nie znają się teraz. Dość!

Heyward chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, ale Unkas lekko popchnął go ku drzwiom. Tym ruchem przypomniał mu, że byłoby bardzo niebezpiecznie, gdyby Huroni odkryli ich przyjaźń. Wolno więc, ociągając się, usłuchał głosu rozsądku, wyszedł z chaty i zmieszał się z tłumem. Dogasające ogniska słabym, niepewnym blaskiem oświetlały ciemne postacie, w milczeniu snujące się po polanie. Czasem jaśniejszy błysk wpadał do chaty i wtedy widać było Unkasa dumnie stojącego nad zwłokami Hurona.

Niebawem kilku wojowników weszło do wigwamu i wyniosło trupa do lasu. Na

**Duncana nikt nie zwracał uwagi, chodził więc między chatami i szukał jakiegoś śladu kochanej kobiety, dla której naraził się na tyle niebezpieczeństw. W ogólnym zamieszaniu nie było nic łatwiejszego, jak uciec do swych towarzyszy, lecz to mu nawet przez myśl nie przeszło. Teraz do trapiącej go obawy**

**0 los Alicji dołączyła się nowa, choć słabsza troska o Unkasa.**

**1 ona również przykuwała go do miejsca. Chodził od chaty do chaty, zaglądał do środka, lecz tylko po to, by doznać nowego**

rozczarowania. Obszedł tak całą wieś i wreszcie poniechał bezowocnych poszukiwań. By położyć kres męczącej go niepewności, zawrócił do chaty narad. Chciał odszukać Dawida i wypytać go szczegółowo.

Gdy doszedł do chaty, która służyła jednocześnie za siedzibę sądu i miejsce kaźni, przekonał się, że ogólne wzburzenie już ucichło. Wojownicy zebrali się znowu i spokojnie paląc fajki, z powagą roztrząsali najważniejsze wydarzenia z ostatniej wyprawy do źródeł jeziora Horican. Wejście Duncana nie wywołało, przynajmniej na pozór, żadnego wrażenia, choć zdawałoby się, że mogło przypomnieć nie tylko o nim, lecz i o tajemniczych okolicznościach, w jakich przybył do wsi. Nastroje po niedawnym strasznym widowisku zdawały się sprzyjać jego celom. Nie potrzebował się nikogo radzić, by zrozumieć, że powinien jak najprędzej wykorzystać niespodziewaną i pomyślną dla niego zmianę sytuacji.

Pozornie bez najmniejszego lęku wszedł do chaty i siadł na swym dawnym miejscu, tak samo skupiony i poważny jak jego gospodarze. Szybkim, badawczym spojrzeniem upewnił się, że Unkas wciąż stoi w tym samym miejscu. Dawid jednak nie wrócił. Unkas ręce i nogi miał wolne, a pilnował go tylko młody Huron, który stał obok i nie spuszczał zeń oczu. Drugi uzbrojony wartownik opierał się o słup stanowiący część framugi drzwi. Poza tym Unkas był zupełnie wolny, nie mógł jednak uczestniczyć w rozmowach. Stał więc nieruchomo, podobny do wspaniałej rzeźby, a nie do żywego człowieka.

Heyward zbyt dobrze pamiętał błyskawiczną, straszną karę, jaką plemię wymierzyło jednemu ze swych członków. A że był w ich rękach, nie mógł ryzykować i mieszać się w nie swoje sprawy. Teraz, kiedy wykrycie jego prawdziwej roli oznaczałoby dla niego śmierć, wołał rozmyślać w milczeniu. Niestety jego gospodarze najwidoczniej byli innego zdania i niedługo pozwolili mu siedzieć w spokoju. Drugi ze starszych wodzów, ten, który mówił po francusku, zwrócił się do niego:

–Mój kanadyjski ojciec nie zapomniał o swych dzieciach – powiedział. – Dziękuję mu za to. Zły duch zamieszkał w żonie jednego z moich młodych wojowników. Czy mądry przybysz może go wypędzić?

Heyward wiedział coś niecoś o śmiesznych rytuałach indiańskich

14 – Ostatni Mohikanin

przy podobnych nawiedzeniach. Od razu dostrzegł też korzyści, jakie mu daje nadarzająca się okazja. Doprawdy, trudno było o lepszy zbieg okoliczności. Zrozumiał jednak, że za wszelką cenę musi zachować godne oblicze. Zapanował więc nad podnieceniem i odparł z konieczną w tym wypadku tajemniczością:

**–Duchy bywają różne. Niektóre ustępują przed potęgą mądrości, inne znowu są silniejsze od niej.**

**–Mój brat jest wielkim lekarzem – odparł chytry Indianin. – Czy zechce spróbować swej siły?**

**Heyward skinął głową na znak zgody, a uradowany Huron, który był ojcem obłąkanej kobiety, spokojnie palił fajkę i czekał na dogodną chwilę do wyjścia. Minuty wlokły się w nieskończoność. Fałszywemu lekarzowi wydawało się, że upłynęła co najmniej godzina, nim Huron odłożył nareszcie fajkę i owinął się w płaszcz, jakby zamierzał zaprowadzić go do chorej.**

**Ale w tej chwili na progu chaty, przysłoniwszy wejście swą potężną sylwetką, stanął jakiś wojownik. Wszedł do środka, bez słowa przeszedł między uważnie patrzącymi nań Huronami i usiadł na drugim końcu tego stosu, na którym siedział Duncan, ten zaś rzucił niecierpliwe spojrzenie na nowego sąsiada i zdrętwiał z przerażenia: poznał Maguę.**

**Nagły powrót tego przebiegłego i straszego wodza przeszkodził Huronowi w odejściu. Znow zapalono fajki. Magua milcząco wydobyl z pasa tomahawk, napełnił wyłobioną główkę tytoniem i począł ciągnąć dym przez wydrążoną rękojeść. Palił z miną tak obojętną, jakby wcale nie miał za sobą dwóch uciążliwych dni spędzonych w puszczy na długich i męczących łowach. Tak z dziesięć minut – Duncanowi zdawało się, że dziesięć lat – siedzieli wojownicy w obłoku białego dymu i nic nie mówili.**

**–Witamy – powiedział wreszcie jeden z nich. – Czy mój brat znalazł łosia?**

**–Młodzi wojownicy uginają się pod jego ciężarem – odparł Magua. – Niech Giętka Trzcina pójdzie na ścieżkę łowiecką, tam ich spotka.**

**Głęboka i straszna cisza zapadła na dźwięk tego zakazanego nazwiska. Huroni jednocześnie opuścili fajki, jakby się zaciągnęli czymś wstrętnym. Większość z nich patrzyła w ziemię i tylko paru młodszych i mniej słynnych utkwilo dzikie, błyszczące oczy**

w szpakowatym Indianinie, który siedział wśród najwybitniejszych wodzów plemienia. Twarz miał zgnębioną i nie było w niej zwykłej indiańskiej dumy. Jak większość zebranych patrzył w ziemię, ale kątem oka dostrzegł, że jest przedmiotem ogólnego zainteresowania. Wstał więc i powiedział w martwej ciszy:

–To było kłamstwo. Nie miałem syna. Zapomniano już o tym, którego nazwisko wymieniono. Miał bladą krew, obcą żyłom Huro-na. Niegodziwi Chippewaowie uwiedli mi żonę. Wielki Duch powiedział, że ród Wiss-entusha wymrze. Szczęśliwy ten, kto wie, że zło jego rodu umrze razem z nim. Skończyłem.

Mówca, ojciec tchórzliwego Indianina, rozejrzał się wkoło, jakby szukał w oczach słuchających go Huronów uznania dla swego niezłomnego charakteru. Ale surowe zwyczaje plemienia stawiały zbyt wielkie wymagania temu staremu, słabemu człowiekowi. Wyraz jego oczu zaprzeczał chełpliwym słowom, a każdy mięsień twarzy zrytej zmarszczkami drgał bólem. Jeszcze chwilę stał, by nacieszyć się swym gorzkim triumfem. Potem odwrócił się, jakby go raniły utkwione w nim spojrzenia, zakrył twarz płaszczem i bezszelestnym krokiem Indianina wyszedł z chaty.

Indianie pozwolili mu odejść w niemej ciszy. Później zaś jeden z wodzów z taktem, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden "dobrze wychowany" biały, odciągnął uwagę zebranych od tego przejawu słabości, uprzejmie zwracając się do Maguy jako do nowo przybyłego:

–Delawarzy cichcem krążyli koło mej wsi, jak niedźwiedzie koło barci. Lecz czy ktoś widział kiedy śpiącego Hurona?

Magua sposępniał. Jego twarz stała się podobna do groźnej, ciemnej chmury – zwiastunki burzy.

–Delawarzy znad jeziora! – zawołał.

–Niezupełnie. Ci, którzy noszą spódnice nad ich własną rzeką. Jeden z nich biegł w wyścigu śmierci.

–Czy moi młodzi wojownicy zdarli z niego skalp?

–Miał zwinne nogi, choć jego ramię bardziej nadaje się do motyki niż do tomahawka – odparł Huron i wskazał na nieruchomą postać Unkasa.

Magua nie okazał kobiecej ciekawości. Nie spieszo mu było nacieszyć oczy widokiem jeńca z plemienia, którego, jak powszechnie wiadano, nienawidził. Spokojnie palił fajkę z zamyślona miic),



jak zawsze w chwilach, kiedy chytryść i krasomówstwo nie były mu potrzebne. Zdziwiony faktem, o którym dowiedział się z ust starego i nieszczęsnego ojca, nie zadawał pytań, czekając na bardziej odpowiednią chwilę. Dopiero po dość długim milczeniu wytrząsnął popiół z fajki, wsunął tomahawk na miejsce, zacisnął pas, podniósł się i po raz pierwszy spojrzął na jeńca stojącego tuż za nim. Czujny, choć pozornie daleko błądzący myślami Unkas dostrzegł ten ruch i nagle odwrócił się ku światłu. Spojrzenia dwóch wrogów spotkały się. Twarz Maguy stopniowo traciła obojętny wyraz zdradzając wprost szaloną radość. Wreszcie pełnym głosem, z głębi piersi, rzucił:

**–Rączy Jeleń!**

Na to dobrze im znane nazwisko wojownika zerwali się na nogi. Zwykły spokój Indian zniknął w ogólnym poruszeniu. Chórem powtórzyli zniechęcone, a jednak szanowane nazwisko. Usłyszano je nawet na polanie. Kobiety i dzieci, gapiące się przy wejściu, zgodnie podchwyciły je i powtórzyły.

A potem rozległo się żalosne, przeraźliwe wycie. Nim przebrzmiało, mężczyźni już się opanowali. Wszyscy znów siedli, jakby się wstydzili braku opanowania, ale długo jeszcze ukradkiem, wymownie spoglądali na jeńca. Ciekawie patrzyli na wojownika, który dał dowody męstwa w walce z najślawniejszymi wojownikami ich plemienia. Radując się w duchu z tego uznania Unkas okazał swój triumf jedynie spokojnym uśmiechem – odwieczną ludzką oznaką pogardy.

Magua potrząsnął wzniesionym ramieniem i pogroził jeńcowi, a przy tym ruchu zabrzączały srebrne breloki i bransoletki na jego rękę. Dźwięczały jeszcze, gdy Magua, dysząc zemstą, zawołał po angielsku:

**–. Umrzesz, Mohikaninie!**

**–Lecznicze wody nie ożywią zabitych Huronów – odparł Unkas w melodyjnym języku Delawarów. – Spienione wody rzeki omywają ich kości. Zwołaj psy hurońskie! Niech zobaczą prawdziwego wojownika. Zapach krwi tchórza drażni mi nozdrza.**

Ten przytyk ugodził Huronów w samo serce. Magua wyczuł sprzyjającą chwilę i natychmiast z niej skorzystał. Wyciągnął rękę przed siebie i dał upust swej zręcznej i niebezpiecznej wymowie. Wprawdzie pijaństwo, zgubny nałóg, któremu ulegał,



i odejście od plemienia pozbawiły go dawnej popularności, jednak wciąż słynął z odwagi i krasomówstwa. Nigdy nie brakowało mu słuchaczy i zawsze potrafił ich sobie zjednać. Teraz żądza zemsty potęgowała jego wrodzone zdolności.

Zaczął od opisu ataku na wysepkę przy wodospadzie Glenn. Mówił o śmierci towarzyszy i o ucieczce strasznych wrogów Huronów. Później opisał pagórek, na który zaprowadził jeńców ujętych na wyspie. Słowem nie wspomniał o swych występnych zamiarach wobec dziewcząt i o zawodzie, jaki go spotkał. Szybko przeszedł do zaskoczenia, jakie mu zgotował Długa Strzelba, i do nieszczęsnego wyniku walki.

–Czy kości moich młodych wojowników spoczywają na cmentarzysku Huronów? – zapytał w końcu. – Wiecie, że nie. Ich dusze odeszły ku zachodzącemu słońcu i przez wielką wodę dążą na pola szczęśliwych łowów. Ale odeszły bez żywności, bez strzelb i noży, takie bose, nagie i biedne, jak przyszły na świat. Czy tak być powinno? Bracia! Nie wolno nam zapominać o umarłych. Objuczmy tego Mohikanina, aż będzie się słaniał pod ciężarem hojnych darów, i wyślijmy go za naszymi młodymi wojownikami. Śmierć Delawarowi!

Ta mowa, wygłoszona w obrazowym języku i ze swadą hurońskie-go mówcy, nie mogła chybić celu. Magua umiał zagrać na uczuciach i odwołać się do religijnych przesądów swych słuchaczy. Żądza zemsty wyparła z ich serc resztki ludzkich uczuć. Zwłaszcza uwaga, z jaką jeden wojownik o dzikiej i okrutnej twarzy słuchał Maguy, mogła budzić obawy. Przy ostatnim słowie Maguy wojownik ten zerwał się, wydał piekielny okrzyk i zakręcił tomahawkiem nad głową. Stał toporka błysnęła w świetle pochodni. Wszystko stało się tak szybko, że żaden okrzyk nie zdążyłby powstrzymać Indianina od spełnienia krwawego zamiaru. Zdawało się, że z jego ramienia wytrysnął jasny płomień, ale w tej samej chwili przecięła go ciemna smuga – ramię Maguy wyciągnięte w przód dla odwrócenia broni. Magua w samą porę wykonał ten błyskawiczny ruch: ostry toporek ściał pióro wojenne przeszywające czub Unkasa i przebił kruchą ścianę chaty, jak pocisk puszczonej z procy.

Duncan dostrzegł groźny ruch Indianina. Serce podeszło mu do gardła. Zerwał się na nogi i w szlachetnym porywie chciał rzucić się na ratunek przyjacielowi. Ale gdy rzut chybił celu, jego pr/o-

rażenie przeszło w podziw, bowiem Unkas ani drgnął. Stał i z niewzruszoną twarzą patrzył prosto w oczy wroga. Marmur nie mógł być chłodniejszy, spokojniejszy i twardszy. A po chwili, jakby litując się nad niezręcznością przeciwnika, tak dla niego pomyślną, uśmiechnął się i mruknął parę pogardliwych słów w języku swego plemienia.

–Nie – powiedział Magua, gdy się przekonał, że Unkasowi nic się nie stało. – Niech jego hańbę oświetli słońce, niech kobiety zobaczą, jak dygoce jego ciało, bo inaczej nasza zemsta będzie tylko dziecięcą zabawą. Zabierzcie go w jakieś spokojne miejsce. Zobaczmy, czy Delawar potrafi spać w noc przed śmiercią.

Młodzi wojownicy, którzy pilnowali jeńca, natychmiast, w głębokiej i złowrogiej ciszy, skrępowali mu ręce łykiem i wyprowadzili z chaty. Dopiero na progu, gdy już stał u wyjścia, Unkas się zawahał. Odwrócił się i wyniosłym spojrzeniem zmierzył wrogów. Duncan wyczytał w jego oczach jakby cień nadziei.

Magua tego nie dostrzegł, zbyt bowiem cieszył się samym zwycięstwem albo za bardzo był pochłonięty swymi tajemnymi planami. Otrząsnął płaszcz, sfałdował go sobie na piersi i wyszedł z chaty, nie stawiając już dalszych pytań, które mogłyby być groźne dla siedzącego przy nim Duncana. A on, mimo nieustępliwej natury, rosnącego gniewu i obawy o los Unkasa, poczuł, że wraz z odejściem tego niebezpiecznego i przebiegłego wroga kamień spada mu z serca. Wrażenie mowy Maguy stopniowo mijało. Wojownicy siadali na miejsca, a po chwili dym z fajek znów wypełnił chatę.

Po wypaleniu fajki wódz, ojciec obłąkanej, wstał, skinął palcem na rzekomego lekarza i tym razem już bez przeszkód ruszył do wyjścia. Ominął chaty, w których Duncan bezskutecznie szukał Alicji, skręcił w bok i skierował się do stóp góry wznoszącej się nad obozowiskiem Huronów.

Znalazłszy się niedaleko nagiej skały, weszli na porośniętą trawą porębę i właśnie mieli ją przeciąć, kiedy blask ogniska padł na białą skałę i na jej tle ukazała się ciemna i tajemnicza postać, która nagle zagroziła im drogę. Indianin przystanął, jakby się zastanawiał, czy iść dalej, i zaczekał na Duncana. Duncan zaś zbliżył się i ujrzał wielką, czarną kulę, która początkowo wydawała się nieruchoma, a potem poczęła się jakoś dziwnie poruszać.

Znów płomień buchnął jaśniej i wyraźnie oświetlił ten tajemniczy przedmiot. Wówczas nawet mało doświadczony Duncan poznał po nieustannym kołysaniu górnej części tułowia, że był to siedzący niedźwiedź. Ryczał wprawdzie głośno i gniewnie, a nawet błyskał groźnie ślepiami, ale nie zdradzał żadnych złych zamiarów. Przynajmniej Huronowi wydawało się, że niedźwiedź usposobiony jest pokojowo, bo uważnie przyjrząwszy się mu, spokojnie ruszył dalej.

Duncan wiedział, że Indianie często oswajają niedźwiedzie, ruszył więc za swym towarzyszem, bo przypuszczał, iż jest to pupil plemienia, który wybrał się w krzaki na jagody. Niedźwiedź ich nie zaczepił, a Huron, który przedtem tak mu się uważnie przyglądał, teraz bez namysłu szedł szybko naprzód. Heyward zaś nie mógł się powstrzymać, by z obawy o własną skórę nie spojrzeć za siebie. Jego niepokój znacznie się zwiększył, gdy spostrzegł, że zwierzę toczy się za nimi. Chciał o tym powiedzieć Indianinowi, ale ten właśnie otworzył drzwi z kory i wszedł do pieczary w głębi góry.

Duncan skorzystał z tego, że nadarza mu się okazja ucieczki przed niedźwiedziem, i szybko wszedł za nim. Uradowany, zamykał już za sobą słabe drzwi, gdy poczuł, że ustępują one pod naporem" bestii, która całym swym kosmatym cielskiem zasłoniła przejście. Stali teraz w prostym i długim korytarzu – skalnej szczelinie – i nie mogli się cofnąć bez spotkania z niedźwiedziem. Chcąc nie chcąc Duncan skoczył naprzód i szedł dalej trzymając się jak najbliżej Indianina. Niedźwiedź tuż za jego plecami ryczał co chwila i raz czy dwa dotknął go swą olbrzymią łapą, jakby go chciał zatrzymać.

Trudno powiedzieć, jak długo Heyward panowałby nad swymi nerwami. Na szczęście wkrótce nadeszło wybawienie. Przed nimi błyszczało słabe światło, a teraz stanęli u jego źródła.

W obszernej skalnej pieczarze urządzono kilka prymitywnych izb dla różnych celów. Ścianki działowe były proste, choć pomysłowe. Wzniesiono je z kamieni, gałęzi i kory. We dnie otwór w górze przepuszczał światło słoneczne, a w nocy zastępowały je ognisko i pochodnie.

We wnętrzu pieczary Huroni złożyli większość swych najcenniejszych rzeczy, zwłaszcza te, które stanowiły wspólną własność.

Tu też umieścili, jak się teraz okazało, chorą kobietę, którą uważali za nawiedzoną przez złego ducha. Huron podszedł do jej łóżka otoczonego przez tłum kobiet, pośród których Duncan ze zdziwieniem zobaczył swego zaginionego przyjaciela – Dawida. Od pierwszego spojrzenia Duncan przekonał się, że uleczenie chorej jest

**zadaniem ponad jego siły. Kobieta leżała sparaliżowana, obojętna na wszystko i na szczęście nieczuła na cierpienie. Z ulgą pomyślał zatem, że odegra rolę fałszywego lekarza u łoża kobiety beznadziejnie chorej, dla której jego zabiegi nie mają już żadnego znaczenia. W tej chwili zorientował się, że ktoś zamierza mu dopomóc i próbuje potęgi muzyki.**

**Gdy Duncan wraz z Huronem weszli do tej części pieczary, Dawid z całej duszy był gotów do rozpoczęcia śpiewu. Potem chwilę namyślał się, aż wreszcie podał ton fujarką i zaintonował hymn, który mógłby działać cuda, gdyby obecni dość silnie wierzyli w jego moc. Nikt mu nie przeszkadzał, Indianie bowiem szanowali go jako obłąkanego, a Duncan był tak rad z chwili zwłoki, że za nic w świecie nie byłby mu przerwał. Ostatnie słowa pobożnej pieśni już cichły mu w uszach, gdy nagle usłyszał, że ktoś za nim grobowym głosem wtóruje śpiewakowi. Przerażony odskoczył na bok i rozejrzał się wkoło. W ciemnym kącie pieczary ujrzał kosmatego niedźwiedzia, który bez przerwy niezgrabnie kołysząc górną częścią tułowia, mruczał melodię, a może i słowa pieśni Dawida.**

**Wrażenie, jakie wywarł na Dawidzie widok niedźwiedzia powtarzającego jego pieśń, łatwiej sobie wyobrazić niż opisać. Wytrzeszczył oczy, jakby sam sobie nie wierzył, i umilkł ze zdziwienia. Bliski panicznego strachu (sądził, że to zachwył na widok cudu) zapomniał o chytrym planie, jaki sobie ułożył, by zakomunikować Heywardowi ważną wiadomość. Krzyknął więc tylko: "Czeka na pana i jest tutaj" i wybiegł z pieczary.**

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

**Spój:**

**Czy rola lwa rozpisana? Jeśli tak, dajcie mi ją do ręki. Wiecie, że powolny w nauce.**

**Pigwa:**

**Możesz ją zaimprovizować,**

**Bo ona polega tylko na ryczeniu.**

**Sen nocy letniej**

**W opisanym scenie dziwnie splotły się pierwiastki śmieszne z uroczystymi. Zwierzę nadal kołysało się niestrudzenie, choć po ucieczce Dawida z pieczary zaniechało pocieszającego naśladowstwa. Dawid krzyknął ostatnie słowa w języku angielskim. Duncanowi wydało się, że mają jakiś ukryty sens. Ale nic z tego, co widział koło siebie, nie pomogło mu w rozwiązaniu zagadki. Dalsze rozmyślenia na ten temat przerwał mu huroński wódz. Podszedł do łóżka chorej i gestem kazał wyjść kobietom, które zebrały się przy niej, by się przyjrzeć sztuce białego. Usłuchały go bez szemrania, choć niechętnie, a kiedy w pustym skalnym korytarzu ucichło głuche echo zamykanych w oddali drzwi, stary Indianin wskazał na swą nieprzytomną córkę i powiedział:**

**–Niechże mój brat pokaże swą moc.**

**Heyward, tak niedwuznacznie wezwany do swych obowiązków, zrozumiał, że dalsze zwlekanie może być niebezpieczne. Zebrał więc myśli, przypomniał sobie wszystko, co ó tym wiedział, i przystąpił do odprawiania zaklęć, ale niedźwiedź wściekłym rykiem przerwał mu już pierwsze próby.**

**–Przebiegłe duchy są zazdrosne – powiedział Huron. – Odejdę. Bracie, ta kobieta jest żoną jednego z mych najdzielniejszych młodych wojowników. Nie żałuj sił.**

**Odszedł, a Duncan pozostał w tej odciętej od świata gnicie sam na sam ze śmiertelnie chorą kobietą i rozgniewaną groźną, bestią.**

**Ale humor zwierzęcia nagle się zmienił. Zamiast ryczeć z niezadowoleniem czy w jakiś inny sposób okazać swój gniew trząsał kosmatym cielskiem jakby w napadzie dreszczów. Heyward przyglądał mu się uważnie i z niepokojem, a niedźwiedź**

potężnymi, niezgrabnymi pazurami począł bezmyślnie dłużyć przy wyszczerzonej paszczy. Nagle groźny łeb opadł, a spod niego wyrzała poczciwa i śmiała twarz zwiadowcy, z całej duszy śmiejącego się, jak zwykle cicho i szczerze.

–Tss! – rzekł wreszcie, powstrzymując Heywarda od okrzyku zdziwienia. – Ci łajdacy są w pobliżu i każdy okrzyk obcy czarom gotów ich ściągnąć nam na kark.

–Niech mi pan wytłumaczy, po co się pan przebrał? Dlaczego porwał się pan na tak ryzykowny krok?

–Ach, zdrowy rozsądek i zimne wyliczenia często muszą ustąpić zwykłemu przypadkowi – odparł zwiadowca. – Ale opowiem panu wszystko po kolei. Po pożegnaniu się z panem umieściłem komendanta i sagamore w starej chatce bobrowej. Są tam bezpieczniej si przed Huronami, niż gdyby byli w forcie Edwarda pod opieką całego garnizonu, bo Indianie z dalekiego północo-zachodu nie nauczyli się jeszcze ciągnąć korzyści z handlu skórkami bobrów i nadal szanują te zwierzęta. A potem razem z Unkasem, w myśl naszej umowy, ruszyłem do drugiej wsi. Czy widział pan naszego chłopca?

–Niestety! Ujęto go i skazano na śmierć po wschodzie słońca.

–Zawsze się bałem, że go to spotka – odparł zwiadowca bardzo zmartwiony. Ale zaraz odzyskał pewność siebie i podjął opowiadanie. – Jego niepowodzenie to prawdziwy powód mego pobytu tutaj, nie mogę bowiem pozostawić chłopca na pastwę Huronom. A więc razem z Unkasem natknęliśmy się na powracający oddział tych łajdaków. Chłopak okazał się za chybki jak na zwiadowcę, chociaż nie można go za to winić, bo ma gorącą krew, a jeden z Huronów stchórzył i uciekając wciągnął go w zasadzkę.

–Drogo zapłacił za to tchórzostwo.

Zwiadowca wymownym gestem przesunął dłonią wkoło gardła i kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: "Rozumiem, co pan ma na myśli". Po czym ciągnął dalej, już głośniejszym głosem, lecz tak samo lakonicznie:

–Po stracie chłopca zastrzeliłem tych łajdaków i bez przeszkód

już podszedłem pod wieś. Szczęście mi dopisało, bo natknąłem się na ich najstłanniejszego czarownika, gdy się przebierał, jak sądzę, do walki z szatanem. Dobrze wymierzony, lekki cios w głowę unieszkodliwił na pewien czas tego oszusta. Potem wsadziłem mu w usta garść orzechów, by nie hałasował, i zawiesiłem go między dwoma młodymi drzewkami. Rozebrałem go też i wziąłem na siebie rolę niedźwiedzia, by móc dalej działać. Ale dość o tym, bo jeszcze cała praca przed nami. Gdzie jest młoda pani?'

–Bóg wie. Zajrzałem do każdej chaty i nie znalazłem żadnego śladu.

–Słyszał pan, co powiedział śpiewak na odchodnym? „Jest tu i czeka na pana”.

–Przypuszczałem, że mówi o tej nieszczęsnej kobiecie.

–Ten głupek zląkł się i źle się spisał. Ale miał coś na myśli. W tej grocie dość jest ścianek, by rozparcelować całą wieś. Niedźwiedź musi umieć drapać się po ścianach i dlatego zajrzę na drugą stronę. Mogą tu być ukryte barcie, a jak pan wie, jestem zwierzęciem łasym na słodycze.

Obejrzał się, roześmiał z własnego dowcipu i jął się wspinać na ściankę, naśladowując przy tym niezgrabne ruchy niedźwiedzia. Ale gdy dotarł do szczytu, – uniósł rękę nakazując ciszę i szybko ześliznął się z powrotem.

–Jest tam – szepnął – i tymi drzwiami wejdzie pan do niej. Chciałem jakimś słowem pocieszyć tę biedną duszyczkę, ale mogłaby postradać zmysły na widok straszego zwierzęcia. Skoro o tym mowa, to i pan, majorze, nie wygląda pociągająco z tak umalowaną twarzą.

Duncan, który już poskoczył ku drzwiom, cofnął się na te słowa.

–Czy wyglądam tak strasznie? – zapytał ze smutkiem.

–Wilka by pan nie przestraszył ani nie powstrzymał Królewskich Strzelców Amerykańskich w ataku. Jednak pamiętam, że kiedyś wyglądał pan znacznie przystojniej. Niech pan spojrzy – dorzucił wskazując na tryskające ze skały krystalicznie czyste źródło. – Tutaj łatwo zmyje pan maskę nałożoną przez sagamore. A kiedy pan wróci, ja spróbuję swych sił i upiększę pana nowymi malowidłami. Czarownicy tak samo często zmieniają malowidła jak miejscy eleganci stroje.

Nim skończył, Duncan już mył się u źródła, po czym z twarzą

czystą, jaką obdarzyła go natura, gotów do rozmowy z panią swego serca, szybko pożegnał zwiadowcę i zniknął za drzwiami. Wśród rozrzuconych w nieładzie łupów z nieszczęsnego fortu znalazł Alicję, bladą i przerażoną, ale jak zawsze piękną. Dawid przygotował ją do tej wizyty.

–Duncan! – krzyknęła i zadrżała na dźwięk własnego głosu.

–Alicjo! – odparł przeskakując przez skrzynie, kufry, broń, meble i stając nareszcie przy niej.

–Wiedziałam, że mnie nigdy nie opuścisz – odparła i wzniosła wzrok ku niemu.

Duncan spostrzegł, że Alicja drży i ledwie się trzyma na nogach. Łagodnie nakłonił ją, by siadła i wysłuchała jego opowiadania

o najważniejszych wydarzeniach znanych już naszym czytelnikom.

–A teraz widzi pani, Alicjo – zakończył – że musisz się zdobyć na wielki wysiłek. Z pomocą naszego doświadczonego

1 nieocenionego przyjaciela, zwiadowcy, uda nam się wydostać z rąk dzikich Huronów, ale musi pani wykazać jak największy hart ducha. Pamiętaj, że nasza ucieczka ma cię doprowadzić w ramiona ojca.

–Dla mego kochanego ojca zrobię wszystko!

–A także i dla mnie – dodał młodzieniec, łagodnie obiema rękami ściskając dłoń Alicji.

Jej niewinne i zdziwione spojrzenie przekonało go, że lepiej robi, jasno wyrażając swe myśli.

–Ani miejsce, ani warunki nie pozwalają mi powiedzieć pani o moim samolubnym marzeniu – powiedział. – Ale któż, dźwigając taki ciężar na sercu, nie chciałby go zdjąć? Ludzie mówią, że nic tak nie łączy jak wspólne nieszczęście. Nasz wspólny niepokój o panią wyjaśnił wszystko między mną a pani ojcem.

–A ukochana Kora, Duncanie? Chyba nie zapomnieliście o niej?

–Zapomnieliśmy? O, nie! Martwiliśmy się o nią ogromnie. Twój czcigodny ojciec kocha was jednakowo, ale ja... Alicjo, wybacz mi pani, że powiem... twoja osoba przesłania mi zalety twojej siostry...



–A więc nie zna pan jej zalet – powiedziała na to cofając rękę. – Kora zawsze mówi o panu jak o najserdeczniejszym przyjacielu.

220

–I ja rad bym uważał ją za wiernego przyjaciela – szybko odparł Duncan. – Chciałbym, by się stała nawet czymś więcej, ile gdy chodzi o panią, Alicjo, to za zgodą pani ojca pragnąłbym, aby nas złączyły bliższe i bardziej serdeczne więzy.

Alicja drgnęła gwałtownie i odwróciła się zawstydzona. Ale zaraz się opanowała, przynajmniej zewnątrz.

–Heywardzie – odparła, ufnie i ze wzruszającą niewinnością patrząc mu w oczy – nie zmuszaj mnie do odpowiedzi. Pozwól tni najprzód ujrzeć mego ojca i uzyskać jego błogosławieństwo.

"Nie mogłem powiedzieć mniej, a więcej mi powiedzieć nie wolno" już miał jej odrzec, gdy przeszkodziło mu lekkie ude-i zenie w ramię. Zerwał się na równe nogi, odwrócił i ujrzał tuż przed sobą smagłą i złą twarz Maguy. Głęboki, gardłowy śmiech dzikiego zabrzmiał mu w uszach jak szydery rehot szatana.

–Po coś tu wszedł? – zapytała Alicja, łagodnie składając ręce na piersi i z wielkim wysiłkiem próbując ukryć śmiertelną obawę

0 Heywarda pod maską obojętności.

Twarz triumfującego Indianina przybrała znów wyraz okrucieństwa, ale przezornie cofnął się przed gniewnym i groźnym spojrzeniem Duncana. Przez chwilę uparcie przyglądał się swym jeńcom, potem odszedł na bok i ciężkim kłocem zabarykadował drzwi, ale nie te, przez które wszedł Duncan. Teraz Duncan zrozumiał, w jaki sposób go zaskoczono. Pomyślał, że nadeszła ostatnia godzina, przycisnął do siebie Alicję i spokojnie czekał na śmierć, której u boku ukochanej kobiety wcale się nie lękał. Magua nie myślał jednak o natychmiastowej zemście. Przede wszystkim chciał uniemożliwić ucieczkę swemu nowemu jeńcowi. Nie raczył nawet spojrzeć po raz drugi na nieruchome postacie pośrodku groty, dopóki nie odebrał swym jeńcom nadziei ucieczki przez drzwi, którymi sam wszedł. Heyward śmiało przycisnął do serca Alicję

1 obserwował każdy ruch Maguy. Sytuacja była beznadziejna,

! i duma nie pozwalała mu błagać o łaskę wroga, którego już tyle i.izy pokonał. Magua zagroziwszy drzwi podszedł do jeńców i powiedział po angielsku:

–Blade twarze potrafią łowić chytre bobry, ale czerwonoskórzy wiedzą, jak się łowi Anglików.

**-Huronie, możesz nas zabić – krzyknął wzburzony Heyward**

zapominając, że naraża nie tylko własne życie – ale wiedz, że gardzę tobą i twą zemstą.

–Czy blada twarz powtórzy to, gdy go przywiążemy do słupa? – zapytał Magua, a ironiczny uśmiech świadczył, że nie wierzy w hart ducha Heywarda.

–Mówię ci to w oczy i powtórzę przed całym plemieniem.

–Przebiegły Lis jest wielkim wodzem – odrzekł Indianin. – Pójdzie teraz i sprowadzi swych młodych wojowników, by zobaczyć, jak blada twarz drwić będzie z tortur.

Mówiąc to odwrócił się już i miał wyjść przejściem, przez które wszedł Duncan, gdy powstrzymało go groźne mruczenie. W drzwiach ukazał się niedźwiedź i siadł na progu, kołyszając się z boku na bok, jak zwykły czynić te zwierzęta. Magua, podobnie jak ojciec chorej kobiety, uważnie przyjrzał mu się, jakby się chciał przekonać, co to za niedźwiedź. Był wolny od naiwnych przesądów Huronów, gdy więc poznał dobrze mu znane przebranie, chciał pogardliwie wyminąć czarownika, ale głośnie i coraz groźniejsze mruczenie znów go zatrzymało.

Nagle zwierzę wyciągnęło ramiona, a raczej łapy, i zamknęło go w uścisku, który mógłby się zmierzyć ze słynnym uściskiem niedźwiedzia. Heyward z zapartym oddechem przyglądał się ruchom Sokolego Oka. Wypuścił Alicję z objęć, odwinął ramię z jakiegoś tłumoka i gdy zobaczył, że Magua w żelaznym uścisku zwiadowcy nie może ruszyć rękami, skoczył naprzód i mocno go skrępował.

Magua, zaskoczony tą napaścią, szamotał się zaciekle, póki się nie przekonał, że wpadł w ręce człowieka silniejszego od siebie. Lecz kiedy Sokole Oko, chcąc jak najprościej wszystko wyjaśnić, zdjął kosmaty łeb i ukazał swe surowe i poważne oblicze, Magua stracił swój filozoficzny spokój i krzyknął:

–Hugh!

–A więc odzyskałeś mowę – powiedział na to jego niewzruszony zwycięzca. – A teraz zatkam ci gębę, byś jej nie wykorzystał na naszą zgubę.

I nie tracąc ani chwili wprowadził w czyn swe słowa.

–Którędy wszedł ten diabeł? – zapytał, gdy już unieszkodliwił Maguę. – Żywa dusza nie przeszła koło mnie od chwili, gdyśmy się rozstali.

Duncan wskazał na drzwi, przez które wszedł Magua i przez które teraz trudno byłoby szybko uciec.

–Bierz pan czym prędzej młodą panią pod rękę – powiedział zwiadowca – musimy natychmiast wydostać się drugim wyjściem i uciec do lasu.

–To niemożliwe – odrzekł Duncan. – Strach ją sparaliżował. Alicjo, moje kochanie, moja jedyna Alicjo, zbierz siły, musimy uciekać. Na próżno! Słyszysz, ale nie może się ruszyć. Uciekaj, szlachetny przyjacielu. Ratuuj się i nie zważaj na mnie.

–Każdy ślad ma swój koniec, a każde nieszczęście czegoś uczy – odrzekł zwiadowca. – Masz, owiń ją pan w strój indiański. Dobrze ukryj jej delikatne kształty. Proszę teraz wziąć panią na ręce i iść ze mną. Resztę biorę na siebie.

Skalnym korytarzem przedostali się do wyjścia. Już przed drzwiami usłyszeli gwar licznych głosów. Widocznie przyjaciele i krewni chorej zebrali się przed grotą i cierpliwie czekali, aż l)td;ą mogli wejść do środka.

–Jeśli ja się do nich odezwę – szepnął Sokole Oko – łotry poznają po angielszczyźnie, że jestem wrogiem. A więc musi pan, iidjorze, powiedzieć im w swoim żargonie, że zamknęliśmy ducha w pieczarze, a kobietę zabieramy do lasu, by ją wzmocnić ziołami. Niech pan użyje całej swej chytryści. W podobnych przypadkach jest to dozwolone.

Zwiadowca przerwał, bo ktoś z zewnątrz uchylił drzwi, jakby nasłuchiwał, co się dzieje w pieczarze. Gniewnym pomrukiem odpędził więc intruza, śmiało pchnął drzwi, otworzył je na oścież i wyszedł kołyszącym się krokiem niedźwiedzia. Duncan deptał mu po piętach i tak weszli w sam środek grupki dwudziestu zatroskanych krewnych i przyjaciół obłąkanej.

Gromadka rozstała się, przepuszczając naprzód ojca chorej i jednego z mężczyzn, prawdopodobnie męża.

–Czy mój brat wypędził złego ducha? – zapytał pierwszy / nich. – Co niesie na rękach?

–Twoją córkę – z powagą odparł Duncan. – Choroba już z niej wyszła, zamknąłem ją w skałach. A kobietę zaniosę gdzieś dalej od tego miejsca, wzmocnię jej siły i ustrzegę przed nowym ! ilakiem. Przyjdzie do chaty młodego wojownika, gdy słońce powróci.

Ogólny szmer zadowolenia powitał te słowa, gdy stary Indianin przetłumaczył je na język huroński. Wódz zaś ruchem ręki kazał Heywardowi iść dalej.

Sokole Oko wiedział, że każda minuta jest droga, bo choć udało mu się zwieść wrogów, to jednak najmniejsze podejrzenie chytrych Indian mogło przynieść zgubę całej trójce. Wszedł więc na ciemną ścieżkę wiodącą skrajem wsi.

W świeżym, orzeźwiającym powietrzu leśnym Alicja oprzytomniała, a że zasłabła z braku sił fizycznych i nie doznała psychicznego wstrząsu, nie trzeba było jej tłumaczyć, co się stało.

– Teraz pozwólcie mi iść – powiedziała, kiedy weszli do lasu, i choć nikt nie mógł tego widzieć, zarumieniła się ze wstydu, że tak długo pozwoliła się nieść Duncanowi.  
– Naprawdę, już odzyskałam siły.

– Nie, Alicjo, jesteś jeszcze za słaba..

Dziewczyna delikatnie spróbowała uwolnić się z jego mocnych objęć, musiał więc rozstać się ze swym ciężarem. Przedstawiciel świata niedźwiedzi zupełnie nie znał rozkosznych uczuć kochanka niosącego w ramionach skarb swego serca. Obcy mu był również szczerzy wstyd drżącej z przejęcia Alicji. Kiedy odszedł już dość daleko od wsi, zatrzymał się i począł mówić o sprawach, w których orientował się jak nikt inny.

– Tą ścieżką dojdziemy do strumienia – powiedział. – Idźcie jego północnym brzegiem, aż dojdziecie do wodospadu. Wtedy wejdźcie na górę po prawej ręce. Stamtąd zobaczycie ognie sąsiedniego plemienia. Udajcie się tam i poproście o opiekę. Jeśli są prawdziwymi Delawarami, będziecie bezpieczni.

– A pan? – zapytał Heyward. – Chyba się nie rozstaniemy?

– Huroni mają w swych rękach chlubę Delawarów. Ostatni z wielkiego rodu Mohikanów jest w ich mocy – odparł zwiadowca. – Postaram się go uratować. Tego chłopca ja nauczyłem strzelać, a on mi się za to dobrze odwdzieczył. W niejednej krwawej potyczce stał u mego boku i dopóki jednym uchem słyszałem huk jego strzelby, a drugim – strzelby jego ojca, byłem pewny, że nikt mnie nie zajdzie z tyłu. Zimą czy latem, w nocy i we dnie razem przemierzaliśmy puszcę. Jedliśmy to samo, a spali czuwając na zmianę. I zanim ludzie powiedzą, że Unkasa torturowano, kiedy ja byłem niedaleko... Biali i czerwonoskórzy jednego

mamy Pana i Jego biorę na świadka, że prędzej uczciwość /mknie z oblicza ziemi, a Postrach Zwierząt zamieni się w nieszkodliwy fujarkę psalmisty, nim młody Mohikanin zginie opuszczony pi/cz przyjaciela.

Duncan puścił rękę zwiadowcy, który odwrócił się i zdecydowanym krokiem poszedł w kierunku wsi Huronów. Alicja i Heyw.inl, szczęśliwi, choć smutni, przez chwilę jeszcze patrzyli za niktuc.j w mroku postacią Sokolego Oka, a później ruszyli razem ku odległemu obozowisku Delawarów.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

**Spodek:**

Pozwól, niech zagram także rolę lwa.

**Sen nocy letniej**

Sokole Oko, mimo że był gotów ratować Unkasa, jasno widział trudności i niebezpieczeństwa tego przedsięwzięcia. Po drodze wyęczał więc swój bystry i doświadczony umysł, zastanawiając się, jak by tu uśpić czujność i wywieść w pole wroga.

Kiedy już doszedł do zabudowań wsi, począł iść ostrożniej, a jego badawczym oczom nie uszedł najmniejszy szczegół, przyjazny mu lub wrogi. Na skraju osady, nieco wysunięta naprzód, stała opuszczona chata, jakby porzucona w połowie budowy. Jednakże słabe światelko, przeciekające przez szczeliny w ścianach, świadczyło, że ktoś zamieszkuje tę nie dokończoną budowlę. \_

Sokole Oko opadł na czworaki jak prawdziwy niedźwiedź i przysunął się do małego otworu, przez który mógł dojrzeć wewnątrz chaty. Okazało się, że służy ona za schronienie Dawidowi. Mieściła nie tylko jego osobę, ale i wszystkie jego zmartwienia, obawy i nieśmiałą ufność w opiekę Opatrzności. Kiedy zwiadowca przez szczelinę w ścianie patrzył na Dawida, ten właśnie rozmyślał o nim, to znaczy o niedźwiedziu.

Zwiadowca pamiętał, że Dawid jak szalony uciekł od chorej kobiety, i domyślał się, co było powodem jego obecnej głębokiej zadumy. Obszedł więc chatę i stwierdził, że stoi na uboczu. Wiedząc, iż osoba mieszkańca chroni chatę od niepożądanego wizyty, śmiało wszedł do środka i stanął przed Gamutem.

Nagłe pojawienie się osobliwego zwierza jeśli nawet nie zachwiało poglądu Dawida na świat, to w każdym razie osłabiło

**11-go ducha. Po omacku poszukał więc swej fujarki i wstał z nie-l.isnym zamiarem wypróbowania muzycznych egzorcyzmów.**

**–Tajemniczy i zagadkowy zwierzu! – zawołał, drżącymi i;k;kami wkładając okulary i szukając tomiku z przekładami psalmów, tej niezawodnej podpory we wszystkich zmartwieniach i nieszczęściach. – Nie wiem ani kim jesteś, ani po co tu przy-i hodzisz, ale jeżeli zamyślasz coś złego przeciw osobie lub zdrowiu |('dnego z najpokorniejszych sług kościoła, wysłuchaj wzniosłych •.łów izraelskiego młodzieńca i drzyj.**

**Niedźwiedź potrząsnął kosmatym cielskiem i odpowiedział głosem ilobrze znanym psalmiście:**

**–Odłóż tę piskliwą broń i nie krzycz. Pięć jasnych słów w zrozumiałym języku warte jest teraz więcej niż godzina zdzierania p.tirdła.**

**–Kimże jesteś? – zapytał Dawid tak oszołomiony, że niezdolny do śpiewu i na pół żywy ze strachu.**

**–Takim samym człowiekiem jak ty. Kimś, kto też nie ma w ży-ł.tch ani kropli niedźwiedziej czy indiańskiej krwi. Czyś już zapomniał, kto ci dał ten zwariowany instrument, który trzymasz w ręku?**

**–Czy to możliwe? – odparł Dawid oddych'ając coraz spokojniej, w miarę jak mu świtało w głowie. – Podczas swego pobytu u pogan widziałem wiele dziwów, ale ten przeszedł wszystko.**

**–Popatrz – rzekł Sokole Oko ukazując swe zacne oblicze, liy rozwiać resztki wątpliwości psalmisty – a ujrysz skórę wprawdzie nie tak białą jak u naszych pań, lecz zaczerwienioną tylko przez wiatr i słońce na niebie. A teraz – do rzeczy.**

**–Najprzód niech mi pan powie, co się stało z dziewczyną i młodzieńcem, który tak dzielnie jej szukał – przerwał mu Dawid.**

**–Na szczęście tomahawki tych łajdaków już im nie grożą. Ile czy możesz mnie naprowadzić na ślad Unkasa?**

**–Związano go i boję się, że jego los jest już przypieczętowany. v/.czerze boleję, że człowiek z gruntu tak dobry umrze w nieświadomości, i już znalazłem odpowiednią pieśń...**

**–Czy możesz mnie zaprowadzić do niego?**

**–Nie będzie to trudne – wahając się odparł Dawid. – Ale niska obecność może tylko zwiększyć jego cierpienie.**

**-Dość gadania, prowadź.**



**Sokole Oko znów ukrył głowę pod łbem niedźwiedzia i pierwszy wyszedł z chaty.**

**Po drodze dowiedział się, że Dawid zawdzięczał dostęp do Unkasa swemu rzekomemu szaleństwu i sympatii jednego ze strażników, znajdującego parę angielskich słów, którego usiłował nawrócić. Nie wiadomo, czy Huron dobrze się orientował, o co chodzi jego nowemu przyjacielowi. Ale człowiekowi dzikiemu, nie mniej niż cywilizowanemu, pochlebia, gdy mu się okazuje względy, Huron był więc przychylny Dawidowi. Nie będziemy się rozwodzili nad sposobami, jakich użył-zwiadowca, by wydobyć tę garść wiadomości od prostodusznego Dawida. Nie będziemy zatrzymywać się nad wskazówkami, jakie mu dał, gdy się już wszystkiego dowiedział. Okaże się to jasno w dalszym ciągu naszego opowiadania.**

**Unkasa uwięziono w chacie stojącej w samym środku wsi. Wejść tam czy wyjść niepostrzeżenie było trudniej niż do jakiegokolwiek innej chaty. Ale Sokole Oko bynajmniej nie zamierzał się ukrywać. Liczył na swoje przebranie i umiejętność udawania niedźwiedzia.**

**Tylko czterech czy pięciu wojowników stojąc przed więzieniem pilnowało Unkasa. Gdy ujrzeli Gamuta idącego z ich najwybitniejszym czarownikiem, którego poznali po przebraniu, rozstąpili się i bez wahania ich przepuścili. Ale, niestety, wcale nie mieli ochoty odejść. Najwidoczniej zaciekały ich tajemnicze czary, jakich spodziewali się po tak niezwyklej wizycie.**

**Zwiadowca nie mógł porozumieć się z Huronami w ich rodzimym języku, musiał więc zdać się na Dawida, który mimo swej dobro-duszności wybornie skorzystał z udzielonej mu nauki.**

**–Delawarzy to baby! – wołał zwracając się do dzikiego, który jako tako rozumiał po angielsku. – Jengizi, moi szaleni rodacy, kazali im porwać za tomahawk i uderzyć na ich ojców w Kanadzie, a oni zapomnieli, że są mężczyznami. Czy mój brat chce usłyszeć, jak Rączy Jeleń poprosi o spódnicę, i ujrzeć, jak będzie płakał przed Huronami?**

**Oznaczający zgodę okrzyk, „hugh!”, wydany stanowczym tonem, świadczył o zadowoleniu, z jakim dziki będzie patrzył na hańbę wroga, którego tak nienawidził i tak się bał.**

**–Rozstąpcie się tedy, a czarodziej chuchnie na tego przeklętego psa. Powtórz to**

mym braciom.

Huron przetłumaczył słowa Dawida swym towarzyszom. Cofnęli

się nieco i gestami zaprosili samozwanczego czarodzieja, by wszedł. Ale niedźwiedź siedział, jak usiacj j tylko mruczał.

–Czarodziej boi się, że swym oddechem może dotknąć moich braci i pozbawić ich odwagi – jowjedział Dawid na znak zwiadowcy. – Odstąpcie więc jak naj(jaiej).

Huroni cofnęli się zwartą gromadą j stanęli w miejscu, z którego nie mogli nic usłyszeć, ale widzgjij ^ejście do chaty. Wówczas zwiadowca, jakby spokojny o icl^ ^eZpieczeństwo, wstał i wolno wszedł do środka. W chacie panOwaja cisza i mrok, bo więzien był sam, a za światło służyło jedynie dogasające ognisko.

Unkas, bezlitośnie skrępowany r na pół siedział, na pół leżał w kącie. Kiedy straszny niedźwiedź gtanał przed nim, nawet na niego nie spojrział. Zwiadowca zą^ jętory pozostawił Dawida na straży przy drzwiach, nie chciał sje z(jj-adzi.ć, dopóki się nie przekona, że są sami. Zamiast więc OdezWać się do jeńca, dalej grał mię niedźwiedzia naśladowując jego rucły i figle. Ale młody Mohi-kcinin, choć w pierwszej chwili Uwierzyć ze Huroni wpędzili do ! baty prawdziwe zwierzę, by go wystawić na próbę, dostrzegł w zachowaniu niedźwiedzia, tak naturainym dla Heywarda, pewne bl^dy. A gdy po chwili Gamut cjaj umówiony znak, niedźwiedź pr/.estał mruczeć i nagle syknął ją^ wąż-

Unkas opierał się plecami o ści^ne Oczy miał zamknięte, jakby <liciał się uwolnić od przykrego wjjoku. Ale gdy usłyszał syk węża, wyprostował się, rzucił spOjrzeJiie na boki, schylił głowę i raz jeszcze rozejrzał się wkoło, az ^ końcu jego bystry wzrok •.począł na kosmatym potworze. Wpatrywa^ s^ w nieś° Jak urze-i żony, gdy zwierzę syknęło po raz drugi. Wtedy Unkas znów uważnie się rozejrzał i patrząc na nieczwiedzia powiedział głębokim, uciszonym głosem:

–Sokole Oko.

–Przetnij więzy – rzekł zwią^owca do Dawida, który właśnie •dszedł do nich.

Dawid usłuchał i uwolnił z pęt j-ęce i noși Unkasa. W tej chwili) i wili dał się słyszeć szelest spadą;ącej skóry niedźwiedzia i zwiadowca wynurzył się z niej w całgj okazałości. Mohikanin odgadł fctiniary przyjaciela, ale ani słow6m ani najmniejszym skrzywieniem twarzy nie zdradził zdziwieni gokole Oko wydobył długi, błyszczący nóż i podał go

–Huroni są za drzwiami – powiedział. – Bądźmy gotowi.

–Chodźmy – powiedział Unkas.

–Dokąd? T-

–Do Żółwi. Są dziećmi moich praojców.

\_\_ Tak, chłopcze – powiedział zwiadowca po angielsku, bo

tym językiem chętnie mówił, gdy umysł miał czymś zaprzątnięty – wierzę, że ta sama krew w twoich żyłach, ale czas i odległość nieco zmieniły jej kolor. Co zrobimy z tymi Mingami, którzy cię pilnują? Jest ich sześciu, a na psalmistę nie można liczyć.

–Huroni to pyszałki – pogardliwie odparł Unkas. – Ich totem to łoś, a biegają jak ślimaki. Delawarzy zaś, choć są dziećmi żółwia, potrafią prześcignąć jelenia.

–Tak, chłopcze, prawdę mówisz. Nie wątpię, że w biegu prześcigniesz każdego, a w zawodach na dwie mile od wsi Delawarów przyjdiesz nie tylko pierwszy, ale i zdążysz odsapnąć, zanim któryś z tych zbirów znajdzie się na odległość głosu od mety. Ale biały sprawniej włada rękami niż nogami. Ja na przykład potrafię rozplatać Huronowi głowę nie gorzej niż kto inny, ale w wyściguj nie dam rady tym łajdakom.

Unkas, który doszedł już do drzwi, cofnął się w głąb chaty. Sokole Oko, zamyślony, nie zauważył tego ruchu i mówił dalej, raczej do siebie niż do towarzyszy.

–Nie można jednak – ciągnął – uzależniać życia jednego człowieka od talentów drugiego. A więc, Unkasie, lepiej zrobisz puszczając się co sił do lasu, a ja znów nałożę skórę niedźwiedzia i odwołam się do chytrności, skoro zawodzą mnie nogi.

Młody Mohikanin nie odpowiedział. Spokojnie skrzyżował ręce na piersi i oparł się o jeden ze słupów podtrzymujących dach chaty.

–No cóż? – zapytał zwiadowca patrząc na młodego Indianina. – Czemu zwlekasz? Będę miał dość czasu, bo te nicponie najpierw pogonią za tobą.

–Unkas zostanie – spokojnie odparł Mohikanin.

–Po co?

**–By walczyć ramię w ramię z bratem swego ojca i umrzeć razem z przyjacielem Delawarów.**

**–Tak, chłopcze – odrzekł Sokole Oko ściskając dłoń Unkasa w swych żelaznych palcach. – Gdybyś mnie opuścił, postąpiłbyś jak Mingo, a nie jak Mohikanin. Jednak uważałem, że muszę ci**

to zaproponować, bo wiem, że młodzi kochają życie. No więc ilobrze. Jeśli na wojnie nie można nic zdziałać odwagą, trzeba uciec do podstępów. Naciągnij na siebie skórę. Wierzę, że nie porzej niż ja potrafisz udawać niedźwiedzia.

Nie wiadomo, co myślał Unkas, ale jego poważna mina nie zdradziła pretensji do większej umiejętności naśladowstwa. Bez słowa zrzęcznie się przebrał i czekał na dalsze rozkazy swego towarzysza.

–A pan, przyjacielu – mówił Sokole Oko zwracając się do Dawida – dobrze wyjdzie na zamianie stroju ze mną, bo skąpy. trój dzikich nie bardzo ci odpowiada. Masz tu moją myśliwską koszulę i czapkę, a daj mi swoje okrycie i kapelusz. Musisz też dać mi książkę, okulary i piszczałkę, a gdy się spotkamy w lepszych miejscach, odbierzesz je wraz z podziękowaniem za pożyczkę.

Łatwość, z jaką Dawid rozstał się z własnym dobytkiem, świadczyłaby o jego wspaniałomyślności, gdyby nie to, że pod wieloma względami korzystał na tej zamianie. Sokole Oko szybko przywdział pożyczony strój, a kiedy ukrył swe bystre oczy za szklami okularów i włożył trójkątny kapelusz, przy świetle gwiazd łatwo można było wziąć za psalmistę, tym bardziej że byli podobnego wzrostu, 'idąc się już przebrali, zwiadowca zwrócił się do Dawida:

–Czy jest pan tchórzliwy? – zapytał wprost, by sobie jasno dać sprawę z sytuacji, zanim pouczy Dawida, jak ma się zachowywać.

–Moje cele są pokojowe, a z natury, jak sądzę w pokorze ducha, jestem skłonny do miłowania bliźniego i do miłosierdzia – "(Iparł Dawid urażony tym bezceremonialnym podaniem w wątpliwość jego męstwa. – Ale nikt nie może powiedzieć, żebym kiedykolwiek, nawet w najcięższych próbach, stracił ufność w Boga.

–Największe niebezpieczeństwo będzie panu groziło, kiedy Indianie odkryją, że ich oszukano. Jeżeli wówczas nie rozłupią ci włowy tomahawkami, ocali cię upośledzenie umysłowe i spokojnie

konasz pan we własnym łóżku. A więc jeśli ma pan tu zostać, musi pan sięść w ciemnym kącie i udawać Unkasa, dopóki chytry Huroni nie odkryją podstępów. Będzie to, jak już się rzekło, najniebezpieczniejsza chwila. A więc wybieraj: albo uciekasz, albo zo-

Oczywiście – stanowczym tonem odparł Dawid – zostanę

na miejscu szlachetnego Delaware, który mężnie bronił mego życia. Chętnie uczyniłbym dla niego znacznie więcej.

–Są to słowa godne mężczyzny i człowieka, który doszedłby do czegoś, gdyby nie jego głupie wykształcenie. Schył pan głowę i podciągnij nogi, bo ich długość zdradziłaby cię przed czasem. I niech pan siedzi cicho, jak długo się da. A gdy już trzeba się będzie odezwać, od razu śpiewaj pan na całe gardło. Tak będzie najmądrzej, bo przypomni to Indianom, że brakuje ci piątej klepki. Ale jeżeli zdejmą ci skalp, w co wątpię, to pamiętaj, że ani Unkas, ani ja nie zapomnimy o twym bohaterskim czynie i pomścimy twą śmierć, jak wypada prawdziwym wojownikom i oddanym przyjaciołom.

Mówiąc to serdecznie uściśnął rękę Dawida. Po tym wylewie przyjaznych uczuć wyszedł z chaty wraz z nowym przedstawicielem niedźwiedziego rodu.

Pod czujnym spojrzeniem Huronów Sokole Oko wyprostował się, jak mógł, i wydłużył, naśladując niezgrabnego Dawida. Wyciągnął ramię, jakby miał nim zaznaczać takt, i jął mruzczyć jakieś słowa, które uważał za doskonałą imitację psalmów. Na szczęście dla ryzykownego planu miał do czynienia ze słuchaczami nie znającymi się na harmonii słodkich dźwięków, bo inaczej jego nieudolne wysiłki prędko by się skończyły. Musieli wyminąć gromadkę dzikich i im bliżej nich byli, tym głośniej zwiadowca śpiewał. Lecz dzicy zawsze szanują ludzi, których uważają za obłąkanych. Indianie więc cofnęli się i przepuścili rzekomego czarownika, oraz jego uduchowionego pomocnika.

Unkas i zwiadowca musieli się zdobyć na niezwykle spokoj, by z godnością i obojętnie przejść przez wieś. Było to tym trudniejsze, że wartownicy nie mogąc opanować ciekawości, stłumili lęk i podeszli do chaty, by się przyjrzeć wynikowi czarów. Teraz jeden niezręczny lub nieostrożny ruch Dawida mógł zdradzić zbiegów, zwiadowca zaś potrzebował czasu, by bezpiecznie wyjść z wioski. Na dobitkę głośnie jego krzyki, a musiał je wydawać w swej nowej roli, ściągnęły do drzwi chat licznych gapiów. Parę razy zdarzyło się, że jakiś ponuro wyglądający wojownik z podejrzliwości czy pod wpływem zabobonu zagroził drogę zbiegom. Na szczęście żaden ich nie zatrzymał, a ich opanowanie i ciemna noc ułatwiały ucieczkę.

Już wyszli ze Wsi, szybko zbliżali się do zbawczej puszczy, gdy t<sup>o</sup>śny i przeciągły krzyk doleciał ich z niedawnego więzienia Inkasa. Młody Mohikanin wyprostował się, potrząsnął kudłami, l-ikby był prawdziwym niedźwiedziem, i gotował się do rozpaczliwej walki.

–Czekaj – powiedział zwiadowca łapiąc go za ramię. – Tym razem był to tylko okrzyk zdziwienia.

Ale nie czekali długo, bo zaraz wściekłe krzyki wstrząsnęły powietrzem i przeleciały przez wieś. Unkas zrzucił z siebie skórę niedźwiedzia i szedł dalej już jako piękny i zgrabny młodzieniec. Po chwili Sokole Oko lekko trącił go w ramię i wysunął się naprzód.

–Teraz to diabelskie plemię może wpaść na nasz ślad – powiedział i wyciągnął spod krzaka dwie strzelby, kule i proch. Wymachując Postrachem Zwierząt wręczył Unkasowi jego broń. – ('o najmniej dwóch znajdzie nasz ślad na swoją zgubę.

I z lufami opuszczonymi w dół, jak myśliwi tropiący zwierza, i uszyli przed siebie. Wkrótce zniknęli w mroku puszczy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Antoniusz:

...Tego nie zapomnę:

Cezar rozkazał, rozkaz wykonany.

Juliusz Cezar

Jak widzimy, ciekawość dzikich pilnujących Unkasa przemogła strach przed tchnieniem czarownika. Ostrożnie, z bijącym sercem przysunęli się do szczeliny w ścianie, przez którą przeświecał blask ognia. Dość długo brali Dawida za swojego jeńca, lecz w końcu sprawdziły się przewidywania zwiadowcy. Dawid, zmęczony podkurczaniem swych długich nóg, powoli je prostował, aż wreszcie jedną z nich dotknął tlejących głowni i bezwiednie przesunął je na bok. Huroni początkowo wierzyli, że to czary tak zmieniły Delawara. Ale kiedy Dawid, nie wiedząc, że jest obserwowany, odwrócił głowę, ujrzeli zamiast dumnych rysów Unkasa dobroduszną i łagodną twarz psalmisty. Teraz nawet naiwni dzicy nie mogli mieć złudzeń. Tłumnie wpadli do chaty, poczęli brutalnie szarpać jeńca i od razu wykryli oszustwo. Wtedy to podnieśli pierwszy wrzask usłyszany przez zbiegów. Wtedy też pałając żądzą zemsty potrząsnęli bronią i grozili Dawidowi. Ale Dawid się nie załamał, wiernie trwał

przy decyzji osłaniania zbiegów, choć lada chwila mógł zginąć. Pełnym głosem, z przejściem zaintonował hymn żałobny, który miał ułatwić mu przeniesienie się do wieczności. To w porę przypomniało Indianom o jego upośledzeniu. Wybiegli więc z chaty i głośnym krzykiem zbudzili całą wieś.

Indiański wojownik śpi w pogotowiu bojowym, Zarówno bowiem na polu bitwy, jak kiedy śpi w swym wigwamie, strój jego jest jednakowo skąpy. Toteż ledwie przebrzmiał alarm, dwustu wojowników stało na nogach. Byli gotowi do walki i do pościgu.



Wkrótce dowiedzieli się o ucieczce jeńca. Całe plemię zrobiło mł: przed chatą narad, niecierpliwie czekając rozkazów wodzów. T.un, gdzie były potrzebne najtęższe umysły, nie mogło się obyć Ik/ Maguy. Nic więc dziwnego, że wymieniano jego imię i wszyscy rozglądali się wkoło, zdziwieni, że go nie ma. Niebawem wysłani po niego gońców, prosząc, by zaraz przybył.

Wkrótce nowe okrzyki powitały powrót jednego z oddziałów wysłanych na zwiady. Przyniósł on wiadomość, która wyjaśniła zagadkę. Tłum przed chatą rozstał się i przepuścił kilku wojowników prowadzących nieszczęsnego czarownika, którego zwiadowca aż na tak długo pozbawił wolności.

Człowiek ten nie cieszył się zgodną opinią Huronów. Jedni wierzyli święcie w jego moc, inni uważali go za oszusta. Ale teraz wszyscy słuchali go z jednakową uwagą. Kiedy zaś czarownik skończył swą krótką historię, wystąpił ojciec obłąkanej Indianki i w paru zwięzłych słowach opowiedział, co go spotkało. Te dwa opowiadania nadały właściwy kierunek dalszym badaniom, które (izicy poprowadzili teraz ze zwykłą im przebiegłością.

Zamiast hurmem rzucić się do jaskini, wybrali dziesięciu najmądrzejszych i najodważniejszych wodzów do przeprowadzenia śledztwa na miejscu. A że czas naglił, wyznaczeni wodzowie natychmiast wstali i bez słowa wyszli. Przed drzwiami do pieczary młodzi z nich, którzy dotąd szli na przedzie, przepuścili starszych. Tak ruszyli naprzód i pewnym krokiem zagłębili się w niskim, ciemnym korytarzu, jak żołnierze gotowi na śmierć dla dobra ogółu. W głębi duszy jednak wątpili, czy naprawdę wypadnie im się spotkać ze złym duchem.

Pierwsza grota tonęła w ciszy i mroku. Obłąkana leżała na swym łożu, w dawnej pozycji, choć niektórzy twierdzili, że widzieli, jak ją niósł do lasu rzekomy lekarz białych ludzi. Nic dziwnego, że wobec tak oczywistej sprzeczności z opowiadaniem starego Hurona wszyscy spojrzeli na niego podejrzliwie. Rozdrażniony tym niemym zarzutem kłamstwa i sam nie wiedząc, co się stało, stary wódz podszedł do łoża chorej, pochylił się i spojrział jej w twarz, jakby nie wierzył oczom. Jego córka leżała martwa.

Na ten widok miłość do dziecka wzięła górę nad innymi uczuciami i stary wódz z bólu zasłonił oczy. Lecz po chwili opanował

się, spojrzął w twarz swym towarzyszom i wskazując na zwłoki, powiedział w narzeczu Huronów:

–Żona mego młodego wojownika opuściła nas. Wielki Duch gniewa się na swe dzieci.

Tę smutną wiadomość przyjęto głębokim milczeniem. Po chwili jeden ze starszych wojowników właśnie chciał coś powiedzieć, kiedy jakiś ciemny przedmiot wytoczył się z przyległej grotty na sam środek pieczary. Indianie cofnęli się ze strachu przed złymi mocami. Zdumieni patrzyli na tajemniczą postać, która zatrzymała się w świetle i wyprostowała. Ujrzeni wykrzywione grymasem, lecz jak zawsze okrutne i złe oblicze Maguy. Okrzykiem zdziwienia powitali Huroni to odkrycie.

Gdy zobaczyli, że ich wódz jest związany, błysnęły noże. W mgnieniu oka przecięto mu więzy na rękach i nogach. Magua zerwał się i otrząsnął jak lew wstający z legowiska. Bez słowa zacisnął dłoń na rękojeści noża i spojrzął spode łba na obecnych, jakby szukał kogoś, na kim mógłby wyrzucić pierwszą złość.

Wszyscy widzieli ten atak wściekłości i bali się odezwać, by jeszcze bardziej nie rozsierdzić wodza. Po chwili wszakże odezwał się najstarszy z Indian.

–Mój przyjaciel odnalazł wroga – powiedział. – Czy jest on blisko i Huroni będą mogli się zemścić?

–Zabijcie młodego Delawara – grzmiącym głosem krzyknął Magua.

Po raz drugi zapadła długa i wymowna cisza. Znów w oględnych słowach przerwał ją ten sam Indianin.

–Mohikanin szybko biega i jest już daleko, ale moi młodzi wojownicy za nim gonią – powiedział.

–Uciekł? – zapytał Magua gardłowym głosem dobytym z głębi piersi.

–Zły duch wkradł się między nas i Delawarowi udało się oślepić nasze oczy.

–Zły duch! – szyderczo odparł Magua. – To ten duch, który śmiertelnie poraził tyłu Huronów, zabił kilku moich młodych wojowników nad grzmiącymi wodami, zdarł skalpy z paru innych przy życiodajnym źródle i który teraz związał ręce Przebiegłemu Lisowi.

–O kim mój przyjaciel mówi?

**–O podłym psie, który pod bladą skórą kryje serce i jn/r biegłość Hurona. O Długiej Strzelbie.**

**To groźne imię jak zwykle wstrząsnęło słuchaczami. Air po namyśle, kiedy już zdołali sobie zdać sprawę, że ich stniszny i śmiały wróg zdołał wedrzeć się do środka wsi i wyrządził mi tyle złego, ich osłupienie przeszło w szaloną wściekłość.**

**Tymczasem Magua zdążył się zastanowić i opanować.**

**–Chodźmy do mego plemienia – powiedział. – Czeka na nas. Indianie zgodzili się bez słowa. Wyszli z pieczary i wrócili do**

**chaty narad. Kiedy usiedli, jak na komendę zwrócili oczy na Maguę, a on zrozumiał, że czekają na jego relację. Wstał więc i opowiedział całą historię szczerze, bez niedomówień. Wyłożył jak na dłoni podstęp Duncana i Sokolego Oka. Nawet najbardziej zabobonni Indianie nie mogli już wierzyć w nadprzyrodzony charakter ostatnich wydarzeń. Było zupełnie jasne, że ich sromotnie i bezlitośnie wywiedziono w pole. Kiedy wreszcie Magua skończył i usiadł, wojownicy przez chwilę patrzyli na siebie w niemym zdumieniu nad czelnością i szczęściem swych wrogów. Potem poczęli zastanawiać się nad zemstą.**

**Wysłano jeszcze paru ludzi w pościg za zbiegami, a wodzowie w skupieniu dalej się naradzali. Kilku Indian powróciło przynosząc wieść, że jak wynika ze śladów, zbiegowie schronili się w obozowisku niepewnych sprzymierzeńców, Delawarów. Magua wykorzystał ważną wiadomość i ostrożnie wyłożył swój plan.**

**Jak już wspomnieliśmy, Huroni zgodnie ze zwyczajem Indian rozdzielili obie siostry zaraz po przyprowadzeniu ich do wsi. Magua szybko odkrył, że trzymając w ręku Alicję ma całkowitą władzę nad Korą. Kiedy więc siostry rozdzielono, młodszą zatrzymali we wsi Huronów, a starszą, o którą mu przede<sup>^</sup>wszystkim chodziło, powierzył opiece sprzymierzonego plemienia. Szło mu o to, by z jednej strony okazać zaufanie i schlebić sąsiadom, a z drugiej – by nie uchybić indiańskim zwyczajom.**

**Magua, pożerany chęcią zemsty, wiecznie żywą u dzikich, wcale 11 i o zapomniał o swych planach na dalszą przyszłość. Grzechy młodości i zdradę musiał okupić długą i upokarzającą skruchą, Z(inim odzyskał zaufanie plemienia. Jednym z najszcześniejszych I ego posunięć było zjednanie Huronom przychylności silnego i niebezpiecznego sąsiada.**

## XV!

Składając te ofiary na ołtarzu ogółu, Magua ani na chwilę nie zapomniał o własnych celach. Lecz cóż z tego, skoro nieprzewidziany wypadek – ucieczka wszystkich jeńców – zniweczył jego plany. Teraz bowiem musiał prosić Delawarów o pomoc – wbrew swej dotychczasowej polityce zjednywania sobie ich względów.

Wielu wodzów przedstawiało szczegółowe, zdradzieckie plany zaskoczenia Delawarów, opanowania ich obozu i za jednym zamachem odebrania jeńców. Wszyscy godzili się bowiem, że ich honor, interes oraz spokój i szczęście zmarłych Huronów wymagają niezwłocznego złożenia ofiar na ołtarzu zemsty. Magua bez trudu obalił te niebezpieczne i skazane na niepowodzenie plany. Ze zwykłą mu zręcznością przedstawił związane z nimi ryzyko i wykazał ich błędy. Dopiero gdy przekonał przeciwników, przystąpił do wyłożenia swych planów.

Mówił, że z jednej strony muszą pamiętać o wielkim białym ojcu, gubernatorze Kanady, który niechętnym okiem patrzy na Huronów od czasu, gdy ich tomahawki spłynęły krwią, z drugiej –

o równie licznyemu plemieniu, niezbyt im przychylnym i obcym pod względem interesów i języka. Plemię Delawarów skwapliwie wykorzysta najbliższy powód, by ściągnąć na nich gniew wielkiego białego wodza. Następnie wyliczył wszystkie ich pragnienia

1 bóle, mówił o nagrodach, jakich mogą się spodziewać za swe dawne zasługi, o tym, jak daleko pozostały ich łowieckie tereny i rodzinne wsie, i przypomniał, że w tej przykłej sytuacji przede wszystkim należy się kierować rozumem, a nie namiętnościami. Ale kiedy spostrzegł, że tylko starzy wodzowie przyklaskują jego umiarkowaniu, a zapalczywi i wybitniejsi młodzi wodzowie niechętnie słuchają jego dyplomatycznych planów, co rychlej powrócił do ulubionego przez nich tematu. Otwarcie począł mówić o możliwości pełnego zwycięstwa, które śmiało nazwał owocem ich mądrości. Półśłówkami napomknął, że jeśli tylko będą postępować ostrożnie, wszystko się znakomicie uda, a ich zniechęceni wrogowie zginą co do jednego. Słowem, tak pomieszał wojowniczość z chytryością, a jasne z ciemnym, że w rezultacie schlebiał obu stronom i w każdym obudził nadzieję, choć nikt nie mógłby powiedzieć, iż dobrze zrozumiał, o co mu chodzi.

Nie należy się dziwić, że w tak sprzyjającej atmosferze Magua zwyciężył. Plemię zgodziło się działać z rozmysłem i jednogłośnie

powierzyło kierownictwo całej wyprawy wodzowi, który doradzał tak rozsądne postępowanie.

Magua osiągnął jeden zasadniczy cel wszystkich swych knowań. Całkowicie odzyskał utracone ogniś zaufanie i względy. Odrzucił więc maskę doradcy i przybrał uroczystą minę wodza cieszącego się największym autorytetem, co zapewniło mu jeszcze większe znaczenie.

Rozesłał gońców na wszystkie strony i kazał im zebrać wiadomości, zwiadowcom zaś polecił podejść pod obóz Delawarów i rozpoznać sytuację. Wojownikom kazał wrócić do chat i czekać w pogotowiu, a kobietom i dzieciom – rozejść się i siedzieć cicho. Po tych zarządzeniach przeszedł się przez wieś, wstąpił tu i tam, wszędzie, gdzie uważał, że jego odwiedziny pochlebią gospodarzom. Umocnił wiarę w przyjaciółach, przekonał chwiejnych i dogodził wszystkim. Potem wrócił do siebie. Jego żona, którą musiał porzucić, gdy go wygnano, umarła, a że dzieci nie miał, mieszkał samotnie w swej chacie.

Na długo przed świtem do chaty Maguy poczęli pojedynczo schodzić się wojownicy, aż wreszcie zebrało się ich dwudziestu. Każdy miał ze sobą strzelbę i ryszunek bojowy, choć pokrywały ich malowidła pokojowe.

Wymknęli się ze wsi cicho i niepostrzeżenie, podobni do duchów sunących bez szmeru, a nie do wojowników szukających głośnej sławy w śmiałych czynach.

Magua nie poszedł ścieżką wiodącą wprost do obozu Delawarów. Poprowadził swój oddział nad krętą rzeczką, a później wzdłuż stawu bobrów. Świtało już, gdy weszli na polanę wyciętą przez te mądre i pracowite zwierzęta. Magua przed wyjściem wdział swój dawny strój z wyprawionych skór z podobizną lisa. Jeden z wodzów miał na sobie ubiór ozdobiony rysunkiem bobra, którego wybrał sobie za totem. Popęłniłby swego rodzaju świętokradztwo, gdyby minął swój klan nie uczciwszy go jak należy. Przystanął i przemówił do bobrów tak uprzejmie i przyjaźnie, jakby się zwracał do ludzi. Nazywał je swymi braćmi i przypominał im, że dzięki jego opiece nikt ich nie rusza, choć tylu chciwych kupców nalega na Indian, by je zabijali. Potem przyrzekł bobrom dalszą opiekę i żądał w zamian wdzięczności.

**W czasie tej niezwykłej przemowy Huroni słuchali mówcy**

poważnie i z uwagą, jak gdyby w jego słowach nie widzieli nic osobliwego. Parę razy wynurzył się z wody jakiś ciemny kształt. Huron, widząc to, wyraził radość, że nie mówi na próżno. A kiedy skończył, jakiś olbrzymi bóbr wytknął łeb z walącej się chatki, tak zrujnowanej, że Huroni uważali ją za opuszczoną. Mówca wziął tę niezwykłą oznakę zaufania za nadzwyczaj szczęśliwą przepowiednię i mimo że zwierzę gwałtownie się cofnęło, rozpląnął się w podziękowaniach i pochwałach.

Gdy Indianie odeszli, ten sam leciwy bóbr raz jeszcze ostrożnie wyjrzał z ukrycia. Gdyby któryś z Huronów się obejrzał, byłby spostrzegł, że zwierzę przygląda im się tak bacznie i ciekawie, jakby miało ludzki rozum. W gruncie rzeczy wszystkie jego ruchy były tak naturalne, że nawet najbardziej doświadczony obserwator nie odgadłby jego tajemnicy, dopóki Huroni nie skryli się w lesie. Wtedy bowiem zwierzę wyszło z chatki i wszystko stało się jasne: spod odrzuconej maski z futra wyjrzała surowa twarz Chingach-gooka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

•i

Mów krótko; widzisz, że jestem bardzo zajęty.

Wiele hałasu o nic

Plemię Delawarów, o którym tak często wspominaliśmy<sup>^</sup> a raczej jego połowa obozująca w pobliżu tymczasowego siedliska Huronów, mogło w razie potrzeby wystawić prawie tyluż wojowników, co oni. Delawarzy, tak jak Huroni, weszli za Montcalmem w głąb kolonii angielskich i spustoszyli łowieckie tereny Mohawków. Ale z tajemniczą powściągliwością, tak częstą u Indian, odmówili sojusznikom pomocy wtedy, kiedy ci jej najwięcej potrzebowali- Francuzi różnie tłumaczyli sobie to odstępstwo swych sojuszników. Przeważało zdanie, że zrobili to z szacunku dla starego sojuszu, który ongiś zapewnił im zbrojną ochronę Związku Sześciu Narodów. Ten szacunek nie pozwalał im teraz wystąpić przeciw dawnym protektorom. Plemię poprzestało na krótkim, istic indiańskim zawiadomieniu Montcalma przez posłów, że tomahawki delawarów się stępiły i że teraz wojownicy muszą mieć czas, by je naostrzyć. Wódz Kanadyjczyków, rozsądny polityk, uważał, że lepiej mieć w Delawarach biernego przyjaciela niż jakąś niewłaściwą surowością zrobić z nich sobie otwartych wrogów.

O świcie tego dnia, kiedy Magua wyprowadził swój cichy oddział z kolonii bobrów w ciemny las, słońce wstało nad obozowiskiem Delawarów i oświetliło pracowity lud krzątający się przy codziennych rannych zajęciach.

**Między wigwamami leżało mnóstwo myśliwskiej broni, ale nikt nie ruszał na łowy. Tu i tam wojownicy przeglądali broń tak uważnie, jak się tego nie robi, gdy się myśli tylko o łowach**

**16 – Ostatni Mohikanin**

i o zwierzynie jako jedynym wrogu w puszczy. Od czasu do czasu oczy wojowników zwracały się ku dużej i cichej chacie pośrodku wsi. Tam najwidoczniej biegły wszystkie ich myśli.

Nagle na najdalszym krańcu skalistej płaszczyny, na której leżało obozowisko, ukazał się jakiś człowiek. Nie miał przy sobie broni, a jego malowidła miały złagodzić wrodzoną surowość rysów. Człowiek ten podszedł do Delawarów, przystanął i przyjaznym gestem podniósł rękę w górę, a potem wymownie przyłożył ją do serca. Delawarzy odpowiedzieli mu życzliwym pomrukiem i równie przyjaznym gestem zaprosili, by podszedł bliżej. Ośmielony tym przybysz zszedł ze skalnego tarasu, na którym jego sylwetka przed chwilą wyraźnie się zarysowała na tle różowego, porannego nieba, i dumnie wszedł w sam środek wsi.

Idąc, uprzejmie pozdrawiał wojowników, ale nie dostrzegał kobiet, jak człowiek, który teraz zupełnie nie dba o ich względy. Gdy podszedł do grupy Indian – a sądząc z godnych min stali tam najwybitniejsi mężowie – przystanął. Wówczas w tym hardym i wyniosłym mężczyźnie Delawarzy poznali słynnego wodza Huro-nów, Przebiegłego Lisa.

Powitano go poważnie, w milczeniu i powściągliwie. Wodzowie na przedzie rozstąpili się i przepuścili najbardziej doświadczonego mówcę, władającego wszystkimi językami północnoamerykańskich plemion.

–Witamy cię, mądry Huronie – powiedział Delawar w języku Makaów. – Czyś przyszedł spożyć succotash\* ze swymi braćmi znad jezior?

–Przyszedłem – potwierdził Magua i schylił głowę z godnością wschodniego monarchy.

Wódz wyciągnął rękę, ujął Maguę za przegub i w ten sposób raz jeszcze się przywitali. Potem Delawar zaprosił gościa do swego wigwamu na śniadanie. Magua przyjął zaproszenie i obaj w towarzystwie trzech czy czterech starych Delawarów wolno odeszli, a reszta Indian pozostała na miejscu, pożerana ciekawością, co jest powodem tej niezwyklej wizyty. Ale żaden z nich ani słowem, ani gestem nie zdradził swego zaciekawienia.

Podczas krótkiego i skąpego posiłku obie strony mówiły ostrożnie

Succotash – potrawa składająca się z tłuczonej kukurydzy i fasoli, często spożywana również przez białych (przyp. autora).



i wyłącznie o ostatnich łowach, w których Magua brał udział. Delawarzy, chociaż wiedzieli, że za tą wizytą kryje się coś niezwykłego i być może bardzo dla nich ważnego, udawali że uważają za zupełnie normalną, przy czym robili to nie gorzej niż ludzie najlepiej wychowani. Kiedy zaspokoiли już głód, kobiety sprzątnęły drewniane talerze i tykwy, a obie strony poczęły się przygotowywać do zmierzenia się w chytrności i sprycie.

–Czy mój wielki kanadyjski ojciec znów zwrócił swe oblicze ku swym dzieciom, Huronom? – zapytał najznakomitszy mówca Delawarów.

–Czy się kiedy na nich gniewał? – pytaniem na pytanie odpowiedział Magua. – Nazywa mój naród "najukochańszymi"-

Delawar skinął głową, choć wiedział, że to wierutne kłamstwo i ciągnął dalej:

–Tomahawki młodych wojowników mojego brata zaczerwieńły się od krwi.

–Tak, ale teraz są znów czyste i tępe, bo Jengizi polegli, a naszymi sąsiadami są Delawarzy.

Delawar podziękował gestem za to pokojowe zapewnienie i rnił-czał. Magua zaś, jakby ta aluzja do rzezi Anglików coś rtfu przypomniła, zapytał:

–Czy moja branka nie sprawia kłopotu moim braciom?

–Gościmy ją chętnie.

–Ścieżka od wsi Huronów do wsi Delawarów jest krótka i otwarta. Niech moi bracia odeślą tę brankę do mych kobiet, jeśli im zawadza.

–Gościmy ją chętnie – z naciskiem powtórzył wódz Delawarów.

Speszony Magua parę minut siedział w milczeniu, n^ pozór niewzruszony niepowodzeniem, jakie go spotkało przy pierwszej otwartej próbie odzyskania Kory.

–Czy jakieś obce mokasyny nie deptały puszczy? – zapytał wreszcie. – Czy moi bracia nie widzieli śladów stóp białego?

–Niech przybędzie nasz kanadyjski ojciec – wymijając\*0 odparł stary wódz. – Jego dzieci z radością go powitają.

–Wielki wódz może przybyć tylko po to, by wypalić f<i>|ki, pokój z Indianami w ich wigwamach. Huroni również powit<i>| go życzliwie. Ale Jengizi mają długie ręce, a ich

nogi nJe '!'!"!•W

'!i i

zmęczenia. Moim wojownikom śniło się, że widzieli ich ślady w pobliżu wsi Delawarów.

–Nie zaskoczą Lenapów we śnie.

–To dobrze. Wojownik z otwartymi oczami zawsze dostrzeże wroga – odparł Magua i znów zmienił temat widząc, że nie zdoła przebić muru czujności swych gospodarzy.  
– Przyniosłem dary dla mego brata. Jego plemię nie chciało wkroczyć na ścieżkę wojenną, bo uważało, że nie byłoby to mądre, ale przyjaciele pamiętali o nim.

W ten sposób obwieściwszy o swej szczodrości chytry wódz z powagą rozłożył dary przed oczami olśnionych Delawarów. Były to przeważnie małowartościowe klejnociki, zrabowane zamordowanym kobietom z fortu William Henry.

To celne dyplomatyczne posunięcie od razu przyniosło rezultaty. Delawarzy zapomnieli o swej powadze i stali się bardziej serdeczni, a gospodarz, wdzięcznym okiem obejrzawszy swój udział w darach, po chwili powtórzył kilka razy z naciskiem:

–Mój brat jest mądrym wodzem. Gościmy go chętnie.

–Huronie kochają swych przyjaciół Delawarów – odparł Magua. – Czerwonoskórzy powinni być przyjaciółmi i uważnie przyglądać się bladym twarzom. Czy mój brat nie zwietrzył w lasach żadnych szpiegów?

Nazwisko Delawara brzmiało po angielsku Hard Heart, co Francuzi przełożyli na Le Coeur Dur\*. Zapomniał on o swym żelaznym uporze, któremu zawdzięczał to nazwisko. Wyraźnie spuścił z tonu i tym razem zaszczyił gościa jaśniejszą odpowiedzią:

–Obce mokasyny stąpały w pobliżu naszego obozowiska. Ślady ich dotarły aż do moich wigwamów.

–Czy mój brat odpędził te psy? – zapytał Magua nie zważając na sprzeczność tej odpowiedzi z poprzednią.

–Nie mogłem tego zrobić. Dla dzieci Lenapów obcy jest zawsze pożądanym gościem.

–Obcy tak, ale nie szpieg.

–Czy Jengizi wysyłają kobiety jako szpiegów? Czy wódz Huronów nie mówił, że swe

**branki ujął w bitwie?**

**–Wódz Huronów nie skłamał. Jengizi wysłali szpiegów. Byli**

**Le Coeur Dur (franc.) – Twarde Serce.**

już oni w moich wigwamach, ale tych gości żaden Huron nic powitał przyjaźnie. Wówczas uciekli do Delawarów, bo – jak twierdzili – Delawarzy są ich przyjaciółmi i odwrócili się od swego kanadyjskiego ojca.

Ta insynuacja trafiła w samo serce i w bardziej cywilizowanym społeczeństwie zyskałaby Przebiegłemu Lisowi opinię wytrawnego dyplomaty. Delawarzy wiedzieli, że ich niedawne odstępowanie zraziło do nich Francuzów. Teraz dano im do zrozumienia, że zazdrosne i nieufne oczy śledzą ich dalsze postępowanie. Nie trzeba się było długo zastanawiać, by zrozumieć, że podobna sytuacja może wywołać niezmiernie przykre następstwa. Ich odległe wsie, tereny łowieckie, setki kobiet i dzieci oraz znaczna część ich sił bojowych znajdowały się w granicach francuskiego terytorium. Oto czemu Delawarzy przyjęli tę niepokojącą wiadomość – jak zresztą Magua chciał – z jawnym niezadowoleniem, a nawet z trwogą.

–Niech mój kanadyjski ojciec spojrzy mi w oblicze – odparł Twarde Serce – a nie dojrzy w nim żadnej zmiany. To prawda, że moi wojownicy nie weszli na ścieżkę wojenną. Nie pozwoliły im na to ich sny. Ale kochają i szanują wielkiego białego wodza.

–Czy uwierzy w to, gdy usłyszysz, że jego dzieci goszczą jego największego wroga? Kiedy mu powiedzą, że przekłety, chciwy krwi Anglik pali fajkę przy waszym ognisku?

–Gdzież jest ten Anglik, którego Delawarzy się boją? – odparł Twarde Serce. – Kto jest tym śmiertelnym wrogiem mego wielkiego ojca?

–Długa Strzelba!

Na to słynne nazwisko Delawarzy drgnęli. Ich zdumienie zdradziło, że nie wiedzieli o pobycie u nich człowieka słynnego wśród indiańskich plemion sprzymierzonych z Francuzami.

–Co mój brat ma na myśli? – zapytał stary wódz zdziwionym tonem, niezwykłym u zawsze zrównoważonych Delawarów.

–Huron nigdy nie kłamie – chłodno odrzekł Magua. – Niech Delawarzy przeliczą jeńców; na pewno znajdą jednego, którego skóra nie jest ani biała, ani czerwona.

Narada trwała krótko, a gdy się skńczyła, ogólne poruszenie zdradziło, że zaraz nastąpi uroczyste zebranie całego plemienia. Podobne zebrania odbywały się rzadko, a zwoływano je tylko

w wypadkach nadzwyczajnej wagi. Chytry Huron, który cały czas siedział na uboczu jako przebiegły i milczący obserwator, zorientował się, że teraz nadeszła chwila, kiedy musi doprowadzić swe zamysły do końca. Wyszedł więc z chaty i w milczeniu udał się na plac przed obozowiskiem, gdzie już zbierali się wojownicy.

Minęło z pół godziny, zanim zeszli się tam wszyscy Delawarzy z kobietami i dziećmi. Ten czas zeszedł im na poważnych przygotowaniach, niezbędnych przy tak uroczystym i niezwykłym zebraniu. Ale kiedy słońce stanęło nad szczytem góry, u podnóża której Delawarzy rozbili swe obozowisko, większość zebranych siedziała już na miejscach. A gdy promienie słońca przebiły się przez korony drzew zdobiących szczyt góry, padły na skupiony, uważny i ciekawy tłum Delawarów. Liczba zebranych przekraczała tysiąc ludzi.

Stary wojownik, który winien był zagaić zebranie, siedział w milczeniu i jakby się ugiął pod ciężarem sprawy, którą mieli rozważyć. Zwłoka trwała niezwykle długo, ale nawet najmłodszy chłopiec nie okazał zniecierpliwienia. Czasem jednak czyjś wzrok odrywał się od ziemi, a niemal wszyscy się w nią wpatrywali, i wędrował ku samotnej chacie, która różniła się od innych tylko lepszym zabezpieczeniem od niepogody.

Wreszcie rozległ się głuchy szmer – który, jak wiemy, często daje się słyszeć na tłumnych zgromadzeniach – i wszyscy jak na komendę powstali. Drzwi chaty rozwarły się. Wyszło trzech mężczyzn i wolnym krokiem skierowało się na plłkce zebrań. Wszyscy byli bardzo starzy, starsi od najstarszego z zebranych, a ten, który szedł pośrodku wspierając się na swych towarzyszach, osiągnął wiek rzadki dla zwykłego śmiertelnika. Ongiś wysoki i prosty jak cedr, teraz garbił się pod ciężarem swych stu z górą lat. Stracił już lekki, sprężysty chód Indianina, i z trudem, krok za krokiem postępował naprzód. Jego ciemna, pomarszczona twarz dziwnie kontrastowała z białymi, opadającymi na ramiona włosami, tak długimi i gęstymi, że zapewne nie obcinano ich od wielu, wielu lat.

Ubiór tego patriarchy – albowiem tak trzeba nazwać tego starca dla jego sędziwego wieku, pochodzenia i wpływów w plemienu – był bogaty i wspaniały, choć podobny do zwykłego stroju Delawarów. Uszyto go z najpiękniejszych skór, oczyszczonych z włosa

po to, by symbolicznie przedstawić na nich różne czyny bojowe, jakich starzec dokonał za młodu. Na jego piersi widniały- liczne medale, niektóre z masywnego srebra, a parę – ze złota. Były to dary chrześcijańskich władców, ofiarowane mu w czasie jego długiego życia. Również ze złota były bransoletki, które nosił na kostkach nóg. Na głowie, nie golonej, bo już od dawna przestał być wojownikiem, miał coś w rodzaju posrebrzanego diademu, upiękzonego jaśniejszymi, choć mniej wartościowymi klejnotami. Skrzyły się one w pęku nisko opadających, połyskujących trzech strusich piór, ufarbowanych na czarno. Ten czarny kolor silnie kontrastował ze śnieżną białością włosów starca. Jego tomahawk niemal ginał w srebrze, a rękojeść noża błyszczała jak róg z kutego złota.

Po pierwszym entuzjastycznym poruszeniu, wywołanym widokiem uwielbianego starca, tłum począł sobie szeptem podawać imię: Tamenund. Magua już nieraz słyszał o tym mądrym i prawym Delawarze, tak sławnym, że przypisywano mu nawet obcowanie z Wielkim Duchem. Dlatego też wódz Huronów wysunął się o parę kroków naprzód, by dobrze się przyjrzeć twarzy człowieka, którego słowo miało zadecydować o jego planach.

Starzec miał oczy zamknięte, jakby zmęczył je widok egoistycznych namiętności ludzkich, na które patrzył przez tyle długich lat. Kolorem twarzy różnił się od większości otaczających go Indian. Jego cera miała odcień żywszy i ciemniejszy. Odcień ten nadawały jej delikatne i splecione linie pięknego tatuażu, który pokrywał niemal całe ciało. Obojętnie, jakby nie widział Hurona, choć ten wysunął się naprzód i w milczeniu nań patrzył, starzec, wsparty na swych dwóch czcigodnych towarzyszach, wszedł na podniesienie, gdzie zebrali się wodzowie, i siadł pośród swego plemienia z godnością monarchy i miną ojca.

Z uczuciem najgłębszej czci i miłości zebrani powitali niespodziewane zjawienie się człowieka, który nie należał już do tego świata. Po dość długiej chwili milczenia najwybitniejsi wodzowie wstali i podchodząc kolejno do starca, z szacunkiem kładli sobie jego rękę na głowie, jakby go prosili o błogosławieństwo. Młodszy zadowalali się dotknięciem jego ubioru albo przysuwali się bliżej, by chociaż odetchnąć tym samym powietrzem, którym oddychał ten sędziwy, sprawiedliwy i dzielny mąż. Na to jednak odważali się tylko naj-

wybitniejsi z młodych wojowników. Reszta zebranych czuła się szczęśliwa, gdy mogła patrzeć na uwielbianego patriarchę. Wodzowie po złożeniu hołdu starcowi wrócili na miejsca. Znowu zapanowała cisza. Po krótkiej chwili jeden ze starców towarzyszących Tamenundowi szepnął coś kilku młodym wojownikom. Wstali i opuścili zebranie. Weszli do chaty, która przez cały ranek budziła tak wielkie zainteresowanie. Po paru minutach wrócili prowadząc na sąd ludzi, którzy byli

**powodem tego uroczystego zebrania. Tłum się rozstał i przepuścił ich, a potem znów się zamknął, tworząc obszerne, zwarte półkole.**

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

## DZIEWIĄTY

Zgromadzeni usiedli, dumnie

wznosząc głowy,

Achilles zaś do króla tymi

zaczął słowy:

Iliada według P o p e ' a

Kora, czule splótłszy ręce z rękami Alicji, stała na przedzie. Dzielna i szlachetna dziewczyna nie zwracała uwagi na groźne szeregi Indian. Nie myślała o sobie, lecz nie odrywała wzroku od poblądłej i drżącej z trwogi Alicji. Tuż przy nich stał Heyward. W tej niebezpiecznej chwili tak samo bał się o Korę, jak i o Alicję, którą tak bardzo kochał. Sokole Oko z szacunku dla swych godniej-szych towarzyszy – a o tym szacunku nie zapomniał, choć los ich zrównał – stanął nieco z tyłu. Unkasa między nimi nie było.

Kiedy tłum znów się uciszył, po dość długiej i wymownej pauzie jeden ze starych wodzów siedzących przy boku patriarchy wstał i głośno zapytał po angielsku:

–Który z moich jeńców nazywa się Długa Strzelba?

Ani Duncan, ani Sokole Oko nie odpowiedzieli na to pytanie. Duncan przesunął wzrokiem po ciemnych i niemych twarzach zebranych Indian i mimo woli cofnął się o krok, gdy zobaczył złe oblicze Maguy. Od razu zrozumiał, że istnieje jakiś tajemniczy związek między zebraniem Delawarów, na które ich wezwano, a tym Indianinem. Postanowił za wszelką cenę przeszkodzić mu w jego złych zamiarach. Był już świadkiem doraźnej kary wymierzonej przez Indian i teraz bał się o swego towarzysza. Czas naglił i nie było chwili do namysłu, bez wahania postanowił więc ratować swego nieocenionego przyjaciela, nawet za cenę własnego życia. Zanim jednak zdążył się odezwać, Indianin powtórzył pytanie głośniejszym i dobitniejszym głosem.

249

–Dajcie nam broń i pozwólcie odejść do tego lasu, a nasze czyny odpowiedzą za nas – dumnie odparł Heyward.

–A więc to jest ten słynny wojownik, którego imię wciąż mamy w uszach – rzekł wódz. Ciekawie patrzył na Heywarda, jak każdy, kto po raz pierwszy widzi człowieka,



który swą głośną sławę zawdzięcza zasługom lub przypadkowi, cnotom lub zbrodni.

– Co sprowadza białego do obozu Delawarów?

–Potrzeba. Przyszedłem, bo szukałem żywności, schronienia i przyjaciół.

–To być nie może. Lasy są pełne zwierza. Skrawek czystego nieba wystarczy wojownikowi za dach nad głową. A Delawarzy są wrogami Anglików, nie ich przyjaciółmi. Nie! To mówiły twoje usta. Serce milczało.

Duncan nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć, ale zwiadowca, który słuchał uważnie, wystąpił teraz naprzód.

–Jeżeli nie odezwałem się, gdy pytano o Długą Strzelbę – powiedział – to nie przez tchórzostwo czy Wstyd. Człowiek uczciwy bowiem nie potrzebuje się ani bać, ani wstydić. Chodziło mi zaś o to, że nie przyznaję Mingom prawa nadawania mi nazwiska. Mam bowiem przyjaciół, którzy świetnie znają moje talenty. Na dobitek nazwisko jest fałszywe: Postrach Zwierząt ma gwintowaną lufę, a więc nie jest strzelbą. Mój ród nadał -mi imię Nataniel. Delawarzy mieszkający nad własną rzeką zaszczytli mnie nazwiskiem Sokole Oko, a Irokezi, nie pytając mnie o zdanie, choć jestem w tym najbardziej zainteresowany, ośmielili się przezwać mnie Długą Strzelbą.

Indianie, którzy dotychczas z ciekawością przyglądali się Duncanowi, od razu zwrócili oczy ku prostej, jak wykutej z żelaza postaci człowieka roszczonego sobie pretensję do tak chlubnego nazwiska. Nie było nic dziwnego w tym, że aż dwóch ludzi ubiegało się o podobny zaszczyt. Wśród Indian, wprawdzie rzadko, lecz trafiali się samozwańcy. Ale surowi i sprawiedliwi Delawarzy chcieli uniknąć pomyłki. Paru starych wodzów naradziło się między sobą i najwidoczniej postanowiło dokładnie wypytać Maguę.

–Mój brat powiedział, że wąż wkradł się do naszego obozowiska – zwrócił się do niego najstarszy z wodzów. – Któryż z nich jest tym wężem?

Magua wskazał na zwiadowcę.

–Czy mądry Delawar uwierzy szczekaniu wilka? – zawołał Duncan, teraz już zupełnie pewny, że Magua knuje coś złego. – Pies nigdy nie kłamie, lecz odkąd to wilk mówi prawdę?

Oczy Maguy błysnęły ogniem, ale przypomniał sobie, że musi zachować spokój, i bez słowa, pogardliwie odwrócił się. Był pewny, że przenikliwość Indian pomoże mu dowieść prawdy. I nie zawiódł się, bo po krótkiej naradzie Delawar w oględnych słowach obwieścił mu postanowienie wodzów.

–Mego brata nazwano kłamcą – powiedział. – Rozgniewało to jego przyjaciół i chcieliby dowieść, że mówił prawdę. Dajcie więc jeńcom strzelby i niech pokażą, który z nich jest Długą

Strzelbą.

Magua, chociaż doskonale wiedział, że decyzję wodzów podyktowała nieufność do niego, udał, że bierze ją za dobrą monetę, i znakiem wyraził zgodę. W gruncie rzeczy był przekonany, że tak wspaniała strzelec jak zwiadowca bystrością oka dowiedzie prawdy jego słów. Indianie przynieśli broń, dali ją współzawodniczącym przyjaciołom i kazali im strzelać ponad głowami siedzących do glinianego garnka stojącego na pniu drzewa o jakieś pięćdziesiąt jardów od nich.

Duncan śmiał się w duchu na myśl o tym pojedynku, ale postanowił obstawać przy swoim, dopóki nie wyjaśni prawdziwych zamiarów Maguy. Przyłożył więc broń do ramienia, zmierzył trzy razy i wystrzelił. Kula trafiła w drzewo o parę centymetrów od garnka. Indianie chóralnym okrzykiem uznania przyjęli ten celny strzał i wyrazili podziw dla Duncana. Nawet Sokole Oko skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że spodziewał się czegoś znacznie gorszego. Zdawało się, że chce się poddać bez walki. Z minutę stał oparty o strzelbę, jakby się nad czymś głęboko, zamyślił. Jeden z młodych Indian, ten sam, który przyniósł broń, dotknął jego ramienia i budząc go z zadumy powiedział łamaną angielszczyzną:

–Czy blada twarz trafi w garnek?

–Huronie! – zawołał zwiadowca. Prawą ręką lekko jak trzcinę unióś krótką strzelbę i pogroził nią Przebiegłemu Lisowi. – Tak, Huronie, teraz mógłbym cię zabić i żadna siła nie zdołałaby temu przeszkodzić. Sokół kołujący nad gołębiem nie jest tak pewny zdobyczy jak ja twej śmierci, gdybym zechciał wpakować ci kulę

w serce! Czemu nie miałbym tego zrobić? Czemu?... Bo nie pozwalają mi na to cnoty białego, a poza tym mógłbym ściągnąć nieszczęście na delikatne i niewinne główki. Jeżeli więc wierzysz w Boga, podziękuj Mu w głębi duszy, boś mówił prawdę.

Pałające gniewem oblicze zwiadowcy, jego wzrok i wyprostowana postać zaniepokoiły Delawarów. Z zapartym oddechem czekali, co będzie dalej, a Magua, choć nie ufał uspokajającym słowom swego wroga, stał wciśnięty w tłum, nieruchomy i spokojny, jak wrośnięty w ziemię.

–Traf – powtórzył młody Delawar.

–Trafić? W co, durniu?! W co? – zawołał Sokole Oko, wciąż gniewnie wywijając strzelbą nad głowami, mimo że już nie patrzył na Maguę.

–Jeżeli biały człowiek jest wojownikiem, za którego się podaje, niech trafi jeszcze bliżej celu – rzekł stary wódz.

Zwiadowca roześmiał się tak głośno, że Heyward aż się wzdrygnął. Potem niedbale przerzucił broń do lewej, wyprostowanej ręki, a strzelba wypaliła przy tym jakby pod wpływem wstrząsu. Zaraz po strzale wszyscy usłyszeli łoskot padającej strzelby, którą zwiadowca niedbale odrzucił, i ujrzeni, jak rozleciał się garnek trafiony kulą.

Tłum w pierwszej chwili oniemiał z zachwytu. Potem głuchy, narastający pomruk przeleciał po nim i rozrósł się w gwar sprzeczki. Niektórzy otwarcie podziwiali niezwykłą zręczność strzelca, większość jednak uważała, że celny strzał był dziełem przypadku. Heyward co prędzej poparł pogląd dla niego korzystny.

–To był przypadek! – wołał. – Nie można trafić nie celując!

–Przypadek!:- powtórzył podniecony zwiadowca i tak się zaperzył, że nie zwracał uwagi na błagalne znaki Heywarda. – Czy ten kłamliwy Huron też powie, że to przypadek? Dajcie i jemu strzelbę, postawcie nas naprzeciw siebie, a Bóg i niezawodne oko rozstrzygną nasz spór! Nie mówię o panu, majorze, bo jesteśmy tej samej krwi i służymy jednemu władcy.

–Huron kłamie, to jasne – spokojnie odparł Heyward. – Sam pan słyszał, jak mówił, że to pan jest Długa Strzelba.

Trudno przewidzieć, co by zrobił uparty zwiadowca, który teraz zapamiętał obstawiał przy nadanym mu przez Irokezów nazwisku, gdyby stary Delawar znów się nie wtrącił.

–Sokół, spadając z obłoków, może wzbić się, kiedy zechce – powiedział. – Dajcie im strzelby.

Tym razem zwiadowca łapczywie chwycił strzelbę, a Magua, który spod oka uważnie śledził jego ruchy, nie bał się o celność drugiego strzału.

–A więc dowiedzmy zebranych tu Delawarom, który z nas jest lepszym strzelcem – powiedział zwiadowca i palcem, którym oddał już tyle śmiertelnych strzałów, stuknął w kolbę strzelby. – Czy widzi pan, majorze, tę tykwę, tam na drzewie? A więc jeżeli jest pan naprawdę strzelcem takim, jakim się powinno być na pograniczu, niech pan rozbije tę tykwę na kawałki.

Duncan spojrział na cel i przygotował się do próby. Była to zwykła mała tykwa indiańska. Wisiała na rzemieniu z jeleniej skóry zaczepionym o suchą gałąź niedużej sosny, o jakieś sto jardów od niego. Ambicja to dziwne uczucie: młody żołnierz zapomniał, że gra idzie tu nie o pochwałę dzikich sędziów, lecz po prostu zawział się i postanowił zwyciężyć. Widzieliśmy już, że był niezłym strzelcem. Teraz zebrał się w sobie i celował tak starannie, jakby jego życie zależało od tego strzału. Wreszcie wystrzelił, a trzech młodzi indiańscy chłopcy, którzy pobiegli do celu, głośnym krzykiem oznajmili, że kula trafiła w drzewo tuż obok tykwy. Wojownicy krzyknęli radośnie i pytająco spojrzeli na zwiadowcę.

–Jak na żołnierza Amerykańskich Strzelców Królewskich wcale dobrze – powiedział Sokole Oko śmiejąc się serdecznie i jak zwykle cicho. – Ale gdybym ja tak z mego sztucera trafił obok celu, wiele kun z damskich mufek biegałoby jeszcze po lesie. Spodziewam się, że właścicielka tej tykwy ma jeszcze jedną w zapasie, bo z tej nie będzie już miała pociechy.

Mówiąc to podsypał prochu i odciągnął kurek, a gdy był gotów, odstawił nogę w tył i zaczął powoli unosić lufę ruchem jednostajnym, pewnym i spokojnym. Gdy wylot lufy znalazł się na wprost celu, zastygł w bezruchu, jakby wraz ze swą bronią zmienił się w posąg z kamienia. W tej chwili z lufy trysnął jasny płomień. Chłopcy znów podbiegli do drzewa, lecz z ich gorączkowych poszukiwań i rozczarowanych min widać było, że nie znaleźli śladu kuli.

–Odejdź, wilku w psiej skórze – z wyraźną niechęcią rzekł

stary wódz do zwiadowcy. – Chcę mówić z Długą Strzelbą Jen-gizów.

–Ach, gdybym miał swój sztucer, który zdobył mi to nazwisko, przeciąłbym kulą ramię i tykwa spadłaby nietknięta – odparł Sokole Oko, nic sobie nie robiąc z niechęci Indianina. – Hola, głupcy! Jeśli chcecie znaleźć kulę dobrego strzelca, szukajcie jej w celu, a nie obok.

Młodzi Indianie zrozumieli go, bo mówił po delawarsku. Ściągnęli tykwę, podnieśli ją wysoko i z radosnym krzykiem pokazali dziurę, którą kula przebiła w dniu po przejściu przez dziobek. Na tę niespodziankę wojownicy wybuchnęli głośną i niepohamowaną radością. Strzał zadecydował w sporze i przywrócił zwiadowcy jego groźną sławę. Indianie, którzy początkowo nie spuszczała oka z Heywarda, teraz ciekawie patrzyli na ogorzałą twarz zwiadowcy, ku niemu bowiem zwróciła się uwaga i podziw tych prostych i szczerych ludzi. Gdy wrzawa nieco ucichła, stary wódz znów podjął badanie.

–Czemu chciałeś zatkać moje uszy? – zapytał zwracając się do Duncana. – Czyś myślał, że Delawarzy to głupcy i nie odróżnią młodej pantery od kota?

–Przekonają się jeszcze, że ten Huron to skrzecząca sroka – odparł Duncan usiłując mówić obrazowo jak Indianie.

–Dobrze. Zobaczymy, kto potrafi zamknąć uszy mężczyzn. Bracie – powiedział wódz spoglądając na Maguę – Delawarzy cię słuchają.

Magua, wezwany do zabrania głosu, ruszył z miejsca i godnie, z rozwagą wszedł w sam środek koła. Tu stanął twarzą w twarz z jeńcami, w postawie mówcy. Bojaźliwie skuloną Alicję ledwie raczył zauważyć, lecz na śmiałą, wyniosłą i piękną Korę patrzył dłużej, z uczuciem, które trudno byłoby określić. Wreszcie pożerany pragnieniem spełnienia swych niecnych zamysłów przemówił w języku używanym w Kanadzie i jak wiedział, zrozumiałym dla większości słuchaczy.

–Wielki Duch, który stworzył ludzi, dał im różne barwy skóry – zaczął przebiegle. – Jedni są czarniejsi od ospałego niedźwiedzia. Tym kazał być niewolnikami i muszą ciężko pracować jak bobry. Nad brzegiem wielkiego słonego jeziora, kiedy dmie wiatr południowy, a olbrzymie łodzie przewożą i zabierają stada

tych niewolników, możecie usłyszeć ich jęki głośniejsze od ryku bawołu. Innym znów dał Wielki Duch twarze bielsze od leśnych gronostajów. Tym kazał być kupcami, psami swych kobiet i wilkami swych niewolników. Dał im naturę gołębia: niestrudzone skrzydła, potomstwo liczniejsze od liści na drzewach i taką żarłoczność, że gotowi by połknąć całą ziemię. Dał im też języki pełne fałszu jak miauczenie dzikiego kota, serca królicze, chytrość świni, nie lisa, i ręce dłuższe od nóg łosia. Ci ludzie swym językiem zatykają uszy Indian. Ich serce uczy ich najmować sobie wojowników. Ich chytrość mówi im, jak zdobyć bogactwa ziemi, a ramiona obejmują tę ziemię od brzegów słonej wody po wyspy na wielkim jeziorze. Chorują z obżarstwa, bo Bóg wprawdzie dał im dość, ale oni chcą zjeść wszystko. Takie są blade twarze. A niektórych Wielki Duch stworzył ze skórą połyskliwą i czerwienią od tego słońca – ciągnął dalej, wymownym ruchem wskazując w górę na przyćmione słońce, mozolnie wędrujące po zamglonym niebie. – Tych ulepił na wzór siebie. Dał im też tę ziemię, jak ją stworzył: zalesioną i pełną zwierzyny. Wiatr karczował im drzewa, w słońcu i deszczu dojrzewały im plony, a śnieg spadał po to, by umieli być wdzięczni. Po co były im drogi, dla jakich podróży? Widzieli przez góry. Leżeli w cieniu i przyglądali się pracy bobrów. Latem chłodził ich wiatr, w zimie grzały skóry zwierzęce. Walczyli z sobą, by dowieść, że są odważni. Byli dzielni, sprawiedliwi i szczęśliwi. Tu przerwał i raz jeszcze spojrzął wkoło, by się przekonać, czy tą opowieścią pozyskał sobie serca słuchaczy. Wszędzie widział utkwione w niego oczy, wzniesione głowy, rozdęte nozdrza. Wydawało się, że każdy z jego słuchaczy gotów jest sam jeden naprawić krzywdy, jakich doznało jego plemię.

–Jeżeli Wielki Duch kazał swym czerwonoskórym dzieciom mówić różnymi językami – smętnym półgłosem ciągnął Magua – to uczynił tak dlatego, aby zrozumiały je wszystkie zwierzęta. Niektóre z tych dzieci umieścił pośród śniegów obok ich krewnego – niedźwiedzia, innym kazał żyć w pobliżu zachodzącego słońca, po drodze do pól szczęśliwych łowów. Inni znów żyją w kraju nad słodkimi wodami, ale najliczniejszych, tych, których ukochał, osadził na piaszczystym brzegu słonego jeziora. Czy moi bracia wiedzą, jak nazywa się ten lud wybrany?

–Lenapowie! – jednocześnie zawołało ze dwadzieścia głosów.

–Tak, to byli Lenni Lenapowie – powtórzył Magua i z szacunkiem schylił głowę, jakby składał hołd ich dawnej wielkości. – To były plemiona Lenapów. Słońce wstawało ze słonej wody, zapadało w słodką i nigdy nie schodziło im z oczu. Lecz czemu to ja, Huron z puszczy, opowiadam temu mądrym narodowi jego własne podania? Czemu miałbym przypominać mu jego krzywdy, dawną wielkość, wspaniałe czyny, sławę i szczęście, straty, klęski i biedę? Czyż żaden z was tego nie widział, nie wie, że to prawda? Gdy Magua nagle skończył, wszystkie oczy i twarze jak na komendę zwróciły się ku otoczonemu powszechną czią Tamenun-dowi. Starzec, od chwili gdy usiadł, nie otworzył ust i nie dał znaku życia. Siedział słaby, przygarbiony wiekiem i zdawał się nawet nie widzieć pojedynku na strzelby, w którym zwiadowca tak wspaniale dowiódł swej zręczności we władaniu bronią palną. Lecz później najwidoczniej do jego świadomości dotarł umiejętnie tonowany głos Maguy, bo począł zdradzać zainteresowanie i parę razy nawet uniósł głowę, jakby uważnie słuchał. A kiedy zręczny Huron po imieniu nazwał jego plemię, starzec uniósł powieki i spojrzał na zebrany tłum martwym wzrokiem widma. Zebrał siły i wstał podtrzymywany przez swych dwóch towarzyszy. Chwiał się z osłabienia, a jednak jego dumna, majestatyczna postać budziła szacunek i nakazywała posłuch.

–Kto tu mówi o dzieciach Lenapów – powiedział głębokim, gardłowym głosem, który donośnie brzmiał w grobowej ciszy tłumu. – Kto wspomina przeszłość? Po co mówić Delawarom o minionym szczęściu? \*

–To Wyandot – odparł Magua podchodząc do prymitywnego podniesienia, na którym stał starzec – przyjaciel Tamenunda.

–Przyjaciel! – powtórzył Indianin i groźnie zmarszczył brwi, co przywróciło jego oczom część tej surowości, z której sływał, gdy był w pełni sił. – Czy Mingowie zawładnęli już całą ziemią? Czego od nas chce Huron?

–Żąda sprawiedliwości. Przyszedł po swą własność. Po jeńców, których ma u swych braci.

Tamenund skłonił głowę ku jednemu z wodzów, którzy go podtrzymywali, i wysłuchał krótkiego wyjaśnienia. Potem znów odwrócił się do Maguy i przyjrzał mu się bardzo uważnie. Po chwili powiedział cicho i niechętnie:

–Sprawiedliwość to prawo Wielkiego Manitou\*. Dzieci moje, nakarmcie przybysza, a potem, Huronie, zabierz, co twoje, i odejdz. Wydawszy ten uroczysty wyrok zgrzybiały starzec znów usiadł i zamknął oczy, jakby się lepiej czuł obcując ze wspomnieniami niż z otaczającą go rzeczywistością. Żaden z Delawarów nie odważył się nawet otworzyć ust, a cóż dopiero przeciwstawić się woli starego wodza. Pięciu młodych wojowników otoczyło Heywarda i zwiadowcę. Zwinnie i szybko skrępowali im ręce. Heyward był tak zajęty wpółomdlałą Alicją, że nawet nie zauważył, jak się to stało. Zwiadowca zaś, który nawet wrogich sobie Delawarów uważał za plemię godne szacunku, poddał się bez sprzeciwu.

Zanim Magua przystąpił do wykonania swego planu, powiódł po zebranych triumfującym spojrzeniem. Widząc, że jeńcy są już bezsilni, spojrział na tę z branek, którą najwięcej sobie cenił. Kora odpowiedziała mu spojrzeniem tak spokojnym i nieulęklwym, że na chwilę się zmieszał. Ale zaraz przypomniał sobie swój poprzedni podstęp, porwał Alicję z rąk wojownika, który ją podtrzymywał, i skinąwszy rozkazująco na Heywarda, gestem nakazał tłumowi, aby ustąpił mu z drogi. Kora jednak, zamiast pobiec za nim, na co czekał, przypadła do nóg starego wodza i zawołała:

–Sprawiedliwy i czcigodny Delawarze, odwołujemy się do twej mądrości i władzy! Błagamy cię o litość. Nie słuchaj tego chytrego potwora bez czci i sumienia, który kłamstwami zatruwa twoje uszy, by zaspokoić żądzę krwi. Żyjąc tak długo, widziałeś wiele nieprawości tego świata i potrafisz ulżyć niedoli uciśnionych. Starzec uniósł ciężkie powieki i raz jeszcze spojrział z góry na tłum. Gdy do jego osłabionego słuchu dotarł błagalny, wstrząsający głos Kory, wolno odwrócił się ku niej i wreszcie zatrzymał na niej wzrok. Kora klęczała przed nim. Złożone dłonie mocno przycisnęła do piersi i oczami wzniesionymi w górę, podobna do pięknego posągu kobiety, z niemą czcią wpatrywała się w zwiędłe, lecz majestatyczne oblicze starca. Surowe rysy Tamenunda zmiękły; podziw zastąpił pustkę, a błysk tego potężnego ducha, który sto lat temu potrafił tchnąć młodzieńczy zapał w liczne plemię Dela-

Manitou, czyli Wielki Duch – imię indiańskiego boga, dobrego ducha.

17 – Ostatni Mohikanin



warów, rozjaśnił jego starczą twarz. Bez trudu wstał o własnych siłach i zapytał głosem niespodziewanie mocnym i dźwięcznym:

–Kim jesteś?

–Kobietą. Ze znienawidzonej rasy, jeśli chcesz wiedzieć. Z plemienia Anglików. Ale nigdy nie zrobiłam ci nic złego i nic złego nie zrobiłabym twemu ludowi, nawet gdybym mogła... A teraz błagam cię o ratunek.

–Powiedźcie mi, moje dzieci, gdzie obozują Delawarzy? – nie odrywając oczu od Kory ochryplym głosem zapytał starzec wodzów siedzących obok niego.

–W górach Irokezów, za przeźroczystymi źródłami Horicanu.

–Minęło wiele upalnych lat od czasu, gdy po raz ostatni piłem wodę z własnych rzek – ciągnął stary mędrzec. – Dzieci Minąuona\* są najsprawiedliwsze z białych, ale zawsze miały pragnienie, więc zabrały nam rzeki. Czy Jengizi pogonili za nami aż tutaj?

–Nie goniliśmy za nikim i niczego nie łakniemy. Wbrew naszej woli uprowadzono nas i oddano w wasze ręce. Prosimy tylko, abyśmy mogli w spokoju powrócić do swoich. Czyż nie jesteś Tamenundem... ojcem i sędzią, a nawet prorokiem tego narodu?

–Tak, jam jest Tamenund, który przeżył tyle lat.

–Siedem lat temu na granicy tej prowincji jeden z twoich wojowników znalazł się w mocy białego wodza. Zapewniał, że należy do rodu szlachetnego i sprawiedliwego Tamenunda., „Idź w pokoju” – powiedział biały. – "Przez wzgląd na twego ojca daruję ci życie". Czy pamiętasz nazwisko tego angielskiego wodza?

–Pamiętam, że gdy byłem beztroskim chłopcem – odparł mędrzec tonem starca, który wspomina dawne czasy – stałem na piaszczystym brzegu i patrzyłem na wielką łódź ze skrzydłami bielszymi od łabędzich i szerszymi od orlich, która nadpływała od wschodu słońca.

–Nie, nie. Nie mówię o tak dawnych czasach. Wspomniałam

Delawarzy nazywali Williama Penna Minąuonem, bo dla nich Penn był zawsze łagodny i sprawiedliwy. Jego prawość stała się nawet przysłowiowa. Amerykanin słusznie szczyli się swym pochodzeniem, bo podobnego nie znajdzie się w historii świata. Lecz Pensylwańczycy i Jerseyczycy mają więcej powodów do dumy ze swych przodków niż pozostali mieszkańcy Ameryki Północnej, w ich stanach bowiem nie

wyrządzono żadnej krzywdy Indianom – pierwotnym właścicielom tego kraju (przyp. autora).

**Penn William (1644-1718) – Anglik, kwakier, założyciel brytyjskiej kolonii Pensylwania w Ameryce Północnej.**

o łasce, jaką mój ojciec okazał twemu krewnemu za pamięci twych najmłodszych wojowników.

–Czy to było wtedy, kiedy Jengizi walczyli z Holendrami

o tereny łowieckie Delawarów? Wówczas Tamenund był wodzem

1 po raz pierwszy zamienił łuk na błyskawicę bladych twarzy...

–I nie wtedy – przerwała mu Kora. – O wiele później. Mówię o tym, co wydarzyło się wczoraj. Na pewno, na pewno

pamiętasz.

–Nie dalej jak wczoraj Lenapowie byli panami świata – podjął starzec ze wzruszającym patosem. – Ryby słonego jezora, ptaki, zwierzęta i Mingowie z puszczy uznawali w nich swych wielkich wodzów.

Kora, rozczarowana, spuściła głowę. Przez chwilę walczyła z gorzką rozpaczą. Lecz znów podniosła piękną twarz i patrząc pałającym wzrokiem na starca powiedziała głosem tak samo wzruszającym jak jego głos, już nie z tego świata:

–Powiedz mi, Tamenundzie, czy jesteś ojcem?

Tamenund spojrzał na nią z podniesienia, na którym siedział, i łagodny uśmiech rozjaśnił jego starczą twarz. Później powoli powiódł wzrokiem po zebranych i odpowiedział:

–Ojcem narodu.

–Dla siebie o nic nie proszę. Jak ty i twój lud, czcigodny wodzu, uginam się pod przekleństwem moich przodków – ciągnęła Kora, kurczowo przyciskając dłonie do serca. Z bólu pochyliła głowę tak nisko, że jej włosy opadające na ramiona, bujne, czarne, splątane i lśniące, niemal zakryły zapłonione policzki. – Ale oto ktoś, kto dotąd nie zaznał gniewu nieba. Córka starego i złamanego nieszczęściem człowieka, którego dni są policzone. Wiele, bardzo wiele ludzi kocha ją i zachwyca się nią... Jest za dobra... zbyt szlachetna, by paść ofiarą tego nędznika.

–Wiem, że blade twarze to rasa ludzi dumnych i nienasyconych. Wiem, że nie tylko chcą mieć wszystką ziemię na świecie, ale że i najgorszego spośród siebie uważają za lepszego od sachema czerwonoskórych. Ich psy i kruki – ciągnął ten najstarszy i najgodniejszy wódz Indian, nie zwracając uwagi na zranione uczucia Kory, która ze

wstydu coraz niżej chyliła głowę i już prawie dotykała nią ziemi – warczałyby i krakały, nim by pozwoliły kobiecie obcej krwi, nie tak białej jak śnieg, przekroczyć próg

ich wigwamu. Ale niech się zbyt głośno nie chełpią przed obliczem Manitou. Weszli do tego kraju od wschodu słońca, ale mogą wyjść od zachodu. Często widywałem, jak szarańcza pożerała liście drzew, które jednak potem zakwitły.

–To prawda – odparła Kora i ciężko westchnęła, jakby powracała do siebie z głębokiego odrętwienia. Uniosła głowę i odrzuciła w tył lśniąca włosy i z pałającymi oczami, które kontrastowały ze śmiertelną bladością twarzy, mówiła dalej: – Ale czemu... lepiej nie pytajmy o to. Jest tu jeszcze jeden z twego ludu, który nie stanął przed tobą. Więc zanim pozwolisz odejść triumfującemu Huronowi, jego wypytaj.

Jeden z wodzów towarzyszących Tamenundowi zauważył jego niepewne spojrzenie i rzekł:

–To wąż... czerwonoskóry na żołdzie Jengizów. Poddamy go torturom.

–Niech przyjdzie – odrzekł mędrzec.

I znów ciężko usiadł. A gdy paru młodych wojowników odeszło, by spełnić jego krótki rozkaz, zapadła tak głęboka cisza, że słyhać było wyraźnie szmer liści w puszczy, kołysanych tchnieniem lekkiego, rannego wietrzyka.

## ROZDZIAŁ

### TRZYDZIESTY

Jeśli mi przeczysz, plwam na wasze

prawo!

Czymże są wasze weneckie dekrety? Czekam na wyrok. Mów, czy go

otrzymam.

Kupiec wenecki

Żaden głos ludzki nie przerwał pełnej niepokoju ciszy. Tłum zakołysał się, rozstąpił i zamknął, gdy Unkas stanął w żywym pierścieniu ludzi. Oczy wszystkich, dotychczas ciekawie wpatrzone w surowe rysy mędrca – źródło ich mądrości – natychmiast zwróciły się ku Unkasowi. Z ukrytym podziwem Indianie przyglądali się jego smukłej, zwinnej i pięknej postaci. Młody Mohi-kanin stał niewzruszony, zupełnie obojętny i na sąd, który miał się nad nim odbyć, i na zaciekawienie, jakie wzbudził w tłumie. Bacznym i przenikliwym wzrokiem rozejrzał się wkoło. Z jednakowym spokojem patrzył na pochmurne i pełne nienawiści twarze wodzów i odpowiadał spojrzeniem na

spojrzenia dzieciarni. Ale kiedy nareszcie wyniosłym i badawczym wzrokiem dotarł do postaci Tamenunda, zatrzymał się na niej, jakby zapomniał o otaczającym go tłumie. Po chwili wolnym i cichym krokiem podszedł do mędrca i stanął u jego podnóżka. Stał i pilnie przyglądał się staremu człowiekowi, który go nie widział. Wreszcie jeden z wodzów powiedział starcowi, że jeńca już sprowadzono.

–W jakim języku jeńiec mówi z Manitou? – zapytał Tamenund nie unosząc powiek.

–W takim, jakim mówili jego ojcowie – odparł Unkas. – W języku Delawara.

Po tym niespodziewanym oświadczeniu przez tłum przeleciał głuchy pomruk – można by rzec – ryk podrażnionego lwa, złowróźbny znak budzącego się gniewu. Na mędrca słowa Unkasa

21 ii

podziały równie silnie, choć inaczej okazał swe uczucia. Ręką przysłonił oczy, jakby się bronił przed haniebnym widokiem, i gardłowym, niskim głosem powtórzył odpowiedź jeńca.

–Delawar! Dożyłem chwili, kiedy ujrzałem Lenapów odpędzonych od ognisk narad i jak rozproszone stado jeleni błakających się po górach Irokezów. Widziałem, jak w dolinach siekiery przybyszów waliły lasy, których oszczędziły wichury i burze. Widziałem zwierzęta z gór i ptaki znad puszczy żyjące w wigwamach człowieka. Ale nigdy nie widziałem Delawara tak nikczemnego, by jak żmija wśliznął się do obozowiska swego narodu.

–Śpiewające ptaki otworzyły dzioby, a Tamenund usłyszał ich świergot – odparł Unkas najbardziej śpiewnym tonem swego melodyjnego głosu.

Mędrzec drgnął i przechylił głowę, jakby chciał pochwycić przelotne dźwięki jakiejś przebrzmiałej melodii.

–Czy Tamenund śni?! – zawołał. – Czyj to głos brzmi w jego uszach? Czy czas się cofnął? Czy lato znów powróciło do Lenapów?

Po tych gwałtownych i urywanych pytaniach proroka Delawarów zapadła uroczysta cisza. Delawarzy święcie wierzyli, że ten niezrozumiały wybuch Tamenunda należy przypisać jednemu z jego tajemniczych i częstych obcowań z Wielkim Duchem. Z trwogą w sercu czekali wyniku tego objawienia. Po chwili cierplivej ciszy jeden z wiekowych mężów widząc, że starzec zapomniał o jeńcu stojącym przed nimi, ośmielił się o nim przypomnieć.

–Fałszywy Delawar drży ze strachu przed wyrokiem Tamenunda – rzekł. – To pies, który radośnie szczeka, gdy Jengizi wskażą mu trop.

**–A wy jesteście psami, które merdają ogonami, gdy Francuz rzuci wam kość – odparł Unkas, groźnie rozglądając się wkoło.**

**Na tę obelgę i zasłużony zarzut dwudziestu wojowników podskoczyło do Unkasa i dwadzieścia obnażonych noży błysnęło w powietrzu. Lecz jeden z wodzów ruchem ręki powstrzymał ich i przywrócił spokój. Pewnie nie poszłoby mu to tak łatwo, gdyby nie Tamenund, który gestem wskazał, że znów chce mówić.**

**–Delawar – zaczął. – Nie jesteś wart tego imienia. Mój naród od wielu zim nie widział jasnego słońca, a wojownik, co porzucił swe plemię, gdy okrywały je ciemne chmury, jest podwójnym zdrajcą. Sprawiedliwe są prawa Manitou. Tak jest i tak**

będzie, dopóki rzeki płyną, góry stoją, a drzewa kwiln(i więiln.). Oddaję, go wam, moje dzieci. Wymierzcie mu spi. iwiedh wośe.

Słuchali w milczeniu z zapartym oddechem i aż do usi. itmi-Hu słowa tego wyroku nikt nawet nie drgnął. A potem, jakby / . pilnych ust, zerwała się burza mściwych okrzyków – okrutna zapowiedź bezlitosnej zemsty. Wśród długotrwałego i dzikiego wr/iisku jeden z wodzów donośnym głosem oznajmił, że jeńca skazano na straszną torturę ognia. Tłum rozpadł się i radosne okrzyki zmieszały się z gwarem towarzyszącym przygotowaniom do tortur.

Jeden z dzikich chwycił Unkasa za kołnierz myśliwskiej koszuli i jednym szarpnięciem zdarł mu ją z ciała. Potem, wyjąc w szalonej radości, doskoczył do Mohikanina, by go zaciągnąć na pal. Młody wódz wcale się nie bronił. Ale jego prześladowca nagle stanął, jakby sparaliżowała go jakaś. nadprzyrodzona siła, która wzięła Unkasa w obronę. Zdawało się, że Delawarowi oczy wyszły z orbit, szeroko otworzył usta i skamieniał ze zdziwienia. Powolnym ruchem uniósł rękę i wskazał palcem na pierś jeńca. Jego towarzysze w niemym zdumieniu skupili się koło niego. Ich oczy również nie odrywały się od małego wizerunku błękitnego żółwia, pięknie wytatuowanego na piersi jeńca.

Przez krótką chwilę Unkas cieszył się swym triumfem i ze spokojnym uśmiechem przyglądał się całej scenie. Potem władczym i wyniosłym ruchem rozsunał tłum, wystąpił naprzód i zagłuszając donośnym głosem pomruk podziwu, powiedział z miną króla:

–Mężowie plemienia Leni Lenapów! Mój ród dźwiga ziemię. Wasze słabe plemię stoi na moim pancerzu. Jakiż ogień rozpalony przez Delawarów zdoła spalić mych ojców? – dorzucił wskazując dumnie na herb wytatuowany na piersi. – Mój ród jest praojcem narodów!

–Ktoś ty? – zapytał Tamenund wstając na sam dźwięk głosu.

–Unkas, syn Chingachgooka – skromnie odparł jeńiec. Odwrócił się od tłumu i schylił głowę oddając cześć patriarsze. – Syn Unamisa\*.

–Nadchodzi ostatnia godzina Tamenunda! – zawołał mędrzec. – Nareszcie dzień chyli się ku schyłkowi. Dzięki ci, Manitou, że znalazł się ktoś, kto zajmie moje miejsce przy ognisku

U n a m i s – żółw (przyp. autora).



narad. Unkas, dziecię Unkasa, odnalazł się! Niech umierający orzeł spojrzy na wschodzące słońce.

Młodzieniec wbiegł lekko i dumnie na podwyższenie i ukazał się całemu podnieconemu tłumowi. Tamenund długo trzymał go w objęciach. Oczyma człowieka myślą zatopionego w szczęśliwej przeszłości uporczywie i badawczo przyglądał się pięknym rysom Unkasa.

–Czy Tamenund znów jest chłopcem?! – zawołał wreszcie oszołomiony odkryciem. – Może mi się tylko śniły te liczne zimy... mój naród rozwiany jak ruchome piaski... Jengizi liczniejsi niż liście na drzewach. Strzały Tamenunda już się nie ulęknie jelonek. Ramię Tamenunda zwiędło jak gałąź uschniętego dębu. Ślimak wyprzedzi go w biegu. Ale oto Unkas znów stoi przed nim jak wówczas, gdy razem szliśmy przeciw bladym twarzom. Unkas – pantera plemienia, najstarszy syn Lenapów, najmędrzy sagamore Mohikanów. Powiedzcie mi, Delawarzy, czy Tamenund przespał sto zim?

Głęboka cisza wymownie świadczyła o szacunku, z jakim powitano te słowa patriarchy. Nikt nie ośmielił się odpowiedzieć i każdy z zapartym oddechem czekał, co będzie dalej. Aż wreszcie Unkas, który z czułością i uwielbieniem ukochanego dziecka patrzył w twarz starca, przerwał tę ciszę uważając, że tak mu wypada z urodzenia i przyznanej mu godności.

–Czterech wojowników z jego rodu żyło i umarło od czasu, gdy przyjaciel Tamenunda powiódł swój naród do walki – powiedział. – Wielu wodzów miało krew Żółwia w sobie, ale wszyscy wrócili już do ziemi, z której powstali, z wyjątkiem Chingachgooka i jego syna.

–Prawda... prawda – odrzekł starzec. Nagle odżyło wspomnienie niedoli jego ludu i rozwiało radosne marzenia. – Nasi mędrcy często mówili o dwóch wodzach, czystej krwi potomkach wielkiego rodu żyjącego w górach Jengizów. Czemuż to ich miejsce przy ognisku Delawarów tak długo było puste?

Na te słowa Unkas uniósł głowę pochyloną z szacunkiem i powiedział mocnym głosem, tak by go słyszano w tłumie i raz na zawsze zrozumiano postępowanie jego przodków.

–Ongiś sypialiśmy tam, gdzie słyhać było gniewny głos słonego jeziora. Wtedy byliśmy wielkimi wodzami i władaliśmy

całym krajem. Ale kiedy blade twarze pokazały się nad brzegami każdego strumienia, wróciliśmy za zwierzem do rzek naszych ojców. Delawarzy odeszli. Tylko kilku wojowników pozostało, by pić z ulubionego źródła. Wówczas ojcowie moi powiedzieli: „Tu będziemy polowali. Wody rzeki płyną do słonego jeziora. Jeżeli pójdziemy ku zachodzącemu słońcu, znajdziemy rzeki płynące ku wielkim słodkim jeziorom. Tam Mohikanie zginą jak ryby morskie w słodkiej wodzie”. A wtedy Manitou powie: "Chodźcie, pójdziemy za rzeką ku morzu i odbierzemy, co było nasze". Oto, Delawarzy, wiara dzieci Żółwia. Oczy nasze spoglądają ku wschodzącemu słońcu, nie ku zachodzącemu. Wiemy, skąd ono przychodzi; ale nie wiemy, dokąd odchodzi.

Gdy Unkas skończył, ogarnął spojrzeniem milczący tłum stłoczony wokół podniesienia, na którym siedział Tamenund, i dopiero wówczas dojrzał spętanego zwiadowcę. Szybko zeskoczył z podniesienia i uTORował sobie drogę do przyjaciela. Tu błyskawicznymi i niecierpliwymi ruchami noża przeciął więzy krępujące zwiadowcę i skinął na tłum, by się rozstąpił. Indianie usłuchali w milczeniu i znów stanęli kołem. Unkas zaś ujął przyjaciela za rękę i podprowadził do stóp starca.

–Ojcie – powiedział – spójrz na tę bladą twarz. To sprawiedliwy człowiek, przyjaciel Delawarów i postrach Makaów.

–Jakie nazwisko zyskały mu jego czyny?

–My nazywamy go Sokolim Okiem dla jego bystrego wzroku – odparł Unkas wymieniając nazwisko używane przez Delawarów – ale śmierć, którą siał wśród ich wojowników, pozwoliła Mingom lepiej go nazwać. Dla nich jest on Długą Strzelbą.

–La Langue Carabine! – wykrzyknął Tamenund. Otworzył przy tym oczy i surowo spojrzał na zwiadowcę. – Mój syn pobłędził nazywając go przyjacielem.

–Nazywam go tak, bo nim jest – z zupełnym spokojem i pewną miną odparł młody wódz. – Jeżeli Delawarzy z radością witają Unkasa, to i Sokole Oko przyjmą jako przyjaciela.

–Blada twarz zabiła moich młodych wojowników. Zasłynęła z ciosów zadanych Lenapom.

–Mingo, który tyle napłócił w uszy Delawarów, dowiedział, że jest zwykłą sroką – odezwał się zwiadowca, który uznał, że nadszedł czas usprawiedliwienia się z hańbiących zarzutów. – Nie

zapieram się, że zabijałem Makaów, i nie zapałbym się tego nawet przed ich ogniskiem narad. Ale sprzeciwiałoby się to mej naturze, przyjaznej dla Delawarów, gdybym tą ręką świadomie skrzywdził któregoś z nich.

Cichy szmer uznania przeleciał przez tłum wojowników. Spojrzeli na siebie jak ludzie, którym otwarły się oczy.

–Gdzie jest Huron? – zapytał Tamenund. – Czy zatkał moje uszy?

Magua, którego uczucia na widok triumfu Unkasa łatwiej sobie wyobrazić niż opisać, śmiało wystąpił i powiedział:

–Sprawiedliwy Tamenund nie zatrzyma własności Hurona.

–Powiedz mi, synu mego brata – odparł mędrzec nie patrząc w ponurą twarz Maguy, lecz z miłością spoglądając na szczere oblicze Unkasa – czy przybysz ma do ciebie prawo zwycięzcy?

–Nie ma go. Pantera może wpaść w pułapkę zastawioną przez kobiety, ale jest dość silna i zręczna, by się z niej wyrwać.

–Długa Strzelba?

–Kpi sobie z Mingów. Huronie, zapytaj swe kobiety, jak wygląda prawdziwy niedźwiedź.

–A obcy i biała dziewczyna, którzy razem przybyli do mego obozu?

–Mają przed sobą wolną drogę.

–Kobieta, którą Huron pozostawił pod opieką moich wojowników?

Unkas milczał.

–A kobieta, którą Mingo sprowadził do mego obozu? – powtórzył Tamenund z wielką powagą.

–Jest moja! – krzyknął Magua, triumfalnie potrząsając ręką przed nosem Unkasa. – Mohikaninie, ty wiesz, że jest moja.

–Mój syn milczy – powiedział Tamenund. Starał się przy tym ze smutnej twarzy Unkasa, który się do niego odwrócił, odczytać, co go gnębi.

**–Huron mówi prawdę – stłumionym głosem odrzekł Unkas.**

**Krótką i pełną napięcia cisza wyraźnie wskazała, z jaką niechęcią tłum uznał słuszne żądanie Maguy. Wreszcie mędrzec, od którego zależała decyzja, powiedział twardym głosem.**

**–Odejdź, Huronie.**

**–Czy tak, jak przyszedłem, Tamenundzie – zapytał chytry**

**266**

**Magua – czy też z dowodem uczciwości Delawarów? Wigwam Przebiegłego Lisa jest pusty. Niech się zapełni tym, co należy do niego.**

**Starzec przez chwilę ważył coś w myślach, a potem schylił się do jednego z towarzyszących mu starych wojowników i zapytał:**

**–Czy moje uszy dobrze słyszały?**

**–Tak.**

**–Czy ten Mingo jest wodzem?**

**–Pierwszym w swym pleminiu.**

**–Więc czego chcesz, dziewczyno? Wielki wojownik bierze cię za żonę. Twój ród nie zginie.**

**–Niech lepiej zginie! Stokroć to lepsze od takiej hańby! – zawołała Kora z odrazą.**

**–Huronie, dziewczyna myślami jest w wigwamie swych ojców. Żona niechętna mężowi nie uszczęśliwi jego chaty.**

**–Mówi językiem swego narodu – odrzekł Magua z gorzką ironią, patrząc na Korę. – Pochodzi z rodu handlarzy i targuje się o przyjazne spojrzenie. Tamenundzie, powiedz ostatnie słowo.**

**–Weź wampum i zapewnienie naszej przyjaźni.**

**–Nie chcę nic prócz tego, co wam powierzyłem.**

**–A więc odejdź z twoją własnością. Wielki Manitou każe, aby Delawarzy byli sprawiedliwi.**

**Magua podszedł do Kory i mocno chwycił ją za ramię. Delawarzy odstąpili bez**

słowa, a Kora, jakby wiedziała, że opór na nic się nie zda, gotowa była pójść za nim.

–Chodź – dorzucił Magua i poufałym ruchem położył dłoń na jej ramieniu. – Idziemy.

Na ten obelżywy ruch Kora z kobiecą godnością cofnęła się. Jej ciemne oczy zapłonęły, a krew zaróżowiła skronie, jakby jasny promień zachodzącego słońca przesunął się po nich.

–Jestem twoją branką i kiedy nadejdzie czas, pójdę za tobą choćby na śmierć. Przemoc jest niepotrzebna – powiedziała spokojnie, po czym podeszła do Duncana podtrzymującego omdlałą Alicję i dalej mówiła tonem miękkim, w którym miłość walczyła z kobiecym wstydem. – Nie potrzebuję cię prosić, abyś dbał o skarb, który chcesz posiąść. Kochasz ją, Heywardzie, a to uczyniłoby cię ślepym na wady, nawet gdyby je miała. Jest tak dobra, miła, łagodna i czuła, jak tylko kobieta być może. Pochyliła się

nad Alicją, potem gorąco ucałowała ją, podniosła się i śmiertelnie blada, lecz z suchymi, rozgorączkowanymi oczami odwróciła się do Maguy i powiedziała wyniosłym tonem. – Teraz, sir, jestem gotowa pójść za tobą.

–Idź precz, Magua! – krzyknął Duncan oddając zemdloną Alicję jednej z indiańskich dziewcząt. – Precz, precz! Delawarom ich prawo zabrania cię zatrzymać, ale mnie... mnie to nie obowiązuje. Precz, wstrętny potworze... Na co jeszcze czekasz?

Trudno opisać twarz Maguy, gdy słuchał tych pogróżek. W pierwszej chwili jakby doznał szalonej radości, ale zaraz przybrał wyraz zimnego sprytu.

–Puszczaj stoł otworem. Szczodra Ręka może pójść za mną – odrzekł krótko.

–Stój! – krzyknął Sokole Oko chwytając Duncana za ramię i zatrzymując go siłą. – Nie zna pan chytryści tego szatana. Wciągnie pana w zasadzkę, a twoja śmierć...

–Huronie – nagle wtrącił się Unkas. Posłuszny zwyczajom swego narodu dotychczas z powagą pilnie przysłuchiwał się wszystkiemu. ¡ – Huronie, sprawiedliwość Delawarów to prawo Wielkiego Manitou. Spójrz na słońce. Stoi na wysokości górnych gałęzi tej sosny. Twoja droga jest otwarta i krótka. Kiedy słońce znajdzie się nad drzewami, wojownicy ruszą twoim śladem.

–Słyszę głos wrony! – zawołał Magua śmiejąc się szyderczo. – Precz! – dorzucił grożąc tłumowi, niechętnie rozstępującemu się przed nim. – Gdzie są spódnice Delawarów? Przyślijcie swe strzały i strzelby Wyandotom. Dostaniecie za nie mięsa i kukurydzy. Psy, tchórzliwe zające, złodzieje... Pluję na was!

W głuchej, złowieszczej ciszy słuchali Delawarzy tych pożegnalnych szyderstw. A triumfujący Magua bez przeszkód, chroniony przez święte u Indian prawo gościnności, wszedł w las wiodąc za sobą uległą brankę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Fluelen:

Jak to! Zabijać chłopców i pacholków! To jest fyraźnie przeciw prafu fojny!

¡ To straszne łotrostwo, pofiadam ci,

jakiego świat nie fidział.

Henryk V

Tłum stał skamieniały, jakby urzeczony tajemniczymi mocami, przyjaznymi Huronowi. Ale gdy Magua wraz ze swą branką zniknął Delawarom z oczu, ogarnął ich szalony gniew. Unkas stał nieruchomo na podniesieniu i patrzył za Korą, póki barwa jej sukienki nie stopiła się z zielenią drzew. Wtedy zszedł z podniesienia, bez słowa przeszedł przez tłum i zniknął w chacie, z której niedawno go wyprowadzono. Kilku poważniejszych i bardziej spostrzegawczych wojowników zauważyło, gdy ich mijał, gniewne błyski w jego oczach, i poszło za nim. Zaraz też odprowadzono do chat Tamenunda i Alicję, a kobietom i dzieciom kazano się rozejść. Przez następną, decydującą godzinę cały obóz przypominał rój podrażnionych pszczoł, czekających na swą królową, by poderwać się z nią do dalekiego i ważnego lotu.

Wreszcie z chaty Unkasa wyszedł młody wojownik. Wolno, jakby w uroczystym marszu, podszedł do karłowatej sosny rosnącej w szczelinie skalnego tarasu, zdarł z niej korę i bez słowa powrócił do chaty. Zaraz po nim wyszedł drugi wojownik, który ściał gałęsie z drzewa, pozostawiając tylko nagi pień. Trzeci Indianin pokrył go ciemnoczerwonymi pasami farby. Mężczyźni przyglądający się czynnościom, które mówiły o wojowniczych zamiarach wodzów, powitali je ponurym i złowrogim milczeniem. W końcu ukazał się Unkas, już bez myśliwskiej koszuli, tylko w pasie na biodrach i w krótkich spodniach. Twarz do połowy pokrywała mu groźna chmura czarnej farby.

Wolnym, godnym krokiem podszedł do słupa i miarowo począł krążyć wokół niego w jakimś pradawnym tańcu. Śpiewał przy tym głośno dziką i nierytmiczną pieśń wojenną. Melodia wznosiła się i opadała od najwyższych do najniższych granic ludzkiego głosu. Raz brzmiała smętnie i tak rzewnie, że przypominała śpiew ptaków. Potem zmieniała się nagle i głębokimi, silnymi tonami przyprawiała słuchaczy o dreszcz. Sama pieśń była skąpa w słowa – które zresztą powtarzały się często – i stopniowo przechodziła od jakby zaklęć czy hymnu na cześć bóstwa do krótkiego wyjaśnienia zamiarów wojownika. Kończyła się, podobnie jak i zaczęła, wezwaniem do Wielkiego Ducha i oddaniem się pod jego

opiekę.

Trzy razy powtórzył Unkas tę pieśń i trzy razy obszedł słup

w wojennym tańcu. Przy końcu pierwszego okrążenia jeden z poważnych i cieszących się ogólnym szacunkiem wodzów poszedł za przykładem Unkasa intonując własną pieśń, jednak o tej samej melodii. Wojownicy, jeden za drugim, dołączali się do nich, aż wszyscy wybitni Delawarzy znaleźli się w kole tańczących. Widowisko budziło grozę. Dzikie twarze wodzów nabierały wyrazu okrucieństwa, w miarę jak wytężając gardła podniecali się swym śpiewem. Gdy podniecenie doszło do szczytu, Unkas głęboko wbił tomahawk w nagi pień i wydał przeraźliwy okrzyk wojenny. Oznaczało to, że sam poprowadzi wyprawę.

**Na ten zew zbudziły się w Delawarach dzikie instynkty. Młodzi – około stu wojowników – którzy z szacunkiem dla starszych trzymali się z dala, tłumnie podbiegli do symbolicznego wroga i porąbali go na kawałki, odłupując szczapę po szczapie, aż wreszcie z drzewa pozostały tylko korzenie w ziemi. Wśród nieopisanego zgiewku poddano kawałki drzewa na j okrutniej szym torturom niczym prawdziwego wroga. Jedne skalpowano, inne zaciekle siekano tomahawkami, jeszcze inne dżgano nożami. Krótka mówiąc, objawy zapału i dzikiej radości były tak dobitne, że rychło stało się oczywiste, iż Delawarzy uznali wyprawę za wojnę narodową.**

**Unkas zadawszy cios drzewu wycofał się z koła i spojrzął na**

**słońce, które właśnie znalazło się w miejscu oznaczającym koniec zawieszenia broni z Maguą. Okrzyk bojowy, któremu towarzyszył wyrazisty gest, ogłosił o tym Delawarom. Podniecony tłum po-**



niechał symbolicznej wojny i z radosnymi okrzykami i wyciem począł się przygotowywać do prawdziwej walki.

Sokole Oko zbyt dobrze znał pieśń wojenną i przygotowania Indian, by się nimi interesować. Od czasu do czasu spoglądał tylko, ilu wojowników staje przy Unkasie i co są warci. Niebawem uspokoił się, widząc, że jest ich wielu, bo jak już powiedzieliśmy, młody wódz szybko zyskał zaufanie wśród wszystkich zdolnych do walki Indian. Gdy już się przekonał, że wyprawa dobrze się zapowiada, wysłał małego chłopca po Postrach Zwierząt i strzelbę Unkasa, które ukryli przed wejściem do obozu Delawarów. Postąpili tak z dwóch powodów: by nie oddać broni, gdyby ich uwięziono, i aby się zjawić wśród Indian w korzystnej dla nich roli ludzi prześladowanych i bezbronnych. Teraz zamiast pójść sam, wysłał chłopca po swą cenną broń. Uczynił to przez zwykłą sobie ostrożność. Wiedział, że Magua nie wyruszył sam do Delawarów i że jego szpiedzy czatują na skraju puszczy śledząc każdy ruch swych nowych wrogów. Gdyby więc sam poszedł po broń, czy wysłał kogoś z wojowników, mogłoby się to źle skończyć. Natomiast dla chłopca niebezpieczny był tylko powrót z bronią. Kiedy Hey-ward podszedł do zwiadowcy, ten z zimną krwią czekał na wynik swego podstępu.

Sprytny chłopak, dokładnie pouczony, co ma robić, i dumny z okazanego mu zaufania, z dziecięcą beztroską i wiarą w siebie popędził przez polanę i wbiegł w puszcę w pobliżu miejsca, gdzie leżały ukryte strzelby. Gdy znalazł się pod osłoną drzew i krzaków padł na ziemię. Widać było, jak jego smagłe ciało • niby wąż przewija się ku upragnionemu skarbowi. Szczęście mu dopisało: za chwilę z szybkością strzały pędził wąską polaną leżącą u stóp skalistej płaszczyny, na której rozbite było obozowisko Delawarów. Drogocenną zdobycz trzymał w rękach. Właśnie dobiegał do stromej skały i szybko, z nieprawdopodobną zręcznością począł się na nią wspinać, gdy wystrzał z lasu potwierdził przewidywania zwiadowcy. Chłopiec odpowiedział słabym, ale pogardliwym okrzykiem, na co zaraz wysłano za nim drugą kulę z innego punktu lasu. Ale chłopiec już się wdrapał n.i górę. Triumfalnie unosząc nad głową obie strzelby, ze zwycięsk.) miną biegł do słynnego myśliwego, który powierzył mu Uik •/.<iszczytne zadanie.

## Mammi

Mimo szczerego zainteresowania losem swego wysłańca Sokole Oko z radością odebrał z jego rąk Postrach Zwierząt i natychmiast zapomniał o całym świecie. Uważnie obejrzał sztucer, z piętnaście razy spuścił kurek, wypróbował zamek i dopiero potem troskliwie wypytał chłopca, czy nie jest ranny. Malec dumnie spojrzął mu w twarz i milczał.

**–Ach! Widzę, chłopcze, że kule łajdaków drasnęły ci ramię – powiedział zwiadowca podnosząc milczącej ofierze zranioną rękę, na której znać było głębokie draśnięcie. – Ale ugniecione liście olchy podziałają jak najlepsze zakłęcie. Tymczasem owinę ci ramię wstęgą wampumu. Wcześniej wszedłeś na drogę wojownika, dzielny chłopcze, i – zdaje się – zejdziesz do grobu z niejedną zaszczytną blizną. Znam sporo młodych wojowników, którzy zdobywali już skalpy, ale nie mają takiego znaku. Idź już, przyszedł wodzu – zakończył owinąwszy ramię malca.**

**Chłopiec odszedł. Przechadzał się między rówieśnikami budząc w nich podziw i zazdrość, a nawet najpróżniejszy dworzanin nie byłby tak dumny z purpurowej wstęgi orderu, jak on z przelanej krwi.**

**Tymczasem Unkas, spokojny, ale niecierpliwy, zebrał wodzów i podzielił siły. Przedstawił im Sokole Oko. Powiedział, że jest to doświadczony wojownik, który zasługuje na pełne zaufanie. A kiedy przyjęto go życzliwie, powierzył mu dowództwo nad dwudziestoma Indianami, jak on zręcznymi, obrotnymi i gotowymi na wszystko. Potem wyjaśnił Delawarom, jaką rangę w angielskim wojsku ma Heyward, i chciał mu zlecić równie ważne zadanie. Heyward jednak zgłosił się na ochotnika do oddziału zwiadowcy. Po wydaniu tych rozkazów Unkas podzielił funkcje i zadania między indiańskich wodzów, a że czas naglił, dał rozkaz wymarszu. Ponad dwustu ochotników usłuchało go z radością, choć w milczeniu.**

**Bez żadnych przeszkód weszli w puszczy. Nie spotkali żywego ducha, nikogo, kto by ich zaczepił lub też mógł im udzielić wiadomości. Wreszcie dotarli do linii własnego zwiadu. Tu się zatrzymali, a Unkas wezwał wodzów na cichą naradę.**

**Omówiono wiele planów, ale żaden nie odpowiadał zapalczywemu Unkasowi. Gdyby uległ swej gorącej krwi, bez namysłu powiódłby wojowników do ataku i rzucił wszystko na jedną kartę. Takie postępowanie sprzeciwiało się jednak zwyczajom i poglądom**

Indian. Więc choć nieustannie lękał się o Korę i dyszał nienawiścią do bezczelnego Maguy, choć buntował się w duchu i klął indiańską ostrożność, musiał ulec radom wojowników.

Po dość długich i bezowocnych naradach Indianie nagle ujrzeli jakiegoś mężczyznę, biegnącego od strony wroga z takim pośpiechem, jakby był parlamentariuszem. Ale o jakieś sto jardów od kryjówki Delawarów człowiek ten zawahał się, jakby nie wiedział, dokąd iść, i przystanął. Indianie spojrzeli na Unkasa i czekali na rozkazy.

–Sokole Oko – półgłosem powiedział młody wódz – ten człowiek musi zamilknąć na wieki.

–A zatem wybiła jego godzina – krótko zawyrokował zwiadowca. Wysunął przez liście długą lufę swego sztucera i celował uważnie. Ale zamiast pociągnąć za cyngiel, opuścił sztucer i roześmiał się cicho jak zwykle. – Wziąłem tego wariata za Minga. A to grzesznik ze mnie! – powiedział. – Ale gdy patrzyłem, pod które żebro wpakować mu kulę... Unkasie, czybyś pomyślał... dostrzegłem fujarkę psalmisty... A więc to Gamut. Jego śmierć nikomu na nic się nie zda, życie natomiast, jeśli potrafi nie tylko śpiewać, lecz i mówić, może się nam przydać. Da Bóg, że dźwięki nie straciły wartości dla tego poczciwego chłopca, wdam się więc z nim w rozmowę głosem, który będzie dlań przyjemniejszy od głosu Postrachu Zwierząt.

To mówiąc Sokole Oko odłożył sztucer i pod osłoną krzaków podpełzł do Dawida na odległość głosu. Tu usiłował powtórzyć ten sam śpiew, który tak pewnie i z honorem przeprowadził go przez wieś Huronów. Lecz trudno było oszukać wytrawny słuch Gamuta; od razu poznał, kto śpiewa, i poszedł za dźwiękiem głosu.

Zwiadowca ująwszy Dawida za ramię, pociągnął go w głąb lasu.

–Tu już jesteśmy bezpieczni – mówił wskazując na Unkasa i Indian. – No, opowiedzże nam teraz w uczciwym angielskim języku, co wymyślili przekłęci Mingowie.

Oniemiały Dawid wybałuszył oczy na otaczających go dzikich i okrutnych wojowników. Ale ośmielony widokiem znanych twarzy, szybko na tyle przyszedł do siebie, że mógł odpowiedzieć z sensem.

–Poganie wylegli licznie – mówił – i obawiam się, że w złych zamiarach. Godzinę temu wyli, wrzeszczeli i weselili się w swych

chatach, ku obrazie boskiej, tak okropnie, że – prawdę mówiąc – zmusiło mnie to do ucieczki i szukania spokoju u Delawarów.

–Niewiele byś pan skorzystał na tej zamianie, gdybyś był szybszy w nogach – sucho odparł zwiadowca. – Ale dajmy temu spokój. Gdzie Huroni są teraz?

–Czają się w puszczy między nami a ich wioską. A jest ich tylu, że lepiej będzie, jeśli zawrócicie z drogi.

Unkas rzucił okiem na drzewa, za którymi kryli się jego wojownicy, i zapytał:

–A Magua?

–Jest z nimi. Przeprowadził panią, która przebywała wśród Delawarów, zamknął ją w pieczarze i ruszył jak wściekły wilk na czele swych Indian. Nie wiem, co go mogło tak rozsierdzić.

–Mówisz, że zamknął ją w pieczarze? – przerwał mu Hey-ward. – Dobrze, że wiemy, gdzie jest. Co zrobić, by ją zaraz uwolnić?

Unkas spojrzał na zwiadowcę i zapytał:

–Co powie Sokole Oko?

–Daj mi dwadzieścia strzelb, a pójdę w prawo wzdłuż strumienia. Przejdę koło żeremi bobrów i połączę się z sagamore i pułkownikiem. Dam wam stamtąd znać o sobie okrzykiem bojowym. Wtedy, Unkasie, ruszysz na nich z frontu. Gdy zbliżymy się do nich na odległość strzału, poczęstujemy ich ogniem. Ręczę słowem starego pogranicznika, że złamiemy ich linię jak jesionowy łuk. Potem zdobędziemy wieś, oswobodzimy panią i wreszcie skończymy z całym plemieniem albo taktyką białych, od jednego zwycięskiego uderzenia, albo zwyczajem Indian: chytrą i podstępem. Ten plan, majorze, nie jest pewnie uczony, ale przy odwadze i wytrwałości może się udać.

–Bardzo mi się podoba – zawołał Duncan, widząc, że plan zmierza do szybkiego uwolnienia Kory. – A więc do dzieła!

Na krótkiej naradzie rozwinięto plan zwiadowcy, wyjaśniono go oddziałom, uzgodniono sygnały i każdy z wodzów ruszył na wyznaczone mu stanowisko.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Zaraza będzie wspierała pożary, Póki Królowa zapłacić nie zechce Okupu Chryzie,

## modrookiej dziewczce

### Pope

(jdy Unkas wydawał rozkazy swym wojownikom, puszcza drzemała w ciszy, tak jak wyszła spod ręki Stwórcy, pozornie bezludna, nie licząc oczywiście wodzów zebranych na naradzie. Między drzewami, w cienistej perspektywie daremnie szukałoby się wzrokiem czegoś, co zakłócałoby cichy i spokojny krajobraz.

A.le Sokole Oko, który pierwszy miał rzucić się w śmiałe przedsięwzięcie, zbyt dobrze znał naturę swych wrogów, by ufać tej zdradliwej ciszy. Kiedy mały oddział zebrał się przy nim, wziął 1' ostrach Zwierząt na ramię i dał znak wojownikom, by poszli /<i nim. Cofnął się o kilkadziesiąt jardów do niewielkiego potoku, który przeszli przed chwilą, i przystanął. Poczekał, aż wszyscy wojownicy z poważnymi i bystrymi minami zebrali się koło niego, i zapytał w narzeczu Delawarów:

Czy któryś z moich wojowników wie, dokąd zaprowadzi u.is len strumień?

11 den z Delawarów wyciągnął rękę z dwoma rozstawionymi p.ilcmii i wskazując na ich nasadę, odpowiedział:

Nim słońce przejdzie całą drogę, mała woda będzie w dużej – i fjniijil wskazując na strumień – obie mają dość wody dla

I)i 11) I () W.

I ak przypuszczałem sądząc z jego biegu i kierunku gór – r/.fkł zwiadowca i spojrzał na niebo przez lukę w gałęziach. – !Yi|d/ii'my pod osłoną jej brzegfow, aż wytropimy Huronów. Wojownicy zwykłym, krótkim okrzykiem wyrazili zgodę, ale

kiedy spostrzegli, że zwiadowca już rusza, by ich poprowadzić, dwóch z nich dało mu znak, że o czymś zapomniał. Sokole Oko natychmiast zrozumiał ich wymowne spojrzenia, odwrócił się i ujrzał Dawida idącego za oddziałem.

–Przyjacielu, czy wiesz – zapytał poważnie i z odcieniem dumy z własnego znaczenia – że temu oddziałowi zuchów poruczono najbardziej niebezpieczne zadanie? Że dowodzi nimi człowiek, który – choć kto inny może miałby większe prawo tak mówić – nie pozwoli im na beczynność! Jeśli nie za pięć minut, to za pół godziny przejdziemy po ciałach Huronów, żywych czy martwych.

–Choć mnie nie uprzedzono o pańskich zamiarach – odparł Dawid z rumieńcem na twarzy i pałającymi oczami, zwykle tak spokojnymi, a nawet bezmyślnymi – to jednak pański oddział przypomina mi dzieci Jakuba wyruszające do walki z Sychemitami, by ich pokarać za niegodną chęć poślubienia niewiasty należącej do ludu wybranego. Z kobietą, której szukacie, przeżyłem wiele chwil dobrych i złych i zawędrowałem daleko. Wprawdzie z natury jestem łagodny i nie noszę ani pasa, ani ostrego miecza, ale gotów jestem zadać cios w jej obronie.

Zwiadowca zawahał się, jakby rozważał, co mu przyjdzie z tak osobliwego ochotnika, i wreszcie powiedział:

–Nie umiesz pan władać żadną bronią, nie masz strzelby, a możesz mi wierzyć, że Mingowie chętnie odpłacą nam pięknym za nadobne.

–Nie jestem pyszałkowatym, żadnym krwi Goliatem – odparł Dawid wyciągając procę spod swego barwnego odzienia – lecz nie zapomniałem przykładu, jaki dał izraelski chłopiec. W młodości często korzystałem z tej starożytnej broni i być może, nie wyszedłem jeszcze z wprawy.

–Tak – odparł Sokole Oko, nieufnie, z pogardą patrząc na jeleni rzemień i kawałek skórki – z tym może by pan coś zdziałał przeciw nożom i strzałom, ale Francuzi dali każdemu z tych łajdaków dobrą, gwintowaną strzelbę. Lecz cóż, widocznie tak już panu pisane, że wyjdiesz cało z każdej strzelaniny. A więc, przyjacielu, możesz iść z nami. Przydasz się, gdy trzeba będzie

się drzeć.

–Dziękuję, przyjacielu – odrzekł Dawid i jak jego królewski

imiennik począł zbierać kamyki w strumieniu. – Nie łaknę krwi, ale zmartwiłbym się, gdyby mnie pan odesłał.

Sokole Oko raz jeszcze uważnie spojrział na swój oddział i dał znak do wymarszu. Z milę szli nad strumieniem. Osłaniał ich wysoki brzeg i gęste zarośla, lecz mimo to zachowali indiańską ostrożność. Na każdym skrzydle szedł, a raczej skradał się jeden wojownik i co chwila uważnie badał wzrokiem skraj puszczy. Co parę minut wszyscy przystawali i nasłuchiwali tak, jak to potrafią tylko ludzie pierwotni. Lecz nic nie przeszkadzało im w dalszym marszu i wreszcie najwidoczniej nie dostrzeżeni przez wroga, dotarli do miejsca, gdzie strumień wpadał do rzeki. Zwiadowca znów przystanął, by zorientować się po znakach leśnych.

–Zdaje się, że pogoda nam sprzyja – powiedział po angielsku do Heywarda, rzucając okiem na chmury, powoli gęstą warstwą zaciągające niebo. – Jasne słońce i połyskująca lufa utrudniają celny strzał. Wszystko jest nam przyjazne: wiatr wieje od nich i niesie do nas każdy hałas i dym. A to wcale nie błahostka, bo po naszym pierwszym strzale będziemy mieli czyste pole przed sobą. Lecz nasza naturalna osłona już się kończy. Bobry od stuleci tu żyją i choć pozostawiły masę nagich pni, nie darowały żadnemu żywemu drzewu.

Sokole Oko w tych paru słowach wcale nieźle opisał widok, jaki się roztaczał przed nimi. Rzeka nie wszędzie była jednakowo szeroka. Raz po raz przeciskała się między skałami, a potem rozlewała się na płaskim, niskim terenie, gdzie tworzyła coś w rodzaju stawów. Na jej brzegach butwiały szczątki drzew, od takich, które były do cna spróchniałe, chwiały się i trzeszczały – dc świeżo odartych z kory, owego ich szorstkiego odzienia, a jednocześnie źródła życia. Tu i tam leżały między nimi długie, niskie stosy omszałych pni, niby nagrobki dawno wymarłych pokoleń drzew.

Zwiadowca wiedział, że do wsi Huronów pozostało nitecałe pół mili i obawiając się zasadzki, niepokoił się, że nieprzyjaciel nit1 daje znaku życia. Z przykrą niepewnością nasłuchiwał odgłosów walki z miejsca, gdzie pozostał Unkas. Nic jednak nie słyszał prócz szumu wiatru, który w ostrych podmuchach, zwiastując burzę, nadlatywał z głębi puszczy. W końcu uległ niezwykłej u niego niecierpliwości i nie zważając na głos rozsądku postanowił

!277

rzucić wszystko na jedną kartę: wyjść z ukrycia i ostrożnie, ale zdecydowanie pójść w górę rzeki.

Ledwie jednak wyszli na odkryty teren, huknęła za nimi salwa tuzina strzelb. Jeden z Delawarów podskoczył wysoko jak trafiony jeleni i padł martwy na ziemię.

**–Ach! Tego się bałem! – po angielsku zawołał zwiadowca i natychmiast dodał po delawarsku: – Kryć się i strzelać!**

**Na ten rozkaz oddział rozproszył się tak szybko, że Heyward ani się obejrzał, jak został sam z Dawidem. Na szczęście Huroni cofali się i przerwali ogień. Ale zwiadowca nie pozwolił im wytchnąć i śmiało nacierał. Sam dając przykład innym przebiegał od drzewa do drzewa i strzelał do wolno odstępującego nieprzyjaciela.**

**Najwidoczniej Huronów, którzy zaatakowali oddział zwiadowcy, nie było wielu. Lecz stopniowo, w miarę cofania się na swój teren, wciąż ich przybywało, aż wreszcie siła ich ognia niemal dorównała ogniom Delawarów. Heyward przyłączył się do walczących i kryjąc się za wzorem ostrożnych Indian, raz po raz strzelał. Walka rozgorzała na dobre, a natarcie Delawarów stanęło. Rannych było niewiele, bo walczący umiejętnie kryli się za drzewami, a wychylali się spoza nich tylko dla oddania strzału. Potyczka przyjęła niepomysłny obrót dla Sokolego Oka i jego oddziału. Zwiadowca swym bystrym okiem dojrzał niebezpieczeństwo, ale nie wiedział, jak mu zapobiec. Uważał, że lepiej stać w miejscu niż się cofać, lecz dostrzegł, że Huroni starają się zająć go z boku. Coraz trudniej było kryć się za drzewami, więc ogień Delawarów niemal ustał. Już im się zdawało, że całe nieprzyjacielskie plemię pomału ich okrąża, gdy usłyszeli okrzyki wojowników i grzechot strzelb, których echem rozbrzmiewał strop puszczy. Te odgłosy bitwy dobiegały z miejsca, gdzie zatrzymał się Unkas, a więc z doliny położonej nieco niżej.**

**Sokole Oko od razu odczuł zbawienny wpływ tego ataku. Nieprzyjaciel musiał wiedzieć o ruchach jego oddziału i dlatego nie dał się zaskoczyć. Ale widocznie przecenił też siły, jakie wiodł Sokole Oko i niebezpieczeństwo jego manewru. W rezultacie zanadto osłabił swój oddział stojący przed Unkasem, który nagle go zaatakował. O tym wszystkim świadczyło zarówno przesuwanie się walki ku wsi Huronów, jak słabnący nacisk na oddział Soko-**



i \ów,

i

lego Oka. Niewątpliwie nieprzyjaciel ściągnął część wojownic<sup>ów</sup> aby odeprzeć załamujący się front w miejscu, które – jak <sup>^</sup>i teraz okazało – stanowiło główny punkt obrony.

Zagrzewając swych ludzi okrzykami i własnym przykładem, Sokole Oko pchnął ich do ataku. W tej prymitywnej walce c

polegało na przebieganiu od drzewa do drzewa i coraz podchodzeniu do wroga. Delawarzy wykonali rozkaz Pole walki przeniosło się z terenu raczej odsłoniętego w leśny, gdzie cofający się łatwiej mogli się kryć. wcy,

Huroni szybko ustępowali, aż wreszcie dotarli do przeciwleg<sup>3^</sup>\%szc<sup>^</sup> skraju gęstwiny. Tu się ukryli i zaczęli się odgryzać z upo<sup>"r \</sup>| osaczonych zwierząt. v łeg<sup>1^</sup>

W tej krytycznej chwili, kiedy zwycięstwo znów poczęło v<sup>r</sup>erą ważyć, za Huronami padł strzał. Kula z gwizdem wyleciała s)r<sup>^</sup> z bobrowych chat na polance za nimi. Zaraz potem rozległa y\* głośny i przeraźliwy okrzyk wojenny. i

–To sagamore! – zawołał Sokole Oko i odpowiedział Chingsa' <sup>^</sup>gookowi donośnym okrzykiem. – Teraz wzięliśmy ich w i<sup>^</sup>

cy,

ognie.

Hach-

v>ela-

Wystrzał Chingachgooka zrobił piorunujące wrażenie na H\*<sup>u</sup>.:\ dwą nach. Przerażeni atakiem na nie osłonięte tyły, krzyknęli wie i w panice rozproszyli się po polanie, myśląc tylko o Wielu z nich padło pod kulami i ciosami ścigających ich warów.

Nie będziemy się zatrzymywać nad szczegółami spotkania dowcy z Chingachgookiem i wylewnego przywitania Du<sup>~^</sup> z pułkownikiem Munro. Parę słów wystarczyło do wzajemn<sup>\*^</sup>\Via-wyjaśnienia sobie sytuacji, po czym Sokole Oko powiedział sworA|W:ana Indianom, kim jest Chingachgook, i oddał mu dowództwo. To i \Wiego się należało jako szlachetnie urodzonemu i doświadczonemu AiWym

wodzowi. Chingachgook przyjął dowództwo z godnością, k-~ttf\*\\* mu zawsze dodaje powagi rozkazom indiańskiego wodza, i pow oddział z powrotem przez las. Po drodze Indianie skalpowali tr Huronów i chowali własnych poległych. Wreszcie Chingachg za radą zwiadowcy zarządził postój. IWpy

Wojownicy, zziajani po stoczonych walce, zajęli teraz stanowisko na małym wzniesieniu, dostatecznie zalesionym, by ich Teren przed nimi opadał stromo, przechodząc w dole w i

Vryc. tiny,

porośnięty lasem wąwóz, długi na parę mil. W tym mrocznym gąszczu Unkas wciąż jeszcze zmagał się z głównymi siłami Hu-ronów.

Stary Mohikanin i zwiadowca weszli na szczyt wzgórza i doświadczone uchem przysłuchiwali się odgłosom walki, która szybko przesuwała się w górę zbocza, co świadczyło, że Delawarzy spychają wroga. Chingachgook chwilę zwlekał i ruszył się dopiero wtedy, kiedy kule poczęły pluskać po uschniętych liściach koło niego, jak grad przed burzą. Najwidoczniej wróg i Delawarzy byli już blisko. Sokole Oko i jego trzech przyjaciele cofnęli się pod ochronę najbliższych drzew i czekali na wynik bitwy ze spokojem wytrawnych, żołnierzy.

Niebawem las przestał rozbrzmiewać echem wystrzałów, które padały teraz jakby na otwartej przestrzeni. Po chwili na skraju puszczy pokazały się sylwetki huróńskich wojowników wypieranych z jej głębi. Zbierali się przed polaną przygotowując się do zawziętej obrony. Było ich coraz więcej, aż wreszcie utworzyli długi, ciemny łańcuch ludzi, z rozpaczliwym uporem trzymających się ostatniej osłoniętej pozycji. Heyward już się począł niecierpliwić i z niepokojem spoglądał na Chingachgooka, a ten siedział na skale i spokojnie, uważnie, jakby był zwykłym widzem, przyglądał się walce.

–Czas, by Delawarzy uderzyli – powiedział Duncan.

–Jeszcze nie, jeszcze nie – odrzekł zwiadowca. – Kiedy Chingachgook zwietrzy przyjaciół, da im znać o sobie.

W tej chwili rozległ się okrzyk bojowy i dwunastu Huronów padło pod strzałami Chingachgooka i jego oddziału. Na krzyk zgrozy po tej salwie odpowiedział okrzyk wojenny z głębi lasu i jeden potężny ryk, jakby z tysiąca gardeł, targnął powietrzem. Huroni drgnęli, środek ich linii oporu załamał się i przez powstałą lukę wypadł z lasu Unkas na czele setki Delawarów.

Młody wódz ruchem ręki w prawo i w lewo wskazywał cofających się wrogów swym wojownikom, a ci rzucali się w pogoń. Wywiązały się teraz dwie bitwy, bo obydwie rozdzielone i naciskane przez zwycięskich Lenapów skrzydła Huronów znów szukały schronienia w gąszczu puszczy. Po krótkiej chwili echo walki poczęło cichnąć pod stropem lasu i oddaliły się jej odgłosy.

Ale jedna grupka Huronów wzgardziła osłoną drzew. Wolno,

w milczeniu cofała się, podobna do osaczonych lwów, po zboczu wzgórza, które Chingachgook ze swoim oddziałem przed chwilą porzucił w pogoni za wrogiem. W tej grupce łatwo było rozpoznać Maguę, tak po zacieklej, okrutnej twarzy, jak i wciąż jeszcze wyniosłej postawie wodza.

Unkas w bojowym zapale rozesłał w pościg towarzyszących mu wojowników i pozostał prawie sam. Ale mimo to gdy dostrzegł Maguę, zapomniał o wszystkim. Na jego okrzyk wojenny zbiegło się do niego siedmiu wojowników i nie zważając, że było ich mało, rzucili się w pogoń za wrogiem. Magua, który pilnie obserwował Unkasa, przystanął, by przyjąć walkę. Lecz gdy już cieszył się w duchu, że nieopatrzny zapał młodego wodza wydał mu go w ręce, rozległ się jeszcze jeden okrzyk wojenny. To Długa Strzelba wraz z białymi pędzili na pomoc Unkasowi. Ujrawszy ich Huron raptownie zawrócił i pobiegł w górę zbocza.

Nie można było nawet myśleć o powitaniu i gratulacjach, bo Unkas, jakby nie widząc przyjaciół, gonił wroga z szybkością wiatru. Daremnie Sokole Oko wołał za nim, ostrzegając go przed kulami: młody Mohikanin lekceważył sobie kule Huronów i wkrótce ucieczka i szalona pogoń zamieniły się w wyścig. Na szczęście trwał on krótko i biali byli bliżej celu – inaczej Unkas szybko by ich prześcignął i padł ofiarą swej brawury – zanim więc zdążył wyrwać się naprzód, ścigający wpadli tuż za ściganymi do wsi Wyandotów.

Huroni, wyczerpani ucieczką i ośmieleni tym, że są już na swoim terenie, stanęli i z rozpaczliwą zaciekłością walczyli koło chaty narad. Ścigający spadli na nich jak straszliwy huragan. Tomahawk Unkasa, sztucer Sokolego Oka i krzepkie jeszcze ramię Munro zgodnie pracowały w tej krótkiej walce, toteż trupy Huronów gęsto pokryły ziemię. Magua, choć walczył dzielnie i wcale się nie oszczędzał, wychodził obronną ręką ze wszystkich ataków na jego życie. Mogłoby się zdawać, że osłaniają go siły nadprzyrodzone, tak łaskawe dla wszystkich legendarnych bohaterów. Ale gdy zobaczył, jak gęsto padają Huroni, wydał przeraźliwy okrzyk, w którym zawarł i gniew wściekły, i bezgraniczną rozpacz. Z dwoma Huronami, którzy ocaleli, rzucił się do ucieczki, a Delawarzy zabrali się do zdzierania skalpów poległym.

Unkas, który na próżno szukał Maguy w wirze walki, ujrzał go

teraz i pobiegł za nim. Sokole Oko Heyward i Dawid biegli

0 krok z tyłu. Zwiadowca, nie mogąc inaczej osłonić Unkasa, trzymał lufę swego sztucera nieco przed nim niczym czarodziejską tarczę. Raz zdawało się, że Magua przystaje, by resztkami sił pomścić swą klęskę, ale widocznie poniechał tego zamiaru i skoczył w zarośla. Ścigany przez swych prześladowców nagle wbiegł do znanej już czytelnikom pieczary. Widząc to Sokole Oko, który nie strzelał tylko przez wzgląd na Unkasa, krzyknął z radości

1 głośno oznajmił, że teraz jest już pewny zdobyczy. Wpadli za Maguą w wąski i długi korytarz jeszcze na czas, by dostrzec w głębi sylwetki Huronów. Biegli teraz skalnymi korytarzami i przecinali podziemne komory wśród krzyków i płaczu setek kobiet i dzieci. Pieczary w niepewnym i mrocznym świetle wydawały się jakimiś piekielnymi kręgami, w których jak szalone miotają się potępione dusze i złe duchy.

Unkas nie odrywał oczu od Maguy, jakby śmierć tego Hurona była jedynym celem jego życia. Jednakże ciemne i ponure korytarze stawały się coraz bardziej kręte. Coraz trudniej było posuwać się naprzód, a sylwetki uciekających nikały w oddali. Przez chwilę goniący myśleli nawet, że Magua im uciekł, gdy nagle na końcu jednego z korytarzy uchodzącego w górę ujrzeli powiewającą

jasną suknię.

–To Kora! – zawołał Heyward przerażonym choć radosnym

głosem.

–Kora! Kora! – powtórzył Unkas biegnąc naprzód z chyżością

jelenia.

–To ona! – krzyczał zwiadowca. – Odwagi, pani, idziemy,

idziemy!

Widok nieszczęsnej Kory spotęgował ich zapał i siły. Lecz droga była trudna, pocięta rozpadlinami, a czasem niemal nie do przebycia. Unkas rzucił strzelbę i co sił w nogach pędził naprzód. Heyward bez namysłu poszedł za jego przykładem. Niebawem obaj przekonali się, jak nieopatrznie postąpili, bo Huroni w sprzyjającej chwili w wąskim skalnym korytarzu posłali im kule i lekko zranili Unkasa.

–Musimy ich dopaść – powiedział zwiadowca i potężnym susem wysunął się przed

**towarzyszy. – Z tej odległości łotry wystrzelają nas jak kaczki. Patrzcie! Oslaniają się dziewczyną jak tarczą.**

**Mimo że obaj młodzi nie zwrócili uwagi na jego słowa, a raczej nie słyszeli ich w zapale pogoni, popędzili za nim i po szalonym wysiłku zbliżyli się do ściganych o tyle, że już ich wyraźnie widzieli. Dwóch Huronów na wpół niosło, na wpół ciągnęło między sobą Korę. Magua biegł pierwszy i wskazywał im drogę. Na mgnienie oka cała czwórka ukazała się w wylocie pieczary na tle jasnego nieba. Unkas i Heyward, niemal nieprzytomni z obawy, że Huroni im umkną, podwoili i tak już nadludzki wysiłek i wybiegli z pieczary na zbocze góry jeszcze w porę, by ujrzeć zbiegów. Droga szła w górę; była trudna i niebezpieczna.**

**–Stój, psie wyandocki! – krzyknął Unkas potrząsając lśniącem tomahawkiem. – Delawarska baba każe ci stanąć!**

**–Nie pójdę dalej! – zawołała Kora stając nagle na skalnym występie nad głęboką przepaścią, prawie u szczytu góry. – Zabij mnie, jeśli chcesz, wstrętny Huronie, ale dalej nie pójdę.**

**Huroni podtrzymujący Korę od razu wzniesli tomahawki, jak szatani, którzy w zbrodni znajdują niecną uciechę, ale powstrzymał ich Magua. Wyrwał im broń i cisnął w przepaść. Potem wyciągnął nóż i patrząc na Korę z nienawiścią i miłością zarazem, powiedział:**

**–Kobietę, wybieraj: wigwam albo nóż Hurona!**

**Kora nawet na niego nie spojrzała. Uklękła, wzniosła oczy i ręce ku niebu i rzekła głosem pełnym pokory i ufności:**

**–Twoja jestem, Panie. Niech się dzieje wola Twoja.**

**–Kobietę – powtórzył Magua ochryplym głosem, daremnie usiłując spojrzeć w pogodne i promienne oczy Kory. – Wybieraj!**

**Ale Kora go nie słyszała i nie zwracała uwagi na jego słowa, iluron drżał jak w gorączce i już wzniosł ramię, ale je opuścił, i.ikby zmagął się ze sobą. Po chwili przełamał się, raz jeszcze wzniosł nóż, ale nagle tuż nad nim rozległ się przeszywający okrzyk. To krzyknął Unkas, który wydostał się ponad niego i teraz jak Hżalony skoczył na występ skalny. Magua cofnął się o krok, a je-  
wojowników skorzystał z tego i wbił nóż w pierś 'ry.**

**Wprawdzie zaraz się cofnął, ale Magua skoczył na niego jak inys, by go ukarać za nieposłuszeństwo i zniewagę. Trwało to ilrdw-ie sekundę. W tej samej chwili Unkas spadł między nich. i.iyua" natychmiast zapomniał o zemście na swym towarzyszu lo/.wścieczony widokiem krwi z piekielnym okrzykiem ugodził**



nożem w plecy leżącego Unkasa. Lecz ten zerwał się jak zraniona pantera, odwrócił się do swego wroga i dobywając resztek sił jednym ciosem powalił zabójcę Kory. Potem zwrócił głowę ku Przebiegłemu Lisowi, a jego posępne, nienawistne spojrzenie powiedziało mu, że zabiłby go bez litości, gdyby miał jeszcze dość siły. Mafua chwycił go za bezbronne, omdlałe ramię i trzy razy wbił mu nóż w piersi. Dopiero wtedy Unkas, nie odrywając pogardliwego wzroku od oczu Maguy, padł martwy u jego stóp.

–Daruj mu życie, Huronie! – wołał Heyward z góry, nie mogąc złapać tchu z przerażenia. Daruj mu życie, jeśli chcesz, by i tobie darowano!

Magua skrwawionym nożem pogroził Duncanowi i krzyknął przy tym tak dziko, z tak okrutną radością, że jego okrzyk triumfu doleciał do Indian walczących w wąwozie o tysiąc stóp niżej. Sokole Oko odpowiedział okrzykiem. Biegł po niebezpiecznych skałach tak szybko, śmiało i pewnie, jakby go niosły skrzydła. Ale gdy dobiegł do miejsca straszego mordu, ujrzał już tylko ciała zabitych.

Jednym rzutem bystrego oka objął ofiary Maguy i ocenił trudne podejście na wznoszący się przed nimi szczyt. Zawrotnie wysoko na skalnej krawędzi stał ktoś z groźnie wzniesionymi rękami. Sokole Oko, nie tracąc czasu na domysły, kto to być może, uniósł lufę sztucera. W tej samej chwili na głowę jednego z uciekających Huronów spadł gład. Ciśnięty w dół odsłonił wzburzone, pałające gniewem, szlachetne oblicze Gamuta. Zaraz potem na skalnej niszy wynurzył się Magua. Obojętnie przeskoczył ciało ostatniego ze swych towarzyszy, przesadził szeroką szczelinę i począł się wspinać na skałę, tam gdzie Dawid nie mógł go dosięgnąć. Pozostał mu jeszcze jeden krok nad przepaścią, by ująć całość. Ale nim skoczył, przystanął i grożąc ręką zwiadowcy krzyknął:

–Blade twarze to psy! Delawarzy to baby! Kruki rozdziobią ich ciała na skale, gdzie je zostawił Magua.

I z ochryplym śmiechem na ustach skoczył rozpaczliwie, ale nie przesadził przepaści. Zdążył jednak złapać się gałęzi krzaku po drugiej stronie i zawisł w powietrzu. Sokole Oko zebrał się w sobie jak zwierz gotujący się do skoku. Z niecierpliwości drżał tak gwałtownie, że lufa sztucera tańczyła mu w ręku jak liść unoszony przez wiatr. Chytry Magua zaś nie tracił sił niepotrzebnie: zwił



na wyprostowanym ramieniu i stopą namacał występ skalny. Wówczas zebrał siły, odbił się, podciągnął i klęknął na brzegu przepaści. Lecz gdy sprężył mięśnie do nowego wysiłku, kolba dygocącego sztucera mocno przywarła do ramienia zwiadowcy. \ Na mgnienie oka broń zastygła jak głązy wokół niego, a gdy padł strzał, Huron puścił krzak i odchylił się w tył, ale wci# jeszcze klęczał na brzegu skały. Ranny z nienawiścią spojrzął na wroga i raz jeszcze zaciekle i posępnie pogroził mu ręką. Ale tracił już siły. Przez parę sekund na tle krzaków, porastających zbocze przepaści, widać było jego smagłą postać, głową na dół lecącą w objęcia śmierci.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Jak lwy walczyli, znacząc krwawy ślad

i wrogim trupem ziemię ścieląc wokół.

Bitwę wygrali – lecz Botzaris padł.

I oto leży cały w krwi potoku.

Cóż, że mu uśmiech zakwita u warg,

Gdy garstka druhów, przekrzykując gwar,

Głosi zwycięstwo! Krew płynie gorąca,

Oczy zamglone i piersiom brak tchu,

Ciało do śmierci układa się snu

Jak kwiat, co gaśnie o zachodzie słońca.

Halleck

Następnego dnia wschodzące słońce ujrzano Lenapów w ciężkiej żałobie. Bojowy gwar ucichł. Plemię nasyciło odwieczną nienawiść do Mingów i przypieczętoowało ostatni spór z nimi zniszczeniem całej ich wspólnoty. Smutek i posępna cisza nad dawnym osiedlem Huronów wyraźnie mówiły o losie, jaki spotkał to koczownicze plemię. Setki kruków, ciężko unoszących się nad nagimi szczytami gór albo w hałaśliwych stadach krążących nad rozległą puszcza, w odrażający sposób wskazywały miejsce niedawnej walki. Słowem, każdy człowiek, nawet nie obyty z wojną na pograniczu, zrozumiałby, że są to nieomyślne znaki okrutnej zemsty, Indian.

A jednak gdy słońce wstało nad obozem, Lenapowie pogrążeni byli w żałobie i

smutku. Duma i radosny triumf ustąpiły przed pokorą, a najsilniejsza z ludzkich namiętności – przed najgłębszym i najszczerzym bólem.

Chaty opustoszały. Kto żył, starcy i dzieci z zasępionymi twarzami tłumnie otoczyli polanę w pobliżu obozu, gdzie działo się coś niezwykłego.

Sześć nieruchomych delawarskich dziewcząt, z rozpuszczonymi długimi włosami swobodnie opadającymi na piersi, stało nieco z boku, a o tym, że żyją, świadczyły tylko kwiaty leśne i wonne ziele sypane przez nie na niskie mary z pachnących roślin. Na tych marach pod całunem indiańskich szat spoczywały zwłoki dzielnej i szlachetnej Kory. U jej stóp siedział zrozpaczony Munro.

Sędziwą głową niemal dotykał ziemi, w pokorze przyjmując wyrok nieba. Kosmyki siwych włosów w nieładzie opadały mu na czoło zorane zmarszczkami. Widać było, że starzec stara się ukryć swe cierpienie. Gamut stał przy nim z gołą głową w jasnym świetle słońca. Twarz miał łagodną. Stroskanym wzrokiem błdził od małego tomiku z tyłoma kojącymi świętymi naukami, misternie wyrażonymi, do człowieka, któremu z głębi serca chciałby nieść pociechę. Heyward, oparłszy się o drzewo, całą siłą swej męskiej woli tłumiał łzy rozpacz.

Choć łatwo sobie wyobrazić smutek tych ludzi, grupę stojącą na drugim krańcu koła ogarnął żal jeszcze głębszy. Tu w pozycji siedzącej, jakby żył, w godnej i poważnej postawie ułożono ciało Unkasa. Przybrano je w najbarwniejsze szaty i najwspanialsze ozdoby plemienia. Bogate pióra powiewały nad jego głową. Liczne wampumy, naszyjniki i medale zdobiły jego ciało. Lecz martwe spojrzenie oczu i nieruchome rysy tylko podkreślały marność tych bezmyślnych przedmiotów ludzkiej pychy.

Przed zwłokami siedział Chingachgook. Był bez broni, bez ozdób i nawet bez żadnych malowideł z wyjątkiem jasnoblękitnego herbu rodowego, niezatarte wytatuowanego na piersi. Przez cały długi czas, gdy plemię się zbierało, stary wódz Mohikanów nie odrywał stroskanych oczu od zimnego i martwego oblicza syna. Patrzył uporczywie skamieniałym wzrokiem i siedział tak nieruchomo, że gdyby nie przelotny grymas dotkliwego bólu na jego śniadej twarzy i grobowy spokój zastygły na zawsze w rysach Unkasa, trudno byłoby zgadnąć, który z nich żyje, a który jest martwy.

Zamyślony zwiadowca stał tuż obok, opierając się na swym śmiercionośnym i siejącym zemstę sztucerze. Tamenund, podtrzymywany przez najstarszych wodzów, siedział w pobliżu na podniesieniu, z którego mógł widzieć to smutne i nieme zebranie swego plemienia.

W kole Indian, nieco wysunięty naprzód, stał jakiś wojskowy w obcym mundurze. Za kołem zaś stał jego wierzchowiec otoczony konną służbą, najwidoczniej gotową do długiej drogi. Obcy oficer, sądząc ze stroju, piastował jakąś wysoką godność przy Montcalmie. Niewątpliwie przybył tu w misji pokojowej. Teraz stwierdził, że zapalczywość dzikich udaremniła tę misję. Mógł więc być tylko

niemy i smutnym świadkiem rezultatów zbrojnego sporu, któremu nie zdołał już zapobiec.

Dzień dobiegał południa, a tłum od świtu stał w niemym milczeniu. Tylko gdzieś słychać było stłumiony szloch. Jeśli przez cały ten czas bólu i żałoby ktoś się poruszył, czynił to, by oddać prosty i wzruszający hołd zwłokom Kory. Cierpliwość i opanowanie Indian, ich żelazna wytrwałość pozwoliły im na takie oderwanie się od życia i zamieniły ich w nieruchome posągi.

Wreszcie stary mędrzec wyciągnął ramię i wstał wsparłszy się na ramionach towarzyszących mu wodzów. Chwiał się i był tak słaby, jakby jeszcze jedno stulecie legło między dniem dzisiejszym a wczorajszym, kiedy przemawiał do swego narodu.

–Wojownicy Lenapów! – powiedział głuchym, proroczym głosem – Manitou skrył swą twarz za chmurą. Odwrócił od was oczy, zamknął uszy, nie odpowiada wam. Nie widzicie go, ale dowody jego gniewu macie przed sobą. Otwórzcie serca, a dusze wasze niech wolne będą od kłamstwa.

Indianie słysząc te proste i straszliwe słowa skamienieli w przerażeniu i ciszy, jakby na głos samego Wielkiego Ducha. Nawet zwłoki Unkasa wydawały się żywe w porównaniu z otaczającym je pokornym tłumem. Ale gdy minęło pierwsze wrażenie słów Tamenunda, Indianie niskimi, cichymi głosami rozpoczęli pieśń na cześć zmarłych. Zaintonowały kobiety wzruszająco łagodnymi i żalonymi nutami. Słowa nie łączyły się w jedną zwartą całość, były improwizacją, bo gdy jedna kończyła, druga zaczynała pieśń pochwalną czy żałobną, wyrażając swój ból, tak jak dyktowało jej serce i nastrój chwili. Czasem ogólny wybuch głośniego żalu przerywał im i wtedy dziewczęta przy zwłokach Kory, jak opętane, nieprzytomne z rozpacz, zrzucały z nich kwiaty i zioła. Potem w spokojniejszych chwilach znów czule i ze smutkiem zasypywały Korę kwiatami, które symbolizowały czystość i piękno. Te częste zbiorowe napady żalu przerywały pieśń, po czym dziewczęta znów ją podejmowały. Jedna z nich, wybrana dla swego pochodzenia i cnót, zaczęła od skromnej wzmianki o przymiotach poległego wojownika. Nazwała Unkasa "panterą plemienia". Mówiła, że jego mokasyny nie pozostawiały śladu na rosie, skoki dorównywały skokom jelonka, a oczy świeciły jaśniej od gwiazd w ciemną noc.

że w bitwie głos jego rozbrzmiewał jak grzmot Manitou. Przypomniała mu jego matkę i dłużej mówiła o szczęściu, jakie musiał jej dać jako syn.

Dziewczęta, które podjęły tę pieśń, przeszły na jeszcze łagodniejszy ton i subtelniejszy temat. Z kobiecą delikatnością i wrażliwością wspomniały o obcej dziewczynie, która niemal równocześnie z Unkasem porzuciła padół ziemski, w czym jasno

wypowiedziała się wola Wielkiego Ducha. Upomniwały poległego, by był dla niej dobry i wyrozumiale traktował jej nieznajomość wymagań tak wielkiego wojownika. Bez cienia zawiści, z radością, tak jakby się cieszyły anioły chwaląc wyższą od siebie istotę, rozwodziły się nad jej niezrównaną pięknnością, szlachetnością, odwagą, i dodały, że te cnoty aż nadto wyrównują braki jej wychowania.

Potem inne dziewczęta, przemawiając z miłością i czule, zwróciły się do Kory. Zaklinały ją, by była łagodna i aby się nie lękała

0 przyszłe szczęście. Za towarzysza mieć będzie myśliwego, który zaspokoi każde jej pragnienie. Będzie też miała przy sobie wojownika, który obroni ją przed każdym niebezpieczeństwem. Obiecywały, że jej droga będzie przyjemna, a ciężar, jaki dźwiga – lekki. Przestrzegaly ją przed niepotrzebną tęsknotą za przyjaciółmi młodości i za krainą jej ojców. Mówiły, że na "błogosławionych terenach łowieckich plemienia Lenapów" doliny są równie piękne, rzeki tak sarno czyste, a kwiaty – pachnące jak w "niebiosach bladych twarzy". Radziły, by troszczyła się o swego towarzysza

1 nigdy nie zapominała o różnicy, jaką mądry Manitou ustalił między nimi. Następnie nagle ożywiły się i chóralnie poczęły wychwalać zalety Mohikanina. Mówiły, że jest szlachetny, mężny i wspaniałomyślny, taki, jakim powinien być wódz i jakiego kochać powinna dziewczyna. Wreszcie w przenośni, w subtelnej formie dały do zrozumienia, że mimo krótkiego obcowania z Unkasem i Korą – z kobietą intuicją odkryły tajemnicę jego serca.

Potem, znów zmieniając ton i treść pieśni, wspomniwały o młodej dziewczynie szlochającej w przyległej chacie. Porównywały ją do śnieżnych płatków, tak była czysta, biała i skrząca. Topniała w upale lata i marzła w mrozie zimy. Nie wątpiły, że kocha ją młody wódz, którego skóra i smutek podobne są do jej skóry i smutku. Ale – choć nie powiedziały tego wyraźnie – widać było, że nie

uwają jej za tak doskonałą jak dziewczynę, którą oplakiwały. Jednak nie odmówiły jej ani jednej pochwały, na jaką zasłużyły jej niezrównane wdzięki. Porównywały jej loki do bujnych pędów winnej łoży, jej oczy do błękitnego stropu nieba. Oznajmiły, że rumieniec na jej policzkach piękniejszy jest od najbielszego obłoczka zaróżowionego promieniami słońca.

W czasie tych śpiewów tłum milczał. Z rzadka tylko urozmaicał je, a raczej pogłębiał ich wrażenie wybuchami żalu, podobnymi do chóralnego akompaniamentu.

Zwiadowca, jedyny biały, który rozumiał język Indian, ocknął się z zadumy, wyprostował się i przechylił głowę, by lepiej pochwycić sens słów. Ale gdy dziewczyny wspomniały o przyszłej szczęśliwości Kory i Unkasa, potrząsnął głową jak człowiek, który dostrzegł omyłkę ich naiwnej wiary. Potem znów oparł się na sztucerze i stał tak, póki ceremonia – jeśli tak można nazwać ten żałobny obrządek – nie dobiegła końca. Heyward i Munro, na szczęście dla ich bólu, nie zrozumieli treści tych dzikich pieśni.

Jeden Chingaclicook zachował się inaczej niż pozostali Indianie oplakujący Korę i Unkasa. Nawet podczas najgorętszych lamentów i w najbardziej wzruszających chwilach żaden mięsień nie drgnął na jego surowej twarzy, a oczy zachowały dawny kamienny wyraz. Nie miał nic droższego ponad te zimne, martwe szczątki, toteż zdawało się, że żyje w nim tylko wzrok, po raz ostatni utkwiony w zastygłych rysach syna, którego tak bardzo kochał i którego niebawem miał stracić z oczu na zawsze.

Teraz jeden z wojowników wolnym krokiem wystąpił z tłumu i stanął przed zwłokami Unkasa. Był to człowiek o wyglądzie poważnym i surowym, wstawiony czynami wojennymi, zwłaszcza dokonanymi w ostatniej bitwie.

–Czemuś nas opuścił, dumo Wapanachków\*? – zapytał zwracając się do zwłok Unkasa, jakby mówił do żywego człowieka, a nie do jego ziemskiej powłoki – i to wtedy, gdy życie twoje było jak słońce za drzewami, a sława twoja – jaśniejsza od jego blasku w południe. Odszedłeś, młody wodzu, ale stu Wyandotów oczyszcza z cierni twą drogę do krainy duchów. Któż by z tych,

\*apanachki albo Lenni Lenapowie – liczne plemię indiańskie (patrz wstę.p autora).

którzy widzieli cię w walce, uwierzył, że możesz zginąć? Twoje stopy były jak orle skrzydła, twoje ramię – cięższe od spadających gałęzi sosny, a głos przypominał głos Manitou, gdy mówi w chmurach. Dumo Wapanachków, czemuś nas opuścił?

Po nim występowali inni według wieku i godności, aż wreszcie wszyscy najwybitniejsi wodzowie plemienia wypowiedzieli lub wyśpiewali pochwalne hymny nad zwłokami Unkasa. A gdy skończyli, znów zapadła głucha cisza.

Po chwili usłyszano niski, głęboki głos, jakby odległą muzykę uchwytną uchem, a jednak tak niewyraźną, że rnie można było określić, co to za dźwięki i skąd płyną. Lecz głos przybierał na sile, rozbrzmiewał w coraz wyższych tonach, aż wreszcie zebrani usłyszeli przeciągłe okrzyki, stopniowo przechodzące w słowa. Po ledwie rozchylonych ustach Chingachgooka można się było domyślić, że śpiewa pieśń pogrzebową nad zwłokami syna. Nikt na niego nie spojrział, nikt nawet nie drgnął, aie z tego, jak wszystkie głowy uniosły się, widać było, że tłum chłonie pieśń ze czcią, jaką dotychczas darzył tylko Tamenunda. Słuchali jednak na próżno. Chingachgooka ledwie można było dosłyszeć. Lecz zaraz głos począł mu drżeć, słowa cichły, aż wreszcie zamarły, jakby uniesione podmuchem wiatru. Zamknął usta i siedział cicho, skamieniały, ze stężałym wzrokiem, jak istota, którą Bóg obdarzył ludzkim kształtem, lecz pozbawił duszy. Delawarzy pojęli, że ich przyjaciel nie okrzepł po ciężkim bólu, i przestali nań zwracać uwagę. Z wrodzoną delikatnością zajęli się pogrzebem obcej dziewczyny.

Jeden ze starszych, wodzów dał znak kobietom stojącym obok zwłok Kory. Posłuszne rozkazowi, podniosły mary na wysokość głowy i miarowym krokiem ruszyły naprzód, śpiewając już inną pieśń pogrzebową na cześć zmarłej. Gamut, badawczo przyglądający się ceremonii, którą uważał za wysoce pogańską, pochylił się teraz ku nieprzytomnemu z żalu pułkownikowi Munro i szepnął:

–Odchodzą ze zwłokami. Chodźmy za nimi i dopilnujmy, aby je pogrzebano po chrześcijańsku.

Munro drgnął jak na dźwięk trąb na sąd ostateczny. Niespokojnie rozejrzał się wkoło, wstał i ruszył za skromnym orszakiem po

żołniersku wyprostowany, lecz przygnieciony niezmiernym bólem – bólem ojca po stracie dziecka. Jego przyjaciele pogrążeni w głębokim smutku szli przy nim. Nawet młody Francuz dołączył się do orszaku, najwidoczniej głęboko wstrząśnięty przedwczesną i tragiczną śmiercią pięknej, młodej kobiety. Kiedy już ostatnia, najskromniejsza z Indianek przyłączyła się do orszaku (na pozór bezładnego, a jednak zachowującego porządek), wojownicy znów zwarli się w milczący i nieruchomy krąg wokół ciała Unkasa. Na grób Kory wybrano mały wzgórek porośnięty kępką młodych 1 pięknych sosen. Rzuciły one smutny cień na jej przyszłe miejsce spoczynku. Po wejściu na szczyt wzgórka dziewczęta postawiły na ziemi swój ciężar i z indiańską cierpliwością i wrodzoną nieśmiałością czekały, by krewni lub przyjaciele zmarłej podziękowali za okazaną przez nie troskę. Wreszcie zwiadowca, jedyny wśród białych znający zwyczaje Indian, powiedział po delawarsku:

–Moje córki dobrze się spisały. Biali im dziękują. Dziewczęta zadowolone z tej pochwały złożyły ciało zmarłej

do kunsztownej trumny z brzozy kory, którą opuściły w głąb ciemnego grobu. W milczeniu, bez żadnych ceremonii zasypały grób i ukryły ślady świeżo poruszonej ziemi pod liśćmi, gałęziami i chrustem. A gdy już z tym skończyły, zawahały się, jakby w swej dobroci chciały pokazać, że nie wiedzą, czy mają dalej zachować indiański ceremoniał. Wówczas zwiadowca powiedział im:

–Moje młode kobiety zrobiły już wszystko, co trzeba. Dusza bladej twarzy nie potrzebuje ani pożywienia, ani ubioru, bo jej tęsknota dozna zaspokojenia w niebie białego człowieka. Widzę – dorzucił spoglądając z ukosa na Dawida, który już otwierał swą książeczkę i gotował się do zaintonowania pobożnej pieśni – że ktoś, kto dobrze zna się na zwyczajach chrześcijan, zaraz zabierze głos.

Kobiety, które dotychczas odgrywały główną rolę w obrzędku żałobnym, teraz skromnie odeszły na bok i stały się cichymi i uważnymi widzami. Kiedy Dawid całą duszą zatopił się w śpiewie, żadnym ruchem nie zdradziły zniecierpliwienia czy zdziwienia. Słuchały obcych słów, jakby je rozumiały, i na pewno przeżywały zawarty w nich żal, nadzieję i rezygnację.

Kiedy ostatnie strofy przebrzmiały już w uszach słuchaczy,

Indianie ukradkiem poczęli spoglądać na siebie, a ogólne, choć tłumione poruszenie wśród nich zdradziło, że czegoś się spodziewają po ojcu zmarłej. Munro zrozumiał, że teraz musi się zdobyć na największy wysiłek, jaki może znieść człowiek. Obnażył głowę i ze spokojnym, skupionym wyrazem twarzy spojrzął na otaczający go cichy i nieśmiały tłum. Potem skinął na zwiadowcę i powiedział:



**–Podziękuj tym dobrym i szlachetnym dziewczętom w imieniu człowieka złamanego na duchu i ciele. Powiedz im, że Bóg, którego wszyscy czcimy pod różnymi imionami, nie zapomni im tej dobroci i że może niezadługo zbierzemy się przy Jego tronie bez różnicy płci, pochodzenia i koloru skóry.**

**Zwiadowca wysłuchał drżących słów starego weterana i wolno potrząsnął głową, jakby szkoda było trudu.**

**–Powiedzieć im to – odparł – znaczyłoby tyle, co powiedzieć im, że w zimie śnieg nie pada albo że słońce najmocniej pali, gdy z drzew opadły liście.**

**I zwróciwszy się do kobiet przekazał im podziękowania pułkownika Munro w zwrotach, które uważał za najbardziej dla nich zrozumiałe. Munro zaś opuścił głowę i znów byłby zapadł w melancholię, gdyby młody oficer francuski nie dotknął lekko jego łokcia. Nieszczęśliwy starzec ocknął się i spojrzał na Francuza, a ten wskazał na słońce i na grupę młodych Indian zbliżających się ze szczelnie osłoniętą lektyką.**

**–Rozumiem pana – odparł Munro z wymuszoną pewnością siebie. – Rozumiem. Taka jest wola nieba i trzeba się jej poddać. Koro, dziecko moje! Jeśli modlitwy nieszczęsnego ojca mogą ci pomóc, jakże musisz być szczęśliwa! Idziemy, panowie – powiedział, dumnie rozglądając się wkoło. Lecz nie zdołał ukryć cierpienia na twarzy wykrzywionej bólem. – Tu spełniliśmy nasz obo wiążek. Jedziemy.**

**Heyward chętnie usłuchał rozkazu. Spełniając go opuśczeni miejsce, gdzie nerwy lada chwila mogły go zawieść. Gdy wszyscy siadali na konie, znalazł czas, by ucisnąć rękę zwiadowcy i powiedzieć mu, że wyznaczili sobie spotkanie w szeregach angielskiej armii. Potem rażno wskoczył w siodło, wspiął konia i stanął u boku lektyki, w której szlochała Alicja. Niebawem stary Mnm**

z głową zwieszoną na piersi, Heyward i Dawid w milczeniu jadący za nim, adiutant Montcalma i jego świta, słowem wszyscy biali z wyjątkiem Sokolego Oka zniknęli z oczu Delawarów i skryli się w puszczy.

Ale więzy wspólnego nieszczęścia łączące tych prostych mieszkańców puszczy z obcymi ludźmi, którzy przypadkowo do nich zawędrowali, nie rozluźniły się tak łatwo. Minęło wiele lat, a opowieść o białej dziewczynie i młodym wodzu Mohikanów skracała długie noce, urozmaicała ciężkie marsze i napawała chęcią zemsty młodych i dzielnych Delawarów. Nie zapomniano nawet o drugorzędnych postaciach tej pamiętnej historii. Zwiadowca zapytany przez Delawarów (długo jeszcze był ogniwem łączącym ich z cywilizowanym światem) powiedział im, że Siwa Głowa niebawem odszedł do krainy ojców, złamany, jak błędnie sądzono, swymi niepowodzeniami wojskowymi; że Szczodra Ręka zabrał jego żyjącą córkę do osady białych twarzy, gdzie wreszcie jej oczy obeschły z łez i uśmiech, z którym bardziej jej było do twarzy niż w żałobie, znów zakwitł na jej ustach.

Ale to są dalsze dzieje, nie objęte naszą opowieścią. Wróćmy więc do tematu.

Po odjeździe białych Sokole Oko powrócił tam, dokąd ciągnęło go serce. Nadszedł w sam czas, by po raz ostatni spojrzeć na Unkasa. Delawarzy właśnie go ubierali w jego ostatni ubiór ze skór. Ujrawszy zwiadowcę przerwali te czynności, pozwolili mu długim i tęsknym spojrzeniem pożegnać się z Unkasem i szczelnie, już na zawsze, spowili ciało. Później, po drugim uroczystym przeniesieniu zwłok, całe plemię zebrało się nad tymczasowym grobem wodza, tymczasowym, albowiem kiedyś jego szczątki miały spocząć wśród grobów jego ludu.

Jedno uczucie ogarnęło tłum, który zebrał się nad grobem Unkasa. Panowała tu ta sama surowa cisza, widać było ten sam poważny smutek i głęboki szacunek dla osób najbardziej dotkniętych żałobą, jak nad grobem Kory. Ciało Unkasa umieszczono w wygodnej pozycji, twarzą na wschód, a obok położono broń wojenną i myśliwską na ostatnią drogę. W trumnie wycięto otwór, by duch zmarłego mógł w razie potrzeby połączyć się ze swą ziemską powłoką. Grób zręcznie, z prawdziwie indiańską chytrąścią za-

maskowano i zabezpieczono przed dzikimi zwierzętami, by go nie zwęszyły ani nie rozgrzebały. Na tym zakończono materialną stronę pogrzebu i znów powrócono do duchowej.

Raz jeszcze uwaga wszystkich zwróciła się ku Chingachgookowi, który dotąd nic jeszcze nie powiedział, a po tak słynnym wodzu i w takich okolicznościach spodziewano się słów pociechy i nauki. Surowy i już całkowicie spokojny Chingachgook odgadł życzenie ogółu, uniósł twarz dotąd ukrytą w fałdach ubioru i objął tłum twardym spojrzeniem. Otworzył boleśnie zaciśnięte usta i po raz pierwszy w czasie tych długich ceremonii pogrzebowych powiedział mocnym, zrozumiałym głosem:

–Czemu moi bracia się smućą? – i spojrzął na otaczający go ciemny tłum zgnębionych wojowników. – Czemu płaczą moje siostry? Czy dlatego, że młody wódz odszedł na szczęśliwe łowy, że zaszczytnie dokonał żywota? Był dobry, gorliwy i dzielny. Któż temu zaprzeczy? Manitou potrzebował takiego wojownika i powołał go do siebie. Ja zaś, syn i ojciec Unkasa, zostałem tu jak okorowana sosna na porębie bladych twarzy. Mój ród odszedł znad słonego jeziora i z gór Delawarów. Ale któż powie, że Wąż swego plemienia zapomniał o mądrości. Zostałem sam...

–Nie, nie!... – zawołał Sokole Oko, który ze szczerym współczuciem i ze zwykłym opanowaniem patrzył na stężałą twarz przyjaciela. Teraz jednak nie dopisał mu jego filozoficzny spokój. – Nie sagamore, nie sam. Bóg kazał nam iść tą samą ścieżką, choć dał nam odmienną naturę i różny kolor skóry. Ja też nie mam rodziny ani swego narodu. Unkas był twoim synem i czerwonoskórym, a więc tej samej krwi co ty... ale jeżeli kiedykolwiek zapomnę o tym chłopcu, który na wojnie tak często walczył u mego boku, a podczas pokoju spał przy mnie, niech Ten, który nas wszystkich stworzył, białych i czerwonoskórych, tak obdarzonych czy inaczej, zapomni o mnie! Rozstaliśmy się na jakiś czas z chłopcem, ale ty, sagamore, nie jesteś sam!

Zwiadowca, głęboko wzruszony, wyciągnął nad świeżą mogiłą dłoń, a Chingachgook pochwycił ją mocno i uścisnął. W tym przyjacielskim uścisku obaj śmiali mieszkańcy puszczy pochylili głowy zraszając grób Unkasa gorącymi, rześzystymi łzami.

Wzruszającą ciszę, z jaką przyjęto ten wylew uczuć dwóch

w

najsłynniejszych wojowników, przerwał nagle Tamenund wzywając Delawarów, aby się rozeszli.

–Dość – powiedział. – Idźcie, dzieci Lenapów. Manitou wciąż jeszcze się gniewa. Czemu Tamenund miałby tu pozostać? Białe twarze władają ziemią, a czas czerwonoskórych jeszcze nie nadszedł. Dzień mego żywota trwał za długo. Rankiem spoglądałem na synów Żółwia szczęśliwych i silnych, a zanim noc zakryła moje oczy, widziałem ostatniego wojownika z mądrego plemienia Mohikanów.

–¡ Jn^/

;

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*